

KSIĘGA **Łtamców**

Mariusz Zielke



Niesamowita, odważna i szokująca powieść.

Murowany bestseller!

The Global News

lesiojot

db
ap
PRINCIPIUM

KSIĘGA **Łamców**

Mariusz Zielke



Prolog

W dniu, w którym znalazłem pierwszą wzmiankę o „Księdze kłamców”, huragan Irene uderzył w Nowy Jork, zabijając trzy osoby.

Jedną z nich była dziewczyna trafiona w głowę skrzynką pocztową, wyrwaną przez gniewny powiew kapryśnej kobiecości. Drugą ofiarą okazał się młody surfer, poszukujący dziesięciometrowych fal na plażach Coney Island. Trzecią – agent CIA, który wrócił z misji w Marakeszu i zamierzał spędzić spokojny weekend na oglądaniu filmów z lat czterdziestych.

Zadziwiające, że tak wiele śmiertelnie niebezpiecznych misji oszczędziło tego człowieka, a dopadła go Irene. Wyrwane przez huragan drzewo przebiło dach jego domu na Brooklynie i zmiotło go razem z telewizorem i pizzą zakupioną w restauracji Lombardiego.

Historia ta urzekła reportera internetowego magazynu „Interview”, który prenumerowałem od roku. Artykuł podawał za wiele szczegółów z życia rzekomego zabitego agenta i zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem dziennikarz tego wszystkiego nie wymyślił.

Za pomocą wyszukiwarki przeprowadziłem własne małe śledztwo. Wkrótce byłem pewien, że cały ten magazyn „Interview” nie jest wart więcej niż pismo „Seksskandal”, które szokowało bywalców bibliotek publicznych na początku lat dziewięćdziesiątych.

Okazało się, że dziennikarz podpisany pseudonimem Lenny Marciano zmyśla jak najęty, budując postaci bohaterów z różnych życiorysów, a fabułę kradnie z kart tanich powieści sensacyjnych i horrorów.

Jedynym faktem był huragan o nazwie Irene.

I trzy trupy.

Wyłączyłem komputer, wyszedłem na spacer z psem, a po powrocie postanowiłem dalej poszperać.

Ofiarami rzeczywiście byli dwaj mężczyźni i kobieta.

Pierwszy nie był surferem, tylko bezdomnym, który mieszkał w parku naprzeciwko Wall Street. Utopił się, bo zasnął na nabrzeżu pogrążony w narkotycznym omdleniu.

Drugi zapewne nie miał nic wspólnego z CIA. Z tego co pisał na swoim profilu w portalu społecznościowym, zajmował się inwestowaniem na giełdzie i miał ostatnio spore kłopoty miłosne. Ale rzeczywiście zabiło go drzewo, a w wideo znaleziono „Casablancę”.

Ciekawiej było z kobietą. Amerykańskie gazety nie podawały jej imienia i nazwiska ani przyczyny zgonu (Marciano i „Interview” zapożyczili sobie uderzenie skrzynki pocztowej z niskobudżetowego horroru „The Poste restante”). Za to według raportu Wikileaks była

Europejką o nazwisku Kora Jaszyn i jednocześnie córką radzieckiego dysydenta oskarżonego o szpiegostwo i zamordowanego z zimną krwią przez sowieckie służby specjalne dawno temu w Wiedniu.

Wikileaks nie przebierało w słowach:

Macki sowieckich szpicli sięgają daleko. Rosyjskie komando zamordowało dziś w Nowym Jorku Korę Jaszyn, córkę znanego przed laty dysydenta Siergieja Jaszyna. Dziewczynę próbowano ogłuszyć i utopić podczas huraganu Irene, ale morderstwo zostało popełnione na tyle nieudolnie, że policja nie miała kłopotów z uznaniem wypadku za zbrodnię. Według naszych whistleblowerów raport policyjny został z nieznanymi przyczynniszczony w Białym Domu (co bymoże wiąże się z wizytą prezydenta w Moskwie) i podmieniony na zwykłą notkę wypadkową. Policjanci prowadzący sprawę zostali skierowani do innych zadań lub przeniesieni w stan spoczynku. Porucznik Sangjon z nowojorskiej policji, który miał prowadzić śledztwo, odmówił komentarza.

Nie wierzyłem Wikileaks, jak też nie wierzyłem w spiskowe teorie o mordowaniu byłych agentów czy dysydentów przez sowieckie KGB. Mimo to zadzwoniłem do znajomego reportera z Nowego Jorku i zapytałem, co sądzi o tej sprawie. Wysłuchał mnie uważnie, a potem powiedział:

– Żartujesz?

– Nie, nie wierzę w to wszystko, ale chciałem poznać twoje zdanie. Nie wiesz, kim była ta zabita kobieta?

– Nie o to mi chodzi – jego głos był jakiś nienaturalny.

– Nie dzwoni się w takich sprawach przez ocean. W ogóle w takich sprawach się nie dzwoni.

Ech, ci Amerykanie.

– Mam napisać maila?

– To jeszcze gorzej! Nie rozumiem, czemu to cię interesuje? Przecież ty zajmujesz się literaturą, a nie reportażami kryminalnymi.

– A jednak to mnie zaintrygowało.

– Posłuchaj uważnie! Lepiej będzie, żebyś sobie darował! Wpisałem w wyszukiwarkę nazwisko Kory Jaszyn i zacząłem czytać różne mniej lub bardziej bzdurne posty, artykuły i reklamy. W końcu znalazłem bardzo dziwny wpis z meksykańskiej gazetki ściennej o starym człowieku, który miał być świadkiem poszukiwanym w sprawie jakiejś wielkiej rozróbki podczas wiejskiej zabawy gdzieś na dalekiej pustyni.

Nie wiem, dlaczego ten wpis Google zakwalifikował jako powiązany z Korą Jaszyn i dlaczego mnie zainteresował.

Nie wiem także, dlaczego kliknąłem w zdjęcie, które pod opisem Kora Jaszyn przedstawiało po prostu czarne cienie, tak bardzo niewyraźne, że nie było sensu go oglądać, a co dopiero kopiować.

Mimo to wrzuciłem je do Photoshopa. Czerń była nieprzenikniona. Niczego nie dostrzegłem, więc przesłałem zdjęcie znajomemu fotografowi.

– O co chodzi z tym zdjęciem? – zapytał po chwili przez telefon.

– Mógłbyś mi coś o nim powiedzieć?

– Ale co?

– Dlaczego nic na nim nie widać?

Przez chwilę panowało złowieszcze milczenie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał mój znajomy.

– Tak – przytaknąłem. – Dlaczego pytasz?

– To zdjęcie... hm, jest całkiem wyraźne, wszystko na nim widać. Dosłownie.

Nie traciłem czasu na dalsze pytania. Zbiegłem na dół i ruszyłem na drugą stronę ulicy. O mało nie potrącił mnie maybach, sunący dostojnie w kierunku centrum. W środku zobaczyłem misiowatego, szeroko uśmiechniętego mężczyznę, palącego cygaro. Uchylił szybę i zawołał rozbrajająco:

– Lepiej uważaj przyjacielu na przejściach dla pieszych. Znacznie bezpieczniej przechodzić przez ulicę w miejscach niedozwolonych.

Znajomy fotograf czekał z otwartymi na oścież drzwiami. Wydrukował zdjęcie w kolorze, choć było utrzymane w tonacji błękitnych i czarnych cieni. Przedstawiało całkiem nagą kobietę, zasłaniającą miejsca intymne jakąś wielką księgą. Kobieta wyglądała na atrakcyjną, choć coś w niej mi nie pasowało. Miała zapadniętą twarz, małe piersi, wąskie usta. Na ramieniu wytatuowano jej numer podobny do tych, które widniały na rękach osób więzionych w obozach koncentracyjnych.

– Jest za młoda, by mogli jej to zrobić w obozie.

– W hitlerowskim nie, ale w amerykańskim już tak? O tym nie pomyślałem.

– Myślisz, że Amerykanie tatuują więźniów numerami? Wzruszył ramionami.

– Spójrz lepiej na to.

Wskazał na księgę. Musiała być bardzo stara lub ktoś ją specjalnie postarzał. Przypominała jakiś średniowieczny manuskrypt. Na froncie okładki widniała dziwaczna postać, przypominająca diabła, a nad nim tytuł w języku, jakiego nie znałem.

– To w języku *kicze*. Już sprawdziłem w słowniku. Wiesz jak

brzmi tłumaczenie?

Wzruszyłem ramionami. Po co zadaje takie pytania, gdy zaraz zamierza odpowiedzieć.

– „Księga kłamców”.

– Kłamców?

– Tak, kłamców. Lub łgarzy. Na jedno wychodzi. Rozmawialiśmy jeszcze godzinę, a potem poszedłem do domu. Tam znów spojrzałem na zdjęcie przy świetle i dostrzegłem coś, czego albo wcześniej nie było, albo czego nie widziałem.

W lewym rogu okładki manuskryptu widniał znaczek z numerem bibliotecznym w dokładnie takim formacie, jaki stosowano w bibliotece, w której co kilka dni zaopatrywałem się w książki z półek latynoskich, skandynawskich i niedocenianych polskich pisarzy.

Coś mi tu nie pasowało. Podejrzewałem jakiś żart.

Pytanie tylko czyj. Nasza biblioteka nie miała żadnych zabytkowych ksiąg. Gdyby było inaczej, wiedziałbym o tym.

Nie mogłem w nocy spać. Wiatr wiał z taką siłą, jakby sama Irene zamierzała nas odwiedzić. Dach mojego domu trzeszczał i zgrzytał, przez co miałem wrażenie, że ciągle ląduje na nim jakiś potwór. Gdy zamknąłem oczy, widziałem zaś diabła z tajemniczej księgi, trzymanej przez dziewczynę ze zdjęcia.

Z samego rana ruszyłem do biblioteki, gdzie znużone dwie miłe panie zabierały się właśnie za kawę i ciastka.

– Co tak wcześniej? – zapytała jedna z nich, a ja wyjaśniłem, że nie mogłem spać i musiałem coś niecierpliwie sprawdzić.

– To przez ten huragan – powiedziała druga.

– Pewnie tak.

Pokazałem im zdjęcie. Spojrzały i ożywiły się.

– Dziwne – przyznały po chwili jedna przez drugą.

– Ten numer rzeczywiście wygląda jak nasz, ale przecież to niemożliwe. Taka księga trafiłaby do Biblioteki Narodowej albo muzeum. Na pewno jej u nas nie ma.

Poszliśmy razem między półki, aż trafiliśmy do miejsca opisanego przez sygnaturkę. Zgodnie z oczekiwaniami nie było

tam „Księgi kłamców”. Za to pod tym numerem stała niezbyt gruba książka w miękkiej oprawie, przypominającej zeszyt. Była zrobiona w sposób chałupniczy, nierówno przycięta i oprawiona, wydrukowana na najtańszym papierze.

Nie było na niej ani tytułu, ani nazwiska autora.

Kobiety nie kryły zaskoczenia i początkowo nie chciały zgodzić się na jej wypożyczenie. Zresztą, kto wie, może wcale się nie zgodziły, a ja ją ukradłem. Tak czy inaczej, gdybym nie zrobił tego, co musiałem, nigdy nie poznalibyście tej historii.

Rozdział 1

Uwiódł ją zdolnością umierania. Potrafił paść na ziemię, zatrzymać oddech, bicie serca, a nawet zsinieć na zawołanie. Jego zimne ciało sztywniało w kilka sekund, on zaś kontrolował ten stan przez długie godziny. Kiedyś opowiedział jej, że w czasie wojny o Falklandy został uwięziony w podwodnym akwarium argentyńskich służb specjalnych. Przeczekał trzy godziny pod wodą w towarzystwie dwóch rekinów i namolnej szkaradnicy, aż do otwarcia śluzy. Bez uszczerbku na zdrowiu.

No prawie.

Niezwykła zdolność sprawiła, że czasem zapadał w nieoczekiwaną śpiączkę i nie można było go dobudzić. Drugim efektem ubocznym była skłonność do budowania piętrowych kłamstw.

Był nałogowym kłamcą.

Annie, która także lubiła fantazjować, to nie przeszkadzało. Czasem nawet cieszyła się, że tak fantazjuje. Uważała, że dzięki temu jest oryginalny i intrygujący. Nie sposób było się z nim nudzić. Potrafił zaskoczyć ją w ciągu dnia tuzin razy, a w nocy przebić wszystkie niespodzianki za pomocą swoich ust, dłoni i czegoś jeszcze.

Tak, był wyjątkowo ujmujący.

Nawet gdy jego szatańskie pomysły godziły w nią, w jej kobiecość i honor, potrafiła mu wybaczyć.

Pewnego wieczora podarował jej pierścionek, zabrał na romantyczną kolację nad rzekę, w nocy kochał namiętnie, aż przypomniało mu się, że zostawił kluczyki w stacyjce auta.

– Nie może to poczekać? – protestowała rozpalona. Uspokoił ją gestem dłoni, drugą podciągając džinsy.

Śmiała się, gdy upychał sztywnego członka do kieszeni i bez koszuli wybiegał z pokoju wołając:

– Zaraz wracam.

Wrócił po tygodniu. Z kwiatami i poczuciem winy wymalowanym na twarzy. Pachnący „Lancôme”, opalony jak model, z kosmykami włosów wystającymi z niedopiętej koszuli i wdzierającymi się w gruby złoty łańcuch. Pomarszczoną marynarkę zawiesił na ramieniu odsłaniając błyszczący w słońcu zegarek. Był kwintesencją kiczu.

– Nie waż się mnie tknąć, draniu – odepchnęła go, ale on miał swoje sposoby.

Tej nocy, gdy już skończyli się kochać po raz dwunasty, Anna zapaliła papierosa i zapytała:

– Gdzie byłeś, u diabła? Tylko nie kłam.

Zabrał jej papierosa, uśmiechnął się szelmowsko, pociągnął chivasa ze szklanki o grubym dnie i wyjął:

– Zdetonowałem bombę atomową w islandzkim banku.

– Miałeś nie kłamać.

– Ależ nie kłamię. Włącz wiadomości, to sama zobaczysz.

Włączyła. Wszystkie stacje podawały informacje o wielkiej chmurze pyłu, unoszącej się nad Europą:

Islandzki wulkan wybuchł zupełnie nieoczekiwanie. Chmura pyłu w atmosferze szybko się rozszerza. Rząd w Reykjavíku wprowadził stan wyjątkowy. Wybuch wulkanu zbiegł się w czasie z największym w historii kryzysem finansowym po szeregu bankructw banków i funduszy inwestycyjnych. Parlament rozważa ogłoszenie niewypłacalności i upadłość. Prezydentowi Kildrjanowi grozi impeachment, a Bjórk zapowiedziała specjalny koncert charytatywny na rzecz ofiar tragicznych zdarzeń.

– Nie mówią nic o bombie atomowej.

– Nie wolno im. Wywołaliby panikę i powiększyli kryzys.

– Świat stać na pomoc Islandii.

– Ale Islandii nie stać na tę pomoc.

– Jesteś złym człowiekiem.

– Takiego mnie kochasz.

Anna oczywiście nie wierzyła w te bajki. Zastanawiała się też,

czy on wymyśla je dla siebie, czy dla niej. Było jasne, że fantazje rozpały od środka kochanka może nawet bardziej niż jej gorące uda i wargi w trakcie orgazmu.

Pewnego dnia postanowiła go śledzić. Przebrała się za zwykłego przechodnia, by nikt jej nie rozpoznał. Założyła ciemne okulary, mocno nacisnęła czapkę na głowę, przewiązała szyję szalikiem zasłaniając brodę.

Ruszyła za nim w takiej odległości, by jej nie zobaczył.

Wsiadł do autobusu, ona złapała taksówkę. W metrze jechała w kolejnym wagonie. Gdy spacerował jakąś podmiejską uliczką, starała się trzymać na uboczu i udawała, że ogląda wzgórze, na którym zrobiono wyciąg narciarski. Jeden samotny narciarz korzystał z wyłożonego igelitem stoku, przejeżdżając w kilka sekund krótką trasę i znacznie dłużej wjeżdżając wyciągiem na szczyt wzgórza.

Dobrze je znała. Górowało nad całym truskawkowym miastem, jak lubiła nazywać portowe Erdbeere. Bywały dni, gdy szczyt wzgórza ginął w tumanach kurzu i mgły albo roztapiał się w smogu fabryk, produkujących nowoczesne naczepy do samochodów terenowych i dostawczych firmy MAN. Jeden z jej klientów był kierownikiem zmiany na linii produkcyjnej w fabryce. Wyglądem przypominał niedźwiedzia. Był wielki, zwalisty i opasły. Anna sięgała mu do ramienia i musiała zadzierać głowę, by spojrzeć w dobrotliwą twarz okoloną gęstym, rudawym zarostem.

Przyszedł na jej wystawę i kupił pracę, którą ona nazwała „Poranek”. Poprosił o dedykację, a gdy ją wpisywała, zapytał, dlaczego nazwała obraz tak dziwnie.

– Dziwnie? – zapytała zaskoczona.

– Mnie bardziej przypomina zachód słońca lub sen w środku nocy. Nie ma w nim nic z poranka.

Zastanowiła się nad jego słowami i pokiwała głową. Miał rację.

– Mimo to przedstawia poranek. Mój poranek.

– Oczywiście, rozumiem. Byłem tylko ciekaw, skąd ta nazwa. Obraz mi się podoba bez względu na to, czy przedstawia poranek, czy środek nocy.

Skinęła głową i chciała odejść, lecz ją zatrzymał. Wypił trzy kieliszki wina, gdy wpisywała dedykację, potem dwa w czasie rozmowy, a pewnie kilka jeszcze wcześniej. Był pijany. I musiał jej opowiedzieć o sobie i swojej pracy. Mówił, gubiąc końcówki zdań i słów, w końcu przestała go rozumieć i myślami odplynęła gdzieś w przestrzeń. Minęła człowieka-niedźwiedzia, nagle zdając sobie sprawę, jak bardzo nie pasował do połyskliwych ścian i podłóg galerii i jak ona sama do nich nie pasowała. Tak, on – robotnik i pijak – znacznie lepiej czuł się w fabryce i pubie. Ona jednak nie była wcale lepsza od niego. Jej miejsce było... Właśnie, gdzie? Sama nie wiedziała.

Kiedyś jeden z jej kochanków powiedział, że jeśli wokół wybuchają bomby, najlepiej zamknąć oczy i poddać się sile umysłu.

– Może unieść nas do krainy strachu, słodkiego cierpienia lub gorzkich rozkoszy – mówił poetycko, jak przystało na wieszcz, wychowanego w ogarniętym wojną kraju. – Moc ściskania powiek nie determinuje kierunku podróży i nie ma w gruncie rzeczy większego znaczenia. Za to znaczenie ma ilość i jakość wypitego trunku lub wypalonego zioła.

W konfrontacji z człowiekiem-niedźwiedziem postanowiła użyć właśnie tej broni. Zamknięte powieki nie chciały jej jednak unieść do jakiejś mroźnej krainy pełnej śniegu, lśniącego w promieniach słońca.

Jej nagie ciało kapało się zaś w buchających dymach fabryki, skóra pokrywała się opiłkami metali ciężkich, uszy głuchły od głośnego łomotania silników i huku młotów.

Pijany mężczyzna zamilkł, a ona wciąż płynęła w jego opowieści. Nie był na tyle pijany, by nie dostrzec, że dawno przestała go słuchać. Zapytał więc, dlaczego nigdy nie maluje scen przemysłowych. Fabryk, taśm produkcyjnych, robotników, gorąca hutniczych pieców i siarki, palącej nozdrza i płuca.

– Dlaczego, u licha, na twoich obrazach nie ma ubrudzonych rąk, umazanych w smarach mięśni i śmierdzących kutasów? Dlaczego, pieprzona dziwko, głupi obraz kosztuje tyle, co roczne wyżywienie naszych dzieci w przedszkolu! ?

Wyprowadzili go, zanim odpowiedziała. „Poranek” został oparty o ścianę, z dedykacją dla Arnolda, kierownika produkcji fabryki MAN w Erdbeere, jak kazał sobie wpisać.

Marszand podszedł do Anny i zapytał, czy się dobrze czuje. A ona pomyślała, że ma ochotę zwymiotować do jego torby na laptopa, w którym miał masę skradzionych zdjęć i jeszcze więcej zakazanej pornografii.

– Masz dzieci? – zapytała.

– Dwoje. Czemu pytasz?

– Ile kosztuje ich wyżywienie w przedszkolach? Popatrzył na nią jak na wariatkę. Z całego wieczora najbardziej zapamiętała to spojrzenie. I natarczywy zapach smarów, który rozstaczał jej niedoszły klient. Męczył ją całą noc, aż w końcu pojawił się jej kochanek. Przyniósł ciastka z kremem, choć wiedział, że ona ich nie znosi. Otworzył ciastka, zjadł francuskie ciasto, a bitą śmietaną wysmarował jej sutki.

– Uwielbiam bitą śmietaną, ale tylko wtedy, gdy mogę ją zlizać z kobiecych piersi lub pośladków – rzekł. – Tak, nawet bardziej odpowiadają mi pośladki.

Dziś wzgórze narciarzy w truskawkowym Erdbeere wydawało się wysmarowane na szczycie bitą śmietaną. Wyglądało właśnie tak. Niczym dwa pośladki pokryte bitą śmietaną lub wata cukrową.

Anna zadrżała na myśl o kąpieli w cukrowej wacie i wiosennym zjeździe na nartach na igelicie.

Siergiej tymczasem wszedł do jednego z budynków na przedmieściu. Stała około pół godziny bezmyślnie wpatrując się w drzwi zagłębione w ganku porośniętym bluszczem oraz w zaniedbany płot.

Dom ginął w szarawej zieleni amerykańskich sosen, przegniłych, karłowatych świerków i dziwaczych drzewek, których pniaki wiły się jak węże. Wydawał się nieco za niski i za mroczny, a jednocześnie miał w sobie coś pociągającego. Anna pomyślała, że wygląda jak urokliwa jaskinia.

Nie wiedziała, co powinna dalej robić. Miała szczęście. Nie minęło pół godziny, a jej kochanek wyszedł z domu w zupełnie innej kurtce i udał się do sklepu.

A więc to jest twój dom – powiedziała sobie, słusznie przyjmując, że skoro się przebrał, to nie było jakieś przypadkowe pomieszczenie, mieszkanie klienta czy agenta ubezpieczeniowego.

Kwadrans później wrócił do domu, a Anna ruszyła do sklepu. Był to mały, osiedlowy sklepik, w którym właściciel wykorzystywał każdą możliwą powierzchnię do wystawienia towarów. Nawet na suficie były zawieszane wieszaki i półki z chipsami, batonikami i prezerwatywami. Rozejrzała się po wnętrzu i wybrała paczkę mentosów.

– Coś jeszcze?

Sklepiarka była ładna, ładniejsza od niej. Miała rumiane policzki i niepokojący błysk w oku. Oznaczał namiętną kobietę. Złapała się na myśli, czy tamta też jest jego kochanką.

– Nie – zaprzeczyła Anna. – Choć może. Gdy dochodziłam do sklepu, wychodził stąd mężczyzna. Wydawało mi się, że to mój znajomy ze studiów, ale mnie nie rozpoznał. Kobieta nic nie odparła, czekała na pytanie.

– Nie wie pani, kim jest, jak się nazywa, co robi? – zakończyła Anna.

Ekspedientka otworzyła usta, jakby chciała powiedzieć, ale zrezygnowała.

– A jak miał na imię ten pani znajomy? – odparła pytaniem.

Mądrze – pochwaliła w myślach Anna.

– Nie jestem pewna, bo był obcokrajowcem. Choć dobrze mówił w naszym języku. Chyba Siergiej. Tak, na pewno Siergiej – sklepowa uśmiechnęła się jakoś tak nieprzyjemnie, więc Anna pomyślała, że nie trafiła, że Siergiej nazywa się tu inaczej. Dorzuciła szybko: – Ale na studiach przedstawiał się różnie. Mówił na przykład, że w Rosji miał ksywkę John. John Amerykanin. Bo jego matka była Amerykanką.

– A ojciec? – zapytała niespodziewanie ekspedientka.

– Ojciec był pijakiem, jak każdy Ruski. Ale też pisał. Był pisarzem. Dobrym, jak każdy ruski pisarz. Podobno napisał jakąś epopeję, która teraz jest kultowa.

– Ale niespodzianka – pokręciła głową sklepowa. – To on. To jest Siergiej. Wszystko się zgadza. Z początku pomyślałam, że

pani kłamie, ale wy się musicie rzeczywiście znać. Niesamowite.

Anna z początku się przeraziła. No bo jednak odkryła się i teraz trudno będzie to cofnąć. Wpadła przy tym na pewien pomysł. – Siergiej – wykrzyknęła z emfazą. – To prawda, to niesamowite – nagle przytknęła dłoń do twarzy jakby zorientowała się, że palnęła jakąś gafę. – Och, tylko proszę nikomu nie mówić, że o niego pytałam. Wie pani, na studiach... byliśmy kimś więcej niż znajomymi.

– Więcej – powtórzyła z zaciekawieniem sklepowa.

– Tak, znacznie więcej, a może Siergiej ma tu ułożone życie, nie chciałabym się w nie wtrącać. Nie wie pani?

– Czego?

– Czy ma ułożone życie?

– A tak. Mieszka z żoną i córką zaraz obok.

– No właśnie, widzi pani. Jest szczęśliwy... Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

Być może dlatego ekspedientka tylko uśmiechnęła się i nie odpowiedziała.

Rozdział 2

Anna wyszła ze sklepu i przeszła szybkim krokiem koło posesji Siergieja. Dom, podobnie jak ganek i ogrodzenie, był trochę zapuszczony, ale i tak bardziej atrakcyjny niż jej mieszkanie na poddaszu kamienicy. Dla niej. Dla niego może jednak było inaczej. Zapisała numer i udała się do znajomej urzędniczki z działu ewidencji ludności. Powiedziała jej, że Siergiej zrobił jej dziecko.

– Och, jak się cieszę – pogratulowała Olga.

– I zniknął.

Zawstydzona Olga zasłoniła twarz dłonią.

– To niedobrze.

– Niedobrze – przyznała Anna. – Znalazłam go. Mieszka pod tym adresem.

Podawała urzędniczce kartkę i czekała aż ta zrozumie, o co jej chodzi.

– Chcesz...

Skinęła głową. Mierzyły się wzrokiem. Urzędniczka nie była jej dobrą przyjaciółką. Anna nie zasłużyła, żeby robić jej przysługę i to ryzykując złamanie prawa. Jednak nie co dzień ktoś taki jak Anna prosi o cokolwiek.

– Poczekaj – urzędniczka wpisała dane do komputera i po chwili powiedziała jej wszystko o Siergieju, żonie Weronice i córce Korze.

– Korze? Dziwne imię.

– Pewnie po tej słynnej piosenkarce. Zobacz lepiej na to. Wskazała na wyniki wyszukiwania w internetowej przeglądarce, które uruchomiła wpisując nazwiska i imiona rodziny Siergieja. Na trzecim miejscu był artykuł z gazety „Brulion”, zatytułowany:

Tajemne moce dziewczynki z przedmieść!

Artykuł sąsiadował z tekstami o dwumetrowym noworodku oraz porywającej dzieci ośmiornicy na plażach Long Island, więc Anna pomyślała, że jest bezwartościowy. Mimo to przeczytała go dwukrotnie.

– Piszą, że córka Siergieja ma nadprzyrodzoną moc.

– Jest upośledzona, lecz jednocześnie potrafi przesuwać przedmioty siłą umysłu – potwierdziła urzędniczka.

– Wiesz, to, co ci powiem, brzmi absurdalnie, ale słyszałam kiedyś rozmowę ludzi z działu opieki socjalnej, którzy rozmawiali o tym przypadku. Mówili, że na przedmieściach mieszka upośledzona dziewczynka i że ona rzeczywiście potrafi przesuwać przedmioty myślami.

– Siłą woli... – powiedziała zafrapowana Anna.

– Z tego, co pamiętam, nie były to jakieś wielkie rzeczy. Szklanka na stole czy ołówek. Ale jednak. Poruszały się, jakby w oczach tego dziecka był magnes. Przynajmniej tak mówili.

Tej nocy Siergiej pojawił się wcześniej niż zwykle. Obudził ją i od razu próbował do niej dobrać. Włożył rękę pomiędzy jej nogi, ściągnął bieliznę i podwinął halkę, polizał palce wulgarnym gestem, a następnie zarzucił sobie jej nogi na ramiona i zrobił swoje.

Myśli Anny zaprzętało to wszystko, czego się dowiedziała, mimo to doszła szybciej niż zwykle i mocniej zagryzała zęby na rogu poduszki starając się nie krzyżeć. Siergiej opadł na bok, spocony, pachnący mężczyzną.

Gdy całowała jego pierś, skóra smakowała jak woda Morza Martwego. Słono, lecz jednocześnie egzotycznie. Zamknęła oczy i już po chwili była wśród wojowniczych zelotów. Stała na krawędzi masadeńskiej przepaści i spoglądała na gromadzących się wokół Rzymian, a silne ramiona Siergieja nie pozwalały jej spaść.

– Byłeś kiedyś w Izraelu? – zapytała. Pokręcił przecząco głową.

– Nigdy nie miałem tam misji.

– Ale może na wycieczce, na wakacjach?

– Za dużo Rosjan, za dużo mafii, za dużo karabinów! Na wypoczynek się nie nadaje.

– Ja byłam – powiedziała. – W Masadzie, na wzgórzu, spotkałam osiemdziesięcioletnią polską księżną, która powiedziała mi, żebym się strzegła mężczyzn o błękitnych oczach.

Siergiej miał błękitne oczy. Wystarczyło jednak, by je zmrużył, a już robiły się jasnozielone lub piwne.

– Polskie księżne szybko tracą wzrok, a jeszcze szybciej zdolność pojmowania świata – odparł. – Wątpię też, by kiedykolwiek rozumiały miłość, a to dlatego, że ich mężowie i kochankowie wołają szable od miłości. W tym są podobni do Rosjan, jednak nie potrafią pić i śpiewać. A dusze kochanek zaraz po szampanie łakną śpiewu jak porannej rozkoszy. Nocą miłość jest zgrabniejsza, za to rankiem można pobudzić ją śpiewem, wódką i papierosami. Szablom nic do tego.

Przyglądała się kochankowi i zastanawiała się, co ją w nim pociągało. Nie był ani zbyt męski, ani zbyt przystojny. Nie pachniał jak samiec alfa. Trudno było wyłowić go z tłumu na Spandau, gdzie czekała na pociąg do Erdbeere. W tym zresztą byli do siebie podobni. Zagnieżdżyła się w rogu dworcowej poczekalni, w czarnym długim płaszczu zlewając się z brudem kiosku z gazetami. A jednak to ją wyłowił z ciemności i zapytał o ogień.

– Tu nie wolno palić – odparła, na co roześmiał się i wtedy już wiedziała, że tę noc spędzą razem.

Uśmiechy połykają tajemnice – pomyślała, a on tymczasem odparł:

– Pani przecież nie przejmuje się zakazami.

Spojrzał znacząco na jej dłoń i wtedy zorientowała się, że bezwiednie też zapaliła papierosa, choć była pewna, że tego nie zrobiła. Nie pamiętała, by sięgała do torebki po paczkę slimów i kościaną zapalniczkę z wizerunkiem islandzkiego krasnala.

Nigdy nie szanowała zakazów, ale też miała powody, by ich przestrzegać. Rzuciła niedopałek na ziemię jak oparzona i on znów się uśmiechnął.

– Nie trzeba się tak denerwować. Na dworcu w Spandau żandarmi nie szukają palaczy, bo zbyt są zajęci wyszukiwaniem prostytutek, które potem, w komisariacie przydworcowym, o tam (wskazał ręką gdzieś za jej plecy), namawiają do promocyjnych sesji sam na sam albo w trójkącie. Poza tym papierosy z Erdbeere mają zapach truskawek, a nie smogu.

Już wiedziała, że coś jest nie tak. Prawdziwy świat stanął lub odmierzał sekundy tak powoli, jak zegar zatopiony w smole. Jeśli prawdą jest, że czas przykleja się do życia, a nie do przedmiotów, to właśnie teraz oplótł niewidzialną nicią Annę i trzymał ją w objęciach, mocno cisnąc szyję. Zrobiło się jej duszno i coś zamajaczyło przed oczami. Cień przeciął przestrzeń gdzieś pod dachem hali tak szybko, że nie zdążyła go rozpoznać. Jeśli to ptak, to nie gołąb. Bardziej jastrząb lub sokół. Czy na dworcu Spandau ktoś hoduje sokoły tak jak na lotniskach? A może to był cień nadjeżdżającego ekspresu, który właśnie przemknął wzdłuż peronu z pełną szybkością, nie zatrzymując się. Dlaczego się nie zatrzymał? Przecież na dworcu Spandau zatrzymują się wszystkie pociągi.

– Ten nie – odpowiedział przybysz na niewypowiedziane pytanie. – Jedzie do Nowego Jorku, a potem do Meksyku.

– Pociągi nie jeżdżą przez ocean – zaprotestowała. Jej przyszły kochanek wzruszył ramionami, jakby nie miało to znaczenia, czy pociągi mogą jeździć przez ocean lub latać jak samoloty. Patrzyli w milczeniu na migające im przed oczami niebieskie szyby przedziałów. W jednym z nich Anna zobaczyła uśmiechniętą twarz. Widziała ją ledwie pół sekundy, a mimo to zapadła jej w pamięć. Była to twarz starszego mężczyzny, trudna do opisanego, niby zwyczajna, a jednak wyjątkowa i to nie tylko z powodu wąsów. Twarze starszych mężczyzn są do siebie tak podobne, że łatwo je pomylić, a jednocześnie zapadają w pamięć tak głęboko, że przywołują wspomnienia podczas snów. Anna wiedziała, że twarz starca będzie czaić się gdzieś w zakamarkach jej snów, choć nie wiedziała jeszcze, że

tej nocy nie będzie spać. Nie wiedziała, że noc ma już swojego właściciela.

– Ech, stary Santiago – rzekł z rozmarzeniem Siergiej.

– Nie lubi nowoczesności, gardzi technologią i jest piekielnie próżny. Kiedyś powiedział mi, że nigdy nie wsiądzie do samolotu, bo za często spadają, jakby nie wiedział, że pociągi znacznie częściej ulegają katastrofom.

– Jest pana przyjacielem?

Siergiej uśmiechnął się znacząco i tak pokiwał głową, że mogło to równie dobrze oznaczać potwierdzenie, jak i zaprzeczenie. Palił przez chwilę, rozkoszując się dymem. Anna westchnęła, poczuła zapach truskawek i przypomniała sobie, że nieznamy wymówił już nazwę jej miasta.

– Skąd pan wie, że jadę do Erdbeere?

– A jedzie pani? Cóż za przypadek, bo ja też.

Po czym nachylił się do jej ucha i szepnął, że każdy chciałby mieszkać w truskawkowym mieście, tylko na szczęście nikt nie wie, że istnieje.

– Ludzie to w ogóle dziwne istoty. Mogą wymyślić sobie najwspanialsze nazwy miast, krajów, ulic, wybrać najbardziej fantazyjne imiona, a tyłu z nich wybiera powszedniość. Jak sądzisz Anno, dlaczego tak się dzieje?

Zamiast się zdziwić, że zna jej imię, powiedziała:

– Może gdyby wszyscy uciekali w marzenia, świat stałby się nieznośnie lekki? Uniósłby się w przestworza i dryfował w przestrzeni jak bańka mydlana?

– Może tak właśnie jest.

Wtedy jej powiedział, że ma na imię Siergiej i że zamierza zaprzyjaźnić się z nią bardziej niż ze swoją fretką, którą wyprowadzał kiedyś na smyczy, zanim uciekła. Jego głos brzmiał jak szept w jej głowie, usta lekko rozchyłały się i zamykały. Wydawało się, że śpiewa zamiast mówić i to w jakimś innym, nieznanym języku. Nie powiedział jej o swoich szpiegowskich zamięłowaniach, nie mówił o misjach i pokoju na świecie. Siergiej. Czyż to nie dziwne, że wybrał akurat takie imię? Imię kata i oprawcy?

Wzdrygnęła się, gdy obok przeszła grupa polskich

robotników. Wszyscy mieli wąsy i krzyże na szyjach.

– Co by było, gdyby to Polacy przegrali wojnę z Niemcami. To byłoby jeszcze gorsze niż papież bolszewik lub Murzyn prezydent USA.

Nie podjęła jego gry w historyczne kłamstwa. Wiedziała, że w ich związku będzie na to jeszcze dużo czasu.

– O czym myślisz? – zapytał Siergiej, obejmując ją ramieniem. Uśmiech błysnął w ciemności i rozlał się w stojącej, wodnistej przestrzeni. Jakby unosił się delikatną mgiełką papierosowego dymu. Przez okno przebiegły smugi przejeżdżającego auta wylawiając dłoń kochanka, wyjmującego papierosy z paczki. Wstała, podeszła do okna i przyjrzała się truskawkowemu miastu. W księżycowe noce z okien kamienicy poza sąsiednimi blokowiskami, drogą prowadzącą do kościoła, rozrzuconymi w okolicy wielkich hal fabrycznych sklepikami, widziała też nabrzeże z portem rzeczonym i wielki plac, na którym latem często rozbijali się cyrkowcy, a zimą przechadzali kochankowie i samotne starsze panie z wielkimi terierami rosyjskimi oraz zwyczajnymi labradorami. Koty trzymały się z daleka, bliżej drzew.

Szczury wychodziły dopiero nocą, grupami oczyszczając ziemię z padliny i porzuconych landrynków. Miliardy robali zjadały się nawzajem, niestrudzenie zapatrzone w wieczność. To te pola kiedyś sływały z najlepszych w Europie truskawek. Dziś nikt ich nie uprawiał. Za to Erdbeere, z pogrążoną w fabrycznym smogu nocną dzielnicą rozpustnych luster, zasypiało jeszcze później niż Hamburg.

Uścisk dłoni Siergieja i trzask kamienia zapalniczki Zippo wyrwał ją z zamyślenia.

Zapalił dwa papierosy, podał jej jednego i palili w milczeniu.

W końcu ona powiedziała:

– Dobrze mi z tobą.

– Uhm.

– Bardzo dobrze.

Nic nie odrzekł. Nad ranem zrobił to jeszcze raz. Tym razem

przewrócił jej ciało na brzuch, przeciągnął je na krawędź łóżka, samemu klękając z tyłu. Wepchnął się w nią i poruszał ściskając szyję kochanki i ciągnąc za włosy. Gdy kończyli, zacisnął dłoń na jej wargach, pozwalając się gryźć do krwi i świntuszając do ucha.

Potem szybko ubrał się i powiedział, że ma do wykonania misję w Chile.

– Doszło do znaczącego kataklizmu. Wielu górników jest uwięzionych w kopalniach, lecz rząd nie chce się przyznać opinii publicznej. Próbują ukryć zaniedbania i obawiam się, że wolą zostawić tych biedaków na pastwę losu.

– Zamierzają ich pomordować?

– Nie wiem, ale nie możemy im na to pozwolić. Trzeba nagłośnić temat i uratować górników.

Rozdział 3

Następnego dnia Anna jak co ranka wzięła się do pracy. Siergiej i sny działały na nią dopingująco. I ludzie. Lubiała ich obserwować, dopowiadać historie, zmyślać zdarzenia. Nie interesowała jej prawda, wystarczyło postrzeżenie.

Pracowała nago i koło dziesiątej zrobiło się jej zimno. Zarzuciła na ramiona poplamioną koszulę i zadrzała. Zimno to dziwne odczucie. Ogarnia ciało jak szpieg, powoli i z zaskoczenia, a potem atakuje i walczy, gdy chcemy je odgonić.

Spojrzała na swoje dzieło. Coś jej nie pasowało. Może sklepowa? A może urzędniczka? Po chwili zastanowienia usunęła jedną, a następnie także drugą postać, stosując barwy nocy i krwi. Lubiała barwy nocy i krwi.

Wciąż coś było nie tak.

Narciarz w oddali wydał jej się nazbyt wyraźny. Na razie powinien pozostać w cieniu.

W końcu na płótnie została tylko tajemnicza kobieta, dziewczynka i on. Jej kochanek.

Wypiła trochę wódki wprost z butelki i znów zadrzała.

Nawet jeśli wszystko jest snem, warto śnić. Sny są czasem lepsze niż rzeczywistość.

Wzięła prysznic, a potem znów przebrała się za szpiega i ruszyła pod dom Rosjanina. Przykucnęła na rogu ulicy udając żebraka. W domu Siergieja nic się nie poruszało. Okna były pozamykane, w środku nie paliło się światło. Może wyjechał? Może z żoną i córką?

Wyruszył w rejs na Cyklady, a może wskoczył do pociągu, przemierzającego ocean w drodze do Meksyku? Albo tak jak powiedział, pojechał do Chile ratować górników?

Uśmiechnęła się do własnych myśli, wyobrażając go sobie, jak przy wejściu do szybu kopalni podchodzi do grupki drapiących się po głowach notabli i z wisielczym uśmiechem

mówi w swoim stylu:

– Problem? Jaki problem? Wystarczy zejść pod ziemię i wyciągnąć tych biedaków albo ich zamordować.

Pomysł rozwijał skrzydła i po chwili miała już pełną wizję przyszłego obrazu. Nagi Siergiej niczym mistyk lub Mesjasz obejmował prawym ramieniem szyje ubranych w garnitury i złociste mundury z lampasami oficjeli; lewym dusił umorusanych w sadzy i węglu robotników. Albo odwrotnie. Ogień szalał w błękitnych oczach, rozjaśniając mroczne kolory nocy. Czerwień i czerń – to były jej kolory.

Kilka razy powtórzyła sobie w myślach te wizje, żeby nie umknęły z pamięci, tak jak wiele poprzednich pomysłów. Przymknęła oczy i Siergiej znów powrócił, tym razem jako zwykły klient w markecie. Miał krótkie włosy ciemnoblond i nieco ciemniejszy zarost, namalowany komiksowo na twarzy. Robił zakupy, roztaczając wokół siebie blask, który wyzwałał w ekspedientkach kocie ruchy i zapach piżma. Wszystkie odprowadzały wzrokiem jego obojętne ruchy i drwiący wyraz twarzy. Wtedy zerknął w jej stronę i jego oczy błysnęły tym samym ogniem, co w górniczej wizji. To ciebie wybrałem, Anno. Ty jesteś moją ofiarą.

Nagle drzwi sąsiedniego budynku otworzyły się i wyszedł z nich szczupły, wysoki mężczyzna w grubym swetrze i wełnianej czapie, spod której wymykały się loki długich żółtych włosów. Zdziwiła się, że jest tak ubrany, gdyż było już ciepło, wiosennie. Wspomnienia śnieżnej i mroźnej zimy uleciały dawno, wraz z zapachem drewna palonego w kominkach i smrodem śmieci wrzucanych do ognia w starszych domach.

Wyglądał jak postać z filmu rysunkowego. Wystawił narty i kijki na zewnątrz. Zamknął drzwi. Poprawił czapę, zarzucił narty na ramię i ruszył w jej kierunku.

Jego ciało poruszało się długimi sprężystymi skokami.

Narciarz przeszedł koło Anny bez słowa i ruszył na sztuczny stok pokryty igelitem. Skuliła się w sobie, bała się spojrzeć w twarz mężczyzny, żeby go nie sprowokować. Równomierne kroki ucichły.

Nad ulicą przeleciała zwinna mała muchołówka.

Przypominała jej ptaka, który kiedyś zagnieździł się przy belce wspierającej dach, tuż pod jej oknem. Zrobiła mu zdjęcie i wysłała do jednej z gazet ornitologicznych. Po tygodniu przed domem czekał redaktor owego pisma z bukietem kwiatów i teczką, zawierającą przesłane zdjęcie oraz zbiór materiałów. Przestępował nerwowo z nogi na nogę. Pociły mu się dłonie. Palcami przeczesywał opadające na czoło przydługie proste włosy. Tyle zapamiętała z jego wyglądu.

Raczej nie był przystojny, nie miał niebieskich oczu i szerokiej klatki piersiowej. Nie było to ciało herosa, bo by je zapamiętała. A tak zatrzymała w pamięci tylko spocone dłonie, nerwowe ruchy i małego członka. Uprawiali seks, którego także nie zapamiętała. Potem ona paliła papierosa, a on starał się chwycić czyste powietrze udając, że nie przeszkadza mu palenie.

– Dlaczego wysłałaś zdjęcie właśnie do mnie? – zapytał wtedy.

– Prowadzisz magazyn ornitologiczny. Chciałam dowiedzieć się, jaki to ptak.

– I tylko dlatego wybrałaś mnie? – wydawał się nieco zawiedziony. – To był przypadek?

– Przypadek – przytaknęła.

Znacznie lepiej niż kochać potrafił opowiadać o ptakach. Wyjął zdjęcie, które mu wysłała i opisał dokładnie ptaka, charakteryzując jego zachowania i przekazując wszystkie zebrane o nim informacje.

– Nazywają go kopciuszek? Dlaczego? Ornitolog wzruszył ramionami.

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Możesz powiedzieć, że słaby ze mnie ornitolog, a ja przyznam ci rację. Bo tak naprawdę nie znam się na ptakach.

– Jak to? Przecież prowadzisz pismo o ptakach. Ornitolog wyznał jej, że założył taką gazetę z przekory.

Szukając swojego miejsca w życiu chciał robić coś oryginalnego. I pewnego dnia wpadł na pomysł, żeby założyć gazetę o ptakach. Nie zależało mu na zarabianiu pieniędzy. Tych miał dość z zasiłków i stałych dochodów z wynajmu

posiadłości zmarłych rodziców na wsi. Lubił ptaki i choć się na nich nie znał, przyjął, że jest tyle źródeł informacji, że można bez trudu sobie poradzić z wypełnieniem takiej gazety treścią i zdjęciami.

– Kiedy przysłałaś mi zdjęcie pomyślałem, że pewnie dlatego założyłem pismo ornitologiczne, bym mógł cię poznać.

Nigdy więcej nie przespała się z nim i nie spotkała. Obraz, który namalowała z tych wspomnień sprzedała bardzo szybko za niewygórowaną cenę. Zawisł na statku wycieczkowym. Bała się, że rzekomy ornitolog będzie ją nawiedzał, ale o dziwo chyba też zdawał sobie sprawę, że to nie ma sensu. Nigdy więcej nie pojawił się pod jej drzwiami.

Teraz, patrząc na sztuczny stok Erdbeere i zjeżdżającego po nim narciarza pomyślała o ornitologu i kopciuszku. Gdy zamierzała wstać i wrócić do siebie, drzwi domu Siergieja otworzyły się. Przez chwilę nic się nie działo. Następnie wyszła z nich ładna, drobna kobieta o czarnych, prostych włosach. Spojrzała w stronę stoku i uśmiechnęła pod nosem. Anna wzdrygnęła się. Nie czuła niechęci do tej kobiety, nie widziała w niej rywalki. Jednak nią była. A gdybyś ty też miała swoje sekrety – pomyślała. Choćby z tym narciarzem.

Kobieta wróciła do domu i sekundę później przytaszczyła na ganek stolik, a następnie dwa krzesła. Wreszcie wyszła razem z dziewczynką, która była najdziwniejszą istotą, jaką Anna kiedykolwiek widziała.

Kora miała krótkie kończyny, za długi tułów i biodra jak mebel w sklepie ze starociami. Jej pośladki rysowały się pod spódniczką niczym dwa wyrzeźbione koła na poręczach staroświeckiego fotela. Na krótkiej szyi ciążyła duża, przypominająca balon głowa o niezwykłej urodzie.

Anna o mało co nie zakryła ust dłonią. Pierwszy raz widziała coś podobnego i pomyślała o artykule. A jeśli dziennikarze pisali prawdę? Jeśli na Long Island rzeczywiście grasowała ośmiornica, w Afryce rodziły się dwumetrowe niemowlaki, a Kora potrafiła przesuwac przedmioty myślami?

Kora usiadła przy stoliku, a jej matka wyjęła książkę i zaczęła czytać. Annę interesowała już tylko dziewczynka. Ta jakby wyczuła jej spojrzenie, bo zwróciła oblicze w kierunku fałszywej zebraczki. Anna poczuła, jak przez zamglone powietrze przechodzi jakaś nieznana, nienazwana fala, coś niezmiernie i niesamowitego, i uderza w nią. Wydawało się, że w spojrzeniu dziewczynki jest skaner przeczesujący przestrzeń niczym na filmach o obcych. Przeraziła się, wstała i ruszyła biegiem do domu.

Rozdział 4

Wieczorem wyszła do kina „Iluzjon”, na którego drzwiach wisiał plakat filmu Franka Capry. Kino mieściło się w starym, zaniedbanym budynku w parku. Wszystko wokół zdawało się tkwić w jakiejś dziwnej anomalii czasowej, gdzie życie zwalnia, i biegnie innym rytmem. Kochankowie przechadzający się po parku poruszali się niczym w przestrzeni wypełnionej kisiem. Może sprawiały to piękne archiwalne filmy, których już nikt nie chciał oglądać, a może dźwięki rozstrojonego pianina, stojącego w rogu kinowego baru, przy którym melancholijnie kołysał się Yehudi Menuhin. Wyglądał jak poruszany wiatrem liść.

Nigdy nie rozmawiał z nikim, nie podrywał kobiet i nie prowokował mężczyzn. Grał. Któregoś dnia Anna usiadła dokładnie naprzeciwko muzyka i, pijąc piwo z wysokiej, wąskiej szklanki, robiła szkice. Rysowała szybko, jakby bała się, że model wstanie nagle i wyjdzie lub po prostu zniknie. Piana z piwa osadzała się w kącikach jej ust i na palcu, przeniosła się na ołówek, przez co musiała go oblizać. Barmanka spojrzała na oblizującą ołówek kobietę i pomyślała, że powinna kiedyś obok zakazu palenia powiesić zakaz oblizywania ołówków.

Nieliczni klienci cenili zakazy, które mogli łamać.

Anna skończyła rysunek i podeszła do muzyka, przedstawiła się i zapytała, jak tamten ma na imię. Nie odpowiedział, tylko zagrał jej najpiękniejszą pieśń, jaką słyszała. Łza spłynęła jej po policzku.

– To jest moje imię – powiedział.

– Muzyka? – dopytywała rozbawiona i wzruszona.

– Muzyka była dla pani. Moje imię zagubiło się w przestworzach. Dawno temu.

– Przestworza. Ładna nazwa dla obrazu. Tak go nazwę.

Mężczyzna nic nie odpowiedział, uznała więc, że nie chce dłużej z nią rozmawiać. Wróciła do stolika, dopiła piwo, zapaliła papierosa, rozkoszując się dymem i kolejnymi fantastycznymi romansami granymi przez poetę pianina. Kiedy wychodziła, usłyszała chrząknięcie i muzyk powiedział szeptem.

– Yehudi Menuhin.

– Słucham?

– To moje imię.

Zawahała się, czy podjąć dyskusję, w końcu jednak powiedziała:

– Yehudi Menuhin był wirtuozem skrzypiec. Poza tym nie żyje.

– A pani myśli, że martwym i skrzypkom nie wolno grać na pianinach?

Dziś człowiek o najpiękniejszym imieniu i nazwisku, jakie kiedykolwiek słyszała, kołysał się jak liść, powolnie wydobywając z klawiszy ciche dźwięki.

Usłyszała dzwonek na film i ruszyła do sali. Na seansie była tylko ona i jakaś para zakochanych, która usiadła w ostatnim rzędzie. Anna też lubiła ostatni rząd, lecz gdy na chwilę przysiadła koło pary, poczuła nienawistne spojrzenie młodego mężczyzny i zrozumiała, że nie ma prawa odbierać im tej chwili intymności.

Czyżbyś nigdy nie chodziła do kina z chłopakiem? – zapytała sama siebie i wstała z miejsca.

Poszła na środek sali. Rozejrzała się. Usiadła w drugim sektorze.

Gdy Clark Gable całował Claudette usłyszała jakąś szamotaninę z tyłu i pomyślała, że tamci zaraz zaczną się kochać, nie zwracając uwagi, że ona też jest w kinie. Nie zdziwiłaby się. Ona i Siergiej z pewnością też zaczęliby się kochać w pustym kinie.

Jednak nic takiego się nie stało. Szamotanina ucichła, a tamci śmiali się co chwila. Niewiele zapamiętała z filmu. Ciągle myślała o Menuhinie, jego rozmarzonym uśmiechu i bladym obliczu. Jeśli śmierć potrafi tak pięknie grać i tak się uśmiechać, to nie ma co się jej bać.

Opuszczając kino, ich spojrzenia się zetknęły.

Anna przyjrzała się dzieciakom. Mogli mieć co najwyżej po osiemnaście lat, choć może ona była już tak stara, że dorosłą młodzież brała za nastolatków. Dziewczyna miała nierówno przystryżone włosy i wyraz twarzy, jakby się ciągle uśmiechała. Wydała się jej ładna i zepsuta. Chłopiec był bardzo chudy. Wyglądał, jakby w ogóle nie jadł. Miał strasznie błyszczące oczy i Anna pomyślała, że to wszystko, ta jego chudość i dzikość oczu, sprawiało, że był wyjątkowo seksowny. Całe to chude, żylaste ciało mówiło: jestem seksualnym bogiem, potrafię zrobić wszystko, o czym marzysz i także to, o czym jeszcze nie wiesz, że jest twoim marzeniem.

Minęła parę i poszła w kierunku osiedla. Szła powoli, słysząc ich kroki za sobą. Pomyślała, że oni idą za nią, śmieją się z niej. Ale to przecież ona szła tak wolno, by pozwolić im iść za sobą. Gdy skręciła do swojej kamienicy, chłopak z dziewczyną zostali na rogatce i pocałowali się. Podglądała ich przez chwilę, a potem się zawstydziła.

W domu od razu ruszyła do okna. Wciąż stali na tej rogatce i się obściskiwali. Nalała sobie wina i patrzyła już bez skrępowania. W ciemności, bez zapalonego światła, nie czuła się jak intruz, nie bała się, że ją zobaczą. Lubiła podglądać ludzi.

Ich delikatne pieścizoty były tak niewinne i tak śmiałe jednocześnie, że Anna poczuła pragnienie i inspirację. Zasłoniła zasłony, zapaliła światło, rozebrała się do naga i wzięła do pracy.

Skończyła późno, po północy. Mogła być godzina druga, może trzecia nad ranem. Przyjrzała się swemu dziełu i stwierdziła, że znów udało się jej odwlec wyrok.

Już od dwóch lat czuła, że koniec jest blisko, że już nie potrafi zrobić niczego, z czego mogłaby być dumna, co doceniliby inni. Ze nie będzie w stanie nic więcej stworzyć. I za każdym razem, gdy przekonanie to się materializowało, dokonywała czegoś niezwykłego.

Uśmiechnęła się pod nosem, zgasiła światło i zerknęła przez okno. Wszystkie okna w sąsiednim budynku były ciemne. Miasto spało. Otworzyła balkon i wyszła nago, pokazując

światu swoją bezwstydną. I tocząc z nią dyskusję:

„A jeśli ktoś zobaczy? Jeśli kogoś zaszokujesz?”

„Jestem artystką, wszystko mi wolno!”

„Czy aby na pewno?”

Pary dzieciaków nie było już na rogatece. W oddali, na autostradzie, od czasu do czasu przejeżdżał jakiś tir, a ona pomyślała, że może któryś z nich wiezie jej Siergieja, wiezie jej kochanka z dalekiej misji.

Nad ranem Siergiej istotnie do niej przybył, ale tym razem było to doprawdy spektakularne wejście. Coś huknęło na balkonie, budząc ją. Zobaczyła, jak Siergiej gramoli się do środka, zdejmując nieporadnie z ramion wielkie, pokryte dziwnymi błonami skrzydła.

– To nowy wynalazek NASA – wyjaśnił. – Egzoskrzydła, na których można szybować jak na lotni.

– Dobrze, że nie zainstalowali ci w tyłku silnika, jakiejś turbodyszy.

– Chcesz zobaczyć moją turbinę?

Nie lubiła, gdy był taki łobuzersko i prymitywnie figlarny. Nie lubiła robotniczych żartów i spojrzeń spod budki z piwem. Woląca już kłamcę i szpiega. Podszedł do niej i dał się obwąchać. Chłonęła zapach męskości i poczuła podniecające mrowienie w podbrzuszu. Pocałowała go w szyję. Ujął ją pod udami i posadził na stole. Pieścił, aż była gotowa, po czym chwycił dłonią penis i powolnie zaczął się szykować do ostatecznego zespolenia. Zesztywniała, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Nie ta dziurka – westchnęła w końcu.

– Ta, ta – odparł i wdarł się w nią zanim zdążyła zaprotestować.

Rankiem już go nie było. Zostały tylko poprzewracane butelki, rozlane farby i zniszczone ubrania. Przy łóżku leżała otwarta, ale nie użyta prezerwatywa. Przez chwilę pomyślała, czy to byłoby źle, gdyby zaszła w ciążę.

„Przecież użyłem innej dziurki” – uspokoiłby ją zapewne, gdyby tu był.

„Ale jednak, gdyby to nie przeszkadzało? Co byś zrobił, gdybym była w ciąży?”

„Mówiłem ci, że nie mogę mieć dzieci. Nie powinienem. Jestem napromieniowany. Czarnobyl i setki innych misji sprawiły, że moje dzieci byłyby potworami”.

Zjadła jajecznicę na śniadanie i wtedy zadzwonił telefon. To był dziennikarz z „Dagens Industri”.

– Chciałbym zrobić z panią wywiad – powiedział.

– Po co?

– Dawno już nie udzielała pani wywiadów.

– To prawda, nie mam nic nowego do powiedzenia.

– Powinna pani zadbać o promocję. W przeciwnym wypadku ludzie mogą o pani zapomnieć. Tak mówi pani agent.

– Zapomnieć? Naprawdę tak mówi?

– O tak, promocja jest ważna.

Zgodziła się. Bardziej ciekawa dziennikarza niż zainteresowana wywiadem. Na dodatek dla pisma zajmującego się przemysłem, a nie sztuką. Spodziewała się spasionego, zaniedbanego brudasza. Dziennikarz był jednak całkiem młody i przystojny. Zauważyła, że trzęsą mu się ręce. Miał obrączkę na drugim palcu prawej dłoni.

– Jest pan żonaty?

– Tak – przytaknął.

– Co powie pana żona, gdy się dowie, że zrobił pan ze mną wywiad?

– A co ma powiedzieć? – zdziwił się.

– To zależy, co pan jej przekaze. Powie pan, że rozmawiałam z panem nago?

– Jest pani ubrana.

– Zanim dojdziemy do końca, zamierzam być całkiem naga.

Nic nie rozumiał. Pisał i nagrywał. Jednak nic nie rozumiał. Wyrzuciła go po godzinie, gdy zobaczyła, że jego pytania zaczynają mu rosnać na głowie i wywijają się jak kędziorki małego Murzynka. Strasznie zabawnie to wyglądało.

– Dlaczego się pani śmieje?

– Niech pan spojrzysz w lustro. Trochę się spieszył. W końcu spojrział.

– Wyglądam śmiesznie? Śmieszę panią?

– Tak? Pytania rosną panu na głowie. Po afrykańsku.

Rozdział 5

Tego dnia także poszła do „Iluzjonu”, licząc na to, że znów ich spotka. Była gotowa obejrzeć „Bitwę o Midway”, byle w ich towarzystwie. Dlatego nie zapytała w kasie, jaki film grają i nie spojrziała na terminarz. W barze nie było Menuhina. Przestraszyła się, że to zły znak.

Para siedziała w ostatnim rzędzie. Ten sam chudy chłopak i ta sama dziewczyna. Ucieszyła się. Miała ochotę pomachać im ręką.

Zanim puścili właściwy film, przez ekran przeszło dwóch ludzi z szafą. Widziała tę etiudę już kilka razy, dlatego pomyślała, że to dobra zapowiedź. A potem zobaczyła Jacka Nicholsona w kapeluszu i wiedziała już, że to nie będą stracone dwie godziny. Bez względu na to, czy będzie jeździł na motorze, szczyrzył zęby jak wilkołak czy szaleniiec, czy dmuchał Jessicę Lange.

Tym razem oglądali film w ciszy. Ona i oni. Nie chichotali, nie szeptali, nie szeleścili torebkami. W pewnej chwili poczuła się senna i przymknęła oczy. Mimo to Jack nie zniknął, wciąż tam był, wdarł się pod jej powieki i z szelmowskim uśmiechem wyciągał do niej dłoń. Był facetem marzeniem. Ustępował tylko jednemu mężczyźnie na świecie.

Po seansie znów oni ją przepuścili przodem i szli tuż za nią. W pewnym momencie zatrzymała się i wtedy chłopak zapytał:

– Czy pani jest tą znaną malarką? Czy to pani? Przez chwilę miała ochotę puścić się biegiem i uciec.

Już tak dawno nikt jej nie poznał na ulicy. Jej sława przyblakła, nie poddawała się szklanym modom i lakierowanym okładkom popołudniówek. Nie rzucała się w oczy i nie walczyła o uwagę widzów. Skinęła więc tylko głową.

Chłopak patrzył na nią jak na bóstwo. Mocniej ścisnął talię dziewczyny, dając jej znać, że to jej ciało jest dla niego

ważniejsze, nawet jeśli umysł przespaceruje się z malarką.

– Tak myśleliśmy. To znaczy ja i Ina, właśnie tak pomyśleliśmy. Widzieliśmy pani wystawę w Narodowym i kilka wywiadów, i ja pomyślałem, że to pani, ale Ina twierdziła, że to niemożliwe. Ktoś tak sławny nie korzysta z wanny, tylko z basenu i daje się oglądać tylko przez lornetkę. Ze nie można tak pani spotkać przez przypadek, że pewnie pani siedzi gdzieś w Hollywood albo Monte Carlo.

– Jak ci na imię, chłopcze?

– Bastian – odparł chudzielec.

– Jesteś Niemcem?! Bastian skinął głową.

Anna zamyśliła się nad następnym pytaniem, ale zrezygnowała z niego i powiedziała:

– Myślałeś, żeby kiedyś zostać dziennikarzem, Bastianie?

Chłopak wzruszył ramionami. Stremowany i zbity z tropu.

– Prawdę mówiąc, myślałem o archeologii. Lubię grzebać w ziemi.

– A twoja dziewczyna?

– Ina?

– Ina – Anna patrzyła wprost w jej oczy. – Kim ty zostaniesz, Ino?

– Patologiem – powiedziała Ina. – Będę pracować w prosektorium. Opowiedzieć ci coś więcej?

Annie spodobała się jej bezpośredniość i spojrzenie, w którym za tarczą szacunku czało się wyzwanie i hardość. Dziewczyna miała charakterek. Polubi mnie, ja też ją polubię – pomyślała Anna. I jego, jego też jestem w stanie polubić.

– Och nie, tylko nie to – przerwał Bastian. – Nie rozmawiajmy o śmierci.

– Ino, Bastianie, czy dacie się zaprosić na drinka?

A może zechcecie spędzić ze mną noc? – dodała w myślach. Chłopak spojrzał na dziewczynę. Wyraźnie chciał skorzystać z zaproszenia, jednak chyba mieli inne plany. Może tej nocy on miał wolne mieszkanie. Albo ona. Może – jeśli mieszkają już samodzielnie – pozbyli się współlokatorów i czekają ich upojne chwile, w których nie ma miejsca dla malarki. Albo może umówili się na schadzki w piwnicy. Z pewnością nieraz kochali

się w piwnicy, bo na takich wyglądali. Wyglądali na takich, co to korzystają z każdego zaproszenia do miłości. A jeśli nie miłości, to pettingu albo neckingu. Czegokolwiek, co pozwalało wypłynąć miłości z ich młodzieńczych ciał i spleść się gdzieś w przestrzeni w tańcu zrozumienia i jedności. Anna uśmiechnęła się zachęcająco do Iny, a ta wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem.

– Czemu nie? – szepnął prosząco Bastian.

– Na pewno nie będziemy ci przeszkadzać?

– Skąd. Nie zaprosiłabym was, gdybyście mieli przeszkadzać.

– Dobrze – Anna niemal czuła, jak Ina ściska mocniej dłoń Bastiana. Jakby chciała jej powiedzieć: Bastian jest mój, tylko mój. Nikomu go nie oddam.

Wchodzili powoli schodami, Anna oglądała się co chwila, czy na pewno nie zrezygnowali. Na twarzy Bastiana błąkał się uśmiech dumy i sukcesu. Był podniecony tym, że ktoś tak znany jak Anna zaprosił go do domu.

Weszli na piąte piętro normalnymi schodami, przeszli przez stare metalowe drzwi, za którymi biegły stromo w górę nierówne i skrzypiące stopnie zniszczone przez czas i robactwo.

– Żeby wejść na strych, trzeba tędy przejść – powiedziała artystka. – To tylko kilka stopni.

Była już na górze i zachęcająco wyciągnęła dłoń w kierunku dzieciaków.

– Chodź, ty pierwsza!

Ina, trzymając się ściany, stawiała ostrożnie kroki. W końcu pochwyciła pomocną dłoń. Zdziwiła się, że jest taka zimna. Spojrzała na Annę i jeszcze bardziej się przeraziła, gdyż kobieta miała tak bladą twarz, że świeciła w ciemności. Nagle sobie uświadomiła, że to właśnie ta twarz rozświetla to nietypowe pomieszczenie i zapragnęła zawołać do Bastiana, by ten nie wchodził, uciekał czym prędzej i wezwał pomoc. Bastian jednak był już koło nich i z uśmiechem obejmował talię dziewczyny.

– Brr, zimno – powiedział.

Anna otworzyła drzwi i weszła do środka pierwsza. Szła wąskim korytarzem, a z każdym jej krokiem w mieszkaniu zapalały się kolejne światła uruchamiane jakimś czujnikiem

ruchu lub czymś podobnym.

– Kupiłam ten strych prawie dwadzieścia lat temu. To były takie czasy, kiedy można było dostać od państwa strych i pozwolenie na urządzenie w nim pracowni. Pod warunkiem, że skończyło się szkołę. Tylko dlatego skończyłam szkołę. A wy uczycie się jeszcze?

Coś mruknęli w odpowiedzi, czego Anna nie usłyszała albo co zaraz zapomniała. Chłopak powiedział chyba coś o uniwersytecie. Może o tej archeologii, o której już mówił. A może o czymś innym. Dziewczyna, jeśli odpowiedziała, to krótko, tak lub nie.

Artystka weszła do dużego salonu, połączonego z kuchnią i pracownią. Pomieszczenie miało jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów i było bardzo wysokie. Pięć, może nawet sześć metrów nad podłogą zawieszono szklaną antresolę, na której stało kilka rozstawionych sztalug. Obok rozłożył się leniwy jak najedzony drapieżnik krwistoczerwony materac wodny.

– Tam sypiam – wyjaśniła Anna. – Chyba, że nie mam siły się wspinać.

Bastian powiódł za jej spojrzeniem i nagle zrozumiał, że na antresolę nie prowadzą żadne schody, nie było żadnej windy. Na stromej ścianie, pokrytej panelami i glinianymi imitacjami kamiennej skały, umieszczono kilka uskoków, wspinaczkowych gniazd, śrub, metalowych haków i chwytów z syntetycznej żywicy.

– Chcesz powiedzieć, że... się tam wspinasz na noc?

– Chyba że, jak już mówiłam, nie jestem w stanie. Wtedy sypiam tu.

Poprowadziła ich za szeroki wspornik dachu. Wielkie, trzymetrowe łoże było zasłane bordowym prześcieradłem. Na podłodze leżał miękki wełniany koc o tym samym kolorze. Przy ścianie stało kilkanaście obrazów różnej wielkości. Część była niedokończona. Do ostatniego przykleiła się firanka, którą podmuch wiatru przez otwarte okno pchnął w oleistą pułapkę. Anna podeszła do balkonu i zamknęła szklane skrzydło. Zapatrzyła się w mrok i uśmiechnęła. Bastian wyraźnie dojrzał,

jak palce artystki harmonijnie zagrały w powietrzu pozdrawiając kogoś na zewnątrz, choć nikogo tam nie było.

Przyglądał się tej dziwnej kobiecie coraz bardziej otwarcie. Rzadko odnajdował w sobie taką śmiałość. Zwykle nie patrzył kobietom w oczy, tylko gdzieś ponad nimi, jakby miał jakiegoś dziwnego zeza. Wcześniej patrzył poniżej, ale wtedy sprawiał wrażenie, że spogląda na dekolt. Zmienił zwyczaj, gdy kiedyś spotkał kobietę, która miała bluzkę z wielkim napisem na piersiach: Oczy mam wyżej.

Nawet na Inę zerkał ukradkiem, pesząc się, gdy łapała jego wzrok.

Tymczasem w patrzeniu na Annę nie widział niczego złego. Malarka była kobietą niską, chudą, o małych piersiach i ciele jakby brudnym. Wydawało mu się, że jej biała skóra jest pokryta dziwnym makijażem szarobłękitnej mgielki, co w nikłym świetle pokoju sprawiało wrażenie, jakby spała nago w piwnicy, blisko węglarki. Twarz, także chuda i drapieżna, sprawiała wrażenie takiej, która albo kogoś kocha, albo nienawidzi. Była to twarz pozbawiona obojętności. Wielkie oczy miały ciemny, prawie czarny kolor, a brwi sprawiały wrażenie nigdy niedepilowanych. Burza czarnych, źle przystrzyżonych, nieuczesanych i sterczących w różnych kierunkach włosów dopełniała wizerunku kobiety z bagażem przeżyć, silnej i porywczej. Mimo że Bastian czuł do niej szacunek i może nawet ogarniała go niepewność czy strach, to nie bał się patrzeć na nią. Może dlatego, że czuł też pożądanie.

– A więc kochacie się – Anna przeszła do barku i wyjęła butelkę wódki i wina ziołowego. – Pijecie drinki czy czystą?

Zanim odpowiedzieli, zmieszała wódkę z winem w szklance i umoczyła usta w trunku.

– Chcecie to samo?

– Ja poproszę – szepnęła Bastian.

– A ja tylko wino.

Bastian przeszedł między obrazami i delikatnie oderwał firankę od ostatniego dzieła. Przedstawiało jakąś dziwną dziewczynę, siedzącą na ganku. Miała nieforemne ciało i bardzo piękną twarz. Lecz ta twarz wyglądała strasznie

dziwnie, gdyż zdobiła głowę znacznie większą niż być powinna. Dziewczyna o zatraconych proporcjach miała coś w sobie. Bastian chciał już zapytać Annę, kim jest, lecz zrezygnował i wrócił do pierwszego obrazu. Przedstawiał człowieka rozpadającego się na setki cząstek, które unosiły się w przestrzeń, a im były wyżej, tym nabierały bardziej wyraźnych kształtów. Stawały się czarnymi ptakami.

– Myśli często zmieniają się w czarne kruki. Tak jak niepokój. I miłość. Ten najbardziej ci się podoba?

Bastian pokręcił przecząco głową. Anna spojrzała na Inę, która stanęła bliżej drzwi i oglądała serię aktów zawieszonych na ścianie.

– Wszystkie są twoje? – zapytała Annę. Artystka uśmiechnęła się.

– Prawie. Potrafisz rozpoznać, który namalował ktoś inny?

Ina bez wahania wskazała na akwarelę przedstawiającą kobietę o trzech piersiach. Anna uśmiechnęła się.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Wszystkie pozostałe wydają się takie rzeczywiste. Te kobiety jakby... żyły. A ta... ma trzy piersi i wydaje mi się nie tylko nierealna, ale i martwa.

– Potrafisz rozpoznać śmierć?! – powiedziała Anna ni to pytając, ni stwierdzając.

– Zgadłam?

Anna nic nie odparła.

– Czy ty też Bastianie uważasz, że moje obrazy żyją?

– O tak, są pełne życia – powiedział. – Wydaje mi się, że wszystkie te postaci kochają życie.

Anna mimowolnie spojrzała na obraz ukryty w rogu, który przedstawiał plecy szczupłego mężczyzny pochylonego nad czymś, co przypominało stół operacyjny. Bastian popatrzył za jej wzrokiem i pochwalił:

– Jest piękny. Taki mroczny i tajemniczy.

– Nazywa się „Przestworza” choć początkowo chciałam dać mu na imię po kimś, kogo bardzo kochałam. Za jego muzykę.

– Kim był?

– Nazywał się Menuhin. Był prawdziwym wirtuozem.

Bastian chciał odpowiedzieć, że słyszał o nim, ale Ina uprzedziła go.

– Bastian nie zna się na obrazach i muzyce. Jest sportowcem.

– Nieprawda, znam się – zaprzeczył.

– Jesteś sportowcem? – wtrąciła Anna nie patrząc na nich i udając, że nie zauważa tworzącego się pomiędzy dziećmi napięcia. – Jaki sport uprawiasz?

– Hokej – odpowiedziała Ina zamiast Bastiana. Anna pomyślała, że Ina jak każda kobieta, była zaborcza. Ponownie musiała zaznaczyć swój teren. Pokazać Annie, że Bastian należy tylko do niej. Malarka zlekceważyła ostrzeżenie, podeszła do chłopca i głaszcząc go po ramieniu, powiedziała:

– Jeśli chcesz, mogę opowiedzieć ci historię jednego z tych obrazów. Wybierz którego.

Bastian przeszedł do dziwnej kobiety, lecz po chwili zawrócił, obejrzał dokładnie postać, usiłującą zagrzebać się w piachu, i zarumienił się przy wizerunku kochanki, uprawiającej dziki seks z mężczyzną o nieokreślonych rysach. Anna pomyślała, że właśnie ten obraz wybierze. Bastian dotknął go, po czym wrócił do kobiety o wielkiej głowie.

– Ten. Opowiedz nam tę historię.

Lenny Marciano przebudził się i spojrzał na leżącą obok niego kobietę. Nie spała. Wpatrywała się w sufit. Miała szeroko otwarte oczy. Jej piersi poruszały się równomiernie w górę i w dół. Lenny pomyślał, żeby ją przytulić, lecz uznał, że nie chciałaby tego. Patrzył więc tylko i zastanawiał się, ile sekund kobieta wytrzyma bez mrugnięcia powiekami. Doliczył do trzydziestu, w końcu rzucił krótko:

– Zaczęło się.

Kobieta nic nie odpowiedziała. Cały czas nie mrugała. Lenny ponownie doliczył do trzydziestu, po czym zamknął oczy i zasnął.

Rozdział 6

Anna upiła łyk wódki z wermutem. Odwróciła na chwilę głowę, żeby nie pokazać, jak bardzo jest zadowolona z wyboru. Gdy już była w stanie opanować emocje, zaczęła opowieść. Mówiła krótkimi zdaniami, niskim, bezbarwnym głosem, starając się nie patrzeć im w oczy.

– To dziewczynka, nastolatka. Jej mama właśnie pożegnała męża, który pojechał ratować górników do Chile. Wystawiła na ganek stolik i krzesła, a potem przyprowadziła dziewczynę i posadziła ją obok siebie. Sama usiadła po drugiej stronie stołu i zaczęła czytać. Choć była piękna i radośnie przyjacielska, nie widać jej na obrazie. Nie jest ważna. Przestała być ważna dla tej dziewczyny od chwili, gdy zaczęła zdradzać męża.

Pierwszy raz stało się to dużo wcześniej, przed laty. Jej mąż nazywał się Siergiej Jaszyn, był rosyjskim dysydem. Wykonywał wiele ważnych misji dla nowego kraju. Robił wiele niezwykłych rzeczy. Ale ona nie doceniała poświęcenia męża. I korzystając z tego, że ich córka była upośledzona, gdy tylko wyjeżdżał, zapraszała do siebie kochanka. Jej kochanek był narciarzem. Nikim wyjątkowym. Zjeżdżał ze stoku w kilka sekund, tylko po to, by po chwili wjeżdżać na górę z powrotem, co zajmowało znacznie więcej czasu. Było to jedyne co potrafił, poza tym, że potrafił też kochać kobiety.

Był przyjacielem jej męża i ich miłość zaczęła się zwyczajnie. Pewnego dnia mąż wyjeżdżał jako obserwator międzynarodowy na Morze Północne, gdzie zatonął radziecki okręt podwodny. Tłumaczył długo żonie, dlaczego musi jechać i dlaczego to takie ważne.

„Jestem Rosjaninem, pochodzę z Rosji, znam język i moich braci, i choć nienawidzę ich rządu, to potrafię go zrozumieć. Nikt nie wykona tej misji lepiej ode mnie” – tłumaczył.

Zona płakała i nie chciała go puścić.

„Tak bardzo cię kocham, boję się, że coś ci się stanie, że cię zamordują”.

„Nic nie może się stać. Nie morduje się obserwatorów międzynarodowych”.

„A Litwinienko?”

„Litwinienko nie był obserwatorem. Był kimś innym”.

„Nie, nie, nie”.

W końcu jednak się zgodziła, a on obiecał, że poprosi kogoś, by dotrzymał jej towarzystwa.

„To mój przyjaciel, prawdziwy przyjaciel”.

Na prośbę męża, narciarz zamieszkał z nimi na te pięć dni, podczas których miał dotrzymać towarzystwa żonie, wspierać ją w trudnych chwilach, pomagać z niepełnosprawnym dzieckiem i przekonywać, że nic nie może się stać, nawet jeśli dojdzie do jądrowego wybuchu.

Narciarz był Szwedem, miał na imię Jorg. Był doskonałym biegaczem, ale pewnego dnia wjechał na zapomnianą radziecką minę w Finlandii i ledwie uszedł z życiem. Lekarze przekonywali, że powinien być szczęśliwy, jeśli wydobrzeje, na pewno zaś nie będzie mógł uprawiać sportu.

Wtedy właśnie spotkał chirurga Siergieja, który przeprowadził trzy skomplikowane operacje i go uleczył. Rzeczywiście nie mógł już biegać na nartach, ale dzięki kunsztowi Siergieja nie został kaleką.

Był winien Siergiejowi wdzięczność i przysługę. Dlatego zgodził się zaopiekować jego żoną.

Już drugiej nocy kaleką dziewczynkę o imieniu Kora obudził okrzyk rozkoszy, jakiego Siergiej nigdy nie był w stanie wydobyć z piersi żony. A potem drugi i trzeci. Powtórzyło się to następnej nocy i następnej, aż w końcu miłość zawładnęła nimi na tyle, że przestali zauważać cokolwiek poza nią.

Jorg posiadał żonę przyjaciela po południu, w ciągu dnia, na kuchennym stole, nie przejmując się faktem, że za cienką ścianą córka jego przyjaciela wpatruje się tępo w telewizor. Później wielokrotnie, mimo protestów matki, która miała na imię Weronika, Jorg przechadzał się po domu nago i uwodził żonę przyjaciela na oczach jego córki.

Weronika broniła się słabo, lecz w końcu ulegała.

Czwartego dnia przestała już zwracać uwagę na córkę i pozwalała Jorgowi kochać się na oczach dziecka. Wtedy jednak nie była w stanie dojść na szczyt i Szwed zrozumiał, że nie wolno mu lekceważyć matczynych uczuć.

Pewnego dnia zapytał:

„Dlaczego taka jest? Dlaczego jest rośliną?”

Matka wyjaśniła, że nie wiadomo, ale to prawdopodobnie przez katastrofę w Czarnobylu. Siergiej jako młody i ambitny doktor został oddelegowany do tego okręgu, by leczyć ofiary awarii reaktora jądrowego. Nikt im nie wyjawiał dokładnie, gdzie i po co jadą. Nikt nie powiedział też, dlaczego pacjenci są napromieniowani. Po prostu byli. Wszyscy przyjaciele Siergieja mieli potem kłopoty ze zdrowiem, tylko on praktycznie nie ucierpiał. Jednak bał się mieć dzieci. Mówił, że nigdy nie powinien ich mieć, bo mogą okazać się potworami. Mimo to ona namówiła go na dziecko i w ten sposób na świat przyszła ta dziewczynka, której dano na imię Kora, na cześć pewnej słynnej polskiej piosenkarki.

Jorg wzruszył się opowieścią, nie przeszkadzało mu to jednak zdradzać przyjaciela także później, kiedy ten już wrócił z wyprawy na Morze Północne. Od tej chwili opiekował się Weroniką zawsze, gdy Siergiej wyjeżdżał reprezentować swój nowy kraj na świecie. Dźwięki tej opieki niesły się po całym osiedlu, szybko więc ludzie zaczęli szeptać i donieśli Siergiejowi, że został rogaczem. Mąż i ojciec chodził odtąd przybity, jakby widział oczami duszy zbliżający się koniec własnego świata. Pewnego dnia Kora dostrzegła swoim wpatrzonym w niebyt wzrokiem, jak Siergiej bierze do rąk szkatułkę z biżuterią, do której Weronika już dawno nie zaglądała i chowa w niej miniaturowy magnetofon cyfrowy.

Kora ucieszyła się w duchu, że jej ojciec zbiera dowody zdrady. Ucieszyła się, że matka także podczas tej nieobecności męża wezwała do siebie Jorga i kochała się z nim najbardziej wymyślnymi sposobami. Potem rozmawiali i Weronika, o dziwo, zaczęła mówić o swojej miłości do Siergieja.

„Kocham go całym ciałem, całą duszą, lecz ani jedno ani

drugie nie może być zaspokojone przez jego ciało, choć nie jest ułomne czy słabe. Może nigdy do siebie nie pasowaliśmy, a może to kwestia przeznaczenia. Może wszystko miało się potoczyć właśnie tak, bym spotkała ciebie, Jorg, moją wymarzoną połówkę”.

„Chcesz więc zostawić Siergieja?”

„Czemu nie?”

„Nie wiem, czy jestem gotów spojrzeć mu w oczy”. „ Jesteś, jesteś”. „A co z nią?”

Oboje spojrzeli na Korę. Twarz dziewczynki wydawała się martwa, nie wyrażała żadnych uczuć. Jeśli ktoś spojrzełby uważniej w jej oczy, dostrzegłby iskierkę życia, dar rozumienia. Dziewczynka jednak we wzroku matki na próżno próbowała odnaleźć tę dawną czułość, którą okazywała jej mimo kalectwa. Widocznie miłość do Jorga wypełniła ją po brzegi i nie pozostawiła miejsca na więcej. Może było to nieludzkie, może Weronika zasługiwała na potępienie, ale nic nie mogła na to poradzić.

Któregoś ranka Siergiej obejrzał wiadomości w telewizji i wyjawił żonie, że na polecenie parlamentu musi wyjechać do Chile organizować pomoc dla uwięzionych w kopalni górników. Weronika ucieszyła się i jeszcze tego samego dnia zadzwoniła do Jorga pieszcząc go płomiennym szeptem.

Rankiem Siergiej zapakował walizkę do samochodu i ruszył na lotnisko, Weronika zadzwoniła do Jorga, wystawiła jak zwykle Korę na ganek i oddała się miłości nie zauważając żebraka, który ukrył się na rogu ulicy obserwując całe zajście. Żebrek ów w kilka sekund zatracił chęć życia, która pchała go do przodu przez dziesiątki lat. Ze zwieszoną głową, przegrany i płaczący wszedł do domu i przysiadł na podłodze, patrząc na splecione ciała żony i najlepszego przyjaciela. Ci w zapamiętaniu zauważyli go dopiero po chwili i przerazili się.

Jorg zaczął coś tłumaczyć, przepraszać, lecz wtedy Weronika, nie mogąc znieść upokorzenia i własnego poniżenia, nie mogąc znieść tego każącego wyrzutami wzroku, a może poddając się podszeptom diabła, wykrzyknęła:

„Zabij go!”. I Jorg posłuchał. Chwycił za szyję Siergieja, który

nie opierał się, i zamierzał go udusić, i tak pewnie by się stało, gdyby umysł Kory nie eksplodował siłą atomowej reakcji.

Cała sypialnia jej rodziców, włącznie z ciałami matki, ojca i szwedzkiego narciarza, z potworną siłą oderwała się od ziemi i uderzyła w sufit.

Rozdział 7

Bastian i Ina wpatrywali się zdumieni w twarz artystki, po której pocięła jedna wielka ła. Głos jednak miała spokojny.

– To właśnie ta dziewczyna. Siedzi i trwa jak roślina, czeka na zdarzenia, których jeszcze nie przeczuwa. Wewnątrz niej toczy się życie pełne nieokiełzanych mocy, które trudno nazwać. Jej świat przy tym jest tak inny od świata na zewnątrz. Mimo magii wydaje się prosty i jednoznaczny. To właśnie ona.

Bastian siedział jak oniemiały. Ina miała ochotę podejść do artystki i objąć ją.

– To prawdziwa historia, prawda? – zapytała. Anna nie odpowiedziała. Otarła łzę kantem dłoni.

– Znała pani tę dziewczynę – bardziej stwierdziła niż zapytała Ina.

– Chcę zostać sama! – powiedziała Anna.

Nie czekając na ich reakcję, zdjęła bluzkę. Przez krótki czas wahała się, czy pozostać nago. Potem sięgnęła do wysokiego drewnianego krzesła i włożyła poplamioną męską koszulę. Chwyliła pędzel i podeszła do sztalugi.

Bastian chłonał wzrokiem ruchy pędzla i poczuł ukłucie żądz. Ina pociągnęła go za ramię.

– Chodź. Słyszałeś, że chce być sama.

Gdy wyszli przed bramę był już środek nocy. Bastian czuł alkohol i podniecenie. Opowieść żyła w nim i dalej się toczyła. Rzucił się na Inę, całując jej usta i szyję. Dziewczyna oddała pocałunki, jednak gdy poczuła, jak ociera się nabrzmiałym członkiem o jej udo, odepchnęła chłopca od siebie.

– Nie, nie tak.

– Kocham cię – westchnął Bastian.

– Ale to o niej myślisz.

– Nieprawda.

– Prawda.

Mimo to pozwoliła zaciągnąć się do piwnicy i pieścić dłoń, aż w końcu on był całkiem gotów i chciał w nią wejść. Wtedy ponownie zaprotestowała.

– Nie!

– Dlaczego?

– Bo nie.

Usiadł ciężko na brudnej podłodze, gdy poprawiała ubranie. Miał wrażenie, że ona cieszy się jego upokorzeniem i przez chwilę poczuł do niej nienawiść. Pomyślał, że gdy tylko znajdzie sobie kogoś innego, to ją porzuci, bo jej nie kocha. Wściekłość męskiego niespełnienia sprawiała, że miał ochotę wykrzyczeć jej to w oczy, nawet jeśli rankiem miałby płakać z żalu i miłości.

Zaraz potem zrozumiał, że ona też badawczo mu się przygląda. Zobaczyła w jego oczach tylko przelotność i młodzieńcze pożądanie. Miłość płynęła obok, jak papierowa łódka w nurcie rwącej rzeki. Mogła tylko odprowadzić ją wzrokiem, a nawet gdyby ją złapała, to nasiąknięty papier rozpadłby się w jej dłoni. Byłby nieprzyjemnie rozlazły, mdły. Tylko by się ubrudziła.

– Idę – powiedziała.

– Idź – wzruszył ramionami.

Bastian przechadzał się chwilę po ulicy. Pomyślał, żeby pójść na Aleję Róż, gdzie o każdej porze dnia można było spotkać prostytutkę. Choć nie miał pieniędzy, zawsze mógł liczyć na cud albo natrafić na jakiegoś pijaka do oskubania.

Zamiast tego poszedł nad rzekę. Płynął nią statek pełen kontenerów i towarów. Statki towarowe przepływały przez miasto nocą. Jeden z przyjaciół opowiadał mu, że można czasem zobaczyć przez lornetkę, jak ktoś uprawia seks lub jak kogoś zabijają.

– Tam nocą dzieją się najciekawsze rzeczy w mieście – przekonywał.

Na statkach pracowali głównie Albańczycy. Byli niscy, smagli i uśmiechnięci. Specjalizowali się w handlu, usługach wszelkiego typu, porwaniach dla okupu i hazardzie. O ich okrucieństwie krążyły legendy. Zabijali dla kobiet i honoru, a

ciał ich ofiar nikt nie znajdował. Mafia albańska przerażała nawet rodowitych Włochów i co do poziomu zła ustępowała tylko azerskiej.

Na każdej łodzi pracowało dwóch Albańczyków i kapitan. Kapitan był Polakiem, Nordykiem, Rumunem lub Czechem. Rzadziej byli to Rosjanie, którzy choć też znali się na marynarskim rzemiośle, woleli pracować w burdelach i na budowach. Podobno czasem trafiali się kapitanowie z Francji, bo Francuzi lubili rzeczną żeglugę. Kapitan Francuz był ceniony, gdyż nie pracował tylko dla pieniędzy.

Z portu przyływały do nich prostytutki. Wskakiwały na łódź, śmiały się głośno i ocierały o marynarzy, namawiając do skorzystania z uciech i negocjując ceny. Potem rozchodzili się między kontenery. Kobiety padały na kolana lub opierały się ramionami o brezentowe narzuty na stosach towarów i rozszerzały nogi. Marynarze pozwalali rozpinąć sobie rozporki i nałożyć prezerwatywy, po czym brali się do dzieła. Nie trwało to zwykle długo, bo byli wyposzczeni, trzeźwi i śpieszyli się do pracy. Kobiety przyjmowały pieniądze, poprawiały ubrania i ze śmiechem schodziły z powrotem do łodzi. Szyper-alfons włączał silnik i odwoził je go portu, gdzie czekały na kolejny statek.

Czasem któraś nie wracała i wtedy zdarzały się awantury, a podniesione głosy niosły się aż do ujścia rzeki do morza. Rankiem pojawiała się zaś policja i przeszukiwano uregulowane brzegi w poszukiwaniu ciał. Rzadko kiedy coś znajdowali. Ciała rzeka oddawała dalej, gdzieś w dokach lub w szuwarach już za miastem.

Tak opowiadał to przyjaciel Bastiana.

Tej nocy żadna łódź nie podpłynęła do ciężkiego statku, który powoli, zniknął w ciemności.

Noc była księżycowa i ciepła. Bastian pomyślał ponownie o przyjacielu i jego opowieściach o statkach. Jeśli nawet kłamał, potrafił opowiadać. A czy dobra opowieść nie jest warta więcej niż prawda? Jego przyjaciel może dlatego tak fantazjował, bo jego ojciec był ostatnim draniem, skąpcem i ciągle zdradzał mamę.

– Może ma tuzin bachorów po różnych miastach i dlatego taki jest – mówił.

Ojciec Bastiana nie wyglądał na kobieciarza. Był niski, krępy, pił dużo piwa i jadł masę bułek z parówkami. Uwielbiał w niedzielę kupić sobie kubek dobrego grzanego wina na targu i co roku jeździł do Łodzi na festiwal komiksu. Pracował w fabryce, przerabiającej metale szlachetne. Jedyłą jego wadą było to, że był zdziecinniały. Sam rysował komiksy. Nigdy nikomu ich nie pokazywał, dlatego Bastian myślał, że są słabe. Gdy dorastał, zaczął nienawidzić ojca za to, że poświęcał mu za mało czasu, był taki podle nijaki, całkowicie mierny i przeciętny, a nade wszystko, że nie chciał mu pokazać przeklętych komiksów, by sam mógł zobaczyć, że są aż tak słabe.

Kiedy ojciec zachorował na płuca i umarł, matka długo płakała, a Bastian nie uрониł początkowo żadnej łzy. Poszedł do pokoju ojca, odnalazł zapasowy klucz do sejfu i dobrał się do jego komiksów. Dopiero wtedy zapłakał.

Rysunki nie były tak dobre i nie było ich tak wiele, żeby je wydać w jakimś magazynie komiksowym. Nie były wybitne ani nawet intrygujące, czy dające nadzieję. Ale były niezłe. Szczególnie te, na których ojciec rysował hokeistów. Bastian zebrał wszystkie, włożył do koperty i poprosił matkę, by zapakowała komiksy ojca do trumny.

– Tak je kochał, zrób to dla niego.

Matka, już nie tak nijaka i przeciętna, wciąż była atrakcyjną kobietą. Bastian pomyślał więc, że pewnie wkrótce poszuka sobie kogoś i tak chłopak zyska ojczyzna, którego będzie mógł nienawidzić, a przy okazji znienawidzi mamę. Jak dotąd nic takiego się nie stało. Mama czasem wychodziła na spacer i wracała nad ranem, ale nie przyprowadzała żadnych gachów do domu. Wciąż pozostawał kimś, kogo kochała ponad wszystko.

Wzdrygnął się.

Zawsze z miłości popadał w melancholię, a kiedy było mu zimno, myślał, że mógłby kogoś zamordować. Obejrzał kiedyś jeden krótki film, który opowiadał o chłopaku takim jak on, trochę wyobcowanym, trochę dzikim, który zamordował

taksówkarza, a potem prawo jego zamordowało. Założyli mu sznur na szyję i powiesili. Bastian wyszedł wtedy z kina przygnębiony i pomyślał, że jeśli kiedyś będzie mu brakowało pieniędzy, zamorduje jakiegoś taksówkarza. Nie lubił taksówkarzy. Powiedział to Inie, a ona uderzyła go w policzek.

– Za to co powiedziałaś, kiedyś jakiś taksówkarz zemści się na tobie – orzekła. – Jak mogłeś być tak głupi, by o tym pomyśleć. By pomyśleć, o czymś tak podłym i złym?

– To tylko słowa – odparł. – Ale tak naprawdę nie myślałem tak.

– Skoro słowa potrafią ranić, to mogą też zabijać.

– Słowa to tylko słowa – powtórzył.

– Krew to tylko krew.

Przeprosił i przyznał jej rację. Nie był w stanie nikogo zabić, nawet ludzi, którzy zasłużyli na śmierć, a może ich przede wszystkim.

Tej nocy po raz pierwszy kochał się z Iną i potem myślał, że to dlatego, że wcześniej go spoliczkowała. Chciała mu wynagrodzić ten policzek i dlatego pozwoliła dotykać się bardziej odważnie niż zwykle, a potem i jej się zachciało i tak poszło dalej, aż do miejsca, w którym już nikt nie jest w stanie się cofnąć. Wszystkie obawy, zakazy przestały mieć znaczenie.

Leżeli potem na polach w Erdbeere, na których nikt już nie uprawiał truskawek. On gryzł źdźbła dzikiej trawy, a ona leżała na boku, skulona, wpatrzona w jaśniejący horyzont. Żadne nie odczuwało zimna, mimo że nie mieli ciepłych ubrań, a noc, jak każda noc o tej porze roku, była chłodna. Nie myśleli o tym, co stało się przed chwilą, nie wspominali uniesień serc. Bastian zamykał co chwila oczy i wydawało mu się wtedy, że płynie ułożony na dnie czołna po spokojnym morzu.

Ina nie zamykała oczu, ale też miała wrażenie, że płynie. Jej łódź jednak odnajdywała załomy rwącego strumienia i pędziła w dół, ku wodospadom, coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie runęła w przepaść i wtedy niespodziewanie dziewczynę dopadła spóźniona przyjemność i westchnęła głośno. Bastian przebudził się, objął ją i pomyślał, że chciałby spędzić resztę życia z tą kobietą.

Gdy jej powiedział, co o tym wszystkim myśli, uśmieła się.

– Dzieciak z ciebie, powinnam chodzić z kimś starszym.

– Dlaczego ze starszym?

– Bo starsi nie mówią tak głupio.

– I nie pozwalają się policzkować.

– O tak, z pewnością, gdybym spoliczkowała prawdziwego mężczyznę, on nie pozostawiłby tego ot tak.

– Co by zrobił?

Przewróciła go na plecy. Nachyliła się nad nim, otarła o wciąż nabrzmiały członek i powiedziała:

– Coś bardzo złego. I to by mi się bardzo podobało. Ina? Chyba jednak ją kochał. Nawet jeśli była dla niego tej nocy zła. Nawet jeśli pozwoliła mu odejść tak, z pełnymi portkami i chucią rozpalającą policzki. Ciało szybko się chłodzi, szczególnie nad rzeką, nad którą nocą nie dzieje się nic ciekawego. Dusza żałuje i robi się jej zimno. Spojrzał na odbicie księżycowego światła na poranionej smugami wiatru wodzie i wydawało mu się, że widzi jakiś mroczny, przelatujący cień. Wzdrygnął się. Wciąż był tylko dzieciakiem, choć lubił zabawy dla dorosłych. A każdy dzieciak boi się nocy i demonów.

Wstał, otrzepał się, i ruszył w drogę powrotną. Pomyślał, że pójdzie pod dom Iny, ale zaraz się opamiętał. Kilka razy mocno się na niego gniewała, gdy przyszedł pod jej okno i krzyczał, że ją przeprasza i kocha.

– Zachowujesz się jak szczeniak.

Jak wariat – poprawił. – A ty kochasz wariatów.

– Mój ojciec nie kocha, a ciebie zaczyna już nienawidzić.

– Jest tylko twoim ojczymem.

– Kocham go jak ojca – syknęła i była naprawdę zła, że wtrąca się w jej miłość do ojczyma.

Jej prawdziwego ojca zabił podczas pijackiej burdy jakiś Jugol. Właściwie nie zabił, ale to przez to zginął. Najpierw śpiewali, tańczyli, a potem on próbował dobrać się do jego matki. Ojciec rzucił się na przekłętego Jugola, lecz tamten był silniejszy i sprawniejszy. Wbił mu długi gwóźdź montażowy w biodro, po czym uciekł i nigdy więcej go nie widzieli. Ojcu opatrzono ranę i puszczono do domu, a dwa tygodnie później

już nie żył z powodu zakażenia.

Świat był taki okrutny – myślał Bastian, gdy Ina mu o tym opowiadała. Myślał też, że bardzo ich zbliżał fakt, że oboje byli półsierotami. Dopiero niedawno Ina powiedziała mu, że nie kochała ojca, bo był chamski i zły.

I w takim towarzystwie przebywał.

– Uczynił z mojego życia katorgę.

Matka Iny szybko wyszła za jej ojczyma i potem wyznała, że tak naprawdę od dawna zdradzała z nim ojca. Ina zaś myślała, że szkoda, że ojczym nie mógł być jej prawdziwym ojcem.

Idąc w kierunku domu malarki, Bastian zastanawiał się, kim mogą być rodzice Anny. Czy znane artystki rodzą się tak, z piasku i mgły, czy też mają prawdziwych rodziców? Czy tak samo jak zwyczajni rodzice zwyczajnych dzieci żyją sobie w pełnej nieświadomości, że powołali do życia geniusza? Bo Anna była geniuszem.

Nie, z pewnością musieli być wyjątkowi, albo ich nie było. Właśnie tak, piasek, mgła i księżyc w pełni jak dziś, tej nocy. Można nawet powiedzieć, że przyjął jako pewnik, że nie ma żadnej rodziny.

Potem roześmiał się ze swoich głupich myśli i wpadł na inny pomysł. Właściwie mógłby kiedyś zostać tym cholernym dziennikarzem, o którym napomknęła Anna i napisać reportaż o malarce, słynnej genialnej artystce i jej rodzinie. To byłoby coś. Pierwszy taki reportaż, pierwszy reportaż Bastiana.

Przy kamienicy, w której mieszkała Anna, spojrzął w górę starając się dostrzec światła w oknach. Błada poświata wypływała znad wystającego gzymsu na szczycie jak nieśmiała chmura dymu. Może to wyobraźnia, ale wydało mu się, że poświata przybiera kusocielisko--złowieszcze kształty. Raz wydawała się nagą kobietą w wyuzdanej pozie, innym razem demonem o kończynach wykrzywionych w drugą stronę.

Zawahał się, w końcu nacisnął dzwonek. Anna bez pytania uruchomiła brzęczyk, zwalniający blokadę drzwi. Drzwi na górze zastał otwarte.

Anna w tej samej koszuli malowała obraz. Obok zobaczył spodnie i bieliznę. Pomyślał, że ona może teraz oczekuje, by się

zbliżył i ją wziął. Nie odważył się na to, mimo że na samą myśl członek zrobił się sztywny i chętny, a w ustach wciąż czuł smak Iny.

Usiadł przy stole i obserwował malarkę przy pracy. Z pasją kreśliła nierówne krawędzie męskiego ciała.

– Przyszedłeś po miłość czy usłyszeć dalszą część historii?

Bastian nie odpowiedział. Chciał i jednego, i drugiego.

– A więc dalsza część historii – powiedziała Anna, podeszła stając kilka kroków od siedzącego chłopca. Wytarła ręce o koszulę.

W tej pozie wydała mu się piękna i seksowna, choć przecież wcale taka nie była.

Nie potrafił zbyt długo wytrzymać jej spojrzenia. Malarka uśmiechnęła się do własnych myśli. A potem podjęła opowieść.

Rozdział 8

– Początkowo Kory nikt nie posądził o zabójstwo. Policjanci, którzy parę godzin później zabezpieczali miejsce zbrodni, nie mogli uwierzyć własnym oczom. Wszystkie przedmioty, które znajdowały się w sypialni zostały rozerwane na strzępki, niektóre straciły wręcz swoje właściwości, częściowo stopiły się, zmieniły na atomy.

Ciała rozprysły się na kawałki i nie zostały z nich nawet kości. Stały się niejednorodną, połączoną miazgą krwi, cząstek mięsa i wapiennych wiórów, zjawiskiem tak niepojętym, że poza technikami kryminalistycznymi i żołnierzami służby bezpieczeństwa, do domu dysydenta wezwano natychmiast najbardziej znanych śledczych i ekspertów.

Tego samego dnia miejsce zbrodni odwiedził osobiście premier w asyście ministra sprawiedliwości i szefa resortu spraw wewnętrznych.

„Co tu się u licha stało?” – zapytał, gdy zobaczył krwawą łaźnię.

Nie mógł uwierzyć w to, co widział, mimo że przygotowano go dokładnymi relacjami i materiałem zdjęciowym.

Minister sprawiedliwości zwymiotował, a szef resortu spraw wewnętrznych zadzwonił do swojego przyjaciela, ministra obrony, i nakazał mu natychmiast powiadomić NATO.

„Rosjanie zamordowali Siergieja – westchnął. – Trzeba postawić wojsko w stan gotowości”.

Jednak nawet przy takim wzburzeniu szybko poszli po rozum do głowy. Wojna z Rosją o byłego dysydenta nie miała najmniejszego sensu. Tym bardziej, że eksperci nie mogli przez wiele miesięcy dojść, jakiej tajemnej broni użyli rosyjscy mordercy.

Wszystkie znane ładunki, włącznie z bombą próżniową i promieniami hałasu, zostawiały po sobie ślady. Tu nie było

żadnych śladów.

Nikt nie podejrzewał Kory, która została przewieziona do specjalnego ośrodka rządowego i otoczona opieką oraz nadzorem agentów służb.

Ośrodek nie był przystosowany do leczenia czy opieki nad upośledzonymi dziećmi. Szkolono tam agentów specjalnych, morderców i fałszywych terrorystów. Dzięki temu jednak pracowało w nim kilku znanych psychologów i psychiatrów, przygotowujących agentów na badania wykrywaczami kłamstw, tłumaczących tajniki budowania fałszywych tożsamości i tym podobne rzeczy. Z polecenia premiera mieli zająć się dzieckiem, ale nikt nie potraktował tego poważnie z wyjątkiem nowego, młodego lekarza o nazwisku Nielsen, który po kilku sesjach zaczął odczuwać silną potrzebę przebywania z dziewczyną.

Z niemrawym zaskoczeniem poczuł, że podoba mu się jako kobieta i pewnej nocy zamiast badać jej umysł zaczął dotykać ciała. Upewniwszy się, że nikt ich nie podgląda, że nikt nie będzie w stanie dojrzeć jego podłego zachowania i ocenić zboczonych skłonności, rozebrał się i zaczął lubieżnie ocierać o milczącą dziewczynę. W gruncie rzeczy był porządnym człowiekiem, który nigdy nie zrobił nic złego, nie byłby w stanie skrzywdzić nawet muchy. Jednak nocami budziły się w nim demony i odkrywały tajemny świat chuci i pragnień. Przez wiele lat szukał sposobu, by uwolnić te mroczne strony swojej duszy i pewnie dlatego doszedł do wniosku, że skoro pacjentka jest nieuleczalnym przypadkiem całkowitej alienacji, może ją wykorzystać.

W pewnym momencie samo ocieranie przestało mu wystarczać, wepchnął więc członek w dłoń dziewczyny i zaczął się nią onanizować, aż osiągnął spełnienie, które wydarło z jego piersi kobiece łkanie.

Upadł na podłogę i płakał jak dziecko.

Potem przeproszał, wjąc się u jej stóp prosił o przebaczenie, przy czym Kora nie wiedziała, czy jest to dalsza część gry, czy też jego skrucza jest szczerą. W końcu podniósł się, ubrał i zamierzał już wyjść, gdy ostatni raz spojrzął w oczy dziewczyny

i zauważył zmianę. Wydało mu się, że w tych oczach zobaczył coś innego niż wcześniej, w czasie pustych sesji terapeutycznych.

„Ty rozumiesz!” – jęknął i jak oparzony rzucił się do ucieczki.

Wrócił jednak, już ubrany klęknął koło dziewczyny i szepnął:

„Wybacz mi. Błagam cię o wybaczenie”.

Kora nie wybaczyła mu. Mimo to doktor Nielsen nie ustawał w wysiłkach, by uzdrowić dziewczynę. Stosował różne rodzaje terapii, eksperymentalne leki i najnowsze techniki. Nigdy więcej nie upokorzył siebie i jej aktem seksualnym.

Pewnego dnia przeczytał w amerykańskim naukowym piśmie, że profesor Sanders Kant opracował nową metodę pracy z pacjentami autystycznymi i dzięki niej osiąga niezwykle wyniki. Postanowił napisać list do profesora i wkrótce umówili się na konsultacje. Nikt już nie pilnował Kory tak jak niegdyś, więc nie było problemu ze zgodą na wyjazd.

W Nowym Jorku, mieście pełnym strzelistych wieźowców i budek z hot-dogami i pączkami, wykupili tani hotel i po kilku godzinach udali się do kliniki profesora Sandersa.

Nielsen rozmawiał z profesorem ponad godzinę, po czym wrócił do Kory i powiedział jej:

„Profesor zajmie się tobą. Zostajesz pod dobrą opieką. Ja wrócę za tydzień”.

Nie wrócił.

Dużo później, z gazet dowiedziała się, że Nielsen zginął w wypadku samochodowym spowodowanym przez pijanego rosyjskiego miliardera. Informacja o tym znalazła się na jednej ze stron brukowca „Telegraf”, na drugiej był wywiad z miliarderm, który przeproszał wszystkich członków rodziny Nielsena i oferował zadośćuczynienie.

„Zabiłem już drugą osobę, jadąc po pijanemu. Nigdy więcej nie wsiądę za kółko samochodu” – wyznawał skruszony biznesmen.

Nikt nie podejrzewał zamachu. W tym czasie nikomu podobna bzdura nie przyszła do głowy.

Sanders brał pieniądze za uczciwą pracę. Szybko zdiagnozował przypadek Kory i słusznie zauważył, że problem

nie jest do końca psychologiczny. Seria zdjęć rentgenowskich i komputerowych diagnoz nie przynosiła przełomu, aż na którejś z kolei tomografii profesor usłyszał w elektronicznych taktach fałszywą nutę.

„Mam cię – szepnął. – Oto jest przyczyna”.

Pokazał milczącej jak zawsze Korze kilka wydruków i zdjęć, wskazując nie większą od główki od szpilki narośl na lewym płacie mózgu.

„To ona za wszystko odpowiada!”

Miesiąc później przeprowadzono operację, która zakończyła się całkowitym sukcesem. Jedynym jej skutkiem ubocznym było to, że Kora nie pamiętała dosłownie niczego ze swojego poprzedniego życia.

Sanders Kant uznał, że to nawet nie efekt uboczny, tylko szczęśliwy traf. Nie każdemu naukowcowi przydarza się taka okazja. Otoczył dziewczynę opieką i zaproponował, żeby zamieszkała w jego wiejskiej posiadłości zostając przybraną córką. Tak trafili do Meksyku, do maleńkiego, pustynnego, zapomnianego miasteczka Tihuahua, w którym, o dziwo, zamiast hiszpańskojęzycznych kurdupli roiło się od wysokich blondynów z akcentem z Wirginii.

Mieszkali razem przez pięć lat. Otoczono ją troskliwą opieką. Kant i jego żona nie szczędzili dziewczynce czułości, a wszyscy sąsiedzi uśmiechali się czule, szczerze pokazując uzębienie za piętnaście tysięcy dolarów.

Otrzymała specjalne stypendium i przyznano jej indywidualny tok nauki, by jak najszybciej nadrobić braki szkolne. Była wybitnie uzdolniona, więc uczyła się bardzo szybko. Można powiedzieć, że pokochała swoich nowych rodziców i nowe życie. Pewnego dnia zakochała się nawet w amerykańskim chłopcu, kapitanie drużyny futbolowej i oddała mu się na tylnej kanapie jego lexusa.

Dzień później prawdziwa dziewczyna tego chłopca zrobiła jej karczemną awanturę, wyjawiając, że Kora jest jedynie eksperymentem. Powiedziała, że wszyscy wokół wiedzą, iż tak

naprawdę nie żyje własnym życiem, tylko jest bytem wymyślonym, testem. Wszystko, co przeżywa, jest tylko po to, by zaistnieć w opracowaniach naukowych.

„Całe to miasteczko stworzono, by cię przetestować. CIA bada, w jakich warunkach mogą ujawnić się twoje rzekome zdolności. Twój umysł ma wszczepione diody sygnalizacyjne. A na koniec i tak masz być zresetowana. Ty nie istniejesz. Jesteś jedynie chodzącym hologramem”.

Znalazła Kanta w bibliotece ich domu i zapytała o to wszystko. Zaskoczony naukowiec zaprzeczył dopiero po dłuższej chwili i zupełnie nieprzekonująco. Zorientowawszy się, że popełnił błąd szybko dodał:

„Oczywiście, cały czas staramy się kontrolować twój umysł, ale tylko dla twojego dobra”.

Wyrwała mu dokumenty z ręki i zaczęła z przerażeniem odkrywać, kto mówi prawdę.

Kant w tym czasie wybierał już alarmowy numer do CIA, który miał przywołać agentów.

Pojawili się w domu profesora po niespełna kwadransie. Pięciu rosłych mężczyzn weszło drzwiami i oknami. Jedni wyciągali przed siebie uspokajająco ramiona, drudzy unosili je do góry, pokazując, że nie są uzbrojeni.

Wszyscy mieli na sobie czarne garnitury i wtedy Kora przypomniała sobie film, który wyświetlano w kinie samochodowym, podczas gdy oddawała się kapitanowi drużyny futbolowej. Nie pamiętała tytułu, nie słyszała głosów, gdyż nie włączyli głośnika. W momencie, gdy Greg robił swoje, ona patrzyła na ekran, na którym ludzie w czarnych garniturach osaczali zwykłych przechodniów i obywateli. Ludzie w czarnych garniturach oznaczali zło.

Gdy agenci zobaczyli, że Kora jest nieuzbrojona i zachowuje się spokojnie, rzucili się na dziewczynę, a Kant szybko wyciągnął z szuflady strzykawkę i nachylił się nad nią, zamierzając wstrzyknąć przybranej córce jakiś preparat.

Wtedy umysł Kory eksplodował po raz drugi w życiu.

Anna przerwała opowieść. Bastian bardzo chciał poznać dalszy ciąg. Może dlatego jego podniecenie opadło. A może po

prostu było już za późno. Albo za wcześnie. Dniało. Świt wydierał nocy ostatnie zakamarki zacięionej intymności.

Bastian przypomniał sobie, jak kochał się kiedyś z Iną nad ranem i że nie był to udany seks. Wymęczony, pośpieszny, zły. Ciało dziewczyny wydawało mu się zbyt przyziemne i mało uwodzicielskie. On sam był pokraczny i niewprawny.

Anna uśmiechała się, jakby wiedziała, o czym myśli. Sama zaś wspomniała Siergieja, jego nieposkromiony temperament i pomysłowość. Pomyślała: – Tak, chłopcze, musisz się jeszcze wiele nauczyć zanim staniesz się mężczyzną”.

– Idź już! – rozkazała.

Bastian chwycił kurtkę, zapiął ją na wszystkie guziki i błagalnie spojrział na Annę. Ta skinęła głową.

– Tak. Możesz przyjść. Jutro.

Gdy wyszedł, skuliła się w łóżku i płakała, jednak z jej oczu nie popłynęły łzy. Jakby ta jedna jedyna łza parę godzin wcześniej była wszystkim, na co było stać jej oczy. A może potrafiła płakać łzami tylko, gdy ktoś patrzył.

Bastian oglądał reklamy na billboardach. Wydawało mu się, że część postaci reklamujących kosmetyki i nowe wideo dopiero co wróciła na swoje miejsca po nocnych wozach. Może też imprezowali, bawili się, kochali, tak jak prawdziwi ludzie.

Przechodząc przez ulicę, zwrócił uwagę na parę całującą się w samochodzie zaparkowanym na placu galerii handlowej. Dziewczyna siedziała na kolanach kierowcy. Jej prawa dłoń opierała się o zaparowaną boczną szybę, ścierając przy każdym ruchu część mgiełki. Unosiła się i opadała nierytmicznie, aż w końcu w kilku orgiastycznych spazmach osiągnęła spełnienie.

Bastian odwrócił spłoszony wzrok i przeszedł na drugą stronę ulicy, podbiegając pod sam koniec, dzięki czemu uskoczył tuż przed nadjeżdżającym samochodem. Byłoby zabawnie, pomyślał, gdybym wpadł pod samochód na niemal pustej ulicy, nad ranem, gdy prawie nie ma ruchu.

Kierowca przyhamował, wychylił głowę z auta i spojrział na

niego zaczepnie. Zmiał w ustach przekleństwo, zamknął szybę i powiedział pod nosem:

– Uważaj, mały!

Bastian przypomniał sobie opowieść babki o swoim dziadku, który zginął na torach kolejowych. Wyobraźnia podsunęła mu obraz dziadka. Jego samochód zepsuł się, przejeżdżając przez tory i pociąg rozniósł małe autko na strzępki razem z siedzącym w środku dziadkiem.

– Najdziwniejsze jest to, że to były tory, przez które pociąg przejeżdżał tylko kilka razy w roku – opowiadała mu babka. – Wszyscy mieszkańcy miasteczka przejeżdżali przez te tory, nie rozglądając się, nie zatrzymując. Tylko twój dziadek zawsze stosował się do przepisów i twierdził: jak jest znak STOP, to trzeba się zatrzymać. I to go zgubiło, bo gdyby przejechał siłą rozpędu, gdyby nie zwolnił zbyt przed torami, toby zwyczajnie przez nie przejechał. A tak silnik starego trabanta zakrzusił się, stracił impet, zakaszał i zgasł, zostawiając go na torach. Dziadek, zamiast wybiec z auta i uciec spod pociągu, do końca liczył na to, że uda mu się uruchomić samochód i odjechać. Tak zginął.

Teraz, pod wpływem relacji Anny, Bastian zaczął się zastanawiać, czy opowieść babki była prawdziwa, tym bardziej że babka serwowała mu na dobranoc wiele niesamowitych historii. Szczególnie o dwóch braciach dziadka – trębaczu strażackiej orkiestry, Klemensie oraz Alfonsie – magiku, występującym w cyrku z popisowym numerem chwytania zębami kul wystrzelonych z rewolweru.

– Wujek trębacz był najślynniejszym kochankiem w okolicy, któremu nie potrafiła się oprzeć większość panien i żadna mężatka. Alfons, który bawił się w magika, miał zaś wyjątkowe powodzenie u mężczyzn. Każdy chciał wyzwać go na pojedynek i się z nim strzelać. Alfons przyjmował te wyzwania, kurtuazyjnie pozwalał strzelać pierwszemu przeciwnikowi, łapał jego kulę zębami, a potem sam z uśmiechem strzelał w powietrze, darując życie wszystkim tym nieszczęśnikom, czym zyskiwał dozgonną wdzięczność ich małżonek, z czego z kolei szczerze korzystał brat Klemens. Cóż to była za niezwykła trójca –

Alfons, Klemens i twój nieustraszony dziadek Amadeusz.

– A z czego znany był Amadeusz? – pytał mały Bastian babcię.

Babcia poprawiała się na siedzeniu i opowiadała:

– Twój świętej pamięci dziadek, zanim zginął pod kołami pociągu, czerpał z życia pełnymi garściami jako ekscentryczny naukowiec i konstruktor. Imię dano mu po mistrzu Mozarcie, ale szybko się okazało, że nie ma talentu do muzyki, za to odnalazł w sobie powołanie do mieszania różnych substancji i okazał się chemicznym geniuszem. Opatentował kilka substancji, lecz w wieku trzydziestu lat, gdy tylko mnie poznał, stwierdził, że musi wynaleźć coś, czym będzie mógł uwiecznić moją urodę. I tak wynalazł kamerę filmową.

Bastian nie wiedział wtedy, kto naprawdę wynalazł kamerę, więc przyjmował bezkrytycznie opowieści babci.

Przypomniał je sobie, gdy zatrzymał się przed witryną starego antykwariatu. Za szybą stało kilka manuskryptów, w centralnym zaś miejscu księgarz ustawiał właśnie nową książkę. Gdy Bastian przeczytał jej tytuł uznał, że jeśli życiem kieruje przypadek, to jest on wyjątkowo perfidny.

KSIĘGA KŁAMCÓW

Zdziwiło go też, że księgarz akurat teraz, o tak wczesnej porze porządkuje witrynę, kiedy powinien jeszcze spać tak jak inni sklepikarze z ulicy. Nad ranem zaczynają działać punkty spożywcze i apteki, ale galanterie, seks-shopy i księgarnie otwierano od 10 czy 11, a nie o 6 rano.

Otworzył drzwi i powoli wszedł do pomieszczenia, w którym panował półmrok.

Rozdział 9

Brzęczyk dzwonnka ostrzegającego o pojawieniu się klienta był cichy i nienaturalny. Zapach książek, starości i drobinki kurzu owinęły się wokół jego krtani jak wąż dusiciel. Aby się przyzwyczaić, musiał wziąć kilka głębszych oddechów, tłumiąc kaszel. Zamrugnął oczami, zanim przyzwyczaił wzrok do ciemności.

Za ladą stał chudy niewysoki człowieczek o czarnych oczach, które wydawały się grotami jaskiń, prowadzących gdzieś w głąb, na zaplecze. Miał krótko przycięte włosy i okulary na nosie. Wyglądał na Turka albo Araba.

Uśmiechnął się na powitanie i powiedział:

– Bogu dzięki, że zdążyłem.

– Zdążył pan? – zapytał zdziwiony Bastian.

– Ze zdążyłem wystawić „Księgę kłamców”, bo po nią pan przyszedł, prawda?

Bastian wzruszył ramionami, nagle przypominając sobie, że nie ma pieniędzy.

– Nie do końca – wyznał. – Po prostu chciałem ją obejrzeć.

Sprzedawca sięgnął na wystawę. Księga była wielka i ciężka. Rzucił ją na blat i zapalił światło.

– Światło szkodzi książkom, dlatego zapalam je tylko, gdy jest to konieczne – wyjaśnił.

Bastian zauważył, że w tym miejscu mrok ustępuje światłu powoli, jakby z nim walcząc. Nie tak jak zwykle, gdy po naciśnięciu włącznika w pomieszczeniu robi się po prostu jasno.

Przejrzał karty książki, udając zainteresowanie. Zamknął ją i oddał.

– Dziękuję, bardzo ładna.

– Jest pańska – powiedział księgarz.

– Niestety, nie mam przy sobie pieniędzy.

– Nie szkodzi. To prezent.

– Nie daje się prezentów bez przyczyny.

– To prawda – księgarz wyszedł zza blatu i powiedział z naciskiem: – Proszę wziąć tę książkę, bo musi pan ją wziąć, a jeśli się panu spodoba, proszę przyjść za tydzień, dostanie pan ode mnie coś nowego.

– A jeśli mi się nie spodoba?

– Odda ją pan.

– Przyznał pan jednak, że nie ma nic za darmo – przypomniał Bastian.

– To prawda.

– Więc? Czego pan za nią żąda?

Sprzedawca wyszedł zza kontuaru. Stał naprzeciwko przybysza na palcach, lecz i tak był od niego niższy o dobre dwadzieścia centymetrów.

– Bóg poskąpił mi wzrostu – powiedział.

Bastian miał wrażenie, że za chwilę mężczyzna obwacha go albo zrobi coś równie idiotycznego. Przestraszył się, że trafił na szaleńca lub zbrojeńca. Zaraz wybuchnie śmiechem i wtrąci go do lochu, gdzie już czekają jego stuknięci przyjaciele.

– Poskąpił mi wzrostu – powtórzył księgarz – za to obdarzył mnie czymś znacznie ważniejszym. Wie pan czym? Miłością. Obdarzył miłością mojej nieboszczki żony, która była kobietą tak piękną i wolną jak ptak. A z tej miłości narodziły mi się dwie córki, jeszcze piękniejsze niż moja żona i jeszcze bardziej przywiązane do wolności. Oto one.

Człowieczek pokazał mu zdjęcie dwóch dziewcząt. Być może były – tak jak przekonywał – wyjątkowo piękne, jednak Bastian nie miał możliwości tego ocenić.

– Mają zasłonięte twarze – powiedział nieśmiało chłopak.

– A co ty myślisz, że pokazywałbym obcemu moje skarby bez burek lub nikabów? Co to, to nie.

– No dobrze, ale czego ode mnie oczekujesz? Księgarz westchnął.

– Dowiesz się, już wkrótce. Weź książkę, przeczytaj. Jak wrócisz, wszystko ci wyjawię.

Bastian chwycił książkę i ruszył powolnym krokiem w stronę

domu. Słońce wychynęło już w całej okazałości zza horyzontu, rozpoczynając wędrówkę przez błękitne, czyste niebo.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i znalazł w niej skórzany damski portfel. Otworzył go i zobaczył zdjęcie swoje i Iny. Ina zostawiła portfel. Może przypadkiem, może po to, by do niego wrócić. Miała pretekst. Spojrzał do przedziałka z pieniędzmi i wyjął kilka banknotów. Obejrzał się przez ramię. Miał pieniądze, żeby zapłacić za książkę. Po chwili zastanowienia zrezygnował z powrotu. Był ciekaw, czego księgarz może zażądać.

Bastian powziął dwa postanowienia. Gdy tylko się wyśpi, zacznie czytać książkę, a wieczorem ponownie uda się do Anny po dalszą część historii o upośledzonej i niebezpiecznej Korze.

Gdy tylko wszedł do mieszkania malarki, usłyszał jej daleki głos.

– Rozbierz się. Jeśli chcesz poznać dalszą część historii, musisz się rozebrać – powiedziała Anna.

Stała przed sztalugami, na których rozpięła świeże płótno.

Bastian powoli ściągał wszystkie rzeczy, aż w końcu stanął w slipkach i czerwonych skarpetkach. Szybko się zorientował, że wygląda idiotycznie, i ściągnął skarpetki. Majtki miał obcisłe i opięte na członku.

– Wszystko! – rozkazała Anna.

Stał bez skrępowania. Dzisiejsza młodzież nie wstydzi się już swoich ciał – pomyślała. A może żadna młodzież nie wstydzi się, gdy liczy na seks ze starszym partnerem.

Członek Bastiana nie był zbyt duży. Wisiał w lekkim wzwodzie. Annie jednak podobał się. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Może po upojnych chwilach, jakie niedawno przeżyła z Siergiejem, potrzebowała czegoś innego, czegoś mniej drapieżnego, bardziej niewinnego.

– Siadaj! – poleciła. – Na czym skończyliśmy? „Umysł Kory eksplodował po raz drugi” – przypomniał Bastian. – Gdy agenci chcieli ją pochwyć. Zabiła ich?

Anna zamyśliła się, po czym, zignorowawszy pytanie chłopca, podjęła opowieść:

– Dziennikarz z „The Global News”, który wiele lat później zainteresował się sprawą tajemniczej zbrodni w nieistniejącym oficjalnie miasteczku, nie przypuszczał, że właśnie trafia na temat, który miał mu przynieść Pulitzera. Gdy naczelny gazety rzucił na jego biurko papiery z czerwoną nalepką „pilne” i nagłówkiem: „Dramat w Tihuahua”, pomyślał: „Kurwa, w końcu i na mnie musiało trafić”.

Dziennikarz nazywał się Marciano, Lenny Marciano. Miał trzydzieści pięć lat. Jego życiu przyświecały dwa zasadnicze cele: nie namęczyć się za bardzo i wydymać jak najwięcej Latynosek. Lenny był z pochodzenia Włochem. Miał stalowego kutasa i puste serce. Jego ojciec w młodości pracował dla mafii, ale po przesłuchaniach w FBI postanowił wrócić na drogę cnoty i założył pizzerię, która zyskała uznanie w okolicy.

Lenny wyglądał jak playboy z umięśnioną klatką piersiową, gęsto porośniętą czarnymi loczkami, szerokimi ramionami, szczupłą talią i wystającymi pośladkami. Jego nieogolona twarz mogła zdobić okładki najlepszych pism, pod warunkiem, że zroszono by ją kroplami wody.

Lenny nie pragnął jednak rozgłosu ani okładek. Mając bogatego ojca, rozleniwiał się i ulegał zepsuciu. Podrywał Polki i Irlandki, ale najbardziej pociągały go dziewczyny w kolorze mlecznej czekolady. Gdy rozpoczął staż w nowojorskiej redakcji „The Global News”, o tym właśnie myślał: jak wydymać najwięcej Latynosek, angażując jak najmniej środków.

Wyjazd do Tihuahua potraktował jako zasłużoną karę od losu. Dzień wcześniej pewna dziewczyna dała mu numer telefonu wypisany szminką na karteczce. Wyraźnie dawała znać, że ma ochotę spędzić z nim noc. To stało się w barze. Dziewczyna była piękną blondynką z piersiami jak marzenie, wspaniałymi nogami i zgrabnym tyłkiem. Była wysoka i przypominała modelkę. Po drugiej stronie baru siedziała znacznie mniej atrakcyjna, ale równie pociągająca czekoladowa Latynoska, której oczy także strzelały w kierunku Lenny’ego. Dziennikarz wyszedł do kibla i sikając zaczął rozważać, co bardziej mu się opłaca. Jeśli wybierze blondynkę, ma pewne dymanie, jeśli Latynoskę, pewnie też, ale może być znacznie

trudniej, gdyż czekoladowe dziewczyny nie były takie łatwe. Postanowił, że jeśli dziewczyna będzie Polką lub Niemką, to się z nią umówi. Jeśli Irlandką albo Dunką, wybierze Latynoskę.

– Skąd jesteś? – zapytał.

– Z Rosji – powiedziała dziewczyna.

Lenny postanowił, że wybierze pewne dymanko, i wyszedł z baru z blondynką. Zaprowadziła go do metra, którym pojechali do dzielnicy rosyjskiej. Tam, na trzecim piętrze kamienicy czekała Lenny'ego niespodzianka w postaci kilku byczków o rumianych twarzach i zwiędłych bicepsach, uzbrojonych w kije i maczety. Zabrali mu portfel i buty.

– Jak mam wrócić bez butów do domu?

– Błać twoja mać – odparł jeden z Ruskich, napluł na ziemię i dodał po angielsku – Pierdolony Włoch!

– Jestem z mafii – próbował ostatkiem sił.

– My też – odparli.

Wyglądali dziwnie. Niby groźnie, ale też trochę komiksowo. Jakby ktoś narysował im te przerośnięte mięśnie, blade lica z rumianymi policzkami, krzywe zęby i nieświeże oddechy, parujące zarówno na mrozie, jak i w upalny dzień.

Jeden był mniejszy od pozostałych, lecz wcale przez to nie wydawał się mniej groźny. Wyglądał na zapaśnika. Miał za długie ramiona, przypominające kończyny szympansa, owłosione, ciężkie i wielkie jak bochny dłonie, szeroki kark i plecy, które nie mieściły się w drzwiach. Łysą głowę zdobiły małe, ruchliwe oczka, wyglądające jak imitacje kamieni szlachetnych. Poruszał się tak szybko, że sprawiał wrażenie komputerowego hologramu, któremu programista przez pomyłkę wgrał niewłaściwy algorytm ruchu. Reszta niewiele się od siebie różniła. Nalani, wielcy, napakowani sterydami i wódką, przez co przerośnięte mięśnie, zamiast dumnie prężyć się do słońca, zwiślały na zwalistych postaciach niczym na jakiś nieudanych pomnikach brzydoty.

Lenny widział wielu groźnych ludzi. Bandytów od Guya Salgado, Giacobbe Buscetta, Tommaso Riny czy słynnego Cascio Ferro. Siadał obok ludzi zabijających spojrzeniami, drani, bez skrupułów obcinających głowy zwierzętom i

pakujących ofiary do dołów z wapnem. Osobiście ścisnął dłonie Giuseppe Provenzano, który był uważany za największego zawodowego zabójcę wszech czasów, a znany z zamiłowania do kul dum-dum Tinto Leggio klepał go przyjacielsko po policzku, gdy przychodził na pizzę do restauracji ojca.

A jednak rosyjscy bandyci bardziej poruszali jego wyobraźnię. Wydawali się groźniejsi, pozbawieni skrupułów i przepełnieni trudnym do zrozumienia barbarzyństwem.

No i roztaczali wokół siebie znacznie bardziej przekonujący zapach.

Zapakowali go do samochodu i zawieźli do rosyjskiej dyskoteki, gdzie na ścianach wisiały fotografie Lenina, Marksa, Engelsa, Stalina i Breżniewa, obok karykatur

Trockiego i Chruszczowa. Plakaty z wybuchami jądrowymi towarzyszyły kolorowym planszom z cypaty i rumianymi blondynkami, ochoczo uśmiechniętymi, prezentującymi butelki z mlekiem czy opakowania razowego chleba.

– To „Katusza”, najlepsza radziecka dyskoteka in New York – wyznał największy z rosyjskich goryli. – Przychodzą tu najładniejsze dziewczyny.

– Po co mnie tu przyprowadziliście?

Rosjanin roześmiał się i nic nie odrzekł. Jego mniejszy towarzysz o łysej głowie i oczkach – plastikowych klejnotach – nachylił się do Lenny’ego i powiedział:

– Niezły jesteś, Włochu. Za chwilę wskażemy ci dziewczynę, a ty do niej podejdziesz i ją dla nas poderwiesz. Wyjdziecie potem na zewnątrz, my przejmujemy dziewczynę, a ty będziesz wolny.

– Dlaczego sami jej nie poderwiecie?

Oczka – plastikowe klejnoty – błysnęły złowrogo.

– Nie wyjdzie z nami – uśmiechnął się byczek z nierównym uzębieniem. – Wszystkie nas tu znają, żadna nie chce już z nami wyjść. A „Katusza” dba o bezpieczeństwo dziewczyn, ochroniarze nie pozwolą nam żadnej wyprowadzić siłą.

– Chcecie, żebym zwał dla was ofiarę?

– Nikt trafniej by tego nie ujął.

Lenny zamierzał wrzasnąć i zrobić raban, ale byczek zasłonił

mu usta dłonią i powiedział:

– Jeśli krzykniesz, zabiję cię. Mówię poważnie. O ile dziewczyn nie pozwalają nam wyprowadzać, to nie mają nic przeciw zabijaniu Włochów, Polaków i Meksykańców. Jeszcze czarnuchy mają dyspensę, bo z czarnuchami to nigdy nie wiadomo na kogo się trafi, a nasi wiedzą, że jeśli masz bielsze zęby niż sam diabeł, to lepiej z tobą nie zaczynać.

Lenny zawahał się, a potem wskazał na nogi:

– Jak mam kogoś poderwać bez butów?

– Zwyczajnie. Pokaż kutasa – byczek roześmiał się, a potem spowaźniał. – Dobra, Wadim, daj golcowi buty.

I tak Lenny odzyskał buty. Pozornie zgodził się na propozycję rosyjskich bandytów, podszedł do wskazanej piękności, uśmiechnął się, a potem dał w długą.

Rozdział 10

– Nigdy nie biegłem szybciej. Uciekałem, jakby goniła mnie sfora dzikich wilków – opowiadał rankiem w redakcji.

– Ruscy to barbarzyńcy. Jeszcze gorsi od wilków – zauważył któryś z kolegów.

– Racja, stokroć gorsi.

Przeklinał swoją głupotę. Zaczął przeczuwać, że to dopiero początek niemiłych niespodzianek. No i miał rację, bo nikt nie chciał słuchać jego tłumaczeń, że nie nadaje się do pracy.

Redaktor prowadzący dał mu na napisanie tekstu tylko tydzień, dokładnie wyliczając, co ma w tym czasie zrobić.

– Podróż w tę i z powrotem zajmie ci dwa dni, kiedy przeczytasz wszystkie zebrane materiały. Zbieranie ich na miejscu w Tihuahua to jeden, no może dwa dni. Parę godzin spędzisz w bibliotece miejskiej, a resztę czasu możesz wykorzystać na podpytanie dziennikarzy z lokalnej popołudniówki.

Redakcja wykupiła mu bilet na samolot i pociąg. Podróżując, przeklinał upał i usuwał z telefonu numery byłych kochanek. Trzydzieści sześć dziś już nie mu niemówiących numerów wylądowało w koszu, dzięki czemu telefon zaczął szybciej działać i Lenny mógł pograć w uproszczoną wersję Spore. Pożarł wszystkie potwory i znudził się grą.

W księgarni na dworcu kupił osobliwą książkę, która nie miała tytułu i autora. Na jej okładce widniał wielki znak zapytania. Księgarz, polecając mu powieść, powiedział:

– Na pewno nie będziesz zawiedziony, synu. Książka kosztowała jedynie dolara i Lenny kupił ją z przekory. Był pewien, że nie jest warta ani centa, ale chciał się o tym przekonać. Był pełen podziwu dla wydawcy tego głównianego dzieła. Gdyby ustalił wyższą cenę, nikt by się nie skusił, nawet po namowach księgarza. A tak... Zapłacił i zapytał:

– A teraz powie mi pan, dlaczego polecał tę książkę?
– Bo jest dobra – odparł księgarz z rozbrajającym uśmiechem. Widząc jednak karcący wzrok Lenny’ego, dodał: – No dobra. Mogę wygrać laptopa.

I pokazał mu plakat reklamowy, z którego były krzykliwe hasła:

SPRZEDAJ NAJWIĘCEJ KSIĄŻEK BEZ TYTUŁU I WYGRAJ LAPTOPA!

Lenny ze zdumieniem przeczytał wszystkie informacje na plakacie i wykrzyknął:

– Przecież to jakieś wydawnictwo z Europy Wschodniej!
– I co z tego.
– Nie może pan wygrać tego laptopa.
– Kto wie?
– Nie może pan, bo nie dość, że to jakieś lewe wydawnictwo, to zgłoszenia zakończyło przyjmować trzy lata temu.
– A co pan myśli, dlaczego książka kosztuje tylko dolara?
– Ale...
– Trzy lata temu kosztowała pięć dolarów. I wtedy laptop to było coś. Dziś każdy daje laptopa. Ale książki kosztują dziesięć dolarów i mało kto je kupuje. A tak mogę za dolara wziąć udział w konkursie i kto wie, czy nie wygram.

Lenny spisał dane wydawnictwa, schował książkę i poszedł w kierunku pociągu. Przed peronem natknął się na budkę z tortillami taco. Sprzedawała je niska, pulchna Meksykanka. Uśmiechnął się do niej i zamówił jedno taco, mimo że nie był głodny. Patrzyła, jak je. Zjadł, wyrzucił papier do kosza na śmieci i oblizał palce. Podszedł do dziewczyny i podziękował, mówiąc, że taco było bardzo dobre. Sam nie wiedział na co liczy. Może gdyby dziewczyna uśmiechnęła się, zaproponowałby jej dotrzymanie towarzystwa przez najbliższy kwadrans. Może powiedziałyby:

– Miałaś kiedyś takiego przystojnego Włocha jak ja? Jednak pulchna Meksykanka nie zachęciła go spojrzeniem.

Kiedy wyjął książkę w pociąg, przypomniał sobie taco i

poczuł coś w żołądku. Na szczęście w przedziale siedział jakiś staruszek z białym wąsem. Sprawiał wrażenie człowieka dobrodusznego i poczciwego, więc Lenny mógł zostawić bagaże, laptopa i inne rzeczy pod jego opieką.

– Popilnuje pan?

– Pewnie, proszę się nie przejmować. Następna stacja dopiero za dwie godziny.

Staruszek uśmiechnął się ciepło.

Lenny poszedł do kibla, westchnął ciężko, gdy zobaczył zabrudzoną toaletę, wymościł klozet toną papieru toaletowego, zasiadł na tronie, kurczowo ściskając książkę bez tytułu i rozluźnił mięśnie. Żołądek oszalał, a Lenny pomyślał: przekłete taco! Po kilku burknięciach w brzuchu uznał, że musi jednak dłużej posiedzieć i otworzył książkę. Zdziwiło go, że pierwsze strony były napisane niezwykle zgrabnie, wciągającym językiem. To było czytało, ale naprawdę dobre. Potem z niepokojem przeszedł do drugiego rozdziału. Opowiadał historię młodego chłopaka, który ciągle tylko bierze od życia nic nie dając w zamian, a w końcu trafia do pociągu na koniec świata, nie zdając sobie z tego sprawy.

„Na szczęście tuż przed wejściem do pociągu zjadł swoje ulubione taco, bo inaczej zginąłby z pustym żołądkiem. A wiercie mi, nie ma nic gorszego niż śmierć z pustym żołądkiem. Jest gorsza nawet od eskimoskich dziewic, rosyjskich niedźwiedzic i wzbudzających nieuzasadnione zaufanie staruszków z wąsem, których możecie spotkać w każdym pociągu na świecie”.

Gdy Lenny dobiegł do swojego przedziału, nikogo tam już nie było. Nie było też rzeczy Lenny’ego. Szlag trafił laptopa, materiały researchera, dokumenty i pieniądze.

– Szlag!

Konduktor, który pojawił się po chwili, nie chciał słyszeć tłumaczeń ”Włocha.

– Płacisz za bilet albo wypierdalaj! – powiedział suchym tonem.

– Ktoś mi ukradł bagaże i pieniądze. Miałem bilet. Ten złodziej to taki gość z białym wąsem.

Konduktor popatrzył spode łba.

– Płacisz? Nie? To wypierdalaj.

Zabrał go do swojej kanciapy, w której siedział dwunastoletni Meksykanin. Konduktor wyjął z kabury rewolwer, podał go dzieciakowi i powiedział:

– Pilnuj drania. Jak będzie uciekał, to go zastrzel. Lenny nie wierzył własnym uszom. Jednak mały Meksykaniec mierzył w niego ze spluwy i to był fakt.

Po godzinie takiej jazdy Lenny spocił się jak nigdy dotąd i znów poczuł, że musi do toalety. Powiedział to chłopakowi, ale tamten tylko mocniej ścisnął rewolwer. Też się pocił i był zdenerwowany. Dotąd nic nie mówił, ale teraz widać uznał, że lepiej mówić, niż milczeć.

– Jesteś Włochem?

Lenny skinął głową.

– Moja mama mówi, że Włosi to cwele!

– Nie wszyscy – powiedział powoli Lenny.

– Moja mama mówi, że wszyscy – dodał z naciskiem malec, a po chwili milczenia podjął: – Mój ojciec też był Włochem. Moja mama mówi, że interesowało go tylko jedno. Był kłamcą i sukinsynem.

Lenny przyrzekł sobie, że nigdy już nie przeleci żadnej Meksykanki. Zamknął oczy i zaczął się modlić.

Dawno się nie modlił. Jego rodzina była bogobojna, ale niespecjalnie. Ojciec w czasach, gdy należał do mafii, chodził jeszcze do kościoła, ale jak tylko otworzył pizzerię, przestał i nie zmuszał też dzieci do celebrowania katolickich zwyczajów. Oczywiście, księdza przyjmowali z należyтым szacunkiem i datkami za spokój dusz.

Lenny nie wierzył w Boga, z wyjątkiem chwil, gdy Bóg był mu potrzebny. Zawsze jak coś szło nie tak, Bóg stawał się potrzebny.

Panie Boże, jeśli mnie uratujesz, zmienię się i stanę innym człowiekiem – obiecał Lenny.

Pociąg zatrzymał się na stacji o nazwie Cusarare. Konduktor zabrał malcowi broń, schował do kabury i wskazał Lenny'emu drzwi.

– Wypierdalaj!

Lenny wysiadł. Pięćdziesięciostopniowy upał oplótl jego osłabione ciało, uderzył z siłą wezbranej fali. Lenny zatrzymał się, starając przyzwyczaić do nowych warunków, i oglądał okolicę. Na pustyni stały dwa niewielkie budynki stacji kolejowej. Pomiedzy nimi biegła asfaltowa droga, która znikala za pobliskim wzgórzem. Lenny nie dostrzegł żywej duszy. Poza jedna.

Na stacji kolejowej siedział człowiek z białym wąsem. Lenny nie miał pojęcia, jakim cudem wysiadł z pociągu. Obok mężczyzny stały bagaże Lenny'ego. Włoch poczuł najpierw wściekłość, potem radość, wreszcie niepewność. Nikt nie lubi sytuacji, których kompletnie nie rozumie.

– Usiądź, chłopcze – powiedział mężczyzna z białym wąsem. Wytłumaczę ci wszystko.

Lenny usiadł i czekał na wyjaśnienia. Mężczyzna długo nabijał fajkę, potem ją zapalił i powiedział:

– Czy to, o czym myślałeś i mówiłeś, to o Bogu, to prawda? Czy jeśli wyjdiesz z tego cało, powrócisz na łono kościoła, przestaniesz rżnąć Latynoski, poszukasz jakiejś porządnej włoskiej, polskiej albo irlandzkiej dziewczyny, ustatkujesz się i zaczniesz w końcu żyć jak człowiek? Czy mówiłeś poważnie?

Lenny zawahał się, jakby od tej odpowiedzi miało zależeć jego całe życie.

– Tak. To znaczy, myślę, że myślałem poważnie.

– Tak czy nie? Zrobisz to, czy będziesz oszukiwał?

Rozdział 11

Lenny westchnął. Nie to, żeby wierzył w zabobony. Jednak pamiętał dobrze, co mówiła jego ciotka o czarnych kotach i wisielcach rysowanych na kartkach. Dobrze ci radzę, synu – mawiała – nigdy nie obrażaj Boga fałszywymi obietnicami, bo pozostanie ci wiara w zabobony, a jeśli tak będzie, jak nic wszystkie czarne koty z okolicy zbiegną się do twojej kuwety i naszczają na wycieraczkę. Wiesz, jak cuchnie obsikana przez kota wycieraczka? A wiesz, jak cuchnie wycieraczka obsikana przez sto kotów? Nie rzucaj słów na wiatr i spojrzeń za plecy. Twój wuj rzucał i jak skończył. Miał zaledwie czterdziestkę, gdy frezarka ucięła mu kutasa. Tyle dymania miał przed sobą, a tu taki niefart przez głupiego kocura, którego nie ominął z daleka. Tak, jakże on kochał to dymanie...

– Więc – ponaglił wąsacz.

– Zgoda – przytaknął Lenny – Jeśli wyjdę z tego cało, zrobię, jak obiecałem.

– I pójdziesz do spowiedzi? Opowiesz to wszystko księdzu?

– Opowiem.

– Szczęściarz, już mu zazdroszczę. A zatem postanowione. Możemy zaczynać.

Starzec wstał, otrzepał kapelusz o spodnie i ruszył w kierunku piaszczystego wzgórza. Lenny wahał się przez chwilę, w końcu postanowił, że jednak zostanie na miejscu. Stacja wydawała mu się przyjemniejsza niż pustynia.

Starzec dostrzegł brak towarzystwa dopiero na szczycie i westchnął ciężko.

– No chodź! Czekam.

– Idź sam – warknął Lenny. – Ja poczekam tutaj.

– Dobrze ci radzę, synu, chodź, bo jeśli tam zostaniesz, zaraz znikniesz. Jak cały ten przybytek. Rozejrzyj się chłopcze, to wszystko nie istnieje, a ty chyba nie chcesz stać się częścią

nieistnienia.

Lenny rozejrzał się i stwierdził, że wszystko wokół wydaje się dziwnie martwe i nierzeczywiste. Deski budynku były pozbawione szczegółów, jakby ktoś zrobił je tylko na chwilę. Gdy zobaczył, jak znika komórka na lewo od stacji, wstał i ruszył biegiem do staruszka. Gdy dogonił tajemniczą postać, obejrzał się i przekonał, że po stacji kolejowej nie było śladu.

– Dobra decyzja – pochwalił starzec.

– Dokąd idziemy? – zapytał Lenny pięć minut później.

– Do miasta.

Starzec przyspieszył kroku. Szedł po skałach i pustynnym piasku, jakby miał jakieś specjalne buty. Lekko przychodziło mu pokonywanie uskoków i sypkich łąch. Lenny musiał co chwila podbiegać, potykał się, raz czy dwa upadł. Chciał zawołać, by towarzysz zwolnił, lecz zrobiło mu się zwyczajnie głupio. On, taki młody i wysportowany, miał prosić jakiegoś starca? Mimo potu, zmęczenia i poobijanych kończyn kontynuował podróż bez narzekań, w końcu dogonił starca i dotrzymywał mu kroku. Lenny dostrzegł uśmiech tamtego. Był to raczej lekko szyderczy grymas, wyrażający jednak uznanie. A może tak mu się tylko wydawało. Szli bardzo długo, może godzinę, może dziesięć. Lenny zdziwił się, że słońce wciąż jest w tym samym miejscu i nic wokół się nie zmienia. W istocie cały horyzont, niebo i słońce wyglądały jak wymalowane przez zdolnego artystę. Może to scenerie jakiegoś filmu? Albo iluzja, tak jak stacja kolejowa.

– Idziemy już parę godzin, dlaczego nic się nie zmienia? – zapytał.

Starzec, o dziwo, zatrzymał się i spojrzał na Lenny'ego.

– Już dochodzimy – rzucił krótko. – Za tym wzgórzem.

– Ale dlaczego słońce nie zachodzi?

– Wierzysz w Boga, synu?

Lenny zawahał się i zastanowił nad odpowiedzią. Od dziecka uczono go, jak ma odpowiadać na podobne pytania. Jeszcze wczoraj bez kłopotu poradziłby sobie z nimi. Na tak postawione pytanie była tylko jedna właściwa odpowiedź. Mimo to teraz pomyślał, że nie powinien kłamać.

- Wierzę.
- Czemu skłamałeś?
- Bo tak trzeba.
- A widzisz, może Bóg właśnie uznał, że słońce ma nie zachodzić. Bo taki miał kaprys.

Rozejrzał się wokół i nagle rzekł:

- To dobre miejsce na odpoczynek.
- Odpoczynek? Powiedziałeś przecież, że jesteśmy prawie na miejscu.
- Prawie – przyznał. – Odpocznijmy. Musisz się przygotować.

Zrzucił swój tobolek i polecił to samo zrobić Lenny'emu.

- Na co? – zapytał Włoch.
- Jeśli chcesz zobaczyć wszystko, jak było, jeśli chcesz się dowiedzieć, musisz się przygotować. Inaczej zobaczysz tylko piasek i... słońce.

Starzec przysiadł, wygrzebał z płaszcza jakiś niewielki pakunek, zawinięty w folię aluminiową, w którym znajdowały się dziwne liście. Wyciągnął jeden, powolnym ruchem oderwał od pozostałych, starając się ich nie zniszczyć i włożył do ust.

- Co to? – zapytał Lenny.
- Guma do żucia – powiedział starzec. – Słyszałeś kiedyś o wielkim poście?
- Jestem katolikiem – obruszył się Lenny.
- Niedawno miałaś wątpliwości, czy wierzysz w Boga.
- No tak, ale...
- Ale...
- Każdy katolik wie, co to wielki post.
- Opowiedz mi o nim.
- Jak to?
- Po prostu. Opowiedz, co wiesz.
- No więc – Lenny nie potrafił znaleźć właściwych słów. Nigdy nie potrafił rozmawiać o religii. I prawdę mówiąc, mało o niej wiedział. – No więc, Jezus Chrystus przed ukrzyżowaniem udał się na pustynię, gdzie pościł przez czterdzieści dni i był kuszony przez diabła. No i na pamiątkę tego w kościele jest czterdzieści dni postu.

– A słyszałeś kiedyś, że to może na pamiątkę wędrówki Izraelitów przez pustynię? I to dlatego ten post trwa czterdzieści dni?

– Nie – wzruszył ramionami Lenny. – Chyba nie dlatego.

– Nie lubisz Żydów?

– A kto ich lubi?

– Jezus był Żydem.

Lenny ponownie wzruszył ramionami.

– Nic nie mam do Żydów, ale myślą tylko o pieniądzach.

– A Włosi to nie?

– Nie tylko.

– To prawda. Włosi myślą jeszcze o dymaniu. Jak czarnuchy. Czarnuchów też pewnie nie lubisz?

– To nie tak.

– A jak?

Lenny czuł, że starzec się z niego nabija. Wiedział też, że bezsens jest dać się wciągać w tę grę, a jednak brnął w to, jakby nie miał wyjścia. Coś wewnątrz kazało mu odpowiadać na te durne pytania. Na szczęście starzec wydawał się niezainteresowany dalszą rozmową, gdyż po zadaniu ostatniego pytania rozłożył się, podtrzymując głowę ramionami. W końcu powiedział:

– To nie było tak.

Lenny nie bardzo wiedział, o co chodzi. Przez chwilę miał też wrażenie, że starzec powiedział to zdanie tylko tak, jak rzuca się czasem pochwałę na rzecz pięknej tancerki czy pieśniarki w karczmie pełnej żeglarzy i innych pijaków.

– Jezus wcale nie pościł przez te czterdzieści dni, tylko pił na umór, uwodził niewiasty i grzeszył na potęgę. Jezus stracił wiarę w Boga i własną naukę i postanowił zrezygnować ze swojej misji. Bóg więc wysłał jednego z mądrzejszych upadłych aniołów, by go przekonał do powrotu na właściwą drogę. Na drogę własnego zbawienia, na drogę śmierci.

Choć słowa te brzmiały jak niesmaczny żart, Lenny czuł, że starzec mówi poważnie. I przeraził się.

– To bluźnierstwo – wyszeptał.

– A brak wiary w Boga to mniejsze bluźnierstwo niż prawda?

– Nie chcę tego słuchać.

– A jednak musisz. Bo wiesz, co ci powiem. Diabeł nie przekonał Jezusa, który wolał spędzić resztę życia, pławiąc się w rozkoszach i miłości, a nie wypełniając misję. No i gdy poszedł do Boga, miał swój własny plan. zaproponował, że podszyje się pod Jezusa, pozwoli uśmiercić, ukrzyżować, wycierpi wszystkie te katusze i zmartwychwstanie, ale Bóg musi obiecać, że go za to wynagrodzi.

Lenny milczał.

– Wiesz, jakiej nagrody zażądał diabeł? Bóg myślał, że będzie chciał przebaczenia i oczyszczenia, jednak ten upadły anioł był tak zepsuty, że pragnął tylko władzy i rozkoszy. Zażądał więc pozwolenia na podróże po całym świecie, na życie pomiędzy ludźmi, na korzystanie ze swojej mocy. Chciał, by Bóg zezwolił mu uwodzić ich kobiety i zabijać mężczyzn. Zażądał bezkarnej potęgi na wieki, roztaczając jednocześnie przed majestatem Pana wizję korzyści, jakie uzyska dzięki tej zgodzie. „Poświęcisz jednostki dla zbawienia milionów” – przekonywał demon. Bóg zgodził się, bo uznał, że widocznie takie jest przeznaczenie. I pozwolił diabłu wejść w skórę człowieka.

Lenny pomyślał o swojej babce, która zawsze mówiła, że diabeł przechadza się wokół nich, wstępuje w różnych ludzi, czasem by czynić dobro, czasem zło. Nie chciał jednak dalej słuchać starca. Nie chciał być na tej pustyni i rozmawiać z szaleńcem.

– Wiesz, jak miał na imię ten diabeł? – zapytał tamten.

– To był Cimeies. Demon Czarnego Łądu, potężny władca wszystkich rozkoszy, chuci i pragnień. Jego ognisty warkocz rozświetla wszystkie noce rozpustnie rozpalonymi słońcami orgiastycznych uniesień. Uwielbia grę na pianinie i skrzypcach, uwodzi niewiasty bladym uśmiechem i często można spotkać go w starym kinie. Jego widmowe ciało rozpada się nocą na tysiące czarnych nietoperzy, a za dnia podróżuje na czarnym rumaku wraz z zastępem dwudziestu legionów duchów i czarcimi niewolnikami. Oto twój Jezus.

Starzec nagle ucichł i jakby zmałał, a potem szepnął głosem znacznie słabszym, wyzbytym pogardy i dumy:

– Już czas. Weź gumę do żucia.

Lenny wiedział, że nie może odmówić. Postanowił więc, że weźmie gumę, ale tylko po to, by ukryć ją pod językiem i w dogodnym momencie wypluć. Sięgnął do zawiniątka i wyciągnął listek. Był to dziwny, blady, lekko brązowy, wpadający w fiolet dziwaczny przedmiot, przypominający prawdziwy liść, tyle że pokryty miękkim mchem. Pachniał ładnie, górskim strumieniem, i ramię Lenny'ego samo uniosło się do ust i wepchnęło listek w gardło.

I jak tylko to się stało, nic już nie miało znaczenia.

Rozdział 12

Zadzwoił telefon i Anna poszła odebrać. Bastian przez chwilę myślał, na ile cała ta historia jest zmyślona. Czy jest kłamstwem zwyczajnym, czy też podszytym prawdą? Jednym z tych, którymi zaczytywał się w wielkiej księdze otrzymanej od Araba. Zapraagnął jak najszybciej to sprawdzić, bardziej nawet niż posłuchać dalszej części opowieści Anny. Dlatego ucieszył się, gdy kobieta odłożyła słuchawkę i powiedziała:

– Niestety, musisz już iść.

Bastian zareagował tak, jak zareagowałby każdy młodzieniec. Zebrał szybko swoje rzeczy, skinął głową artystce i ruszył do drzwi.

– Przyjdź jutro – powiedziała Anna na pożegnanie i zaryglowała drzwi.

Potem położyła się do łóżka i czekała na Siergieja. Zastanawiała się, jaki sposób tym razem znajdzie Rosjanin, by się dostać do jej mieszkania. Od dawna nie wpuszczała go drzwiami. Od dawna pozwalała się zaskakiwać.

Wcześniej dokładnie zamknęła balkon i wszystkie okna. Postanowiła też, że nie otworzy mu drzwi, ani w żaden sposób nie ułatwi wejścia. Mimo że się nie pojawiał, ona czuła cały czas, że jest w pobliżu.

Zamknęła oczy i próbowała zasnąć, jednak nie mogła. W końcu sięgnęła po pilota i włączyła telewizor. Na kanale siódmym, który zwykle oglądała, wyświetlano akurat reklamę jakiegoś dezodorantu. Czarny jak smoła, pięknie umięśniony, wyśniony bajeczny kochanek mówił:

– Spójrz na swojego mężczyznę, a potem na mnie. Szkoda, że nie jest mną, ale jeśli zacząłby używać dezodorantu „Only You” mógłby pachnieć, jakby był mną. To takie proste. Marzenia staną się rzeczywistością. Murzyn opryskał się dezodorantem, pokazał go widzom, błysnął słonecznym uśmiechem i... w tej

chwili powinien zniknąć. Zamiast tego na scenie zaroilo się od ludzi, pokazano operatorów kamer, wszyscy krzatali się, sprzątajac dekoracje. Reżyser podszedł do Murzyna i rzekł:

– Świetnie, jak zawsze świetnie, Sierioża.

Murzyn sięgnął za plecy i ściągnął z siebie czarną sztuczną skórę z pięknymi mięśniami. Siergiej wydobył się z postaci murzyńskiego amanta i kilkoma krokami zbliżył do powierzchni ekranu. Dwa kroki dalej i wyszedł z telewizora wprost do sypialni.

– Już myślałem, kochanie, że sobie nie poradzę. Ale czego nie robi się dla miłości. Wiesz, że technikę wychodzenia z telewizora opracowali Grecy? Tak, wszystko co dobre zawdzięczamy Grekom. Wymyślili demony, wojny, sport i miłość analną. A także sjęstę, dodrukowywanie pieniędzy, lenistwo oraz szczerý śmiech i śpiew do kolacji. No i telewizję interaktywną.

Rzucił się na nią, jakby w tych ostatnich dniach nic się nie wydarzyło. I dopiero po wielu godzinach – gdy już spełniona leżała bez życia – podjął dyskusję:

– Co to za chłopak?

Anna uśmiechnęła się pod nosem. Czyżby był zazdrosny?

– Ma na imię Bastian – rzuciła krótko. Siergiej pokiwał głową z uznaniem.

– Jest młody i niewinny. Takich lubię. Wzdrygnęła się.

– Nie oddam ci go.

– Po co więc go zapraszasz?

Zastanowiła się przez chwilę, ale nie odpowiedziała. Wstała i zaczęła malować.

– Cieszę się, że ponownie malujesz. Wkrótce będziesz mogła zorganizować kolejną wystawę. Kupię twój obraz. Wszyscy będą chcieli kupić twoje obrazy. Są takie... wspaniałe. Tak, to dobre określenie. Wspaniałe.

Nie mówiła.

Choć chciała mu wiele powiedzieć. Przede wszystkim to, żeby się już wyniósł. Nie był jej potrzebny. Jednak nie potrafiła go wyrzucić. Malowała więc, starając się nie zwracać uwagi na jego nagie ciało, leżące w wulgarnej pozie na łóżku.

Bastian wrócił szybko do domu i dobrał się do „Księgi kłamców”. W drodze zamierzał zadzwonić do Iny, przeprosić ją za poprzedni wieczór i powiedzieć, że kocha ją ponad wszystko i chciałby, żeby do niego wróciła.

Postanowił jednak, że po przejrzaniu „Księgi kłamców” będzie to łatwiejsze, i zagłębił się w lekturę kolejnych tajemnych stron. Tym razem nie czytał wszystkiego jak leci, tylko szukał konkretnych zdarzeń.

Przerzucił ciężkie tomy na plecy i ze zdziwieniem odkrył, że strony przewracają się znacznie gorzej od tyłu niż od przodu. Nie wiedział dlaczego. Gdy już miał zrezygnować, przyszło mu do głowy, by otworzyć księgę, dmuchając w kartki. Widział to na filmach. Jeśli strony się kleją, najlepiej otwierać je podmuchem. Dmuchiął i o dziwo udało się. Przerzucił jedną stronę indeksu, następną. Aż w końcu odnalazł hasło: „Wielki post”. Strona 1686, druga kolumna, wers szesnasty. Odnalazł to miejsce i przeczytał:

***Wielki post:** wymyślone przez chrześcijan kłamstwo, mające zatuszować wielką libację demona Cimeiesa zwanego też Krisosem z Jezusem na pustyni judzkiej. Cimeies na prośbę i polecenie Boga miał sprowadzić Jezusa na właściwą drogę, nawet jeśli miałyby to oznaczać zawładnięcie jego duszą. Kronikarze spierają się, czy misja*

Cimeiesa zakończyła się sukcesem, czy też demon oszukał Boga, przybierając po prostu postać Jezusa. A może to Bóg tak chciał i zezwolił na wielkie oszustwo. Zdaniem części wyklętych prześmiewców, Jezus okazał się sprytniejszy i upiwszy Krisosa ukradł mu duszę, zamordował ją, po czym wszedł w postać demona i oszukał Boga potrójnie. Wykonał misję, dał się zamordować jako Cimeies, a potem zażądał nagrody, która umożliwi mu wieczną rozpustę i rozpasanie. Zadrwił z Boga i diabła. Stał się królem szatanów i demonów. Cimeiesem

drugim do potęgi. Wykolegował wszystkich.

Bastian nie mógł uwierzyć w przeczytane słowa. W końcu wybrał numer do Iny i powiedział, że musi się z nią zobaczyć. Dziewczyna wahała się przez chwilę. W końcu powiedziała:

– Po co dzwonisz? Tak naprawdę?

– Kocham cię.

– Chcesz mnie przelecieć?

– To też, ale mam coś jeszcze.

– Tylko jedno ci w głowie.

– Więc nie przyjdiesz?

– Jeśli przyjdę, zranię cię.

– Zranisz?

– Tak. Nie chcesz, żebym przysłała.

Zawahał się, w końcu jednak ponowił prośbę, a ona odłożyła słuchawkę. Pół godziny później pukała do drzwi.

Była piękna jak nigdy, dlatego rzucił się na nią i od razu posiadł. Daremne jednak były jego wysiłki. Dziewczyna oddała mu się z dawną ochotą, lecz nie osiągnęła spełnienia.

– Co się stało?

– Już nigdy nie będzie mi z tobą dobrze – wyznała. Zapaliła papierosa i zaczęła się ubierać.

– Nie musisz odchodzić, zostań – poprosił. Spojrzała przez ramię i uśmiechnęła się.

– Kochałam cię, wiesz?

– Pewnie tak – wzruszył ramionami.

– Ponad wszystko, aż do chwili, gdy zrozumiałam, jakie to szczeniackie i... mdłe. Właśnie tak, zrobiło mi się niedobrze. Tej nocy, gdy byliśmy u tej chorej kobiety.

– Nie mów tak o niej.

– Jest chora.

– Jest artystką.

– Nienormalną.

Była już prawie ubrana. Zostały tylko buty. Jednak nie włożyła ich. Wzięła w palce prawej ręki i na bosaka ruszyła do wyjścia.

– Czemu nie włożyłaś butów? – zapytał. Uśmiechnęła się.
– Nigdy nie wkładałam. Nigdy, gdy... byłam u ciebie. Gdy się kochaliśmy. Nie zauważyłaś?

Nie, nie zauważył. Bastian zastanawiał się przez chwilę.

– Dlaczego?

– I tak byliśmy wystarczająco głośno, gdy się kochaliśmy – wyjaśniła. – Szkoda mi było sąsiadów. Tych z dołu. Moje buty stukają jak wieczny zegar śmierci. Nieprawdopodobnie hałasują. Jeszcze bardziej niż twoje łóżko, gdy się kochamy. Do zobaczenia.

– Przyjdiesz jeszcze?

– Kto wie.

Bastian zamyślił się. Zastanawiał się, czy ją kocha. Nie, jednak nie. Tym bardziej po tej nocy. Nasłuchiwał, kiedy drzwi się zamkną. Oczekiwał kruchego zgrzytu zamka, tak dobrze mu znanego. Odpowiadała mu tylko cisza. Nie wyszła. Była wciąż w przedpokoju.

Rozdział 13

Najpierw wróciła jej głowa. Zobaczył, że płacze i przez chwilę zapragnął wziąć ją w ramiona, przytulić, pogłaskać po plecach i powiedzieć: wszystko będzie dobrze. Jak zawsze. Wraca do normy.

Potrząsnęła gwałtownie głową, dając mu znać, że nie chce, by się zbliżał, po czym usiadła przy ścianie, opierając plecy tuż pod kiepskim obrazem nieznanego nikomu Aarona Krigla, który Bastian kupił na wyprzedaży w Meksyku. Obraz przedstawiał skuloną kobietę tonącą w ciemności. Kupił go z powodu historii, którą opowiedział mu meksykański bazarowy marszand.

– To opowieść o wielkiej miłości Krigla do pewnej latynoskiej modelki. On kochał ją bezgranicznie, ale nie potrafił osiąść, gdyż jej cipka była zbyt ścisła, a jego kutas za miękki. Krigel był alkoholikiem, przez co miał miękkiego kutasa. A ona mogła przyjmować w siebie tylko twarde kutasy. Tego dnia, gdy ją namalował, ona wyznała mu, że właśnie oddała się kierowcy ciężarówki i on jej dogodził. Była pijana, piła to wino, które ledwie widać przy ścianie. Krigel malując obraz wiedział, że zaraz potem, jak już zostanie sam, podetnie sobie żyły. Nawet uśmiechał się do tych myśli, bo one przekonywały go, że dzięki temu zostanie sławny, jak wielcy malarze. Wszyscy zostają sławni po śmierci. Niestety wszystkie obrazy Krigla zaaresztował urząd skarbowy i zdeponował w wielkim sejfie w Toluca. Ten jest jedyny, który się zachował.

– Ile kosztuje? – zapytał Bastian, na co sprzedawca uśmiechnął się i odparł:

– Jest bezwartościowy. Ale możesz go mieć za tyle, ile masz w portfelu.

Bastian miał w portfelu pięćdziesiąt trzy dolary i dwadzieścia centów. Sprzedawca wziął tylko banknoty i powiedział:

– To dobry zakup, przyjacielu. Kupiłeś jedyne dostępne płótno mistrza Krigla.

Teraz Bastian patrzył zdumiony, jak Ina przyjmuje tę samą pozę, co nieszczęśliwa modelka austriackiego malarza zmarłego w Meksyku.

Nie wiedząc, co może powiedzieć, milczał, aż doczekał się wyjaśnienia. Ina mówiła początkowo krótkimi rwącymi zdaniem, by z czasem coraz płynniej opowiadać:

– Gdy ruszyłam do domu, byłam zmęczona. Postanowiłam złapać taksówkę, ale o tej porze to nie było takie łatwe. Ulice były puste, nikt nie jechał. Aż w końcu pojawiła się taksówka i mnie zabrała. Kierowca śmierdział jakimś smarem i miał brudne ręce. Jednak zamiast mnie to odrzucić od niego, zaintrygowało, tym bardziej gdy przeczytałam imię mężczyzny. Spojrzałam w jego oczy w lusterku i stwierdziłam, że są tak błękitne jak morska woda. Pomyślałam przez chwilę, że mogłabym go zamordować za te oczy, a potem nagle poczułam podniecenie. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, licznik wybił niecałe pięć euro. Sięgnęłam do torebki i nie znalazłam portfela. Nie miałam pieniędzy. Roześmiałam się i powiedziałam przepraszająco:

„Zapomniałam portfela. Mogę zostawić panu dowód i zapłacić jutro?”

„Czy za pani dowód coś kupię?”

„Nie” – przyznałam.

„W takim razie to nie jest zapłata”.

„Jak więc mam panu zapłacić?”

Kierowca obejrzał się i wtedy zobaczyłam w nim coś zwierzęcego i strasznie prymitywnego. Bez słowa uruchomił silnik i ruszył, ale nie wysiadłam, nie krzyczałam, choć przecież wiedziałam, do czego zmierza. Wywiózł nas na wysypisko śmieci i zaparkował w bocznej uliczce. Widziałam wielką górę śmieci, kruki i bezpańskie psy krążyły wokół, kracząc i wyjąc. Ja zaś, zamiast się przerazić i nabrać obrzydzenia, czułam, jak rośnie we mnie potrzeba śmiechu. Rozśmieszyło mnie to.

„Ależ wybrał pan romantyczne miejsce” – powiedziałam.

„Miejsce jak miejsce. Jak pani na imię?”

Powiedziałam mu. A potem zapytałam, co chce ze mną zrobić i czy nie sądzi, że 5 euro to za mała kwota, by w ten sposób się rozliczać.

„Wie pani, co w moim kraju można kupić za 5 euro?”

Odkręcił się, zdjął koszulę, ukazując wytatuowane, umięśnione ramiona, a ja pomyślałam, że się na mnie zaraz rzuci. Jednak nie zrobił tego. Spojrzał mi prosto w oczy i powiedział:

„Proszę mi opowiedzieć jakąś bajkę”.

„Bajkę?”

„Tak, bajkę”.

Przeraziłam się, bo nie znam żadnych bajek. On tymczasem zamknął oczy i czekał. „No, niechże pani mówi”.

Do diabła, rzeczywiście nie znałam bajek. Nie pamiętałam, żeby ktokolwiek mi je opowiadał. Moja matka nie bardzo lubiła czytać, a ojciec myślał tylko o kumplach, bójkach w barach, piwie i rybach. Tak, lubił jeszcze łowić ryby. Pomyślałam, że pewnie więcej bajek potrafiłby mi opowiedzieć ojczym, ale kiedy pojawił się w moim życiu, byłam już za stara na bajki. Swoją drogą nigdy ci nie mówiłam tego, co mi matka wyznała po śmierci ojca. Otóż opowiedziała mi, że mojego ojczyma znała jeszcze wcześniej. Był porządnym człowiekiem i kochał się w niej. Kilkakrotnie próbował się z nią umówić i prosił o rękę, lecz ona odmawiała. Jednak imponowało jej, że chce się z nią umawiać, a już szczególnie zachwyciło ją to, że powiedział, iż będzie na nią czekał, aż w końcu zrozumie prawdziwą miłość. Moja matka nie rozumiała i dlatego wpadła w brudne łapska mojego ojca, który cenił brutalną siłę i brał kobietę, spluwając wcześniej w dłonie i zacierając je z zadowolenia, a podczas miłości, patrząc w sufit, krzyczał sprośności, bo tak lubił.

Ta opowieść nie nadawała się na bajkę. Nie znałam niczego, co by się nadawało. No i wtedy wpadłam na pomysł, że przecież mogę wymyślić jakąś bajkę, na przykład o tobie, o Bastianie i o czymś związanym z nieboszczykiem. I tak powstała baśń o Bastianie i złotej rybce.

Zaczęłam mówić, a on słuchał. Choć nie szło mi najlepiej, uznałam, że nie było tak źle. Kiedy skończyłam, mężczyzna

otworzył oczy i powiedział z wyrzutem:

„Nie umie pani opowiadać bajek”.

„To prawda”.

Wyznał mi, że wszystkie jego tatuaże coś oznaczają i są zainspirowane baśniami. Myślał, że po mojej opowieści będzie mógł sobie sprawić kolejny, ale go zawiodłam. Taksówkarz założył koszulę, poprawił mankiety i kołnierzyk, po czym rzekł:

„Pani opowieść nie była warta pięć euro. Proszę wysiąść”.

„Ale...” – zaprotestowałam nieśmiało.

„Gdyby pani opowiedziała dobrą bajkę, odwiozłbym panią i podziękował. Nie zasłużyła pani. Proszę wysiąść”.

Wysiadłam i taksówka odjechała.

Szłam powoli w kierunku centrum i zastanawiałam się, czy może mnie spotkać coś złego. Zabawne, że uznałam, iż nawet lepiej byłoby, gdyby mnie zgwałcił ten taksówkarz, niż gdybym teraz miała stać się czyjąś ofiarą na tej śmierdzącej drodze. Lecz im bliżej byłam cywilizacji, tym bardziej ogarniał mnie optymizm.

Słyszałam już autostradę i widziałam pierwsze zabudowania, dodatkowo świt wyganiał noc i robiło się widno. Wtedy na drodze go zobaczyłam. Był kosmaty, miał czerwone oczy i wydawał się straszliwie duży. Widziałeś kiedyś wilka? Tak właśnie pomyślałam, że to wilk. Pomyślałam, że może jest nawet wilkołakiem. Mierzyliśmy się przez chwilę wzrokiem i ja czułam to, że nie jestem w stanie wygrać tej psychologicznej wojny, że zaraz okażę strach, on poczuje moją słabość, wyszczerzy kły, warknie i zaatakuje.

Tak też się stało. Wilk ruszył na mnie z furią i wtedy nagle coś zawirowało w powietrzu, i pomiędzy mną a zwierzęciem wylądował jakiś szurnięty facet z doczepionymi do ramion skrzydłami.

Były wielkie i lśniące.

Wszystko to wyglądało strasznie zabawnie, gdyż facet nie był żadnym herosem, błyszczącym od mięśni tylko przeciętnym, rumianym grubaskiem. Był lekko otyły, nieciekawym, zupełnie pozbawionym cech bohatera. Wyglądał jak Brandauer albo co najwyżej Marlon Brando we wcieleniu Amerykanina Paula.

Stary dobry Brando z obwisłymi wałkami tłuszczu na biodrach i tyłku.

A jednak wilk szybko zrejterował i uciekł. Mój wybawca odwrócił się i wtedy zobaczyłam, że jest całkiem nagi. Jego członek dyndał śmiesznie między nogami. Dostrzegł moje zgorzienie i wyjaśnił:

„Wybacz Ino, ale tam, w kosmosie, nikt nie przywiązuje wagi do strojów”.

Skinęłam tylko głową, dziwiąc się, że zna moje imię.

On zaś zdjął skrzydła i przyjrzał mi się ciekawie.

„Jesteś dziewczicą?” – zapytał w końcu.

„Nie”.

„Rumienisz się jak dziewczica”.

„Przez wiatr i zimno. Mam delikatną skórę”.

„Nie kłamiesz? Na pewno nie jesteś dziewczicą? To dobrze, nigdy nie gwałcę dziewczic”.

Rzucił się na mnie i zgwałcił, a ja początkowo opierałam się, aż do chwili gdy zrozumiałam, że mój opór jest bezcelowy, bo i tak nic nie wskóram.

„Opieraj się. Jeśli nie będziesz się opierać, nie będzie przyjemności”.

Trochę się więc opierałam. I kiedy już był we mnie, zrozumiałam, że to jest właśnie mężczyzna, którego chcę poślubić. Opierałam się więc, jednocześnie dając mu odczuć, jak bardzo pragnę jego namiętności i brutalności, a on mi dawał tego tyle, ile oczekiwałam. Ani mniej, ani więcej.

Mówią, że nie ma idealnych kochanków. Ja jednak myślę, że każdy, kto tak twierdzi, powinien czasem dać się wywieźć na jakieś wysypisko śmieci.

Och, ależ to była noc.

Tak Bastianie. Dopadł mnie sen wyśniony i upragniony. Ten jeden jedyny, kochanek z marzeń, którego nie sposób spotkać ot tak, w zwykłych okolicznościach. Było mi tak dobrze, że wiedziałam już, że nigdy więcej, z nikim nie osiągnę spełnienia. Kiedy skończył, wstał szybko, zadowolony, rozprostował kości i powiedział:

„Wspaniała byłaś, Ino. Dałaś mi wiele przyjemności”.

Pragnęłam z całego serca coś odpowiedzieć, ale doprawdy nie wiedziałam, co nie zabrzmie w tych okolicznościach idiotycznie. On tymczasem sięgnął do skrzydeł, założył je i z niewielkiego schowka umieszczonego w szkielecie wyszarpnął wizytownik.

Wyjął wizytówkę, wręczył mi ją i powiedział, że bym się z nim skontaktowała, jak tylko poczuję potrzebę, by ktoś mnie zgwałcił.

Zatrzepotał skrzydłami i poleciał na zachód. Niebiańskie ptaki ulatują na zachód. Tak właśnie pomyślałam. Dają rozkosz, kradną niewinność i uciekają tam, gdzie im lepiej, gdzie kobiety są bardziej pachnące i gdzie płacą mężczyznom za miłość w euro, a nie kopiejkach. Tam właśnie uciekają niebiańskie ptaki.

Na wizytówce miał wypisane tylko imię i nazwisko oraz adres e-maila na Facebooku. Dawno temu postanowiłam, że nigdy nie założę konta na Facebooku i dlatego pomyślałam, że to może też jest zrządzenie losu. Bo kiedy próbowałam wysłać maila do mojego kochanka, okazało się, że nie mogę, dopóki nie założę tego przeklętego konta.

Spotkałam moją połówkę, Bastianie, dlatego nigdy już nie będzie nam ze sobą dobrze.

Bastian nie był zły. Czuł, że miłość jest ważniejsza niż jego pragnienia. Chciał pocieszyć Inę i dlatego powiedział:

- Powinnaś być szczęśliwa, że go znalazłaś.
- Nie jestem, to nie ma sensu.
- Dlaczego?
- Wiesz, jak się nazywa? Wiesz, jakie nazwisko widniało na wizytówce?

Wiedział, nie musiała mówić.

- Jaszyn. Siergiej Jaszyn.

Rozdział 14

Anna otworzyła oczy. Nie spała już od jakiegoś czasu. Udawała, czekając aż Siergiej wpadnie w objęcia Morfeusza. Teraz jego pierś unosiła się miarowo w górę i w dół. Spał. Nawet demony śpiąją, czemu więc nie miałby spać? Trupy też wyglądają jak śpiący wędrowcy. Szaroniebieskie cienie wyłaniające się z mroku. Tym bardziej topielcy z zimnych wód Erdbeere. Szczególnie jeśli pływają w błękitnej wodzie snów. Opadają w otchłań z włosami, rozplywającymi się w wodzie. Ich oczy są błyszczące i wpatrzone gdzieś w górę, jakby nie chciały odwiedzić miejsc, gdzie czeka je wieczność. Nie dostrzegają piekła, gdyż piekło strzeże swych mrocznych tajemnic aż do samego końca. Nawykłe do suspensu czeka do chwili, gdy stukamy do gorących drzwi i pozwalamy magicznym ogniom wkraść się do serca.

Gdybym go zamordowała, z pewnością trafiłabym do piekła – pomyślała Anna. Chyba i tak mnie to czeka?

Myśl o morderstwie była kusząca, fascynowała jeszcze bardziej niż mordercze opowieści. Nie pierwszy raz zresztą miała ochotę świadomie kogoś zabić. Przypomniała sobie Eisnera, mężczyznę wielkiego jak niedźwiedź, pozornie ospałego i pocziwego Eisnera, w którego lodowym sercu mieszkały same złe uczucia. Eisner. Dawno o nim nie myślała.

– Patrząc na ten obraz mam wrażenie, że zagłębiam się w jakimś niebywałym fotelu z samego puchu – powiedział Eisner tego pierwszego dnia, gdy się spotkali. Patrzył na jej obraz i mówił: – Puch jest miękki i wygodny, ale jednocześnie nie daje mi bezpieczeństwa. Nie mogę mu zaufać, bo jest tylko puchem. Nie bardzo rozumiem, dlaczego jest w stanie utrzymać moje potężne ciało. Przecież jest taki delikatny, a ja jestem ogromny i mało subtelny. Wstaję więc i przyglądam się. I wówczas widzę to, czego początkowo nikt nie dostrzega.

– Co to takiego?

– Tajemnica – odparł Eisner. – Widzę tajemnicę, której nawet autorka tego obrazu zdaje się nie zauważać, albo tak udaje, jakby krygowała się przed samą sobą. Widzę czerwoną plamkę zrobioną dla żartu, która nagle rośnie, staje się zarodkiem czegoś niepojętego, zyskuje życie i dar tworzenia. Widzi pani?

Pokazał palcem na plamkę czerwieni. Anna przyjrzała się jej, udając, że rzeczywiście dziś zobaczyła ją po raz pierwszy. Potem odeszła na trzy kroki i przyjrzała się całemu obrazowi. Z tej odległości nie widać plamki czerwieni, tak jak nie widać główek szpilek wbitych w krawędź dywanu. Obraz przedstawiał kobietę leżącą na ziemi. Była z puchu. Była kobietą upadłą. Pierzaste pióra, tworzące jej postać, wiły się na umazanej wielobarwną farbą podłodze. Skulona w rozpacz, skrywała twarz w cierpieniu i wstydzie, tuliła swe grzeszne ciało, jakby chciała powiedzieć: przyznaję się i błagam o wybaczenie.

– Dlaczego kobieta przypomina panu fotel z puchu? -zapytała.

– Jest z puchu – Eisner wzruszył ramionami.

– Ale jest kobietą, a nie fotelem. Eisner pokiwał wyrozumiale głową.

– Myślę, że ani ja, ani pani nie jesteśmy zdolni pojąć geniuszu artystki. Ale oboje dostrzegamy piękno, tak jak i krew, prawda? Pani też to dostrzegła? Pani też zauważyła czerwień i także myśli, że to prawdziwa krew?

Anna przypomniała sobie, jak przypadkowo ukłuła się przy tworzeniu tego obrazu. Plamka krwi wylądowała na nieskazitelnej bieli kobiecej postaci. Stworzyła skazę tak mikroskopijną, że – pomimo kontrastu kolorów – trzeba było dłużej wpatrywać się w ten jeden punkt, by ją dostrzec. Chciała ją zamalować, lecz coś w jej umyśle powiedziało: nie jesteś zbrodniarzem, Anno, nie chowaj uczuć za maską zobojętnienia, nie staraj się być tym, kim nie jesteś. Krew to życie. Z krwi rodzi się piękno, rozkosz i miłość. Cierpienie? Także, ale czyż życie pełne przygód nie jest warte cierpienia? Miłość doceniamy tylko wtedy, gdy jest wzniosła. Skundlona

kochanka, obita pięściami i kopniakami, kwiląca gdzieś w rogu pokoju i błagająca o śmierć, poznała miłość. Tę prawdziwą. Kobieta, która namalowała ten obraz, niewiele wie o miłości.

– Skąd taki wniosek? – zapytała. Eisner wzruszył ramionami.

– Przekonanie. Tak po prostu, wyrażam swoje zdanie. Wskazał na ramię kobiety z obrazu i skrzywił się.

– Dlaczego przyszło jej do głowy tatuować jakieś głupie numery, jakby była to Żydówka z obozu koncentracyjnego. My, Niemcy, nie powinniśmy sobie sami o tym przypominać. Każdy ma do tego prawo, ale nie my sami. Co ja mówię? Wie pani, ja czasem się upieram, że mam prawo mówić o historii, bo też coś tam przeżyłem, w jakiś sposób historia mnie dotknęła. Ale gdy patrzę na te obrazy, to sam już nie wiem.

Przez twarz mężczyzny przebiegł jakiś błysk, jakby została porażona prądem. Anna miała wrażenie, że przez chwilę utonęła w pikselach niczym obraz z telewizora cyfrowego. Zamarła, rozleciała się i wróciła do normalności.

Mówił teraz nieco innym głosem, wydobywającym się gdzieś z głębi ciała, jakby nieswoim.

– Obrazy tej dziwnej kobiety poszukują prawdy, a ja tylko poszukiwałem potwierdzenia, że nie jestem draniem i nie muszę spłacać długi ojca. Mój ojciec... wie pani, był esesmanem. Kiedy zyskałem już własną świadomość, pytałem go o wojnę i wspomnienia, lecz zawsze odpowiadał: „było, minęło”. Albo: „to wszystko nie było tak jak na filmach”. Jednak któregoś dnia, gdy miałem może piętnaście lat, ojciec upił się i zaprowadził mnie do piwnicy. Zapytał: „Co myślisz Gerd o Żydach?”. Był pijany, więc nie byłem pewien, co odpowiedzieć. Milczałem więc. A on pytał dalej: „Czy wiesz, że chcieliśmy wszystkich wymordować? Że udało nam się wybić całkiem sporo? Wiesz, że byliśmy potworami, zabijającymi miliony?” Skinąłem głową, a wtedy ojciec nachylił się do mojego ucha i zasyczał złowrogim szeptem: „I dobrze, Gerd, bardzo dobrze, bo to plugastwo pleni się jak robaki albo bakterie. Są chorobą i Hitler wiedział, co robi. Gdyby nie pieprzeni Amerykanie i zima w Rosji, już byłoby po wszystkim. Już byśmy wszystkich wykończyli. Sześć milionów Żydów. Co

to jest sześć milionów, gdy oni zalewają cały świat. Są najgorszą plagą ludzkości”. Mówił, a ja słuchałem, lecz wcale nie byłem przerażony. Jego słowa przechodziły przez moją głowę jak pociąg, niezatrzymujący się na tej stacji. A ojciec pędził dalej, sycząc: „Spójrz na me dłonie, mały, sam udusiłem kiedyś jednego z nich. Tymi dłońmi. Nikt mi nie kazał. Zrobiłem to, bo zastanawiałem się, jak to jest dusić kogoś, a potem pomyślałem, że w sumie co mi szkodzi, by sprawę dokończyć. Tak, tymi dłońmi. I jak się przekonałem, to poczułem się strasznie dobrze. Następnego dnia zaś wyłowilem kolejnego gagatka i zrobiłem to ponownie”.

Mężczyzna zamilkł na chwilę. Przez jego twarz ponownie przebiegła błękitna iskra, ponownie rozsypała się w pikselach i Anna znów zastanawiała się, czy jej rozmówca jest prawdziwy. On tymczasem mówił dalej:

– Przerazające, pewnie pani pomyśli. Tak, przerażające, ale to nie wszystko. To zaledwie początek mojej drogi przez diabelski wąwóz, na którego końcu panuje wieczna noc. Ojciec sięgnął do starej, ukrytej pod regałem szkatułki. Wygrzebał z niej jakąś rosyjską gazetę, w której był wielki artykuł zatytułowany: „Złapano dusiciela z Dachau!” Czytałem o mordercy, który udusił własnymi rękami co najmniej trzystu więźniów, a może były ich nawet tysiące, a mój ojciec w tym czasie rechotał. Rosyjska gazeta pisała, że sprawiedliwości stanie się zadość i Hans Hirschke, oprawca i dusiciel z Dachau, został ujęty i poniesie zasłużoną karę. „Ha, Hans Hirschke” – zaśmiał się ojciec. – „Nazwisko Hans Hirschke brzmi jak pusty śmiech. Ha ha ha. Prawda jest taka, że Hans Hirschke nie był zdolny nawet do zastrzelenia pieprzonego Żyda, a co dopiero do uduszenia kogokolwiek. Hans był pierdolonym onanistą, który nic nie potrafił. Za to świetnie nadawał się na kozła ofiarnego. Uwierzysz, synu, jak łaskawy może być los?”

Zamilkł. Anna także się nie odzywała.

– Tak, droga pani, my Niemcy nie powinniśmy przypominać sobie o pewnych sprawach.

Anna patrzyła w oczy Eisnera i zastanawiała się, czy czuje pogardę, czy też litość i współczucie. A może była to nienawiść i

żądza czynu.

– Dlaczego mi pan o tym opowiedział?

– Nie kryję swojej przeszłości. Szczęcę się nią. Na niej zbijam kapitał polityczny. Nazywam się Gerd Eisner – powiedział, wyciągając do niej dłoń.

Miał silny uścisk, choć jego dłonie wydawały się delikatne i wypiełgnowane. Anna miała słabość do ładnych dłoni. Mimo to nie wyjawiała mu swego imienia. Pozwoliła przytrzymać dłoń dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy to nazwisko jest znane i powinno jej coś powiedzieć, po czym odwróciła się i odeszła.

Eisner zadzwonił już następnego dnia rano, kiedy jeszcze spała. Podniosła słuchawkę i skrzywiła się na skrzekliwy głos kobiety, strzelającej słowami jak automat.

– Biuro senatora Eisnera, czy mogę połączyć rozmowę? Nastąpił trzask, szum, po czym usłyszała chrząknięcie i Eisner zasypał ją gradem wypiełgnowanych zdań, przepaszając, że jej nie poznał i zameczając smutnymi opowieściami z własnego życia. Mówił wyraźnie, z twardym akcentem z Zagłębia Ruhry. Był typem człowieka, który nie słucha innych. Interesowało go tylko własne zdanie i jaki stopień poparcia uzyska. Anna przypomniała sobie tę nalaną twarz, wielką, owalną, pocziwą, z gęstą brodą i wąsami, pachnącymi tłuszczem ostatniego posiłku. Twarz szepczącą o cierpieniu i dłoniach zaciskających się na szyjach ofiar.

W nocy, po powrocie z galerii przejrzała informacje o Eisnerze w internecie, przeczytała wiele pozytywnych komentarzy, obejrzała zdjęcia z dziećmi, z przecinania wstęg podczas uroczystych kolacji. Gazety chwaliły młodego polityka za jasność formułowania myśli, wierność konserwatywnym ideałom, płomienne mowy, krótkie, za to treściwe oraz otwartość w mówieniu o historii.

Senator rzeczywiście przyznawał się do swojego ojca zbrodniarza i mówił o historii bez kompleksów na użytek mediów i opinii publicznej. Oni jednak nie widzieli prawdziwego wyrazu tych szklistych oczu, nie czuli wydzielanego przez skórę potu, nie słyszeli szeptu diabła, błędzącego w donośnym głosie politycznego zwierzęcia.

Tej nocy przyszło jej do głowy, że twarzy Eisnera nie zdobyły uśmiechy wystudiowane dla dzieci i gospodyń domowych, tylko hitlerowska czapka z przesłaniem śmierci.

– ... proszę mi więc wybaczyć, Anno i przyjąć podarunek, który właśnie powinien do pani dotrzeć.

W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi. Anna otworzyła, onieśmielając negliżem stojącego po drugiej stronie doręczyciela, trzymającego kosz kwiatów. Wzięła kwiaty, odnalazła liścik, na którym było napisane: dozgonny wielbiciel pani talentu i zamknęła drzwi. Podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę.

– Jest pan tam jeszcze?

– Hmm, tak.

Zmieniła ton i powiedziała bezpośrednio:

– Zawsze wykorzystujesz sekretarkę, by dzwonić do kochanek?

Myślała, że Eisner da wyraz zaskoczeniu, powie: „Słucham?” albo cicho upomni: „Nie jest pani moją kochanką”. On jednak milczał. Słyszała, jak głośno przetyka ślinę. A potem powiedział:

– Chciałbym jeszcze raz zobaczyć pani obrazy.

Kochankami zostali w ciągu tygodnia. Annie trudno było określić przyczyny, dlaczego tak się stało i co w nim ją pociągało. Był zaskakująco dobrym kochankiem mimo zaniedbanego ciała i ociężałych ruchów. Nago przypominał kolosa. Był rumiany, opasły i ciężki. Choć wyglądał na otyłego, to był specyficznie tęgi. Zwały tłuszczu nie spływały mu po bokach, ciało nie było miękkie i rozlazłe, lecz zбите i twarde. Napuchnięty brzuch zasłaniał przyrodzenie, był jednak twardy jak kamień. Tors zdobyły duże, niemal kobiece piersi zakończone wyraźnymi, czerwonymi sutkami.

Widok tej surowej, dojrzałej męskości w okazałej postaci nie napawał jej obrzydzeniem, nie sprawiał przykrości. Patrzyła na Eisnera jak na modela i wiedziała, że będzie z niego piękny obraz. Nazwie go „Nagi senator”. Po seksie ciężko dyszał. Ona leżała obolała i zmęczona, czując cały czas na udach i pośladkach jego dłonie, mocno podtrzymujące ją i ściskające,

gdy dochodził do końca.

Serce biło mu tak szybko, że pomyślała: to byłaby dobra śmierć. Wielu mężczyzn umiera podczas seksu, również znanych. Nieraz natrafiła na takie teksty.

„Znany polityk zmarł w trakcie uprawiania seksu”. To dobry tytuł dla prasy.

Spotkali się kilka razy. Dzwoniła do niej sekretarka Eisnera, przełączała rozmowę, umawiali się, on przyjeżdżał, czasem przywoził kwiaty lub wino, zdejmował ubranie, nie wstydził się, gdy go dokładnie oglądała, potem układał się na niej lub brał ją na stole czy blacie w kuchni. Raz zrobili to w windzie na korytarzu. Innym razem nacisnął na jej głowę, domagając się, by użyła ust, a potem silnie szarpał ją za włosy.

Po wszystkim Anna zastanawiała się, dlaczego to robi. Dlaczego wybrała na kochanka mężczyznę dużo starszego, nieatrakcyjnego fizycznie, wręcz brzydkiego. Do tego polityka. Polityka konserwatywnego i być może faszystę, co najmniej faszyzującego. Na domiar złego żonatego, popołudniami bawiącego na kolanach dwójkę dorodnych, odchowanych już dzieci.

Nie знаła odpowiedzi na te wszystkie pytania. Po prostu tak się stało. Nocami, gdy w ukryciu malowała „Nagiego senatora” dopowiadała sobie różne scenariusze i wyjaśnienia. Ale żadne nie było prawdziwe. Czasem w nocy nachodziły ją sny, w których Gerd Eisner przychodził do niej w faszystowskim mundurze zdobionym błyskawicami na kołnierzu, opowiadał jej o żydowskich plagach i miłości do swojej żony, która wyglądała jak lalka i synów w krótkich, czarnych spodenkach, podtrzymywanych przez szerokie szelki.

– O czym myślisz? – zapytał pewnego dnia.

Anna zamknęła oczy. „Nagi senator” był już prawie skończony. Nie musiała nic więcej udawać. Mogła go już zamordować.

– O twojej opowieści – odparła, a gdy uniósł zdziwione brwi, dodała: – O twoim ojcu zabójcy Żydów. Co się z nim stało?

– Umarł – odparł nieśmiało. Wydał się zaskoczony, że ona porusza ten temat.

– Mówiłeś, że zbijasz na nim polityczny kapitał. Taka historia powinna ci przeszkadzać. Dlaczego pomagasz?

Eisner wzruszył ramionami.

– Dwadzieścia lat temu by przeszkadzała. Dziś nasi obywatele coraz częściej wspominają dni chwały. Udajemy, że wypieramy się przeszłości, jednak w duchu marzymy o wielkiej Rzeszy. Bez zabijania Żydów oczywiście. Z Żydami dziś mogą łączyć nas interesy, zamiłowanie do sztuki, banków, precyzji i punktualności. Znajdziemy dla nich miejsce w naszej Rzeszy. Za to nie znajdziemy dla Polaków, którzy zabierają nam pracę, okradają supermarkety i samochody. Nie chcemy rosyjskich gangsterów, ukraińskich dziwek i bokserów, rumuńskich fałszywych kalek, Turków o poplamionych dłoniach i czarnuchów wcinających eklerki. Wielu marzy o czystych Niemczech, ponad wszystko. Mój ojciec jest tego jakimś symbolem. Można go przywołać, odciąć się od niego, pokazać skrucę, ale jednocześnie urosnąć dzięki temu, co symbolizował jego mundur.

– Jego mundur symbolizował śmierć i okrucieństwo.

– Jak szaty templariuszy i misjonarzy.

– Jak ogień i dym z pożogi.

Roześmiał się głośno. Anna patrzyła na jego lekko krzywe zęby, lśniące od gęstej śliny. Lekko siwiejące włosy wąsów zachodziły na szerokie usta. Miały białe końcówki, jakby je przypalał zamiast przycinać. Eisner nie pachniał już perfumami. Śmierdział.

– Przeczytałam twoje wywiady i nigdzie nie mówiłeś o tym, że twój ojciec przyznał się do własnoręcznego zabijania Żydów. Nie opowiadasz mediom, że ich dusił, że był prawdziwym dusicielem z Dachau.

Spojrzał zaskoczony, jakby nie wiedząc, o czym ona mówi. Wydawało się, że rzeczywiście nie wie, że to nie była poza. Nie pamiętał? Westchnął ciężko i opuścił nogi na podłogę. Założył majtki, spodnie, potem skarpetki, długo zapinał koszulę i wiazał krawat.

– Nie odpowiedziałeś – szepnęła.

Odwrócił głowę i wtedy zobaczyła, że płacze. Nie potrafiła

rozpoznać, co oznaczają te łzy. Może były łzami skruchy, a może strachu, że w jakiś niepojęty sposób wydała się jego tajemnica.

Wyszedł.

Anna wzdrygnęła się. Nagle zapragnęła zamknąć drzwi na wszystkie zamki, by zło i szaleństwo, które wypłynęło razem z Eisnerem nie wróciło. Ale nie zdążyła. Gdy dobiegła do drzwi, senator już był z powrotem w środku. Śmiał się do samego siebie. Chichot diabła powodował drgawki na skórze. Stał z zamkniętymi oczami i Anna zrozumiała, że ma do czynienia z szaleńcem, którego druga natura właśnie się objawiła, przejęła kontrolę nad pozorami normalności i całym ciałem.

Cofnęła się poszukując broni, znalazła nóż i czekała aż podejdzie. Wciąż się śmiał. Wskazał na nóż i chichocząc zapytał:

– Co chcesz tym zrobić?

– Zobaczysz! – warknęła i rzuciła się, mierząc w serce. Eisner wyprowadził cios w tym samym momencie.

Odchylił się i uderzył prawą dłonią. Zaciśnięta pięść grzmotnęła w usta i policzek. Cios rozerwał jej górną wargę. Pęknięta kość policzkowa napuchła błyskawicznie zaklejając całe oko. Z nosa pociekła stróżka krwi. Siła uderzenia odrzuciła Annę na ścianę, kilka metrów do tyłu. Upadając uderzyła jeszcze głową. Jednak nie straciła przytomności. Bezwiednie mlaskała smakując słodko--gorzki smak w ustach. Przypominał jej przypaloną watę cukrową.

– Ależ to był cios – zarechotał Eisner. – Gerd Eisner zawsze miał dobry cios, choć nie był za szybki. Na ringu na początku obrywałem, dopóki nie udało mi się zagonić przeciwnika do narożnika. Wtedy był mój. Gerd Eisner nigdy nie wypuszczał z rąk ofiary, gdy już ją dopadł.

Spowaźniał, związał ją mocno czymś przypominającym elastyczny światłowód i zaczął oglądać nagie ciało. Wcześniej raczej unikał patrzenia na jej nagość, jakby był zawstydzony. Dopiero jej uwięzienie odgoniło wstyd.

– Ładna jesteś. Dziwna, ale ładna. Nigdy nie miałem tak ładnej kochanki. Chyba że kurwę. Choć... nie, nawet kurwy ci

nie dorównują. Trochę chłopięco wyglądasz, ale i tak mi się podoba. Cholera, dawno już Gerd Eisner nie miał takiej laseczki.

Anna skuliła się i milczała. A więc to koniec? Tak nadchodzi śmierć. Cicho i niespodziewanie. Zaproszona do domu jak wampir. Może była wampirem.

Usiadł i zapalił papierosa.

– A teraz powiedz mi, skąd wiesz o moim ojcu?

– Sam mi powiedziałeś – szepnęła Anna po chwili zastanowienia.

– Ja?

– Tak, w galerii. Gdy rozmawialiśmy pierwszy raz.

– I opowiedziałem ci o dusicielu z Dachau? O wszystkim?

– Tak.

Popatrzył badawczo i zorientował się, że nie kłamie. Po co miałyby to robić? Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– A więc to prawda. Coś się ze mną dzieje.

– Co masz na myśli? – Anna nie wiedziała, czy pyta, bo jest ciekawa odpowiedzi, czy też chce zyskać na czasie, a może jednocześnie będzie szukać rozwiązania. Tylko jakie rozwiązanie można znaleźć z opuchniętą głową i związanymi za plecami ramionami.

– Ao małym Żydzie, Kristianie? O nim też ci opowiadałem? – zapytał ignorując jej pytanie.

Pokręciła przecząco głową. Znów zachichotał. Poprawił krawat i usiadł obok, starając się uspokoić oddech. Nie bardzo mu to wychodziło. Mówił urywanymi zdaniami, podniecenie i tłumiony śmiech zatykały krtań.

– To... nie jest jeszcze ze mną... tak źle. Wiesz, od jakiegoś czasu mi mówią, że zachowuję się dziwnie... że... mówię, cholera, nie mogę mówić... że mówię różne dziwne rzeczy, a potem... nie pamiętam... o nich. Nie wierzyłem im. Jestem z tych nieufnych, nie wszystkim mierzę... to znaczy wierzę – w końcu przewyciężył niemoc i zaczął mówić w miarę normalnie. – Jednak kilka tygodni temu zdałem sobie sprawę, że to jest poważne. Wezwano mnie na rozmowę do kancelarii partii i oświadczone, że nie będę ich kandydatem na

prezydenta. Może nie wiesz, ale miałem nim być. Gerd Eisner miał być kandydatem na prezydenta partii konserwatywnej. Nawet dawano mi szansę na zwycięstwo, co byłoby sporym zaskoczeniem, bo rzadko kto, debiutując, osiąga sukces.

Tak więc zdziwiłem się. A oni pokazali mi zdjęcia jakiejś dziewczyny i zapytali, czy ją znam. Była to przeciętna kobieta o czerwonych włosach, z mocnym makijażem na twarzy. Przyjrzałem się, ale nie skojarzyłem. Co miałem powiedzieć? Wtedy pokazali mi artykuł z polskiej gazety pod tytułem: „Belgijska prostytutka oskarża Romana Szarka o gwałt”. Zaczynałem rozumieć. Nie pamiętałem tej dziewczyny, ale pamiętałem Romana. Poznałem go w Brukseli, kilka lat temu, gdy obaj byliśmy eurodeputowanymi. Roman dużo pił i wtedy dużo mówił. Jemu też musiałem opowiedzieć o ojcu, choć tego nie pamiętałem. Jednak któregoś dnia po sesji parlamentu w hotelu powiedział mi:

„Wiesz, jeśli chodzi o twojego ojca, to nic się nie zmieniło pomiędzy nami. To nic dla mnie nie znaczy. Dziś jesteśmy braćmi”.

I opowiedział o swoich problemach z kobietami. W niektórych ludziach tkwi plugawa potrzeba samoponizowania i jednocześnie bycia w grupie sobie podobnych. Gdy uznał, że jestem kimś takim, natychmiast chciał mi ujawnić swoje skazy i sekrety, bym nie miał poczucia, że jestem kimś gorszym, bym zawiązał z nim swoiste braterstwo podłości.

Tak więc opowiedział mi o kobietach. Lubił je bić. Tak po prostu. Lubił na siłę. I chciał mi to pokazać.

Sam nie wiem, jak to się stało, że wynajęliśmy tę prostytutkę, ale stało się. Chyba zrobiliśmy to razem, chyba zrobiliśmy jej krzywdę i chyba się wściekła. Nie pamiętałem, gdy zapytali o to przyjaciele z partii. W każdym razie opowiedziała mediom tylko o Polaku.

Następnie zwróciła się do mojego ugrupowania z propozycją sprzedaży zeznania.

„Jeśli zapłacicie, zapomnę o waszym towarzyszu” – tak im przekazała.

Moi towarzysze zapłacili, lecz uznali, że teraz nie mogą już

być ich kandydatem. To byłoby zbyt duże ryzyko dla partii. Piekliłem się, że przecież dziwka może kłamać, że ja to nie ja, że w ogóle to nie ma znaczenia.

Wtedy pokazali mi film z nagraniem. Polak spał na nim pijany, a ja rozmawiałem z dziwką. I opowiadałem jej o moim ojcu. Być może to wszystko dałoby się jeszcze wytłumaczyć i zatuszować. Ja jednak musiałem pójść dalej. Mroczna część mnie domagała się spełnienia. Zaproponowałem jej tysiąc euro, jeśli da mi się trochę poddusić. Tak, poddusić. Zgodziła się, skubana. Powiedziała, że nie będzie krzyczeć, ale jeśli powie, że ma już dość, to mam przestać.

Rozebrała się, ustawiła, pozwoliła bym się nad nią trochę poznać, a potem dała się poddusić.

Kiedy mi to puszczała, przypominałem sobie całą tę scenę i starałem wytłumaczyć, dlaczego to zrobiłem i dlaczego potem przestałem, kiedy już prosiła. Nie udusiłem tej cholерnej dziwki. Przestałem, kiedy chciała. No może jedynie trochę później, tak by poczuła przez chwilę strach, że to mogło się skończyć inaczej.

Dotrzymałem jednak obietnicy, ona dobrze zarobiła i nic jej się nie stało. Za to zniszczyła pieprzonego Polaka i zaszantażowała moich przyjaciół, niszcząc jednocześnie część mojej kariery. Przeklęty świat.

Anna przez cały czas próbowała oswobodzić dłonie, jednak wiązania były mocne i założone z wprawą. Gerd Eisner nie pierwszy raz wiązał ofiarę. Znów zamknął oczy i zaczął oddychać spokojniej. Miała wrażenie, że zasnął. Kiedy się ocknął, rozejrzał się niespokojnie, jakby nie pamiętając, gdzie jest i co tu robi wraz z nagą, związaną kobietą. Anna zamknęła oczy i zaczęła się modlić. Bywały czasy, że pragnęła śmierci, lecz nie chciała, by przyszła w taki sposób.

Eisner zagryzł wargę i wrócił do rzeczywistości.

– Niedobrze, coś mi się kielbasi, cholera, niedobrze. O czym ja mówiłem? Aaa, o Żydzie. O pieprzonym Kristianie – przypomniał sobie wcześniej zgubiony wątek. – Kiedy mój ojciec zorientował się, że jego wojenne opowieści nie wywołują u mnie niesmaku, a wręcz przeciwnie, zaczął dopowiadać

więcej szczegółów. Musisz wiedzieć, że łączyła mnie z nim specyficzna więź, gdyż matkę zabrała gruźlica, gdy miałem ledwie pięć lat. Praktycznie nie pamiętałem jej, ojciec był dla mnie całym światem.

Któregoś dnia kupił na wyprzedaży w sklepie Karstadt manekina medycznego. Miał łysą głowę, śmieszny wyraz twarzy, czerwony kubraczek i znaczki w miejscach ważnych dla ratowania życia. Był z tworzywa sztucznego pokrytego imitacją skóry. Gdy się jej dotykało, na chwilę zostawały nań ślady palców. Jednak wystarczyła minuta, dwie, a znikwały. Ojciec pokazał mi różne chwytty oraz techniki duszenia i zdradził sekret:

„Na prawdziwej skórze ślady zostają już na zawsze”.

Chwytał gwałtownie szyję manekina, zaciskał palce w stalowym chwycie, jego ramiona naprężyły się i zastygały w bezruchu na kilka minut.

„Ważne jest, by pierwszy ścisk był silny, najsilniejszy jak umiesz, a potem ważne jest metodyczne podtrzymywanie go, tak by sprawę zakończyć przy pierwszej próbie. Niektórzy cholerni Żydzi potrafią przeżyć nawet pięciominutowe duszenie. Musisz umieć podtrzymać chwyt dłużej, nawet dziesięć minut. Można też dusić pulsacyjnie, wyobrażając sobie migającą diodę. Mocny ścisk, osłabienie, złagodzenie, odpoczynek, kolejny mocny ścisk...”

Trenowaliśmy kilka tygodni, gdy przestało nam to wystarczać. Wówczas ojciec zaczął pytać o moich kolegów z klasy. Kazał opisywać ich sposób mówienia, zwyczaje, wygląd. Gdy opowiadałem mu o Kristianie, nagle zainteresował się bardziej.

„Ma krzaczaste brwi? Duży, spiczasty nos, powiadasz? Wystające kości policzkowe? Lubi pieniądze, nigdy nie zapomina, komu i ile pożyczył? Często oblizuje usta? Boi się patrzeć w oczy kobietom? Ciągłe szepcze coś pod nosem? Wydaje się nieco wyobcowany? Na pytania odpowiada cicho i bojaźliwie? Generalnie wygląda jakby wcale nie żył, a gdy go ktoś zaczepia, nadstawia drugi policzek?” – dopytywał.

W końcu zawyrokował: „To Żyd, jak nic, to pieprzony Żyd”.

Nie wiedziałem, czy Kristian był Żydem. Nie przepadałem za nim, nie trzymaliśmy się razem. To też pasowało ojcu. Któregoś dnia przyszedł do mnie w nocy i powiedział, że chciałby przeczytać mi baśń na dobranoc. Nigdy nie czytał mi baśni na dobranoc. Jednak nie była to zwykła bajka. I wcale jej nie czytał, tylko opowiadał z pamięci. Opowiadała o chłopcu, którego ojca wydymała historia i który musi teraz się zemścić, jeśli chce być prawdziwym synem swego ojca.

„Ty jesteś tym chłopcem” – powiedział na koniec ojciec.

Następnego dnia godzinami ustalaliśmy plan działania.

„Plan jest podstawą sukcesu – tłumaczył ojciec. -Wszystkie skomplikowane operacje wymagają planu. Nurkowanie, skakanie ze spadochronem, eksmisja komornicza, reformy emerytalne. Sukces zależy od planu. A morderstwo jest najbardziej skomplikowaną operacją z wymienionych”.

Miałem nadal utrzymywać chłodne stosunki z Kristianem, żeby nie skierować na siebie podejrzeń, gdy już uda nam się to, co zaplanowaliśmy. Jednocześnie podjęliśmy kroki, by zwabić ofiarę do lasu za miastem.

„Na wabika najlepsze są kobiety i pieniądze. Jak myślisz, co będzie lepsze na Żyda?”

Ojciec mylił się, bo na propozycję zawarcia transakcji życia Kristian w ogóle nie zareagował. Kiedy jednak podszyciłem się za klasową piękność i wrzuciłem mu do kieszeni liścik z propozycją schadzki w lasu, biedak pojawił się w wyznaczonym miejscu.

„Widzisz, synu, jak to jest myśleć kutasem? Nic dobrego nie wynika z używania małej główki zamiast dużej” – śmiał się stary.

Podjechaliśmy samochodem i zaprosiliśmy Kristiana do środka. Nie chciał wsiąść, ale gdy powiedziałem, że działamy w imieniu Claudii, owej wspomnianej piękności, usadowił się obok mnie na tylnej kanapie auta.

Ojciec początkowo zamierzał załatwić sprawę w lasu. Zmienił zdanie pod wpływem impulsu. Pojechaliśmy do naszego domku nad jeziorem. Było zimno. Tego dnia, o tej porze roku, nie było w okolicy żywej duszy.

Kristian nie zorientował się do samego końca, że to pułapka. Gdy ojciec zdzielił go kijem bejsbolowym w głowę, wciąż miał ten zaskoczony wyraz twarzy.

A potem... potem go udusiliśmy. Przynajmniej próbowaliśmy.

Mimo że ojciec wielokrotnie pokazywał mi jak to się robi na manekinie, mimo że Kristian był nieprzytomny, nie potrafiłem tego zrobić. Za słabo zaciskałem palce, źle układałem dłonie.

Ojciec nie był zadowolony. Krzyczał, poddawał rady, zachęcał i dopingował. Wszystko na nic. W końcu odgonił mnie, usiadł na piersi Kristiana i zaczął go cucić uderzając lekko w twarz otwartą dłonią.

„Halo, Żydzie, obudź się! No już!”

Kristian westchnął, zacharczał, w końcu się ocknął. Jego oczy biegały wkoło jak oszalałe. Nie wiedział, gdzie jest i co się wydarzyło.

Słuchaj Żydzie, teraz umrzesz, jak stado twoich pieprzonych praprzodków w moich rękach”.

Wzrok Kristiana zaczął normalnieć. Wiedział już, co się dzieje i że to nie przelewki. Ojciec zdjął koszulę, naprężył mięśnie, rozgrzał stawy i palce płacząc dłonie w specjalnych ćwiczeniach.

„No Żydzie, ocknij się do końca. Chcę byś wszystko czuł”.

Wtedy Kristian zakaszłał i powiedział coś słabo. „Co mówiłeś?” – zapytał ojciec. „Nie jestem Żydem” – odparł Kristian. Ojciec oniemiał. Spojrzał na mnie pytająco. „Jak to?”

„Jestem Niemcem, nie Żydem” – powtórzył Kristian.

„Pewnie chcesz się wyłgać, ale to nie z nami. My znamy się na Żydach – warknął ojciec. – Wyglądasz jak Żyd, myślisz jak Żyd, śmierdzisz jak Żyd. Jesteś pieprzonym Żydem”.

„Do diabła, pochodzę z Prus Wschodnich! – wykrzyknął Kristian. – Ze starej, niemieckiej rodziny.

Nie miałem żydowskich przodków, a moja matka była córką oficera SS. Nazywam się Kleist, do diabła. Czy to jest żydowskie nazwisko?” Ojciec oniemiał.

„Uwierzcie mi, błagam! Nie mam nic wspólnego z Żydami – krzyczał tymczasem Kristian. – Jestem Niemcem. Pochodzę ze starego rodu von Kleistów i Stauffenbergów”.

Ojciec odpuścił, wstał i zaczął krążyć po pokoju przeklinając pod nosem. Ja nie bardzo wiedziałem co się dzieje. Prawdę mówiąc było dla mnie obojętne, czy udusi Żyda czy Niemca. Nie miało to żadnego znaczenia. Wówczas jeszcze niewiele rozumiałem ze spraw ideologicznych.

W końcu ojciec zdecydował.

„Cholera, ktoś o takim nazwisku nie mógł mieć nic wspólnego z Żydami – stwierdził i zanim Kristian zdołał odetchnąć dodał: Ale po tym, co się stało, nie możemy cię wypuścić”.

Kristian otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć. Ojciec chwycił kij bejsbolowy, podniósł go nad głowę i uderzył. Uderzał raz za razem. Głowa Kristiana pękła już przy pierwszym uderzeniu, potem podskakiwała jak główka szmacianej lalki, zmieniając się w krwawą miazgę. Przestałem liczyć po dziesiątym razie, nie wiem ile ich było. Może dwadzieścia, może trzydzieści. W końcu ojciec opuścił kij, padł na kolana i warknął:

„Masz za swoje, pieprzony Żydzie”. A potem zaczął płakać.

Nigdy nie wspominaliśmy o tym, co się zdarzyło. Ciała Kristiana nie odnaleziono. Poszukiwano go przez jakiś czas. Pojawiały się anonse w mediach, w szkole uczniów przepytywał prokurator i policjanci. Kilka tygodni później ktoś z klasy dostał list z Hiszpanii od osoby, która podszyła się pod Kristiana i tak zakończyło się śledztwo. Kolejny zaginiony.

Mój ojciec zmarł, gdy kończyłem osiemnaście lat. Na łożu śmierci poprosił, bym odnalazł rodzinę Kleista i powiedział im, co się stało.

„Powiedz, że ich syn był pieprzonym Żydem”.

Oszalał. Tak jak i ja.

Gerd Eisner zachichotał znowu, a potem wstał, zaczął szybko chodzić po mieszkaniu, oglądając szafki, półki i zakamarki, zaglądając do lodówki i spiżarni. Stał na środku kuchni, wyteżał węż, szczyrzył kły i warczał. Anna była pewna, że za chwilę ją zamorduje. Jednak Eisner zapomniał o niej, lub

przypomniął sobie o czymś znacznie dla niego w danej chwili ważniejszym.

Wyszedł i nigdy nie wrócił.

Anna zastanawiała się jeszcze przez wiele dni, jak to wszystko zinterpretować. Co powinna zrobić? Czy lepsze byłoby doniesienie na policję, czy może zabicie Eisnera. Bała się, oglądała za siebie, zamykała drzwi na wszystkie zamki, a gdy dzwonił telefon, chowała głowę pod poduszką.

Udało jej się uwolnić z więzów po kilku godzinach od wyjścia napastnika. Nie zadzwoniła jednak na policję. Umyła się, opatrzyła rany, potem siedziała w kucki patrząc na aparat telefoniczny. Nie zadzwoniła tej nocy, ani następnej.

Miesiąc później partia konserwatywna ogłosiła, że Gerd Eisner będzie jej kandydatem na stanowisko rzecznika praw obywatelskich. Ostatecznie jednak polityk wycofał swoją kandydaturę, a niedługo później zrezygnował także z członkostwa w partii, mandatu senatorskiego i immunitetu. Pojawiły się plotki o kłopotach z żoną i synami, nie wiadomo jednak, czy były prawdziwe.

W początku grudnia, gdy większa część świata szykowała się do świąt, Eisner popełnił samobójstwo. Zażył zabójczą dawkę środków psychotropowych. Anna myślała, że to nie powinna być taka śmierć. Eisner zasłużył na wyrok w blasku fleszy i lamp parlamentu. Powinien zostać osądzony przez naród lub wiele narodów.

Nie został. Także przez nią i innych tchórzy, którzy woleli własne bezpieczeństwo od sprawiedliwości dla zbrodniarza.

„Nagi senator” zawisł na krótko w jednej z berlińskich galerii. Ogromny, ponadtrzymetrowy obraz, przedstawiający potężnego, obrzydliwie obnażonego mężczyznę o głowie wieprza i ciele demona, wywołał skandal. Krytycy prześcigali się w domysłach, którego z polityków przedstawia. Nikt nie trafił w Eisnera.

Wkrótce po wystawieniu obrazu, został kupiony przez tajemniczego inwestora i zniknął z galerii. Podejrzewano, że zakupu dokonał ktoś znaczący, może pierwowzór postaci „Nagiego senatora”.

Tylko Anna знаła prawdę. Tylko ona wiedziała, że pewnego dnia odwiedziła ją wdowa po Eisnerze i nie patrząc jej w oczy poprosiła o możliwość zakupu obrazu. Była drobną, bladą kobietą z mało ruchliwą głową sztywno zatknietą na szyi, przez co wydawała się jakby wbita na pal. Jej oczy wpatrywały się ciągle w jeden punkt w ścianie.

– Co pani zrobi z obrazem?

– Zniszczę – wyznała. – Chcę by z tego świata zniknęły wszystkie pamiątki po tym bydlaku.

Rozdział 15

Całą noc tulił Inę do siebie i przekonywał, że ją kocha. Potem opowiedział jej swoją przygodę i dalszą część opowieści Anny. Pokazał jej wielką „Księgę kłamców” i doszedł do wniosku, że w niej są odpowiedzi na ich wątpliwości.

– Oni nas porwali, porwali nasze dusze, nie rozumiesz? – powiedziała jednak Ina.

– Kto?

– Jak to kto?! Siergiej i Anna. Jej opowieść była wabikiem, by wciągnąć nas w pułapkę, a teraz mają już nas na wieki.

– Moja miłość do ciebie nie minęła.

– Nigdy już nie będzie tak samo, nie rozumiesz? Teraz ja jestem Siergieja, a ty należysz do Anny. Nic na to nie poradzimy.

Wstała i wyszła, nie chcąc oglądać księgi i słuchać dalszych słów Bastiana. Chłopak został sam. Położył księgę na podłodze i dmuchnięciami przerzucał kartki, odnajdując nowe historie rzymskich podbojów, egipskiej świetności, wędrówek Hunów i Czyngis-chana. Historia świata pisała się na nowo, a z każdym słowem wydawała się być bardziej rzeczywista i namacalna. Bastian zamykał oczy i widział setki kłamstw wypisanych na nowo barwnym pędzlem Cimeiesa czy innych demonów. W pewnej chwili otworzyło się okno i kartki zatrzepotały. Bastian spojrział zdumiony na księgę i przeczytał wyróżnione hasło:

Kamera filmowa: w powszechnym postrzeganiu wymyślona przez braci Lumiere lub polskiego konstruktora Prószyńskiego albo jeszcze innych pokreconych wirtuozów naginania rzeczywistości. W istocie jednak narodziła się w głowie pewnego austriackiego szaleńca żydowskiego pochodzenia Amadeusza Ismaila Rotschilda, brata słynnego kochanka Klemensa Rotschilda, uchodzącego za

protoplastę postaci Casanovy i Don Juana.

Bastian zamknął księgę i spojrzął na kalendarz. Z wrodzonej uczciwości zaznaczył datę, kiedy powinien odnieść tom do księgarza. Pozostały jeszcze cztery dni. Postanowił, że uda się do Anny, i przez całą drogę myślał, czy powinien nadal grzecznie słuchać jej opowieści, czy też zareagować i zarzucić ją pytaniami postawionymi przez Inę.

Zagryzał wargi z wściekłości i co krok nakręcał umysł do działania, by po chwili uspokajać się i przekonywać do spolegliwości. Domniemanie niewinności, oto co jest najważniejsze.

Na pasach zatrzymał się jakiś samochód, przepuszczając Bastiana. Chłopak zrobił krok, lecz zaraz przypomniał sobie „Księgę kłamców” i wpis tuż pod historią o kamerze filmowej. Była tam mowa o Łodzi, polskim zagłębiu włókienniczym i filmowym, mieście Żydów, artystów i pcheł, w którym trudno oddychać świeżym powietrzem, ale też nie można być przeciętnikiem.

Zanieczyszczenie powietrza sprawia, że wszyscy ludzie z miasta Łodzi są geniuszami. Żydzi stają się jeszcze bardziej genialni niż są, Polacy jeszcze bardziej rozpustni i zawistni, a filmowcy robią jeszcze wspanialsze filmy, których nikt nie docenia, bowiem zwykli śmiertelnicy nie mogą wspiąć się na ów poziom abstrakcji. Miasto Łódź słynie też jednak z czegoś innego. Z samobójców i śmiertelnych wypadków samochodowych, z których najpotworniejsze dokonują się poprzez przejechanie przechodnia na pasach dla pieszych. Przechodząc przez pasy w mieście Łodzi, możesz być pewien, że któryś z przejeżdżających samochodów nie zahamuje, tak jak możesz być pewien, że nurkując w pobliżu Robben Island, zwanej też Wyspą Fok, zostaniesz pożarty przez latającego rekina. Nie ufajcie więc uprzejmości kierowców, jeśli przepuszczają was na pasach. W ich głowach kotłują się złowrogie myśli.

Bastian przymknął więc oczy i zobaczył w duszy wypadek samochodowy. Dlatego zatrzymał się. Zdenerwowany przechodzień, który szedł za nim, minął Niemca, rzucając mu gniewne spojrzenie, i wypowiedział kilka przekleństw po turecku. Ukłonił się grzecznie uprzejmemu kierowcy i przeszedł za stojący samochód tylko po to, by zostać trafionym z nieprawdopodobną siłą przez maybacha, który wyprzedzał stojące na pasach auto. Pisk opon, gwałtowny podmuch powietrza, głucho uderzenie ciężkiej limuzyny w kruche ciało i nagła cisza, jaka nastąpiła potem, zmroziły Bastiana.

Turek zmarł w locie. Jego powykręcane w cierpieniach ciało przeleciało kilkadziesiąt metrów po asfalcie i wylądowało tuż przed wejściem do metra.

Z tyłu maybacha wyszedł wielki, misiowaty mężczyzna o rumianej twarzy i chwycił się za głowę.

– Boże, dlaczego znowu ja? To niemożliwe. Dlaczego ja?

Mężczyzna podszedł do swojego kierowcy, który także wysiadł już z auta, i zawołał:

– Do diabła, biegnij go ratować!

– To tylko Turek – wzruszył ramionami kierowca.

– Przecież to człowiek. Kto wie, czy nie ojciec jakiejś rodziny.

Dość złego już w życiu uczyniłem. Biegnij, ratuj go!

– Może to jego dziad zgwałcił moją prababkę pod Wiedniem. Dziś jego bracia zabierają pracę moim – rzucił niechętnie kierowca, na co misiowaty mężczyzna zareagował, kopiąc kierowcę w tyłek i krzycząc:

– Ratuj człowieka!

Kierowca już bez protestu pobiegł do nieruchomego ciała przechodnia, pasażer limuzyny zobaczył zaś Bastiana i łypnął na niego okiem.

– Witaj, chłopcze, czy nie jesteś przypadkiem dziennikarzem?

– Nie, studiuje archeologię – powiedział Bastian.

– Dziwne. Zawsze jak zrobię coś złego, pierwsi zjawiają się dziennikarze. A ty mi nawet wyglądasz na dziennikarza. Mówię ci, chłopcze, powinieneś zostać dziennikarzem.

Mężczyzna miał sumiasty wąs pod szerokim, wielgachnym

nosem i czarne, krzaczaste brwi nad małymi oczami ukrytymi w głębi czaszki. Pod tymi oczkami miał ogromne wory. Na policzkach kwitły mu alkoholowe rumieńce.

Wyjawił, że ma na imię Roman i jest rosyjskim miliarderem z branży gazowej, który ostatnio częściej niż pod ziemię zagląda na stadiony i kupuje kluby piłkarskie. Wyjął wizytówkę i wręczył ją Bastianowi.

– Piłka nożna to świetna inwestycja. Możesz wpakować w nią każdą kwotę i nikt się nie czepia. Poza prostytutką świat nie wymyślił lepszego sposobu na pranie pieniędzy – oznajmił.

Następnie powiedział, że kiedy nie negocjuje z kanclerz Merkel, nie inwestuje na giełdzie i nie dyma modelek albo dziwek podających się za modelki (albo zwykłych dziwek), to zabija pieszych na pasach.

Bastian nic nie rozumiał. Zerknął na wizytówkę, lecz wydawało mu się, że biały kartonik jest niezadrukowany. Schował go do kieszeni. Przez chwilę pomyślał, że miliarder się z niego nabija. Kiedy klepnął młodzieńca w plecy i roześmiał się rubasnie, był już prawie pewien, że to wszystko jakiś żart.

– Uśmiechnij się, chłopcze. Przez życie trzeba iść z uśmiechem. Słyszałeś, że po śmierci twoja gęba przybiera taki wyraz, jaki najczęściej miałaś za życia. Jeśli byłeś płaczkiem, pozostaniesz nim na wieczność, jeśli żartownisiem, będziesz rechotał z czartów i wiedźm. Wierz mi, nic w życiu nie liczy się bardziej niż dymanie i śmiech.

Gdzieś w zakamarkach umysłu Bastiana świtały już tymczasem dziwaczne skojarzenia z opowieściami Anny o wypadku, jaki spowodował rosyjski miliarder, zabijając jakiegось psychiatrę.

– Czy to nie pan zabił tego psychiatrę, doktora Nielsena? – zapytał Bastian.

Rosjanin spojrzał badawczo, jakby próbował wyczytać w twarzy chłopca, czy za pytaniem nie kryje się jakiś podstęp. A potem znów się roześmiał i począł gwałtownie potakiwać głową.

– Ja, ja – przyznał. – Po tym wypadku obiecałem sobie nigdy więcej nie usiąść za kółkiem. Wcześniej zamordowałem w ten

sam sposób biednego dzieciaczka, syna afrykańskiego uciekiniera i serbskiej Albanki. Bóg mi świadkiem, że to był wypadek i że chciałem oddać życie za to dziecko, a potem wynagrodzić cierpienia rodziców, lecz oni tego nie chcieli. Dziś widzisz, co znaczy przeznaczenie. Jest silniejsze od moich obietnic. Mimo że nie prowadziłem pojazdu, człowiek zginął. Nie mogę więc podróżować samochodami. Przesiądę się do helikoptera.

– Jeśli wtedy będzie pan miał wypadek, może zginąć jeszcze więcej osób – zauważył Bastian, zanim ugryzł się w język.

Miliarder ponownie popatrzył badawczo i znów ryknął śmiechem.

– Masz rację, chłopcze. Podobasz mi się. A może szukasz pracy doradcy?

– Nie. Muszę już iść.

– Doradca to bardzo dobre zajęcie. Lepsze niż makler czy oszust.

– Muszę iść – powtórzył Bastian.

– Zostań jeszcze, proszę. Nie zostawiaj mnie samego. Zostawił oszołomionego miliardera na środku chodnika i przeskoczył przez ulicę, słysząc za plecami na zmianę płacz i rechot Rosjanina. Anna czekała na niego z kąpielą.

– Jeśli chcesz usłyszeć dalszą część opowieści, musisz się wykąpać – powiedziała.

Bastian rozebrał się i pozwolił zaprowadzić do wanny. Gdy Anna ujęła jego dłoń, poczuł, jak członek mu twardnieje i wznosi się w prawdziwie młodzieńczym, ochoczym wzwodzie. Anna udała, że tego nie widzi, po czym kazała mu wejść do parującej mazi. Woda w wannie była czerwona i klejąca. Pływały w niej kwiaty i jakieś dziwne stworzenia.

– Woda się klei – zaprotestował Bastian.

– To nie woda, to kisiel – wyjaśniła Anna. – Możesz się zanurzyć i jeść, wszystko jest naturalne. Kwiaty wanilii i słodkie robaczki Karum. Wszystko możesz jeść.

Bastian przez chwilę pomyślał, że oszalał. Anna rozebrała się i nago weszła do wanny.

Chłopak odwrócił wzrok. Był przyzwyczajony do nagich ciał

młodych dziewczyn. Jędrnych, o aksamitnej skórze. Z naoliwionymi piersiami, toczonymi udami i wystrzyżonymi cipkami. Ciało Anny było już przywiedłe, aż nazbyt dojrzałe. Jej przyrodzenie kryło się w gęstwinie wielkiego czarnego trójkąta. Takich włosów łonowych Bastian nie widział od czasu, gdy oglądał duńskiego pornola z lat osiemdziesiątych. Dziś nikt nie nosił trójkątów. Nawet faceci strzygli sobie miejsca intymne. Mimo to nie odczuwał dyskomfortu czy obrzydzenia, a jego członek wciąż był gotowy do miłości.

– Na czym skończyliśmy? – zapytała Anna. Bastian nie odpowiedział. Przymknął oczy i to wystarczyło, by malarka podjęła opowieść dokładnie w tym momencie, w którym ją przerwała.

Rozdział 16

Lenny unosił się w przestworzach. Miał wrażenie, że z bytu książkowego, z jakiegoś mało zgrabnego opowiadania nieznanego autora, staje się bytem prawdziwym, rzeczywistym, aktorem naturszczykiem, odgrywającym rolę życia. Pejotl ukryty w zakętym liściu boskiej pachanoi wyniósł go w kosmos, gdzie przy dźwiękach harfy, której struny poruszało zgrabne ramię rusalki Penelopy, siedziało kilku mu podobnych, wdychając narkotyczne opary z ciepłych, papierowych toreb.

– Przegrani głupcy – rzekł lecący obok niego staruszek z wąsem. – Zamiast podróżować, zasiedli do ogniska, i już tak zostaną. Narkotyki powinny służyć wizjonerom, a nie plebsowi.

Starzec pociągnął go za marynarkę i opadli kilkaset metrów, lecąc wysoko nad pułapem chmur.

– Piękny widok, tylko uważaj na samoloty – ostrzegł starzec.

W samą porę, bo Lenny właśnie zobaczył dwa szybko zbliżające się z północy punkciki. Skręcili gwałtownie, unikając zderzenia z dwoma F-16.

– Lecą bombardować uprawy konopi, ale ich bomby równie często trafiają, co pudłują. Przekupieni wywiadowcy i tak podsuwają im tylko wyniszczone pola. Słyszałeś przyjacielu coś o płodozmianie? No więc narkotyki szybciej wyniszczają nieboszczkę Ziemię niż ludzkie umysły. Kreolscy szamani odkryli, że na ziemiach spalonych przez bomby można ponawiać znacznie szybciej uprawy niż w naturze. Dlatego gdy tylko ziemia przestaje rodzić dżambę czy crack, plantatorzy wysyłają newsa agentom CIA, a ci za drobną opłatą nasyłają F-16 z napalmem. Ale niestety czasem pudłują i palą świeże poletka czy też jakiś bogu ducha winny las. Patrz.

Lenny spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył nowiuśkiego Falcona, pokonującego majestatycznie przestworza. Starzec przytknął palec wskazujący do ust,

nakazując towarzyszowi milczenie, po czym szeptem poinstruował, żeby Lenny trzymał się blisko niego i nie wychylał.

– O nic nie pytaj, dzieciaku.

Podlecieli tak blisko, jak się dało, i Lenny mógł zajrzeć do luksusowego wnętrza samolotu. W przeciwieństwie do rejsowych maszyn Falcon był urządzone jak mieszkanie o wysokim standardzie. Był tam salon, kuchnia, barek i sypialnia. W sypialni, na wodnym łóżku baraszkowała jakaś para. Kobieta miała ogromne piersi, bardzo jasne włosy i oczy jak Kleopatra. Jej skóra była naciągnięta w każdym miejscu i wydawała się czymś pomalowana. Usta, równie wielkie jak cycki i oczy, rozwarły się gwałtownie, łapiąc powietrze i wydając równomierne westchnienia. Pod nią leżał i pozwalał się ujeżdżać czterdziestoletni aktor filmów akcji Harold Bergman. Był umięśniony znacznie lepiej od Lenny'ego, miał jeszcze więcej włosów na kłacie i plecach i jeszcze twardszego kutasa.

Staruszek wyciągnął z kieszeni aparat i cyknął parę fotek. Potem popchnął Lenny'ego w bok i zmienili kurs.

– Zaskoczony? – zapytał staruszek.

– Nigdy jeszcze nie podglądałem celebrytów bzykających się w prywatnym samolocie – przyznał Lenny.

– Ona nazywa się Gramma Jones. Jest początkującą aktorką i ma kochającego męża, muzyka rockowego. Uwielbia z nim baraszkować. Robią to przed kamerą, a potem pozwalają sobie wykraść filmy. Kiedy taśmy trafiają do sprzedaży, żądają tantem i dzięki temu nieźle żyją.

– A on?

– Harold? Nie znasz go?

– Znam. Tylko myślałem, że jest z Demi Moore.

– Już od dawna nie, a może nigdy z nią nie był. Uwielbia bzykać się z Grammą, ale dotąd nie dał się przyłapać. Teraz mamy twarde dowód. Dziś wiemy o tym my dwaj, jutro cały świat – uśmiechnął się staruszek pokazując aparat.

– Chcesz ujawnić te zdjęcia? – zdziwił się Lenny.

– Sprzedać – sprostował. – Zamierzam wziąć za nie kupę kasy. Nie patrz tak na mnie, też muszę z czegoś żyć, a bycie

paparazzim jest nie tylko przyjemne, ale i dochodowe. Uważaj.

Ostrzegł chłopaka w samą porę – uniknęli zderzenia z rakieta wystrzeloną z przyłodka Canaveral.

– Głupcy, myślą, że gdzieś jeszcze jest życie – westchnął staruszek. – Już prawie jesteśmy na miejscu.

Z lotu ptaka miasteczko nie wyglądało okazale. Kilkanaście budynków, szkoła, jakaś mała fabryka, sklepy, kino na wolnym powietrzu, basen, hala sportowa. Więcej kurzu niż ludzi. Wylądowali na niewielkim lotnisku zajęтым przez kilkanaście awionetek do rozpylania nawozów. Przed drzwiami hangaru siedział gość w białym podkoszulku na ramiączkach. Był przystojny i umięśniony. Pogryzał kawałek drewnianka.

– Myśli, że żona go zdradza – wyjaśnił staruszek.

– Czemu miałyby to robić?

– Po prostu lubi go zdradzać.

Mężczyzna jakby ich nie zauważył. Staruszek uśmiechnął się na minę Lenny'ego i wyjaśnił:

– Nikt nas nie będzie widział. Pejotl sprawił, że tylko nasze dusze przeniosły się w przestrzeni. Na dodatek przeniosły się też w czasie. Tylko meskalina to potrafi. Przejdziemy się uliczkami miasteczka tuż przed tym, zanim stało się to wszystko. Będiesz mógł zaobserwować całe zdarzenie i je zrelacjonować w swojej poczytnej gazecie. I nikt cię nie zauważy, nie będzie mógł niepokoić, przeszkadzać w pracy. Gotowy?

Lenny tylko skinął głową, choć na usta cisnęły mu się setki pytań. Starzec mówił dalej:

– Miasteczko nazywa się Tihuahua, na cześć pewnej mało znanej rasy psów (nie mylić z Chihuahua), które wyhodowano w tych okolicach. Zanim przejęło je CIA, było jedynym ośrodkiem kulturalnym w promieniu dwustu mil. CIA wykupiło całą ziemię, wcieliło w swoje szeregi wszystkich mieszkańców i w 1978 r. zaczęło tu szkolić agentów na potrzeby różnych konfliktów. Poza Wietnamczykami, Chińczykami i Koreańczykami bywali tu Afgańczycy, pakistańscy mudżahedini, egipscy nomadzi, syryjscy książęta, kubańscy i rosyjscy dysydenci. Dziś trudno znaleźć nację, której

przedstawiciel nie gościłby w ośrodku szkoleniowym Tihuahua. Po upadku komunizmu wszelkie działania skoncentrowano na krajach, mających znaczne bogactwa naturalne, a także na innych potencjalnych terrorystach. Gdy fanatycy al-Kaidy zaatakowali World Trade Center, w hali sportowej w Tihuahua zorganizowano pośpiesznie więzienie, gdzie torturowano winnych, potencjalnie winnych i tych, którym się wydawało, że są niewinni. Zanim trafiali do Guantanamo, przechodzili szkołę Tihuahua. Potem, po aferze z więzieniami w Europie, Langley postanowiło wyciszyć sprawę tajnych ośrodków i Tihuahua została niemal pozbawiona życia. Zostały tu tylko bezpańskie psy, skorpiony, grzechotniki i masa dorodnych kaktusów, z których pozyskuje się pejotl. Uwielbiałem tu przyjeżdżać, by odpocząć. Kiedy tak sam jeden przechadzałem się po tym opuszczonym miejscu, zrozumiałem, jak samotny byłbym bez ludzi. Wystarczył dzień czy dwa i wracałem do życia, naładowany pozytywnymi emocjami, kochający i wyrozumiały, co trwało do chwili, kiedy ludzkość sprowadzała mnie na ziemię i pokazywała, jak jest okrutna i że nie zasługuje na przebaczenie. W każdym razie w pewnej chwili jakiś idiota w Waszyngtonie wpadł na pomysł, żeby w Tihuahua zacząć testować nową broń, taką jak działka laserowe, pociski kwantowe czy miny antymaterii. Prezydent Meksyku protestował, bo bał się, że CIA dokona w końcu na jego terenie jakiejś próby jądrowej, ale przekonano go obietnicami i miliardem dolarów, że takie obawy są nieuzasadnione. Gdy agent śpioch z Wiednia doniósł prezydentowi, że w Europie jakaś dziewczynka, podejrzewana wcześniej o moc przesuwania przedmiotów za sprawą telekinezy, dokonała okrutnej zbrodni za pomocą umysłu, doradcy natychmiast podpowiedzieli, że warto byłoby reaktywować Tihuahua i przeprowadzić wszystkie potrzebne badania i eksperymenty. Musisz wiedzieć, synu, że do tego dnia CIA była przekonana, że jedynym osobnikiem zdolnym do dokonywania cudów, telekinezy, ożywiania i przenoszenia się z miejsca na miejsce był Jezus Chrystus. Żadne z dotychczasowych doniesień o nadnaturalnych mocach się nie potwierdzało. Wieści z Wiednia były jednak nader

obietujące. Zorganizowano więc przyjazd autystycznej dziewczynki o imieniu Kora, zapewniono jej opiekę znakomitego psychopatologa i geniusza chirurgii mózgu, doktora Sandersa Kanta. Agent śpion, niejaki Nielsen, został zamordowany przez innego ukrytego szpiega, rosyjskiego miliardera Romana Marynina.

Sanders tymczasem odkrył przyczynę wady mózgu i mimo obaw, że operacja, oprócz śmierci dziewczynki, może spowodować utratę nadnaturalnych zdolności, zdecydowano się ją przeprowadzić. Kora po operacji wyzdrowiała, choć straciła pamięć. A może jej nigdy nie miała i teraz odzyskała? Może Sanders Kant usuwając przyczynę choroby, odblokował po prostu twarde dyski i pamięć podręczną RAM? W każdym razie wydawała się zupełnie normalną dziewczynką. Zorganizowano jej sztuczne życie, a wokół niej byli wyłącznie agenci CIA. Codziennie sztab strategów zastanawiał się, jakie wymyślić doświadczenia, by wywołać w dziewczynce reakcje telekinetyczne. Nic z tego. Eksperyment trwał już latami, a reakcje dziewczynki były wciąż naturalne. W końcu zainscenizowano jej miłosną schadzki z kapitanem drużyny futbolowej i scysję z jego dziewczyną. Stratedzy nie przewidzieli jednak, że dziewczyna zachowa się nieprofesjonalnie i wyzna Korze prawdę o tym miejscu. Nikt nie wiedział, jaka może być reakcja Kory. Dziewczyna wróciła do Sandersa i wszczęła awanturę. Zanim pojawili się agenci operacyjni, wiedziała już wszystko. Poznała całe oszustwo. Zobacz, co się stało dalej!

Starzec przeszedł przez ulicę i ruszył w kierunku niepozornego domku na obrzeżach miasteczka. Wszyscy wokół zamarli, chwytając się za ukryte w uszach i włosach słuchawki, przez które słyszeli polecenia. Zostawiali wykonywane prace i jak roboty na komendę ruszali w tym samym kierunku.

– Oglądałeś jakieś filmy o obcych? To właśnie tak wygląda, prawda? Cała gromada zainfekowanych przez obcych osacza biedną, dobrą bohaterkę? Czy ona sobie z nimi poradzi? Ech, już nie mogę doczekać się finału

– staruszek z zadowoleniem zatarł ręce i pośpieszył:

– Chodź, bo się spóźnimy.

Stanęli przy oknie w salonie połączonym z biblioteką. Doktor Sanders Kant przemawiał spokojnym głosem do Kory, apelował do jej rozsądku i próbował ją uspokoić.

– Tylko dla twojego dobra...

Dziewczyna cofała się przed jego kojącymi słowami i gestami. W tej chwili przed dom podjechały dwa samochody z agentami w garniturach, białych koszulach i czarnych okularach. Pięciu silnych mężczyzn weszło do salonu i zbliżało się do Kory. Nagle, jak na rozkaz, rzucili się na dziewczynę i obezwładnili, przygniatając do podłogi. Kant pośpiesznie chwycił strzykawkę ze środkiem uspokajającym, jednak nie zdążył wbić igły w odsłonięte ramię dziewczyny.

Strzykawka wyleciała mu z ręki, zawisła metr nad zaniepokojonymi twarzami agentów, po czym wbiła się w oko najwyższego z nich, rozbijając najpierw okulary. Mężczyzna zawył przerażająco, po czym sam uniósł się do góry i z szybkością jednego macha pacnął o sufit. Pacnął – to było właściwe określenie. Jego ciało zmieniło się w bezkształtną masę o barwie czerwieni, rozmazaną w czerni garnituru i bieli koszuli. Wyglądał jak ogromna mucha rozpaćkana uderzeniem packi na ścianie. Drugi z agentów poszedł w jego ślady jedną dziesiątą sekundy później. Wydawało się, że leci jeszcze szybciej niż poprzedni.

– A mówili, że nic nie może przekroczyć prędkości światła – zarechotał starzec.

Trzej pozostali wywiadowcy chwycili się za głowy, lecz zanim zdążyli poznać smak bólu nie do zniesienia, z ich ciał odpłynęła cała woda. Ponure worki ze skóry z groteskowo powykrzywianymi minami legły u stóp doktora Sandersa, który w jednej chwili pojął parę ważnych rzeczy:

1. Zrozumiał, że nie jest geniuszem.
2. Pojął, że nie zabił w dziewczynce nadnaturalnych zdolności.
3. Uwierzył w Boga.
4. Przestraszył się szatana.
5. Miał pewność, że za chwilę zginie.

Jego ciało zaczęło rosnąć od środka, by po chwili wybuchnąć jak arbuz rozerwany ładunkiem wybuchowym. Podzielony na miliony cząstek, wirował przez chwilę w powietrzu, a potem rozleciał się po ścianach, podłodze, suficie.

– Spójrz na to! W ogóle jej to nie zmęczyło. Ta dziewczyna ma moc – szepnął staruszek do ucha Lenny’emu.

Kora wstała i spokojnie wyszła przed dom, gdzie zgromadzili się już niemal wszyscy mieszkańcy miasteczka.

– Czterdzieści siedem osób – wyjaśnił starzec. – Czterdziestu siedmiu wcielonych do CIA autentycznych i przyjezdnych mieszkańców, pracowników cywilnych najpotężniejszej agencji świata. Kompletnie bezradnych wobec sił i magii, które opanowały tę dziewczynkę.

Wszyscy rozstąpili się przed Korą i wyszła spokojnie na ulicę. Wtedy na jej drodze stanął Greg. Pierwszy kochanek wyglądał jak typowy amerykański nastolatek. Przystojny, ładny, zdrowy, pachnący i świeży. Na gołym, umięśnionym ciele połyskiwała w słońcu kamizelka zdobiona srebrnymi ćwiekami. Stanął w rozkroku, uśmiechnął się szelmowsko i powiedział:

– Chyba nas wszystkich nie pozabijasz?

Kora przystanęła, obejrzała go sobie od stóp do głowy, jakby widziała chłopca pierwszy raz w życiu, i szepnęła:

– Dlaczego?

Chłopak źle zrozumiał pytanie. Na filmach w takich chwilach dziewczyny zawsze pytają: „Dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego ona?”

– Kochałem cię szczerze – wyjaśnił z uśmiechem. -To był przyjemny obowiązek.

Na twarzy Kory nie poruszył się ani jeden mięsień. Wszystko wokół też zamarło. Liść, który miał za chwilę opaść z wysokiego dębu, postanowił trwać tam jeszcze trochę.

– Dlaczego mam was oszczędzić?

– Bierzcie ją – wrzasnął Greg i wyszarpnął zza pleców niewielki rewolwer.

Lenny nie bał się broni i strzałów. Gdy jesteś Włochem, a na dodatek twój ojciec obracał się w kręgach mafii, nie boisz się broni i strzałów. A jednak gdy rozległ się pierwszy strzał,

wystraszony dziennikarz się wzdrygnął. Kolejny strzał już tylko go zdumiał. Greg tym razem nie strzelał do Kory, tylko do ludzi, którzy początkowo próbowali rzucić się na dziewczynę, teraz jednak uciekali od kul towarzysza broni. Lenny nie bardzo rozumiał, o co chodzi, tym bardziej że Greg strzelał z miną tak przerażoną i z tak bezgranicznym wyrazem zdumienia, jakby ręka trzymająca broń nie należała do niego. Bo nie należała. Gdy w bębunku została ostatnia kula, ramię Grega wykonało ostatni gest w życiu, kierując broń do ust właściciela i naciskając spust po raz ostatni. Mina Grega i dziura wielkości piłki do tenisa z tyłu głowy mówiły wszystko.

Kora szła przez miasteczko, zabijając po kolei napotykanych ludzi. Roztrzaskiwała ich o drzewa, domy, nabijała na płotki i ułamane gałęzie, siłą umysłu rozrywała na strzępy. Gdy doszła do końca, wszyscy w miasteczku zginęli. Wszyscy, poza jedną osobą. I gdy Kora ją zobaczyła, moc użytej w tak wielkich ilościach energii zażądała zapłaty i pozbawiła dziewczynę przytomności.

Rozdział 17

Usta Anny objęły jego członek, zacisnęły się jak stalowa klamra i wysysały życie, na które składał się zapach wanilii, smak malin w kisielu i gorąca kleista maź. Bastian nie był pewien, czy to, co się dzieje, dzieje się w rzeczywistości, czy tylko w jego umyśle. Czuł przyjemność i strach. Nie chciał kochać Anny, bo coraz bardziej rozumiał, że kocha Inę. Mimo to, co mu powiedziała.

Głowa Anny wypłynęła z kisielu i kobieta próbowała go pocałować. Chłopak zadrżał i poczuł nagły chłód bijący od niej.

– Co się stało?

Bastian nie potrafił tego wytłumaczyć, podobnie jak nie potrafił wytłumaczyć nagłego strachu, oplatającego serce.

– Czy mężczyzna, o którym nam opowiadałaś, nazywa się Siergiej Jaszyn? Czy to on? Czy tego dnia, gdy Kora wszystkich zamordowała, jego oszczędziła?

Anna nie odpowiedziała od razu.

– Dlaczego pytasz? Bastian zawahał się.

– Czy to on? – powtórzył z naciskiem. Widząc, że Anna nie odpowie, dodał: – Rzucił się na Inę i ją zgwałcił.

– To niemożliwe.

Chłopak otworzył usta, by coś dodać, lecz zrezygnował.

– To niemożliwe – powtórzyła Anna. – Ina kłamie.

– Wierzę jej.

– Kłamie. Siergiej nie mógł do niej przyjść. Nie on.

– Przyleciał na dziwacznym skrzydłach i ją uwiódł. Zakochała się w nim – dodał Bastian. – Poza tym, że ją zgwałcił, to jeszcze w sobie rozkochał. A ja zrozumiałem, że kocham Inę. Musisz mi powiedzieć, jak mogę ją odzyskać, musisz mi pomóc.

Anna wstała, weszła pod prysznic, obmyła się z kisielu i włożyła szlafrok. Bastian czekał.

– Nie mogę ci pomóc. Nikt ci nie może pomóc. Chłopak z wściekłością poderwał się i rzucił na Annę.

Nagi, umazany w kleistej mazi, wyglądał potwornie i pachniał mdłą zgnilizną.

– Musisz coś zrobić. Powiedzieć mi, jak z nim walczyć.

– Nie umiem. Nie umiem ci pomóc.

Bastian warknął jak wściekły wilk. Gestykułując, krzyczał na malarkę:

– A więc Ina ma rację! Jesteście... potworami. Zastawiliście na nas pułapkę. Ty i ten drań, Siergiej. Opowiadacie nam jakieś niestworzone historie, jakieś brednie, omamiacie, a potem... wysysacie z nas życie. Dlaczego? Dlaczego to robisz, Anno?

Anna zbladła i chłopak znów poczuł, że robi się zimna. Wyzuta z ciepła i uczuć. Twarz kobiety zszarzała, po chwili wtapiając w mrok pokoju. Bastian przez chwilę miał wrażenie, że Anna stanie się częścią nocy, zniknie w niej, roztopi w ciemnościach, zamieni w mrok.

– Nie odchodź! – zawołał ostatnim wysiłkiem mimo opanowującego go strachu. – Pomóż nam.

– Wampiry – zasyczała Anna. – Przeczytaj historię o wampirach. A teraz uciekaj. Uciekaj, jeśli chcesz żyć.

Bastian wytarł się szybko ręcznikiem, włożył bieliznę, zarzucił na ramiona koszulę, wziął resztę rzeczy i wybiegł z mieszkania Anny. Biegł na dół, mając wrażenie, że ściany starej kamienicy stają się pułapką, starają się go ścisnąć, uwięzić, by nie zdołał się wymknąć.

Gdy w końcu dotarł na sam dół i otworzył drzwi kamienicy, padł w rogu podwórka. Drżąc z zimna, ścisnął w rękach spodnie. Z cienia oderwała się jakaś postać i zobaczył dziewczynę o prostych rudych włosach. Miała na sobie puchową kurtkę srebrnego koloru i czerwoną mini. Czarne rajstopy z mnóstwem oczek wyglądały jak siatka na ryby.

– Musiałeś uciekać przed powracającym niespodziewanie mężem, kochaneczku?

Bastian nie odpowiedział. Dziewczyna przyglądała się mu bez skrepowania. Kiedy się ubierał, szepnęła:

– Słodki jesteś.

Sięgnęła palcem, dotknęła skóry chłopca, wciąż lepiącej się od kisielu, i włożyła go sobie do ust.

– Słodki, dosłownie. Wiesz co, jeśli nie skończyłeś, dla ciebie pół darmo. Masz ochotę? Bastian wciąż się nie odzywał.

– Nie masz? Trudno. Za dychę zrobię ci ręką. Co ty na to?

Nie odpowiedział.

– A więc skończyłeś. A może jesteś niemową? Albo myślisz, że jesteś lepszy ode mnie. W takim razie niech cię mrówki zjedzą.

Uważaj na kobiety rzucające klątwy i złe życzenia – przypomniał sobie Bastian jedno z haseł „Księgi kłamców”. – Szczególnie jeśli mają rude włosy. Ich przepowiednie się spełniają i ciężko się od nich uwolnić.

Bastiana uderzyła wizja miliardów mrówek ciągnących do jego ciała umazanego w słodkości.

– Przepraszam – powiedział do dziewczyny. – Nie chcę nic od ciebie, bo kogoś kocham.

– Tę, od której uciekłeś? – zapytała z drwiną.

– Nie. To... wampirzyca. Kocham kogoś innego.

– Wampirzyca?

– Zła kobieta.

– Uwiodła cię?

– Nie, uciekłem. Ale Ina, moja dziewczyna, nie miała tyle szczęścia.

– Dała się jej uwieść.

– Jej mężczyźnie, innemu wampirowi.

– Wampiry są niebezpieczne, nawet jeśli nie istnieją – mruknęła prostytutka. – Ina? Ładne imię.

– Dziękuję.

Ruda kobieta nagle spojrzała uważniej i wykrzyknęła:

– O matko, a więc się spełniła. Więc to prawda. Cholera, a niech mnie.

– Co się spełniło?

– Przepowiednia – wyjaśniła. – Kiedy miałam dwanaście lat, zaczęła mnie Cyganka i powróżyła mi. Przepowiedziała, że zostanę księżniczką, to znaczy wyjdę za rosyjskiego multimiliardera, potentata gazowego, który kupi sobie tytuł

księcia Rusi i zaraz potem pojmie mnie za żonę. Uznałam, że to oczywista bzdura, więc Cyganka zaczęła mnie przekonywać. No i powiedziała, że będę miała bardzo ciężkie życie, podłe i złe, aż do dnia, kiedy spotkam nagiego słodkiego mężczyznę o oczach w dwóch kolorach. Masz oczy różnej barwy. Prawe jest błękitne, lewe zielone.

– Wydaje ci się – rzekł Bastian, chociaż wiedział, że kłamie.

– To tylko tak pada światło.

– Gówno prawda. Masz oczy kameleona i jesteś z mojej przepowiedni.

Bastian zamierzał wstać i uciec, lecz dziewczyna wyszarpnęła z torebki mały pistolecik o dwóch lufach i wymierzyła w niego.

– Nie tak szybko! Jesteś mój. Do czasu, aż spełnią się obietnice Cyganki.

– Ale jak mam ją spełnić?

– Milcz! Idziemy, zanim ktoś się do nas przyczepi – machnęła pistolecikiem. – Tylko nie rób głupstw. To prawdziwy pistolet, naładowany. Nie chcę zabić mojego przeznaczenia. Ale wolę to zrobić, niż wypuścić je z rąk. Bastian wstał grzecznie i dał się zaciągnąć na postój taksówek. Wiózł ich kierowca, który doskonale znał dziewczynę.

– Och, słodka Carmen. Jesteś szczęściarzem, chłopcze. Nikt tak nie potrafi nauczyć miłości jak słodka Carmen. Mnie nauczyła, mojego syna, a ostatnio wnuka. Dzięki niej wszyscy jesteśmy szczęściarzami.

W świetle lamp nie widział twarzy mężczyzny. Zapamiętał z drogi tylko wielkie bokobrody i łysy czubek głowy.

Carmen obejrzał dopiero w jej mieszkaniu.

Wynajmowała schludny pokój na poddaszu kamienicy na Starówce. Było czyste i nie wyglądało jak mieszkanie prostytutki. Gdy Carmen zdjęła czerwoną perukę, przestała przypominać prostytutkę. Miała płomiennie rude włosy. Falowały, wiły się w powietrzu jak płomienie.

– Dlaczego nosisz perukę?

– Dziwka musi nosić perukę.

– Ależ ty znacznie ładniej wyglądasz bez peruki.

– Dziękuję.

- Bez niej pewnie byłoby ci łatwiej znaleźć klientów.
- Nie narzekam na nich. Co ty wiesz o moich klientach?
- Przepraszam.

Wzruszyła ramionami i zaczęła się przebierać. Po chwili stała przed nim piękna, nobliwa czterdziestolatka. Mogła być jego matką, ale go podniecała. Była niezwykła. Pomyślał, że naprawdę powinna zostać księżną.

– Dlaczego się uśmiechasz?

– Pomyślałem, że byłabyś piękną księżną. Carmen uśmiechnęła się ciepło.

– No i widzisz. Potrafisz być miłym chłopcem. Idź się umyć.

Poszedł do łazienki. Nie pozwoliła mu zamknąć drzwi. Weszła za nim do łazienki i patrzyła, jak się myje.

– No i już nie jesteś słodki – dotknęła palcem jego piersi i polizała go. Potem obejrzała dokładnie. Jej wzrok i dotyk, a także myśl o wcześniejszych zdarzeniach sprawiły, że członek mu stwardniał. Zawstydził się i powiedział:

– To nie tak, nie pragnę cię.

– To dlaczego on rośnie? – wskazała na przyrodzenie, które próbował schować między nogi.

– Jest za duży, żeby go włożyć między nogi – powiedziała, a gdy chciał podziękować, dodała: – Ale za mały, żeby sprawić rozkosz kobiecie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Natura nie obdarzyła cię zbyt hojnie, chłopcze. Przykro mi, ale to kiedyś będzie cię męczył po nocach.

– Czemu to takie ważne? prostytutka wzruszyła ramionami.

– Możesz sobie mówić, że to nieważne. Nie moja sprawa. – Gdy jednak wyczytała w jego wzroku prośbę o dalsze wyjaśnienia, dodała: – No dobrze, powiem ci, co myślę. Otóż, mój drogi, masz za małego kutasa, żeby dogodzić kobiecie. Ale jeśli osiągniesz mistrzostwo w sztuce kochania, możesz być nawet lepszy, mało tego, kutas też ci może urosnąć.

– Bzdura, członek nie rośnie po osiągnięciu dojrzałości.

– Mężczyźni wiecznie dojrzewają. To kobiety się starzeją.

Bastian wzruszył ramionami.

– Naprawdę powinienem już pójść.

– Nie puszcze cię, zanim mi nie powiesz, jak mam zostać księżniczką.

– Chyba nie uwierzyłaś w te brednie?

– Brednie – nagle jej twarz przybrała złowrogi odcień. Kobieta zbliżyła się do Bastiana na długość jednego oddechu. – A może mam przestrzelić ci kolano?

Spojrzał w dół i zobaczył wycelowaną w nogę dwulufową broń. I wtedy sobie przypomniał.

Rozdział 18

– Zaraz. Mówiłaś, że Cyganka twierdziła, że księciem ma okazać się rosyjski miliarder.

– Z branży gazowej – potwierdziła.

Bastian pogrzebał w kieszeniach i wyłowił biały kartonik. Kiedy dostał go od Rosjanina, pirata drogowego, był pewien, że nic na wizytówce nie było. Teraz ze zdumieniem przeczytał:

Roman Marynin
miliarder i członek zarządu
Gasspower spółka giełdowa
Inwestycje piłkarskie,
kolarskie, sztuki walki i pianina

Na odwrocie było hasło reklamowe:

Nie daj się zagazować! Gazuj z Gasspower!

Poniżej podany był numer komórkowy i stacjonarny oraz e-mail.

– Spójrz – podał jej wizytówkę. Carmen przeczytała wizytówkę kilka razy.

– Nic tu nie ma, że jest księciem.

– Przecież sama mówiłaś, że ma sobie kupić tytuł księcia. Zapewniam cię jednak, że jest miliarderem z branży gazowej, rozbija się maybachem i potraça bezkarnie przechodniów na pasach dla pieszych.

– To on – Carmen przycisnęła wizytówkę do piersi, przymknęła oczy, wyobrażając sobie księcia, i zarumieniona rzuciła: – Dzwon!

– Teraz? Jest już po północy.

– Rosyjscy książęta nie śpią przed północą, tym bardziej

jeśli są miliarderami.

Chłopak wziął komórkę od prostytutki i wybrał numer. Po serii przeciągłych dźwięków odezwało się krótkie:

– No?

Bastian przedstawił się i przypomniał, skąd ma wizytówkę. Gdy doszedł do wypadku z potrąconym Turkiem, Roman Marynin powiedział:

– Aaaa, mój niedoszły doradca. Mówisz, chłopcze, że masz na imię Bastian? Któż ci dał takie potworne imię? Nie mógłbyś się nazywać Wołodia albo Aleksander? Czy twoją matkę wydmał diabeł, że szukała dla dziecka imienia podobnego bestii?

Bastian pomyślał, że powinien się obrazić. Spojrzał na pistolet, który Carmen wciąż trzymała wycelowany w niego, i zdecydował, że się nie będzie obrażał.

– Bastian to imię germańskie. Stare i porządne. Arystokratyczne – dodał uprzejmie.

– No, nie obrażaj się, nie obrażaj, Wołodia. Pozwolisz, że będę do ciebie mówił Wołodia?

– Jestem Bastian!

– Dobrze, Wołodia, niech będzie. Z czym dzwonicz?

– Hm, ciężko to wyjaśnić – zaczął Bastian.

– Nie krępuj się, wal prosto z mostu. Uwielbiam, gdy ludzie mówią do mnie jak starzy przyjaciele, kiedy są prostolinijni. Nawet nie wiesz, ilu skurwysynów, którzy mnie przeklinali od najgorszych, obdarzyłem miłością i uczyniłem milionerami. Być może równie wielu zabiłem, ale ty przecież nie musisz się martwić, bo przez telefon trudno kogoś zabić. Tak więc nie krępuj się, Wołodia, zwyzywaj mnie i na koniec powiedz jakieś miłe słowo.

– Stoję właśnie obok kobiety – zaczął Bastian. -Pięknej kobiety.

– Brzmi interesująco. Uwielbiam piękne kobiety, a po czterech szklankach stolicznej wszystkie są piękne. Muszę ci wyznać, że właściwie nigdy nie schodzę poniżej czterech szklanek, więc dla mnie świat jest pełen pięknych kobiet. W ogóle świat jest piękny. No, o co chodzi?

– Ona jest prawdziwą pięknoscią – dodał Bastian.

– I uważam, że powinieneś ją poznać.

– Poznać?

– Tak. Jest kobietą jedyną w swoim rodzaju i sędzę, że może mieć dla ciebie intrygującą propozycję.

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza.

– Czy dobrze pamiętam, że nie chciałeś pracować jako mój doradca?

– Tak, lecz...

– Więc pozwolisz, że nie będę słucał twoich rad. Interesują mnie tylko fakty. No więc, czego ode mnie chce ta kobieta?

– Sądzę, że ma naprawdę ciekawą ofertę...

– Tylko fakty – przerwał Marynin.

– To nie na telefon.

– Ja ciekawe oferty przyjmuję tylko przez telefon. Bastian pomyślał, że wszystko stracone, i w tym momencie Carmen przejęła słuchawkę, chrząknęła i powiedziała:

– Tu Carmen, ty pedale. A teraz mnie posłuchasz albo pojedę do ciebie i urwę ci wielkie kosmate jajca. Zrozumiano?

Carmen słucała przez chwilę w milczeniu, a potem się odezwała:

– No więc, przekłety draniu, może jesteś pieprzonym miliarderm, gazowym potentatem, pijakiem i alfonsem, ale powiedz, czy pomyślałeś kiedyś, żeby zostać księciem? Bastian nie słucał dalej. Cichaczem ulotnił się z salonu, ubrał się w przedpokoju i już zamierzał wyjść, gdy Carmen pojawiła się z pistoletem i komórką w dłoniach.

– Chce z tobą mówić – oznajmiła.

Bastian niechętnie wziął od niej telefon i powiedział:

– Tak?

– Gdzieś ty trzymał tę rozpaloną kocicę, młodzieńcze. Chciałem ci tylko podziękować i powiedzieć, że posada doradcy wciąż jest do wzięcia. I od dziś, nawet jak cię nie zatrudnię, możesz mi doradzać. Jeśli o tym zapomnę, możesz zwyzywać mnie od pedałów. A wiedz, że gardzę nimi bardziej niż Żydami, albo co najmniej tak samo. Tylko lepiej przez telefon, bo na żywo bywam porywczy.

– Ja także mam żydowskie pochodzenie – westchnął Bastian.
– Żydowscy Niemcy dość wycierpieli, więc ci wybaczam.
Poza tym żaden Żyd nie będzie mi mówił, kogo mam lubić, a kogo nie. Zrozumiano?

– Tak, dobrze.

– Tylko tyle? Ech, chłopaku, wykrzesaj z siebie trochę ognia. Nie bądź mimozą. Podsuwasz mi takie kobiety jak Carmen, a zachowujesz się, jakbyś był impotentem. Z życiem i plemnikami, do dzieła! A teraz daj mi Carmen.

Bastian wyszedł po cichu.

Rozdział 19

Lenny obudził się spocony i rozedrgany. Ktoś szarpał go za ramię, ktoś nachylał się nad nim, ktoś chuchał mu w nozdrza czosnkiem, wodą kolońską i tequilą. Było ich trzech. Dwóch w mundurach, jeden w koszulce polo i lekkiej marynarce. Ten ostatni wachlował kapeluszem, żeby ocucić Lenny'ego albo samemu pobudzić się do życia.

– Hej, synu, obudź się!

Lenny otworzył szerzej oczy i w tym momencie jego źrenice poraziło światło małej latarki.

– Brał coś. Crack albo pejotl. Stawiam na pejotl.

– Hej, synu, jesteś z nami?

– A może dymasz Cameron Diaz?

– Zobacz, dzieciak zeszczął się w gacie.

– Już wyszło.

Lenny już prawie odzyskał świadomość. Zobaczył przedział pociągu, z którego w narkotycznym śnie wysiadł na pustyni, a potem dotarł do miasteczka stworzonego przez CIA.

Czy zatem to wszystko było snem?

Odetchnął z ulgą, gdy dojrzał bagaże i laptopa. Jak to możliwe, że choć zasnął, nikt go nie okradł? Tu, w Meksyku? Spojrzał przez okno: pociąg stał gdzieś na bocznicy, na wielkim torowisku.

Następnie zawstydził się z powodu tego, co usłyszał. Policjanci mówili prawdę. Czuł stwardniałą tkaninę na udach i widział ślad wielkiej plamy, co niechybnie świadczyło, że we śnie się zsikał.

– Chłopcze, już jesteś? Co brałeś? – to mówił ten bez munduru. – Spokojnie, jestem z ambasady amerykańskiej. Jestem tu, by ci pomóc.

– Ktoś mnie otruł – szepnął Lenny. – Ja nie biore narkotyków.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Lepiej dobrze się zastanów – powiedział mężczyzna w marynarce. – Jeśli zgłosisz przestępstwo, będziesz musiał złożyć zeznania, stanąć przed meksykańskim sądem i tak dalej. Prawdę mówiąc, jako przedstawiciel ambasady, doradzałbym ci ograniczenie roszczeń.

– Nie mam żadnych roszczeń – wyznał Lenny. – Mówię tylko, co się stało.

– Jeśli ktoś cię otruł, to dlaczego nie okradł?

– Właśnie?

Lenny wzruszył ramionami. Godzinę później zapłacili grzywnę za spanie w pociągu i dwaj policjanci zostawili go sam na sam z przedstawicielem ambasady.

– Mów do mnie Al, chłopcze. Mam na imię Allan, ale strasznie mnie denerwuje to imię. Tu wszyscy zwracają się do mnie Al. A ty jaką masz ksywkę?

– Lenny. Po prostu.

– Po prostu Lenny. Też ładnie.

Jechali przez pustynny krajobraz chevroletem Ala. Urzędnik opisywał mu okolicę, opowiadając niezbyt zabawne historyjki.

– Jak daleko stąd do Tihuahua?

– Dokąd?

– Tihuahua – powtórzył Lenny.

– Nie znam takiej miejscowości – powiedział Al. – Ale znam dużo atrakcyjniejsze miejsca. Moja przyjaciółka prowadzi kurort w Cancun. Jej dziewczyny potrafią wyczyniać niesamowite rzeczy z piłeczkami do golfa. Tu na miejscu też mam jedną panienkę, która wkłada sobie do gardła butelkę coli głębiej niż Madonna. Zainteresowany?

– Słyszałeś kiedyś o tajnym mieście CIA?

Al drgnął, ruszył gwałtownie kierownicą, samochód zatańczył.

– Posłuchaj, Lenny, ja nie szukam kłopotów. Nie gadam o CIA, narkotykach, rekinach i Billu Clintonie. Mogę załatwić ci dymano życia w Cancun czy Acapulco, ale jak pytasz mnie o tajne biznesy CIA, to ci odpowiadam: pierdol się.

Zahamował gwałtownie na środku pustyni i otworzył drzwi

chevroleta.

– Wsiadaj!

– Tylko zapytałem – westchnął Lenny.

– Wypierdalaj! – nagle przed twarzą Włocha zamajaczył czarny Smith & Wesson. – No już, bo zastrzelę jak psa.

Lenny pomyślał, że gdyby to się stało w Nowym Jorku, zrobiłby wszystko, żeby się odegrać. Wstąpiłby do mafii, byle tylko ten goguś z ambasady narobił ze strachu w galoty.

Tymczasem jednak musiał wysiąść. Zaklął. Chevrolet urzędnika szybko zniknął za horyzontem i Lenny został sam. Zarzucił na plecy bagaże, obiecując sobie w duchu, że następnym razem weźmie tylko plecak i dyktafon.

Po chuj brałem laptopa i wszystkie te śmieci?

Słońce grzało niemiłosiernie i dziennikarz pomyślał, że wkrótce nastąpi koniec. Wtedy usłyszał daleki warkot, przypominający narastające brzęczenie pszczoły. Obejrzał się i po paru minutach, gdy warkot się nasilił, ujrzał wysmukły kształt, który pojawiał się i znikał na trasie za wzgórzami. Po chwili piękny, czarny chopper zahamował koło Lenny'ego.

Motocyklista miał na głowie obcisłą skórzaną pilotkę i zabawne gogle, pewno z czasów wojny. Pod wydatnym nosem ścilił się biały wąs. Staruszek przesunął na czoło gogle i powiedział z uśmiechem:

– No i znów cię ratuję, chłopaku. Wsiadasz? Lenny zapakował się z tyłu i wtulił w plecy kierowcy. Czuł się jak dziewczyna, a tamtemu najwyraźniej sprawiało to przyjemność. Gdy dojechali do miasta, staruszek zdjął pilotkę i gogle, i powiedział:

– Stawiasz piwo.

Lenny sprawdził, czy ma pieniądze. W portfelu były drobne i wszystkie karty. Nikt go nie okradł. Skinął głową.

Bar wyglądał nieco lepiej niż lokale na filmach Rodrigueza lub Tarantino, natomiast wszyscy bywalcy mogli z łatwością załapać się na casting do ich filmów. Lenny zamówił boom-boom i starając się nie prowokować nikogo, wpatrywał się w bar. Liczył butelki. Doliczył do dwudziestu czterech, przy czym omijał prawie puste flaszki, a było ich tu całkiem sporo.

– Skąd jedziesz, dzieciaku? – pytanie zadał facet wyglądający jak poczwarka. Miał małe oczka, mały nos i wszystko małe, jakby ściśnięte w podłużnym kokonie.

Lenny nie odpowiedział.

– Za dobry jesteś, by z nami gadać?

– Nie, skąd – Lenny szybko zrozumiał, że obrał złą strategię. Było już jednak za późno.

Facet poczwarka wyczuł krew i nie zamierzał stracić tropu.

– Gringo myśli, że może przyjechać tu, do baru w El Ojito i nie odpowiadać na pytania porządných *viejo companeros*. A ja myślę, dzieciaku, że się pomyliłeś, że za chwilę będziesz tego żałował. Oj, będziesz żałował.

– Nie chciałem pana urazić – mruknął cicho Lenny. Poczwarka nachylił się nad nim. Śmierdział jeszcze gorzej. Chłopak pomyślał, że zaraz zwymiotuje.

Lenny nie bał się tych ludzi, bo i tak wiedział, że jeśli coś rzeczywiście będzie mu grozić, starzec na pewno przybędzie z pomocą. Przecież by go nie ratował, żeby zaraz potem miał zginąć od noża czy kuli z obrzynka? Mimo to nie chciał prowokować bandziorów, bo mógł się mylić w swojej logice.

Nagle coś dziwnego zaczęło się dziać z ciałem włoskiego chłopca. Gdy Lenny nabierał powietrza, czuł, jak rośnie mu klatka piersiowa. Gdy próbował je wypuścić, płuca odmawiały posłuszeństwa, więc ponownie nabierał powietrza, i tak w kółko. Po chwili urosł niemal dwukrotnie i zaczął przypominać zielonego Hulka, przy czym nie był zielony, tylko biały z kremowym odcieniem. Popatrzył zdumiony na swoje ramiona – one też urosły dwu-, a może trzykrotnie. Pod napiętym t-shirtem miał potężne mięśnie.

Lenny wcale nie był zdziwiony, bo ostatnio się zdarzyło sporo niezrozumiałych rzeczy.

Wstał i spojrział z wysokości dwóch i pół metra na przerażonych bandziorów. Człowiek poczwarka zmniejszył się jeszcze bardziej i chyba chciał coś powiedzieć, może nawet przeprosić. Lenny nie czekał dłużej. Nie było na co czekać. Chwyił poczwarkę za gardło i jednym niezbyt silnym pchnięciem wyrzucił go z baru. Meksykanie podnieśli się z

krzeselek. Część rzuciła się do ucieczki, reszta ruszyła do ataku. Lenny odganiał się od ich śmiesznych ciosów jak od much. Pacnął jednego, drugiego, trzeciego. Aż wreszcie czwarty wydobyl z za paska pistolet i strzelił dwukrotnie. Kule utkwiły w piersi Włocha. Powietrze zaczęło uciekać zeń przez dziury, więc pomyślał, że musi szybko zakończyć sprawę. Rozdzielił trzy uderzenia zaciśniętą pięścią i wszyscy awanturnicy wylecieli z lokalu.

Wtedy drzwi toalety otworzyły się i wszedł staruszek. Lenny wydał ostatni syk z dwóch dziurek i znów wyglądał jak włoski amant. Mimo że nie był już tak silny, w swojej skórze czuł się najlepiej.

– Boże, co tu się stało – westchnął starzec. – Nie można cię na chwilę zostawić, chłopcze. Barman?

Barman wychylił się z za kontuaru. Cały drżał.

– Fłaszka tequili i już nas nie ma.

Butelka sierry wylądowała na blacie. Starzec chwycił ją i klepnął Lenny'ego w plecy.

– Chodź, śpieszy się nam!

Słońce piekło chyba jeszcze mocniej, Powietrze było suche. Pustynny piasek wdzierał się do gardła i nozdry. Lenny przetarł czoło chusteczką i zbadał dwie dziury po kulach w koszuli. Na skórze miał jedynie dwa niewielkie siniaki.

– Kule nie są dla ciebie groźne, przynajmniej gdy jesteś w skórze białego Hulka – powiedział starzec. – Jednak musisz uważać na coś innego.

Zawiesił głos, jakby oczekiwał, że Lenny się odezwie. Włoch jednak milczał.

– Nie chcesz wiedzieć? Ech, i tak ci opowiem. No więc musisz uważać na tancerki o bladej skórze i czerwonych ustach. Ich usta sprawiają, że tracisz zmysły i robisz wszystko, co każą. A one nigdy nie obierają drogi cnoty. Strzeż się, synu, gorących tancerek o zimnych sercach i płonących ustach. Strzeż się, bo to wampiry. Słyszałeś kiedyś o wampirach? Też nie? Możesz milczeć, ja będę mówił. Zawsze lubiłem mówić za dwóch, a potrafię nawet za trzech albo i czterech. Ba, mogę mówić i za cały pułk. Pamiętam, jak kiedyś na obiedzie u Churchilla

mówiłem za wszystkich władców świata. I każdy był zadowolony. Podzieliliśmy świat jak kawałek zepsutego tortu. Śmierdziało szambem, a my się śmieliśmy, udając, że to tylko ktoś puścił aromatycznego bąka. Ale wracając do wampirów, to musisz wiedzieć, chłopcze, że wszystko, co o nich piszą, to nieprawda. Pieprzony Abraham Stoker zmyślił całą tę historię, choć wiedział, jak było naprawdę, bo odkrył manuskrypt syna pewnego zapomnianego króla i strażnika lochów hrabiego Drakuli. Jednak uznał, że jest nudny, zbyt powierzchowny i pozbawiony emocji, więc postanowił go przebudować. Może dlatego sam także stał się wampirem. Lampeczkę krwi? To znaczy tequili?

Lenny przymknął oczy i pomyślał o zielonych polach Toskanii. Jego ojciec uważał się co prawda za prawdziwego Sycylijczyka, lecz matka była romantyczką oddaną wzgórzom Ligurii. Podczas gdy ojciec szczyił się swoją werwą i brakiem współczucia, jak przystało na takiego kosmatego, mocno opalonego playboya, ona miała skórę o barwie mleka z niewielkim dodatkiem kawy. I usta nabrzmiałe od malinowego soku.

– Dokąd jedziemy? – przerwał starcowi.

– Co pamiętasz z naszej wizyty w Tihuahua? Jakie masz ostatnie wspomnienie?

Lenny zacisnął dłonie na skroniach i wycedził:

– Kora zabiła wszystkich mieszkańców. Szła ulicą i zabijała ich. Po kolei, bez litości. Aż...

– Aż? – ponaglił starzec.

– Nie wiem, nie pamiętam.

– Spotkała kogoś?

– Przecież to ty mnie tam zaprowadziłeś, sam wszystko widziałeś.

– Jestem przewodnikiem – wyjaśnił staruszek. – Nie mogę widzieć wizji. Zaprowadziłem cię na miejsce, lecz niczego nie widziałem.

Nagle Lenny sobie przypomniał.

– Wiem, była tam jakaś ruda kobieta. Młoda, właściwie jeszcze dziewczyna. Mogła mieć ze dwadzieścia lat. Stała i

patrzyła na Korę, czekając na śmierć. Ale potwór ją oszczędził. Nie zabił. Stał, patrzył na dziewczynę, a potem upadł u jej stóp.

– Wiesz, kim była ta dziewczyna? – zapytał starzec, a potem opowiedział Lenny’emu całą historię, to, co już wiedział, i czego nie wiedział, aż do momentu, gdy dziewczyna o rudych włosach, zakochana w kapitanie drużyny futbolowej, Gregu, powiedziała Korze prawdę. – I kiedy się spotkały ponownie oko w oko, Kora zrozumiała, że tamta nie zrobiła tego z zemsty czy nawet litości, tylko z zupełnie innego powodu. Jej gest był wynikiem uczucia, drzemiącego w piegopatym ciele. Ruda skrycie kochała Korę i nie mogła znieść tego eksperymentu i nieludzkiej podłości CIA. Dlatego to zrobiła. Miała na imię Sonia. I właśnie do niej jedziemy.

Rozdział 20

Bastian kilka razy próbował dodzwonić się do Iny. Dziewczyna nie odpowiadała. Poszedł do „Iluzjonu” i w samotności obejrzał „Personę”. Wypił potem erdingera i oglądał stare plakaty oraz czytał recenzje w gazetach sprzed lat. Ładna dziewczyna przyszła do kawiarni z chłopcem w okularach i co chwila na niego zerkąła, co wywołało kolejny przypływ podniecenia.

„Niedobrze, że myślisz kutasem – pomyślał sobie. -To nie jest dobre ani dla ciebie, ani dla Iny. Ani dla twojego małego”.

Odczuwał ból w podbrzuszu. Jak każdy młody człowiek potrzebował spełnienia. Dotarł do domu tuż przed północą. Usiłował zasnąć, ale sen nie nadchodził. Wziął prysznic i nago położył się do łóżka z „Księżą kłamców”. Dmuchając w strony, przerzucał je, pochłaniając kolejne hasła, aż dotarł do litery W i odnalazł hasło dotyczące wampirów. Poświęcono im aż cztery gęsto zapisane strony. Zaznaczono jednak, że jest to tylko skrót z innej zakazanej książki. Bastian przetaił oczy i przeczytał ponownie.

Wampiry: Istoty nocne przez lata niesłusznie oskarżane o potworne zbrodnie i picie niewinnej krwi, w rzeczywistości unikające światła i ludzi z powodu prześladowań, jakich doznały w czasach panowania księcia Vlada Drakuli zwanego też Diabłem, Smoczym Szatanem lub po prostu Władcą Diabłów.

„Vlad w XV wieku oskarżył jedną z nałożnic o spisek na swoje życie i ukarał, wtrącając do lochu. Zamiast dawać jej jadło i picie, nakazał strażnikom poić dziewczkę byczą krwią. Dziewczyna wymiotowała straszliwie, lecz w końcu przyzwyczaiła się do osobliwej diety i pokonała potrzeby

własnego ciała dzięki modlitwom. Była bardzo bogobojna i swój los uznała za boskie zrządzenie, gdyż nigdy nie odpowiadała jej rola nałożnicy. Krew w srebrnej karafce początkowo przynosił jej ślepy starzec. Gdy zmarł, dziewczyna przez blisko tydzień nie dostawała pożywienia i o mało co nie zmarła. Wtedy pojawił się syn starca. Miał już także blisko czterdzieści lat, był bezzębnym karłem i dotąd nie zaznał kobiety. Kiedy zobaczył Letycję, bo tak miała na imię owa niewiasta, zakochał się bez pamięci i modlił do Boga, by kiedyś pozwolił mu związać się z więźniarką.

Karzeł miał na imię Mirko. Przynosił Letycji dziwne poezje francuskich i hiszpańskich wieszczów, czytał jej zakonne księgi zakazane, rozmawiał godzinami przez kraty celi, rozkochując w sobie dziewczynę tak, jak nigdy nie zdołał tego zrobić Vlad. Pewnego dnia Letycja wyznała Mirkowi miłość i oddała mu się w nocy równie mrocznej jak dzień, a z tego związku narodziły się pięcioraczki, które zabiły matkę przy porodzie.

Mirko płakał tak, że z jego łez w podziemnych lochach powstało źródło, które potem w innym dalekim kraju dało początek błotnemu jezioru nazwanego Balatonem.

Z bluźnierczej wściekłości omal nie pozabijał dzieci. Z zemsty poił je byczą krwią, ale gdy żałoba minęła, pokochał potomków niemal tak jak żonę. Turcy tymczasem najechali smoczy zamek i zrównali go z ziemią, grzebiąc w lochach całe plemię Mirka. Lata mijały, a w podziemiach wołoskiego gospodarza toczyło się inne życie. Mimo braku światła, ludzkich rozrywek, witamin i dobrego jadła dzieci Letycji i Mirka chowały się dobrze. Jak już wspomnieliśmy, było ich pięcioro – trzech chłopców i dwie dziewczynki. Mirko nazwał chłopców: Asmodeusz, Belodor i Krystian. Dziewczynki, po matce: Letycja i Ligeja. Gdy dzieci były już na progu dorosłości, Mirko umarł. Na łożu śmierci wyznał wielką miłość i nakazał im kochać się jak bracia i siostry oraz jak mężowie i żony.

„Nie pozwólcie, by ród nasz zginął. Życie jest piękne. Nawet w podziemiach” – miał im rzec. Potem wezwał tylko Asmodeusza, który urodził się ostatni i powiedział mu:

„ Asmodeuszu, mój synu, nigdy ci o tym nie mówiłem, ale to

ty z całej piątki urodziłeś się ostatni i zabiłeś waszą matkę, a moją ukochaną żonę”. Asmodeusz nic nie odrzekł, tylko zapłakał. „Nie płacz, ukochany synu. Nie winię cię i nie oskarżam. Owszem, dawniej musiałem się hamować, by w zemście i własnej prostocie nie dać się ponieść prymitywnym chuciom. Na szczęście we śnie przemówiła do mnie wasza matka i zrozumiałem, że nie powinienem nikogo winić za jej śmierć, bo jej pani przychodzi i odbiera nam to, co najcenniejsze, a jej kaprysów nie sposób pojąć i zrozumieć. Tej samej nocy miałem też wizję, że Pani Śmierci nachyla się nad twą kołyską i zamierza cię zabrać, moimi lub innymi rękami, i przeraziłem się nie na żarty, bo zrozumiałem, że to właśnie ciebie, wbrew wszelkiej logice, pokochałem najbardziej”. „Dziękuję ojcze, że to mówisz” – odparł Asmodeusz. Tego dnia Mirko zmarł. Asmodeusz nie wyjawiał mu ani nikomu innemu swej tajemnicy, o której także ty, drogi czytelniku, dowiesz się później. Życie w lochach toczyło się dalej.

Belodor związał się z Letycją, a Krystian z Ligeją. Asmodeusz zaś przesiadywał w podziemnej bibliotece i pochłaniał starożytne pisma, w tym tajemne rękopisy mędrców Syjonu i władców wszechrzeczy. Tam też natrafił pewnego dnia na manuskrypt bez tytułu, którego strony były pisane odwrotnie i do góry nogami i poznał tajemnicę stworzenia wszechświata. Gdy zrozumiał istotę tej wiedzy, jej moc i zagrożenie, przeraził się, a potem ostatni raz zerknął na księgę. „Nie możesz dalej istnieć. Zagrzebano cię w lochach, by nikt cię nie odnalazł, ale ty sobie poradziłaś i trafiłaś w moje ręce” – rzekł sam do siebie. Wydawało mu się, że wizerunek czarta widniejący na okładce księgi uśmiechnął się i błysnął okiem. Asmodeusz chwycił krzesiwo, rozpalił pochodnię i przytknął do księgi. Początkowo osmaliała się tylko i tliła, by w końcu ulec płomieniom i skwiercząc smrodliwie jak palone ciało, zginąć w gorączce. Zanim zamieniła się w czarny popiół, Asmodeusz, który miewał omamy i wizje, przeraził się, czy czasem zamiast księgi nie podpalił któregoś z braci bądź którejsz z siostr. Ale nie, była to tylko księga, a że tkwiła w niej jakaś prastara magia, pojawił się w końcu demon podziemnego wiatru, dmuchnął gazami,

powodując, że przygasający ogień nagle wystrzelił, ogarnął biblioteczne zbiory i wywołał pożar, który poczuło samo piekło. Spłonęła większość komnat lochów, a od dymu i oparów rodzeństwoomal się nie otruło. Letycja i Ligeja, które były w zaawansowanej ciąży, poroniły i nigdy już nie mogły mieć dzieci. Belodor i Krystian zbili Asmodeusza i wygnali brata precz, na kraniec podziemi, gdzie miał zgnieć w samotności. Lecz to oni umarli, nie wypełniając woli Mirka, bo nie przedłużyli rodu.

Asmodeusz natomiast żył jak roślina. Wrósł w kamienistą glebę w ciemności i czerpał życiodajne soki wprost z ziemi, stracił wszystkie zmysły, a jego byt zamknął się w umyśle i ciele, by toczyć rozmowy z bogami.

Pozbawiona tytułu księga tajemnic wysłała kiedyś do niego posłańca, który miał umysł kobiety, i ów posłaniec rzekł:

„Przysłała mnie to nienazwane, co chciałeś zniszczyć, co spaliłeś w swojej barbarzyńskiej prostocie, myśląc, że w ten sposób na wieki uratujesz ludzkość od wiedzy i tajemnic. Otóż jesteś głupcem, który spełnił tylko marzenie świętej księgi. Bo teraz ty się nią stałeś. Stałeś się żywą księgą i będziesz żyć wiecznie jako drzewo wiedzy. A ja jestem twoją marą i przekleństwem”.

Kobieta była przezroczysta. Jej żyły widać było przez skórę. Toczyły błękitną krew do serca, które nie biło. Kobieta była martwa, lecz żyła.

Nachyliła się nad pogrążonym w obojętności Asmodeuszem i szeptała zaklęcia w tajemnym języku, którego nie rozumiał, a jej oddech był tak zimny, że ucho zamarzło mu na kość.

„Mam na imię Hellia, Asmodeuszu. Zapamiętaj to imię, bo dla ciebie oznacza wieczność”. Nic na to nie odrzekł i nie zamierzał rozmawiać z kobietą, licząc, że zrażona obojętnością pójdzie sobie i nie będzie mrozić powietrza, którym oddychał. Lecz Hellia dotrzymywała danego słowa i przychodziła codziennie bladym świtem. W końcu więc Asmodeusz złamał się i nieśmiało podejmował rozmowę, odpowiadając na pytania, lub sam zagadywał. Pewnego dnia opowiedział jej bajkę o małym księciu, którą przeczytał w bibliotece, a ona

śmiała się z niej. I odtąd codziennie prosiła, żeby raczył ją opowieściami, a on to czynił. Aż nadszedł dzień, w którym Hellia wyznała Asmodeuszowi miłość, każdy bowiem potrzebuje miłości. Asmodeusz zapłakał i ziemia uwolniła go z niewoli. Kochali się tak przedziwnie, jak przedziwne były ich jestestwa. A z tego zimnego związku narodziły się dzieci nocy, nazwane potem wampirami.

Po ojcu zyskiwały wiedzę tajemnych ksiąg, ludzkie ciała zdolne przemieniać się w rośliny i zwierzęta, po matce białą brzydotę, kłutwę nieśmiertelności i zamiłowanie do żywienia się myślami, marzeniami i uczuciami. Tym bowiem jest w istocie wampiryzm, jeszcze straszniejszy niż ten kłamliwy i powszechnie znany, krew bowiem jest tylko krwią, a marzenia aż marzeniami.

I nadszedł dzień, w którym ludzkość odkryła starożytne lochy. Ciężkie koparki odgrzebały je, a potem inżynierowie i archeolodzy dotarli do podziemnych komnat i uwolnili Asmodeusza, jego żonę Hellię i ich niezliczone dzieci, które właśnie dowiedziały się, że mają już setki lat, i odkryły swoje nieśmiertelne przekleństwo. Hellia zaś wyjawiała Asmodeuszowi, kim jest w rzeczywistości, o czym on już wiedział i mimo nienawiści, jaką żywił do niej za zabranie matki, kochał ją drugą połową jak mózg. Oboje dziś, tak jak ich dzieci, chodzą po ziemi wolni i niebezpieczni, pełni wewnętrznej mocy, zdolni zabijać umysłami, szukając wrażeń, przyjemności, wiedzy i miłości. Żywią się cierpieniem i szczęściem. Waszymi marzeniami.

Rozdział 21

Bastian z trudem oderwał się od książki i miał wrażenie, że ostatnie zdania modyfikują się na jego oczach, zmieniają, układają w zupełnie inne barwy, jakby książka sama się pisała od nowa, jakby zmieniała rzeczywistość, tworzyła nowe kłamstwa lub zupełnie inne prawdy.

Zamknął książkę i w tym samym momencie do pokoju wpadła Ina. Była bledsza niż zwykle, jej twarz wyglądała jak pokryta maścią, bo lśniła w poświacie księżyca.

Bastian spojrzął za okno i zobaczył pełnię. Ina rozsiadła się wygodnie i westchnęła.

- Wybacz, ale nie miałam gdzie pójść.
- Zawsze jesteś mile widziana – powiedział sucho.
- Mogę do ciebie wejść?

Nie czekając na odpowiedź, zrzuciła ubranie, bieliznę; świeża i wiotka wskoczyła do łóżka Bastiana, przytulając się do jego ciała. Bastian najpierw opierał się, potem poczuł jak twardnieje. Mimo to odwrócił się na bok, tyłem do dziewczyny.

– Och, nie bądź taki – szepnęła mu do ucha i pogłaskała po pośladkach. – Uwielbiam twój tyłek, uwielbiam, jak się pręży, jak wdzięcznie pracują pod skórą jego mięśnie, gdy się poruszasz we mnie. Kobieta wie, czy kochanek może dać jej rozkosz właśnie po pośladkach. Jeśli są wystające i prężne, obiecują moc wrażeń. Jeśli spłaszczone i miękkie, będzie więcej gadania niż roboty.

- Już nie potrafię cię zadowolić.
- Nie mów tak. To nie twoja wina. Nie masz szans w rywalizacji z demonem.

Bastian miał ochotę odsunąć jej dłoń. Przesunął się ku krawędzi. Ona przesunęła się za nim. Czuł na plecach jej piersi, a na biodrze dłoń. Męskość budziła się do życia wciąż i na nowo. Westchnął, pochłaniając zapachy nocy.

– Pachniesz mężczyzną – powiedział.

– O tak, Bastianie – przyznała. – Pachnę, cała jestem dziś mężczyzną. Zamieniłam się w niego, a potem dałam ponieść piekielnemu rydwanowi. Galopowaliśmy w tumanach skłębionej mgły. Ku czerwonemu słońcu, w kanionie, w którym na jednej z ogromnych ścian wisiał Prometeusz. Jego serce pożerał sęp o wyglądzie orła, a my nie zwracaliśmy na to uwagi, tylko bieглиśmy w otchłań, gdzie czekał na nas Zeus, zażywający kąpeli w gościnie u ubranej w sukienkę z węży Kali, robiącej dobrze Hadesowi. Tak, Bastianie, pachnę mężczyzną, bo doznałam dziś objawienia.

Młodzieniec wzdrygnął się.

– Czemu mi to robisz? Odejdź!

– Przecież właśnie tego chcesz. Chcesz słuchać. Ujęła jego członek w dłoń i sprawdziła czy wciąż jest nabrzmiały i twardy.

– Nie myślę się – dodała. – Siergiej się nie mylił. Właśnie on kazał mi do ciebie przyjść i ci opowiedzieć. Opowiedzieć, co mi zrobił i jak mi było z nim dobrze.

– Jesteś okrutna – szepnął Bastian.

– Nieprawda – poruszała wolno dłonią. – To ty jesteś okrutny. Sam dla siebie. Siergiej miał rację. Potrzebujesz mojej zdrady, mojego zepsucia, moich doznań i wyznań jeszcze bardziej niż ja sama. Gdybym nie przysłała, właśnie tym byś się nakręcał. Właśnie tak sobie wyobrażał mnie i jego, naszą zdradziecką jedność, i to by cię podniecało. Mój kochanek przysłał mnie po tym, jak on dał mi rozkosz, a ja jemu. Przysłał i powiedział: idź, daj teraz naszą rozkosz swojemu chłopcu. Przelej nań całe zepsucie, wyznaj i posiadź go, a nie będzie mógł już żyć bez twoich zrad i twojej rozkoszy. Bo to właśnie cię bierze. To bierze was wszystkich. Umartwianie się i prowokowanie cierpienia jest waszym celem i z niego czerpicie przyjemność.

A potem opowiedziała mu wszystko, co robiła z Siergiejem, a on jej nie przerwał. Nawet wtedy, gdy w szczegółach zdradzała mu najbardziej tajemne perwersje, Bastian wpatrywał się w robaka zabitego na ścianie i milczał. A gdy sam osiągnął rozkosz, jęknął i wtulił twarz w poduszkę.

Ina wstała, ubrała się i zbierała do wyjścia.

– Dlaczego przyszłaś? – zapytał.

– Potrzebowałeś mnie – zadrwiła.

– Dlaczego?

– Siergiej miał rację – powtórzyła. – Zakazał mi komukolwiek opowiadać o tym, co przeżyłam. Jednocześnie pozwolił, bym opowiedziała tobie. Wiesz, co mi powiedział? Czym jest szczęście i rozkosz, jeśli nie można o nich nikomu opowiedzieć!? Miał rację. Takie szczęście się nie liczy. Jest więzieniem. A więzień nie może być szczęśliwy.

Ina wyszła.

Za oknem księżyc wychynął na chwilę zza chmur, po czym znowu zapanowała całkowita ciemność. Wszystkie lampy zgasły. Bastian niemal słyszał, jak na gzymsie siada coś dużego, większego niż nietoperz. Wyrzwał przez okno i zobaczył coś, czego nie powinien widzieć. Przyklejony do ściany siedział skulony w kucki pokraczny mężczyzna o zbyt długich nogach i ramionach, z których wyrastały złożone wzdłuż ciała skrzydła. Miał łysą pomarszczoną głowę, starszą niż czaszki z wykopalisk w Egipcie. Był dziwacznym połączeniem zwierzęcia, rośliny i człowieka. Nietoperzem, wilkiem, lianą i myślicielem w jednym. W tej postaci nie przypominał już Siergieja. Był Asmodeuszem.

Rozdział 22

Otworzyła im drzwi Sonia, która wyglądała równie pięknie jak w wizji, przedstawiającej ją kilkanaście lat temu. Była żoną portugalskiego architekta Hektora Torga. Jego zdjęcia stały w każdym pokoju i wisiały na każdej ścianie. Lenny pomyślał, że kobieta musi bardzo kochać męża.

Przyglądała się im i chyba dość szybko domyśliła się, o co może chodzić. Przeszła do kuchni, nie zapraszając gości. Usiedli przy długim blacie i nic nie mówili.

– Chcecie kawy? – zapytała. Starzec pokręcił przecząco głową.

– Espresso – poprosił Lenny.

– Mam tylko amerykańską.

– Może być.

Sonia krzątała się przy ekspresie przelewowym. W końcu zapytała:

– Dlaczego?

– Dlaczego co? – zaciekawiał się starzec.

– Dlaczego dopiero teraz? Minęło już... bo ja wiem, może z dwadzieścia lat.

– Prawie – przyznał starzec. – Ale czy to ma znaczenie?

– Zabijecie mnie?

Lenny otworzył usta ze zdumienia. Spojrzał na starca, który się uśmiechnął.

– Nie, Soniu. To było dawno temu. Nikogo nie zabijemy.

W końcu kobieta usiadła naprzeciwko, poprawiła fryzurę, przetarła lewe oko, chwyciła się za guzik od koszuli i spytała:

– No więc, czego chcecie? Starzec westchnął i powiedział:

– To jest Lenny. Lenny jest dziennikarzem z „The Global News”. Wysłano go, żeby zrobił reportaż o wydarzeniach w Tihuahua. Pomyślałem, że powinien porozmawiać z tobą.

– Nic nie pamiętam – wzruszyła ramionami.

– Jesteś jedyną osobą, która przetrwała tę rzeź.
– Powiedziałam już: nie pamiętam.
– Nie wierzymy ci, Soniu.
– To musicie zmienić producenta wariografów. Lenny oglądał ściany pokoju. Poza zdjęciami męża było tam wiele fotografii różnych ludzi, dzieci, zwierząt i krajobrazów. Ktoś w tym domu lubił fotografować. Nagle dziennikarz zauważył zdjęcie jakby ukryte wśród innych. Przedstawiało dwie kobiety. Obie miały zasłonięte głowy chustami, czarne okulary. Siedziały w jakimś odkrytym samochodzie. Jedną z tych kobiet była Sonia, drugą Kora.

Lenny wstał i sięgnął po zdjęcie.

– Zabierz łapska – warknęła dziewczyna.
– Nie możesz mu zabraniać, to jego praca – powiedział spokojnie staruszek.
– Gównu. Lenny cofnął rękę.
– Co to za zdjęcie? – zapytał.
– Z filmu „Thelma i Louise”. Oglądałeś?
– Oglądałem.
– Powinniście już iść.

Staruszek podniósł do góry ramiona.

– Soniu – rzekł. – Jesteś nam winna te wyjaśnienia. Chyba że chcesz, żebyśmy pogrzebali w twoim spokojnym życiu. Jeśli wolisz, możemy opowiedzieć o twoich sztucznych pragnieniach. Może to nawet będzie ciekawsze niż dziwaczna historia Kory i zaginionego miasteczka. Ludzie wolą czytać o nieszczęściach powszechnych, bliskich im samym, niż epickich i spektakularnych. Te zawsze wydają im się wymyślone, jeśli nie widzieli ich w telewizji. No więc jak, opowiesz nam o tym, czy wolisz, żeby Lenny opisał twój przypadek.

Sonia westchnęła. Przewróciła zdjęcie Hektora i sięgnęła po flaszkę dżinu z kredensu.

– Chcecie? – nie czekając na odpowiedź, rozlała alkohol do trzech szklanek. Wyjęła sprite'a, odkręciła, nalała sobie do szklanki i postawiła otwartą butelkę na blacie. Staruszek chwycił swoją szklankę i przechylił jednym haustem. Lenny, choć początkowo zamierzał dolać sobie napoju, także przechylił

szklanę z czystym alkoholem.

– Mów – syknął starzec.

– Skoro już tu jesteście, to wszystko wiecie. Kora spacyfikowała całe miasteczko, po czym padła mi u stóp. Nie wiedziałam, co zrobić. Nie byłam jakąś kutą na cztery nogi suką, znającą taekwondo, tylko zwykłą nastolatką, zgarniętą przez CIA z wybiegu dla modelek. Zapytali, czy chcę urwać się z domu, olać naukę, dostawać regularnie crack, odgrywać dziewczynę superprzystojniaka i mieć wszystko w dupie, to się zgodziłam. A potem wyszło, jak wyszło. To wszystko. A teraz spadajcie.

– Zrobiłaś to z miłości? – zapytał Lenny, choć znał już odpowiedź od staruszka. Dziennikarz lubi jednak słuchać relacji z pierwszej ręki.

– Co takiego?

– Powiedziałaś Korze o tym, że to wszystko jest na niby, bo kochałaś Grega. A czy była inna przyczyna?

– Myślisz, że kochałam Grega? – roześmiała się. – Cóż, nie kochałam. Zrobiłam mu dwa razy laskę z przymusu, a raz pozwoliłam się przelecieć na masce lincolna. To tyle z tej miłości. Był beznadziejny.

– A ją? Kochałaś się w niej? – zapytał Lenny, przypominając sobie stwierdzenia staruszka, który przymknął oczy i szeptał coś jakby modlitwę pod nosem, kiwając się w przód i w tył.

– O co ci chodzi? Nie jestem lesbą! – skłamała Sonia.

– Miłość ma różne oblicza.

– Gównu – westchnęła gospodyni i naląła sobie ginu. Ręka jej drżała. Tym razem nie dolała sprite'a.

– To dlaczego ją ostrzegłaś? Dlaczego powiedziałaś?

– Bo miałam tego serdecznie dość. Przez lata oszukiwali tę biedną dziewczynę. Robili ją w konia i jeszcze próbowali naciągnąć na tego wała Grega, który był pierwszoplanową gnidą, prawdziwym kutasem. Dlatego to zrobiłam.

– Może dlatego cię oszczędziła?

– Nie. Zabrakło jej sił. W innym wypadku też bym już nie żyła.

– Co stało się dalej? Zadzwoiłaś po CIA? Sonia westchnęła

zrezygnowana.

– Nie. Jeśli nawet by jej nie zabili, to zrobiliby pewnie jeszcze coś gorszego. Zapakowałam ją do samochodu i wywiozłam daleko, tam gdzie nikt nie mógł nas znaleźć.

– Gdzie? – zapytał Lenny.

– To nie jest ważne. Pewien mój znajomy przyrodnik robił badania w Meksyku. Kochał się we mnie i ciągle zapraszał. Pojechaliśmy z Korą do niego, a on pozwolił nam zamieszkać w domku na wzgórzu, który udostępnił mu inwestor, prowadzący wykopaliska.

– Czego szukał? Sonia roześmiała się.

– Wampirów.

– Wampirów? Wampiry nie istnieją.

– Miał na imię Rufus. On i jego inwestor mieli na ten temat inne zdanie. Twierdzili, że cała historia wampirów jest przekłamana. Ze gdzieś pod ziemią żyły, a może nawet żyją w tajemnym labiryncie tuneli i nie żywią się krwią, choć rzeczywiście są nieśmiertelne.

– Odkrył te wampiry? – uśmiechnął się Lenny.

– W Meksyku nie. Ale niedługo potem wyjechał na Węgry i tam podobno mu się udało. Znalazł podziemne miasto.

– I wampiry?

– Nie. Tylko miasto. Podziemne lochy, puste jak trumna pirata. Nikogo tam nie znaleźli poza szkieletami.

– Co było dalej?

– Zamieszkałyśmy z Korą z naszym przyjacielem i dziewczyna powoli dochodziła do zdrowia. Miała przebłyski pamięci, jednak nie dopuszczała do siebie większości wspomnień. Nie rozmawialiśmy o tym, jakby to był temat tabu. Udawała, że mnie nie pamięta. Pewnego dnia wróciłam do domku, a jej nie było. Zniknęła. Ot cała historia.

– Gdzie podziała się Kora?

– Skąd mam wiedzieć? Idźcie już, zanim wróci mój mąż. Starzec klasnął w dłonie i skinął Włochowi głową.

Wyszli. Lenny obejrzał się i zobaczył twarz Soni w oknie. Była starsza od niego. Podobała mu się. Miał ochotę wrócić tam bez starca.

- Dokąd teraz?
 - Do motelu. Wieczorem pójdziemy na zabawę. A potem ponownie odwiedzimy Sonię.
 - Po co?
 - Żeby poznać prawdę.
 - Nie powiedziała jej?
 - Nie wszystko. Chcesz poznać prawdę do swojego artykułu, czy wolisz zmyślać? Ja zawsze woląłem zmyślać i nie pogniewam się, jeśli ty też się na to zdecydujesz.
- Lenny zawahał się.
- Pojedźmy jeszcze raz do Soni – odparł.
 - Zobaczymy, czy nas zaprosi.

Rozdział 23

Zabawa odbywała się w wielkim namiocie, rozstawionym na obrzeżach miasta. Gdy zapadał zmrok, dalekie światła wyglądały jak statek kosmiczny, który wylądował na środku pustyni. Z drugiej strony widniał mroczny masyw górski, zasłaniający wschodzący księżyc, toteż namiot wydawał się do połowy pogrążony w mroku.

Staruszek zaparkował tuż przed wielkim znakiem, na którym wypisano rozmaite ostrzeżenia:

Pileś, nie jedź!
Palenie szkodzi zdrowiu! Pał tylko maryskę!
Bzykanie w nocy na pustyni grozi pogryzieniem
przez grzechotnika lub skorpiona!

Nad wejściem do namiotu wywieszono płócienny transparent:

Prosimy nie sikać na podłogę.

Zanim weszli, staruszek wyjął z bagażnika niewielki pakunek. Wręczył go Lenny'emu. – To dla ciebie.

– Co to?

– Prezent.

Lenny nie podziękował. Wzruszył ramionami i rozerwał paczkę. W środku była nowa koszula i kapelusz.

– Założ – powiedział staruszek, wsadzając palec w przedziurawioną kulami starą koszulę Lenny'ego. – Może dzisiejszego wieczora będziesz potrzebował świeżej koszuli.

– A kapelusz?

– Będziesz ładniejszy. Może poderwiesz nawet jakąś dziewczynę. Tu, w Meksyku, facet bez kapelusza to ciota. Lenny

przebrał się. Dżinsowa koszula pasowała idealnie. Wepchnął ją w spodnie i nie dopiął guzika pod szyją, dzięki czemu włosy na klatce piersiowej, wystawały uwodzicielsko, podkreślając męskość.

Założył kapelusz, naciągnął go i poprawił rondo.

– I jak?

Staruszek pokazał wyciągnięty do góry kciuk.

Kupili wejściówki w kasie, znajdującej się w przyczepie kempingowej, i weszli do namiotu. Lenny rozdziawił gębę zaskoczony. Nie spodziewał się, że jeszcze dziś trafi do raj. W środku było już sporo ludzi, przy czym znacznie więcej kobiet niż mężczyzn. Wszystkie były piękne, czekoladowe, seksowne i ubrane tak, że Lenny pomyślał, że musi się napić. Latynoski raj.

Wszyscy mężczyźni mieli na głowach kapelusze. W duchu podziękował towarzyszowi za prezent. Głupio wyglądałby bez kapelusza.

Staruszek zasiadł przy stoliku i poprosił:

– Przynieś mi piwo, a potem korzystaj. Tylko pamiętaj o ostrzeżeniu sprzed parkingu. Bzykanie na pustyni grozi pogryzieniem przez skorpiona.

– I grzechotnika – dodał Włoch.

– Właśnie.

Zamówił w barze dwa piwa i zaniósł je do stolika. Staruszek miał przymknięte oczy i kiwał się w przód i w tył. Choć nie patrzył, sięgnął po szklankę.

– No idź już.

Lenny ruszył w kierunku parkietu z desek i niewielkiej sceny, na której grało kilku El mariachi. Mimo że większość bywalców piła przy stolikach, parkiet szybko się zapełniał. Ktoś potrącił Lenny'ego i nie przeprosił. Ktoś inny spojrział prosto w oczy, po czym odszedł.

Nagle tuż przed nim pojawiła się kobieta o twarzy anioła.

– Witaj, gringo. Przyszedłeś się upić czy zabawić?

– Może i to, i to.

– Też dobrze – roześmiała się kobieta i zawirowała w tańcu.

– Pij, gringo, pij, będziesz łatwiejszy.

Lenny miał wrażenie, że tańcząca kobieta zmienia się, przybiera inne oblicza, zawsze piękne, ale całkowicie odmienne. Raz była ponętną kocicą, innym razem niewinną licealistką. Wyuzdanie walczyło w niej z niewinnością, co Lenny'ego zmroziło, zamiast pociągać. Pomyślał, że przeżył ostatnio zbyt wiele, by uwodzić kobiety o zmiennych twarzach lub bzykać się na pustyni i ryzykować pogryzienie przez grzechotnika.

– Lub skorpion – dodał starzec, który nagle znalazł się koło niego, jakby czytał mu w myślach. – Chodź, szybko. Musimy się przygotować.

– Coś tu jest nie tak – powiedział Lenny. – Oni wszyscy... Starzec uśmiechnął się i skinął głową.

– No, dokończ...

– Są jakby sztuczni. Jak jakieś pieprzone hologramy albo androidy. Właśnie tak.

– Ludzie stają się hologramami, jeśli przestają kochać i wierzyć – wyjaśnił staruszek, nie bardzo przejmując się brzmiącym w tych słowach banałem. – Istnieją, ale jakby nie istnieli. Mogą tylko wabić zmiennokształtnością, ale tak naprawdę są jak lalki wrzucone do wody. Toną, choć nie umierają. Ale ci tam nie są sztuczni.

Do namiotu weszło czterech mężczyzn w czarnych garniturach i kapelusikach, jakie dawniej nosili muzycy lub detektywi. Każdy trzymał w ręku niewielką teczuszkę. Byli bladzi i mieli bardzo czerwone usta.

– Szybko – syknął staruszek. – Zmień się w Hulka. Z nimi nie pójdzie tak łatwo jak z głupkami z baru.

Nagle zniknął. Lenny'emu wydawało się, że widzi jego rozmazany cień, biegnący z przerażającą szybkością do drugiego wyjścia, jednak nie był tego pewien. Był jednak pewien, że czwórka bez sternika nie ma dobrych zamiarów. Otaczali go szerokim łukiem, a Lenny próbował zmienić się w Hulka.

Na próżno. Jak to było, do cholery? – krzyczał w myślach, lecz w środku odpowiadało mu głucho echo. Bezmiar pustki.

Chłopak poczuł pierwszą kroplę potu, spływającą z czoła,

zaparł się nogami, oczekując pierwszych ciosów, i łapczywie łapał powietrze, starając się je połknąć, jak wtedy przy barze. Na nic. Powietrze wtłoczone do kiszek wracało do krtani. Wypuść mnie!

Blues Brothers stanęli w rozkroku. Dwóch przed nim, dwóch za jego plecami. Zaczął ten z przodu po lewej. Upuścił teczkę. Uniósł dłonie wysoko nad głowę. Rękawy jego marynarki opadły, odsłaniając mankiety. Lewa ręka wywinęła młynka, prawa wyprostowała się w śmiertelnym uderzeniu w powietrze. Mężczyzna krzyknął, ugiął nogi w kolanach, wywinął ramionami kilka ekspresyjnych figur kung-fu, a potem robiąc kilka szybkich salt dopadł Lenny'ego .

Ciosy, które otrzymał Włoch, zapewne by go zabiły. Były mocne i szybkie. Technicznie perfekcyjne i zadawane z pasją.

Lecz Lenny nie był już zwykłym Włochem.

Był białym Hulkiem. Stał się nim szybciej, niż myśl dotarła do oka. A myśl jest szybsza niż światło, nawet jeśli Einstein twierdzi inaczej.

Lenny, wyrośnięty i umięśniony jak heros, przyjął ciosy i wbił napastnika w ziemię jednym uderzeniem zaciśniętej pięści. To samo stało się z drugim z braci i wtedy dwaj pozostali wyciągnęli z walizek śmiesznie wyglądające pistolety. Bardziej przypominały kije golfowe niż broń palną. Miały jednak rękojeści i spusty w osłonach oraz celowniki i muszki. Nad lufą przebiegał gruby przewód połączony z baterią umieszczoną w kolbie.

Trzeci garniturowiec nacisnął spust i z lufy wyleciała kulka, przypominająca okrągłe pojemniki na drobne zabawki, umieszczane w automatach na basenach i w wesołych miasteczkach. Wrzucasz dwa złote i masz zabawkę. W środku kulki tańczyła jakaś niebieska iskra. Kula uderzyła w pierś Lenny'ego i rozbiła się, uwalniając iskierkę. Ta z kolei zmieniła się w dziesięć piorunów, które były włoskiego herosa z sufitu i podłogi. Lenny poczuł przerażający ból w piersiach i runął na ziemię. Wtedy wystrzelił ostatni z napastników. Jego kula była podobna, lecz iskierka tańcząca w środku miała czerwony kolor. Gdy uderzyła w Lenny'ego, ten poczuł gorąco, jakby

trafił do piekła. Płomienie rozrywały mu skórę, piekły i wypalały czarne piętna na ciele. W tym czasie zdarzyło się coś jeszcze dziwniejszego. Dwaj bracia wbici w ziemię jakoś zdołali dotrzeć do swoich teczek. Na szczęście nie mieli w nich dziwacznych karabinów tylko broń białą. Pierwszy wyszarpał coś w rodzaju japońskiego miecza, który jednak na końcu miał główkę kobry zamiast ostrza. Podbiegł do Lenny'ego. Uniósł broń nad głowę i wtedy kobra uaktywniła się, kłusząc dwukrotnie Włocha. Brzydkie rany po ukąszeniach zaczęły błyskawicznie puchnąć i pewnie dlatego powietrze od razu nie uszło z ciała. W tym czasie inny brat z bronią białą zaatakował z drugiej strony, starając się dwuręcznym mieczem pirackim obciąć przemienionemu dziennikarzowi głowę. Lenny uchylił się w ostatniej chwili, pochwycił dłoń z mieczem, urwał ją od ciała i obciął głowę kobrze, wraz z głową przeciwnika. Drugie ramię pochwyciło szyję mężczyzny z mieczem, ścisnęło ją, jakby była z papieru, i rzuciło ciałem o sufit. Napastnik został nabity na dziesięć ostrych szpikulców do wieszania oświetlenia. Dwaj pozostali bracia zdołali już załadować broń, lecz nie zdążyli wycelować. Lenny Hulk przeciął pierwszego na pół w poprzek, a drugiego w pionie.

Staruszek równie szybko jak zniknął, pojawił się z powrotem.

– Gratuluję. Świetna robota.

– Dlaczego uciekłeś? Zostawiłeś mnie samego – powiedział Lenny z wyrzutem. Przybrał już normalne kształty.

– Nieprawda. Zostawiłem cię z Hulkiem. A teraz uciekajmy, zanim pojawi się policja.

Jechali w kierunku pustyni tylko po to, by objechać wzgórze i wrócić do miasta od drugiej strony.

– Dlaczego wracamy?

– Zapomniałeś? Przecież musimy wyciągnąć prawdę od Soni.

– W dupie mam prawdę. Właśnie próbowało mnie zabić czterech wariatów z bronią z jakiejś powieści s.f.

– Nie byli wariatami. Nikt nie uważał braci Stavros za wariatów. Mieli dotąd świetną opinię. Dbali o interesy. Wywiązywali się z zadań i nie robili niepotrzebnych kłopotów. Byli świetni w swoim fachu.

– Bracia Stavros?

– Tak. Zabójcy nad zabójcami. Znani w całej Europie, w Stanach i Meksyku trochę mniej. Pewnie dlatego Sonia ich wybrała.

– Sonia?

– A kto inny? Tylko jej zależało na twojej śmierci. Tylko ona знаła braci Stavros i tylko jej byli winni przysługę.

– Nic nie rozumiem.

– Bracia Stavros zawsze byli honorowi i spłacali długi. Sonia uratowała im kiedyś życie, nie wiedząc, kogo ratuje. To było dawno, jeszcze zanim wstąpiła do CIA. Zupełnie przypadkiem odłączyła zasilanie bomby umieszczonej w samochodzie braci Stavros. Gdy tylko się zorientowali, że to dzięki niej żyją, przybyli pewnej nocy do jej domu, zakneblowali i powiedzieli: „Jeśli kiedyś będziesz potrzebować pomocy, zadzwoń. Przybędziemy szybciej niż myśl. A biegnie szybciej niż światło, nawet jeśli Einstein twierdzi inaczej”.

– Więc to rzeczywiście musiała być Sonia.

– Bez dwóch zdań.

– Co powinniśmy zrobić?

– Wyciągnąć z Soni prawdę, a potem ją zamordować.

– Nie zamierzam nikogo zabijać.

Staruszek roześmiał się głośno i poklepał Lenny'ego po ramieniu jakby chciał powiedzieć: „Jesteś doprawdy zabawny, młodzieńcze. Ze śmiercią się nie negocjuje. Można z niej drwić, ale to ona zawsze śmieje się na końcu.”

– Długi trzeba spłacać. Im szybciej, tym lepiej. Tak robią prawdziwi twardziele.

Rozdział 24

Asmodeusz patrzył w oczy Bastiana i zastanawiał się, cóż może myśleć ten biedny chłopiec pozbawiony duszy. Tak, wciąż nie miał duszy. Wszyscy myślą, że dusza rodzi się razem z człowiekiem. Ale to nieprawda. Wiedzą o tym nieliczni, tak jak tylko nieliczni mogą pozyskać duszę. Przypomniał sobie, jak to tłumaczył jednemu chłopcu, którego musiał zabrać kilka lat temu. Przybył, tak jak mu nakazało przeznaczenie, pogłaskał chłopca po głowie i uniósł w niebiosa. Położył go na pierwszej lepszej chmurze i zamierzał już zostawić, gdy chłopiec powiedział:

– Czy to już? Nic nie czuję, nic nie boli!

– Już – przytaknął Asmodeusz.

– Jestem w niebie?

– Tak jakby. Położyłem cię na chmurze. Chłopiec rozejrzał się i zaśmiał.

– Fajnie.

– Pewnie, że fajnie.

– Jest wygodna, pierzasta. Tylko trochę mokra.

– Chmury są mokre – przyznał Asmodeusz.

– Ładnie pachnie. Czysto. Asmodeusz skinął głową.

– Czy... proszę pana, to, że tu jestem, oznacza, że w końcu umarłem?

– Obawiam się, że to bardziej skomplikowane. Może lepiej nie zadawaj takich pytań. Może lepiej nie wiedzieć.

– Czym jest życie bez wiedzy? Mój ojciec mawiał: „Czy lepiej wegetować milion lat, czy żyć przez sekundę?”. Nie rozumiem tego, ale wydaje mi się, że to tak jak z nudą. Czy lepiej przeleżeć dzień wygodnie i nic nie robić, czy też zająć się czymś przyjemnym choć pewnie męczącym?

– Przyjemność potrafi zmęczyć.

– O tak, kiedyś, dawno temu, na wakacjach, poszliśmy z

chłopakami na jeżyny. Nie dość, że musieliśmy wejść strasznie wysoko na wzgórze, to jeszcze się okropnie pokłuliśmy i poobijaliśmy. A na szczycie i tak było tylko kilka jeżyn. Za to jak smakowały.

– I jaki był piękny widok – uśmiechnął się Asmodeusz, choć myślał, że już nie potrafi się uśmiechać.

– Z góry nic nie było widać – odparł chłopak. – Dzień był w ogóle podły, dżdżysty i mglisty. W takie dni mój brat, on, wie pan, jest starszy, no więc mój brat brał zawsze motor, jechał do swojej dziewczyny, zabierał ją ze sobą i bawili się w ryzyko.

– Na czym polegała ta zabawa?

– Rozpędzali się we mgle i przejeżdżali na pełnym gazie skrzyżowanie, na którym nie mieli pierwszeństwa. Zawsze im się udawało, choć to było ruchliwe skrzyżowanie. Ale oni nie bali się. Twierdzili, że dopóki się kochają, nic im nie może się stać. Miłość ich chroni.

– Miłość to oszustwo – powiedział Asmodeusz.

– To prawda – odrzekł chłopak. – Moja mama mówiła, że mnie kocha, a jednak odeszła od nas z jednym panem, a tata zamiast mnie kochać bardziej, bo miał już mniej do kochania, to też zaczął mnie kochać mniej. Może dlatego... to się stało i jestem w chmurze.

– Może.

Milczeli przez chwilę. Asmodeusz zaczął się zbierać do odlotu, ale chłopiec zatrzymał go gestem.

– Co będzie dalej?

– Ktoś przyleci po ciebie – szepnął demon. – Albo zamienisz się w deszcz i wrócisz na ziemię.

– Proszę pana...

– Tak?

– Czy moja dusza jest nieśmiertelna? Czy ona nie może umrzeć?

Asmodeusz zawahał się, czy powiedzieć mu prawdę.

– Ile masz lat chłopcze?

– Dwanaście.

– Mądry z ciebie dzieciak.

– Pani od przyrody mówi, że jestem głupi.

– Pani od przyrody się nie zna.

– Dusza nie umiera, ale nie jest zawsze taka sama – zaczął Asmodeusz. – Niektórzy ludzie rodzą się z nią, od razu jest silna i władcza. Inni muszą się dopiero nauczyć, jak o nią prosić, jak postarać się, by jakaś dusza zechciała w nich zamieszkać. Wiesz, z każdym kolejnym doświadczeniem dusza, jeśli już weszła w człowieka, nabiera rumieńców, staje się bardziej wartościowa, osiąga kolejny... level.

– Jak w grach RPG.

– Właśnie. I jak w tych grach wystarczy, że popełnisz błąd, a dusza może zniknąć lub stracić level.

– W grach nie traci. Wczytuje pan sejwa i zaczyna od tego momentu. Dlatego trzeba często sejwować.

– No widzisz, ale w życiu nie do końca jest tak samo jak w grach.

– Ja powiem panu, że często się sejwowałem. Zamykałem oczy i robiłem sejwa. Jak mnie bolało tu, w boku, gdzie mi urosło to coś, co nie powinno, to wyłączałem się, sejwowałem i następnego dnia zaczynałem od nowego poziomu.

– Może dlatego twoja dusza potrafiła tak pięknie urosnąć. Łza pocięła z oka Asmodeusza i był z powrotem tu, na gzymsie starej kamienicy. Patrzył przez okno na Bastiana, który nie dostrzegał już jego obecności, albo nie chciał zobaczyć. Demon zaś widział krążące wokół chłopca dusze. Zastanawiały się, czy wejść w chłopca, czy dać mu szansę, ale wciąż się bały, wciąż nie były pewne, w którą stronę skreć.

Oderwał się od gzymsu i poleciał do Anny. Wszystkie drzwi i okna były zamknięte, komin zatkany, a na klamkach i zamkach wisiały wiązki czosnku. Lufcik na klatkę schodową, z którego już kiedyś korzystał, także był zamknięty. Poleciał na dach i spróbował przez antenę zbiorczą, jednak Anna wyłączyła telewizor z sieci i trafił na program o gotowaniu do jej sąsiadki, mieszkającej poniżej. Sąsiadka miała z siedemdziesiąt lat.

Przez chwilę miał ochotę zrobić jej psikusa i wyleźć z telewizora w przebraniu Pana Pietruszki, lecz pomyślał, że to byłoby podłe. Poczekał, aż kobieta zaśnie, ale i to się nie udało. Telewizor miał ustawiony czasowy wyłącznik i kiedy

Asmodeusz próbował z niego wyjść, ekran zgasł, a nieproszony gość wylądował z powrotem na dachu.

Spróbował jeszcze raz i pojawił się w mieszkaniu na parterze, zajmowanym przez małżeństwo młodych studentów.

Chłopak nosił okulary i czytał angielskie wydanie „Matematyki i magii” Gardnera. Dziewczyna spała, obok niej leżała zniszczona książka Houellebecqa. Telewizor był włączony na program pierwszy, szedł film dokumentalny o wierzeniach Majów. Asmodeusz wcielił się w jednego z prowadzących, a kiedy chłopak znudził się magią matematyki i zasnął, demon wyszedł z telewizora i przybrał postać Siergieja.

Potrafił przybierać różne postaci. Zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Wiek także nie miał znaczenia. Mógł być dzieckiem i starcem. Mógł nawet być starym dzieckiem, choć dużo łatwiej przychodziło mu wcielić się w dziecienniałych starców. Potrafił też zmienić się w roślinę lub zwierzę, ale rzadko z tego korzystał. Bycie zwierzęciem nie miało nic wspólnego z przyjemnością, choć zdarzały się wyjątki. Bycie rośliną podobnie, lecz bez wyjątków.

Wyłączył telewizor, gdy skończył się program. Z przedpokoju wyszedł wielki, gruby kocur. Spojrzał na Asmodeusza i próbował najeżyć sierść, lecz zaraz uznał, że szkoda energii. Usiadł przy ścianie i śledził ruchy demona, który podszedł do niego i pogłaskał po głowie. Zwierzęta go lubiły. Dziwił się, dlaczego filmowcy mają takie skojarzenia, że zwierzęta ostrzegają ludzi przed złem, duchami i śmiercią. Nic podobnego, nie ostrzegały.

Dziewczyna poruszyła się niespokojnie, odrzuciła cienką kołdrę i zarzuciła nogę na biodro chłopca. Miała na sobie białe majteczki, przez które prześwitywał czarny trójkąt włosów łonowych.

Asmodeusz podniecił się, a jego wyobraźnia podpowiedziała mu możliwe scenariusze tego, co mogłoby się wydarzyć. Spojrzał na termometr wiszący na ścianie. Wskazywał prawie dwadzieścia pięć stopni. Noc była ciepła. Wyrzwał przez okno.

Na ulicy nikogo nie było. Przejechał jakiś samochód. Po chwili pojawił się przechodzień. Zataczał się, w końcu stanął

przy ścianie budynku i oddał mocz. Asmodeusz wzdrygnął się z obrzydzenia i siłą umysłu zmusił pijaka do spojrzenia w górę. Kiedy mężczyzna zobaczył demona, zamknął mocno oczy, przetarł je i spojrzał jeszcze raz.

Nigdy dotąd nie widział demona, nic więc dziwnego, że się przeraził. Jego zabiegi sprawiły jedynie, że widział wyraźniej. Zatoczył się, upadł, wskazał na okno, za którym krył się Asmodeusz, jakby miał jakąś widownię. Potem, potykając się, uciekł.

Demon obejrzał całe mieszkanie. Było małe, składało się tylko z pokoju, przedsiionka i niewielkiej kuchni z oknem zaprojektowanym zbyt wysoko.

Otworzył szafkę pod zlewem i obejrzał śmieci w koszu. Zawsze lubił oglądać, co ludzie wyrzucają. W koszu poza resztkami żywności i papierosami znalazł stare bilety do metra, zmięte chusteczki, zawiniętą w papier toaletowy zużytą prezerwatywę i podpaskę.

Brał śmieci do ręki i wahał, po czym odkładał. Na samym dnie odnalazł podartą na drobne kawałki kartkę.

Udało mu się je poskładać i odczytał:

Wiem, że nasze poprzednie spotkanie nie wyszło najlepiej, jednak bardzo bym chciał zobaczyć Cię ponownie. Sądzę, że to coś poważnego. Odpowiedz, proszę, albo po prostu przyjdź. Czekam tam gdzie zwykle, w czwartek, o dwudziestej.

J.

PS.

Sądzę, że Cię kocham.

Asmodeusz zastanawiał się, czyby nie skleić listu i włożyć do torby na laptopa chłopca, ale postanowił tym razem nie robić psikusa. Uwielbiał psikusy, ale na nie zawsze jest czas.

Zajrzał do lodówki. Dawno w niej nie sprzątno i demon skrzywił się. Lubiał czyste lodówki. Nieprzyjemny zapach wydzielala puszka rybna. Obejrzał ją, powąchał. Została otwarta tydzień temu, a może nawet dwa tygodnie. Wyjął

butelkę mleka, napił się, odstawił, zamknął lodówkę.

Sprawdził, czy wciąż jest podniecony, a potem podszedł do łóżka i nachylił się nad kobietą. Jedną ręką pieścił siebie, drugą wsunął pod bluzkę dziewczyny i głaskał jej piersi. Jedną, potem drugą, aż obydwie sutki stwardniały. Dziewczyna westchnęła i mocniej przytuliła się do chłopca. Asmodeusz położył się za nią, uchylił jej majtki i wszedł w nią powoli. Chciał dojść jak najszybciej i ruszyć do Anny, jednak zmienił zdanie. Często zmieniał zdanie. Dziewczyna szybko rozgrzała się, nabrzmiała i przyjmowała miłość z ochotą, rozdrapując mu pośladki. W chwili spełnienia krzyknęła cicho. Ubrał się i ruszył do przedpokoju. Zanim wyszedł, przejrzał jej torebkę i natrafił na notes. Przeglądał go, aż natrafił na zapis, na którym zamazano wszystko, pozostawiając tylko numer telefonu. Bez trudu odczytał zamazane dane i uśmiechnął się pod nosem.

Rozdział 25

Gdy dotarł na górę i zapukał do drzwi Anny, usłyszał ciche wołanie:

– Bastianie, czy to ty? Przyszedłeś? Odpowiedział głosem Bastiana, a gdy Anna otworzyła,

popchnął ją gwałtownie, posiadł na komodzie i doprowadził do rozkoszy po raz tysięczny.

Jeśli miłość z demonem można nazwać miłością, to w tej krótkiej chwili Anna doznała objawienia. Wiedziała już, że wszystko, co się dzieje, nie musi być tym, czym się wydaje. Wiedziała także, że rozkosz doznań cielesnych wcale nie oznacza spełnienia dla duszy. Zatracała się więc jak dawniej w miłosnym tańcu ze swoimi snami i marzeniami, jednocześnie czując, jak bardzo wypalają ją psychicznie i prowadzą ku zatraceniu.

Siergiej-Asmodeusz znów był jej bogiem-demonem, niepokorionym w swej pomysłowości i wigorze kochankiem, którego ciało zdawało się przekraczać wszelkie granice wyobraźni, aż w końcu Anna poczuła, że rozplywa się w demonicznym roztworze niczym lekarski proszek w kieliszku z wodą.

Później palili papierosy, a Anna powiedziała:

– Mam dość, nie chcę już.

– Czego nie chcesz?

– Nie chcę, żebyś przychodził. Rozumiesz? To nie jest normalne!

– O tak, ale przyjemne.

– Nie. To mnie niszczy, wykańcza. Już nie mogę. Nie mogę tak żyć.

– Żyjesz wyjątkowo. Jesteś wyjątkowa. Dlatego do ciebie przychodzę.

– Umrę.

– Jesteś artystką. Wyjątkową artystką. To dzięki mnie jesteś tak wyjątkowa i tworzysz tak niezwykle obrazy. To po części moje twory, gdyż to mój jad zatrul twój umysł dziś i mnóstwo razy wcześniej. Nie umrzesz.

Nic nie odpowiedziała, a on nabrał ponownie na nią ochoty i znów było im dobrze jak nigdy. I ponownie Anna pomyślała, że już więcej nie wytrzyma, że jest bliska śmierci.

Rozkosz tak bardzo ocierała się o cierpienie.

Siergiej Asmodeusz nie mógł znieść tych myśli, wdzierających się do umysłu, ubrał się i wyszedł na ulicę. Uwielbiał przechadzać się nad ranem ulicami. Dzięki temu przeżył wiele niebezpiecznych przygód. Tylko niebezpieczne przygody są prawdziwymi przygodami. Jako Asmodeusz, Siergiej czy dziesiątki innych postaci czerpał z nocy wszystkie możliwe przyjemności.

Przypomniał sobie, jak niedawno zdrwił z pewnego odwiecznego wroga, wchodząc w jego część historii.

Stało się to daleko stąd, w Nowym Jorku, a dokładniej w rosyjskiej części Brooklynu, dzielnicy zwanej Little Rusia. Asmodeusz pod postacią Siergieja wybrał się do dyskoteki „Katusza”, w której królowała muzyka disco i tancerki, przypominające syreny w obcisłych strojach. W większości były brzydkie, jednak stroboskopowe lampy i zadymione wnętrza otulały je aurą tajemniczości i pożądania. Siergiej przysiadł przy barze, omiół wewnątrz spojrzeniem, wybierając co smaczniejsze kąski, a potem wysilił zmysły i wahał, wahał, wahał. Kochał ten zapach. Zapach brudnych zaułków, szybkiego seksu, narkotyków zmieszanych z bimbrem, potu, pożądania, zbrukanego honoru, strachu, cierpienia.

To w takich miejscach mieszało się życie w najwspanialszym koktajlu, działającym na niego jak mieszanka afrodyzjaków i adrenaliny. Prawdziwe życie pełne miłości, zazdrości, gniewu i przemocy. Żadne tam cukierkowe ble ble w słonecznym blasku, sączącym się leniwie przez firankę. Tu wszystko działo się szybko, w głośnych rytmach mocnych akordów. Tu życie biegło w przyspieszonym tempie. Ku rynsztokom.

Aż chciało się zanurzyć końcówkę cygara i poddać rozkoszy.

Zamówił wódkę stoliczną i kazał barmanowi zostawić butelkę na blacie. Wychylił jeden kieliszek, drugi, trzeci, aż pojawił się pierwszy drug.

– Witaj, brat. Dawno tu nie widziałem takiego twardziela, co to po pierwszym nie zakuszaju, po wtarom i po trietim. Jak cię zwą?

– Tutaj? Serż.

– Tyż piknie, Sierioża. Pięknie jak cholera. A co cię sprowadza do „Katuszy”?

– Kobiety – odparł bez wahania Siergiej. – Kobiety i wódka. Po to warto żyć, jak mawiał jeden z mych przyjaciół, miliarder z branży gazowej, a kto wie, czy nie przyszły księżę. Wódka i kobiety.

– I papierosy. Zakurzysz?

Siergiej roześmiał się. Przybysz, którego początkowo chciał splewić szybciej niż wyrzuca się niedopałek, zaczynał mu się podobać.

Wyglądał na księgowego lub partyjnego funkcjonariusza. Może bardziej na komisarza od kultury. Małe oczy, okrągłe okulary, mikra postać, na której ubrania wisiały jak na wieszaku. Cały prosił się, by go powiesić w szafie. Twarz miał pooraną zmarszczkami cierpienia, ciemne, proste włosy, zwykle przylizane, opadały mu na czoło, zasłaniając jedną równie ciemną brew. Wyglądał na Żyda i pewnie nim był.

– Tak, ale swojego – wyjął z kieszeni cygaro i zanurzył jego koniec w kieliszku z wódką. – Po amerykańsku.

– Po amerykańsku byłoby w liskaczu – powiedział mężczyzna.

Siergiej skinął głową:

– To trochę po amerykańsku, a trochę po radziecku.

Napijesz się ze mną... ? – zawiesił głos, czekając aż przybysz się przedstawi.

– Borys – powiedział tamten.

– Borys – powtórzył Siergiej. – Pięknie. Piękne, rosyjskie imię. Stare i mocne. Jak mówisz Borys, to tak, jakbyś mówił dąb. Mocny i silny dąb.

– Nie mam siły – powiedział smutno Borys. – Już nie.

– Siła ducha jest czasem większa niż moc drwala.

– To prawda. Lecz moja dusza płacze. A w płaczu trudno znaleźć siłę. Ludzie płaczący są słabi. Zaslęgują tylko na pogardę. I ja na nią zasługuję.

Asmodeusz odchylił się i spojrział krytycznie na nowego towarzysza. Mylił się, ten człowiek wcale nie był słaby. I wcale nie płakał. Ani na żywo, ani w duszy. Dawno już przestał płakać. Dziś jego duszę przepelniało coś zgoła innego.

– To jak, wypijesz? – zapytał i nie czekając na odpowiedź poprosił barmana o drugi kieliszek. Nalał wódki do obydwu i przechylili naraz.

– Mocna, blać – syknął, krzywiąc się, Borys.

– Na drugą nogę?

– Czemu nie.

Borys wypił jeszcze dwa kieliszki i już był gotów do szczerzej rozmowy.

– Wiesz, Sieriożka, cieszę się, że cię spotkałem. Cieszę się, że spotkałem właśnie ciebie, bo być może jesteś ostatnią osobą, z jaką rozmawiam. Przynajmniej na tym świecie. Wierzysz w wieczność? Wierzysz, że coś jest poza tym tutaj? Poza... życiem doczesnym?

– Doczesnym? – uśmieł się szczerze Asmodeusz. -Dawno już nie słyszałem, żeby ktoś mówił takimi pięknymi słowami. Doczesnym, muszę zapamiętać. Wypijmy za to.

Wypili.

– Wierzysz? – ponaglił Borys.

Asmodeusz rozparł się na barowym krzeselku, co nie było łatwe. Westchnął, zaczerpnął jeszcze raz tej niesamowitej mieszanki nocnych zapachów i powiedział:

– A cóż to byłby za świat, gdyby nie było wieczności. Gdyby to wszystko działo się tylko tu i teraz, gdyby nie było przeszłości i przyszłości, gdyby nie można było podróżować w czasie. Świat byłby ponury, gdyby ludzie tylko jedli, pili i wypróżniali się. Gdyby zamiast miłości czynili tylko prokreację. Gdyby zamiast w Boga, wierzyli w wodę mineralną. Cóż to byłby za podły... padołek doczesności, gdyby świat obracał się tylko wokół słońca i gdyby nie było chmur, na których odpoczywają dusze

zabranych za wcześniej do nieba dzieci.

Borys kiwał co chwila głową, a z jego oka pociekła łza.

– Ach, jak wspaniale, że to na ciebie trafiłem. Jak się cieszę, napijmy się za to.

Właśnie dlatego Asmodeusz tak kochał Rosjan. Byli zmienni bardziej niż kobiety. Nieuchwytnie wprost wspaniali. W jedną sekundę z roześmianych bawidamków potrafili się zmieniać w rozmarzonych poetów. Jedno mrugnięcie oka wystarczyło, by barbarzyńskich zabójców zastępowali płaczący misjonarze. Jak za czarodziejskim pstryknięciem palców, Rosjanie z bogaczy stawali się biedakami, a z kloszardów miliardernami.

Tak, w Rosji nie zdążysz ziewnąć, a stojący obok ciebie marynarz może skończyć jako topielec. Jeśli ktoś kiedyś naciśnie czerwony przycisk zagłady, z pewnością będzie to Rosjanin, z pewnością nie będzie trzeźwy, a Asmodeusz oddałby jedną ze swoich trzystu kończyn, że będzie zarówno niespełnionym kochankiem, jak i śpiewającym poetą.

– Czemu mówisz, że to twoja ostatnia rozmowa? – zapytał Asmodeusz, gdy już wypili.

– Długo by opowiadać, a noc krótka.

– Zawsze jest dosyć czasu na dobrą opowieść. Noc sama lubi słuchać. Nasłuchuje i gdy się jej jakaś opowieść podoba, to rozciąga czas tak, że minuty zaczynają przypominać statki na wodzie przy flaucie. Nie zdarzyło ci się nigdy rozmawiać godzinami, prowadzić jakiś ciekawy spór, a potem spojrzeć na zegarek i ze zdumieniem stwierdzić, że zamiast połowy dnia, jak myślałeś, minęła ledwie godzina? To tak samo jak z kobietami. Gdy z jakąś jest ci dobrze, gdy słuchasz jej szeptów, to wydaje ci się, że leżysz w jej objęciach całą noc, lecz zegar odmierzył jedynie kwadrans. Noc, jak my, żyje z podglądania. Tym się żywi i woli smakowite kąski, a nie tandetne puszki rybne.

– Wiem, o czym mówisz, ale dla mnie czas od pewnego dnia płynie tylko szybciej i już się nie mogę doczekać, aż się skończy.

Asmodeusz dobrze wiedział, co i dlaczego zamierza człowiek, ale postanowił pytać dalej, aż usłyszy historię z jego ust. Nie kłamał, gdy mówił, że lubi słuchać różnych historii i

porównywać kłamstwa z faktami. Sam mu więc opowiedział o pewnym niezwykłym człowieku.

– Umówmy się jednak – rzekł zanim rozpoczął historię – że jeśli spodoba ci się moja opowieść, to ty opowiesz mi swoją.

– Zgoda – rzekł Borys i zamienił się w słuch. Asmodeusz wypił kolejny kieliszek, przymknął oczy i już po chwili jego myśli kuliły się z zimna czterysta lat temu. Była sroga zima roku 1598, a on pod postacią młodej kochanki starał się namówić pewnego imiennika Borysa do zabójstwa syna swojego najlepszego przyjaciela. Władza to straszna broń. Jak kobieta. Pragnienie władzy słabsze jest tylko od miłości. Czasem jednak miłość pragnie władzy i wtedy nie ma silnych. Nie, ta opowieść nie będzie dobra. Wzdrygnął się, otrząsając z mroźnego szronu i wrócił do współczesności.

– Miałem kiedyś przyjaciela – zaczął Asmodeusz. -Miał na imię tak jak ty, Borys. Był człowiekiem dobrze urodzonym, hojnie obdarzonym przez naturę, bogatym i wspaniałym. Kochały go kobiety i podziwiali mężczyźni. Sam nie stronił od miłości i przyjaźni, bywał wielkoduszny i szczodry. Wydawało mu się, że cały świat leży u jego stóp. Do czasu, kiedy poznał kobietę o dziwnym imieniu Maika. Stało się to na przyjęciu. Zauważył ją, gdy już miał wychodzić w otoczeniu przyjaciół i pięknych dam, z którymi mógł spędzić upojną noc. Stała przy balkonie, wpatrzona gdzieś w dal, tajemnicza i niezwykła. Wydała mu się tak zagubiona, że postanowił wysłać taksówką znajomych na kolejne przyjęcie, a sam wrócił do kobiety, gdyż coś mu ciągle powtarzało, że powinien to zrobić. Było jak budzik, którego nie można wyłączyć o szóstej rano. Podszedł zatem do niej, a kiedy spojrzał jej w oczy, omal nie upadł z wrażenia. Miał wiele kobiet, kilka razy nawet się zakochał, ale dotąd nie spotkał tej jedynej. Nie poczuł nawet, że ociera się o istotę rzeczy, o świat opisywany przez geniuszy i poetów. Nigdy nie miał wrażenia, że niebo runęło na ziemię. A gdy stanął przed tą dziewczyną, poczuł, że ma nogi jak z waty i język jak z kołka. Stała przed nim istota, którą sobie wymarzył. Nie była tak piękna jak kobiety z żurnali czy słynne aktorki. Za to wyglądała dokładnie tak, jak wyglądało jego wyobrażenie

absolutnej doskonałości. Wspaniała, kobieca, namięta i obiecująca wizja wiecznego szczęścia. Borys wpadł w sidła i wił się w nich niczym pojmany rekin, zaplątując się coraz bardziej. Po miesiącu był już tak zakochany, że nie mógł myśleć o niczym innym niż o Maice. Zaniebawił przyjaźnie, pracę, inne kobiety przestały go interesować. Była tylko ona. Pół roku później był już pewien, że to ta jedyna i że nie może bez niej żyć. Oświadczył się, a ona go przyjęła. Tuż przed ślubem przedstawił ją swojemu najlepszemu przyjacielowi – Georgowi, z którym łączyły go dawne zamięłowania i biznes. Pasjonowali się żeglarstwem i innymi sportami wodnymi, a od dziesięciu lat współpracowali w biznesie. Natura ich relacji była na tyle szczególna, że Borys nie bardzo potrafił wyjaśnić ją Maice. Zaplątał się tak bardzo, że dziewczyna w końcu zapytała:

„Czy to twoja tajemnica? Jesteście kochankami?”

Borys był tak zaskoczony pytaniem, że natychmiast znalazł właściwe słowa i wszystko wyjaśnił. Firma Borysa produkowała pewien specyficzny układ elektroniczny, sterujący urządzeniami firmy Georga. Były sercem maszyn, które Georg dostarczał do sklepów na całym świecie. Maika przemyślała to sobie i zadała dodatkowe pytania: czy dobrze rozumie, że działanie mechanizmów Georga zależy od urządzeń Borysa; czy maszyny Georga nie mogłyby się obyć bez Borysa; czy to, co robi Borys, jest sercem tego, co posiada Georg? Borys na wszystkie odpowiedział twierdząco. Maika rozejrzała się wokół i zapytała:

„Dlaczego zatem Georg ma firmę w wieżowcu, lata Falconem, jeździ limuzyną Bugatti, a twoja firma zajmuje niewielkie biuro na przedmieściach, lata drugą klasą i wynajmuje samochody od Forda?”

„ Jestem bogatym i szczęśliwym człowiekiem. Nie zastanawiałem się nad tym. – odparł Borys i dodał nieśmiało: Mam wszystko, czego mi potrzeba”.

„Georg ma jednak więcej” – odparła kobieta.

„Może więcej potrzebuje”. Za kilka tygodni Borys przeprowadził z Georgem pierwszą poważną rozmowę. Polegała ona na tym, że Borys mówił, a Georg słuchał z

rosnącym zdumieniem. W końcu nie wytrzymał i wybuchnął:

„Co ty za bzdury wygadujesz, przekłety nieudaczniku.

Przez lata ciągnę cię za sobą, utrzymuję, kupuję wszystkie twoje produkty, żebyś nie splajtował i jakoś staram się je wykorzystać w swoich maszynach, a ty twierdzisz, że cię wykorzystuję? Ze jestem pasożytem? Jak śmiesz?”

Tej nocy Maika powiedziała mu, co powinien zrobić i on to uczynił. Udając chęć pojednania, zaprosił Goerga na jacht i podczas rejsu zamordował go, wrzucając ciało do morza. O całym zdarzeniu rozpisywały się potem wszystkie gazety. Borys przyznał się do winy i opowiedział swoją wersję zdarzeń. Ciągłe mówił o jakiejś Maice, której nikt nigdy nie widział.

– Nie było jej? – zapytał Borys. Asmodeusz wzruszył ramionami.

– Pewnie była. W jego snach, marzeniach, a może w rzeczywistości. Żyła gdzieś w sercu tego człowieka i je psuła, przepełniała gangreną, niszczyła. Ludzie to dziwne istoty, które, nie mając z góry narzuconego celu, ciągle szukają dziury w całym. Jeśli mają prawie wszystko, zastanawiają się co znaczą prawie. Tak już jest.

Butelka wódki była już prawie pusta. Asmodeusz wskazał na nią znacząco, lecz Borys zaprzeczył kręcąc głową.

– Już wystarczy. Na dziś, a może na wieczność.

– Opowiesz mi swoją historię? – zapytał Asmodeusz.

– Dziś już nie mogę – Borys zerknął na grupkę wychodzących z klubu mężczyzn. – Muszę iść.

– Obiecałeś – napomniał z wyrzutem Asmodeusz. Borys skrzywił się niechętnie. Jednak obietnica, to obietnica. Poprawił się na krzeselku i opowiedział demonowi wszystko, co ten już wiedział.

Asmodeusz otrząsnął się ze wspomnień.

Podszedł do budki telefonicznej i wykręcił numer do Jana, którego list niedawno znalazł w śmieciach, a który ukrywał się w notesie dziewczyny matematyka.

Usłyszał jakiś zmęczony, kobiecy głos, więc odłożył

słuchawkę. Ponownie zadzwonił kwadrans później. Tym razem odebrał mężczyzna.

– Halo? Słucham? Asmodeusz nic nie mówił.

– To ty? Lucy, czy to ty?

A więc dziewczyna miała na imię Lucy.

– Prosiłem cię, żebyś nie dzwoniła do domu. Asmodeusz uśmiechnął się.

– Halo. Odezwij się, proszę. Przeciągnął językiem po zębach.

– Kocham cię. Po ostatnim razie... nie mogę zapomnieć. Proszę, powiedz coś, nie daj mi cierpieć. Przyjdiesz? Ten jeden raz, na pożegnanie.

– Jutro – powiedział Asmodeusz głosem Lucy. -Wieczorem. Czekaj na mnie.

Na przystanku siedziała ładna dziewczyna, ładniejsza niż Anna i Lucy. Miała na imię Angelika i jej dni były policzone. Poczuł, jak drży ze strachu, gdy na nią spojrział. Podeszedł i usiadł obok, dotykając przypadkiem jej ręki. Była zimna. Odsunęła się trochę i patrzyła w dal. Asmodeusz wstał, przeszedł za róg ulicy, a potem przybrał postać Angeliki, gdyż spodobała mu się jej historia.

Miał wiele darów.

Poza tym, że potrafił przybierać różne postaci, mówić ich głosami, potrafił także czytać w ludzkich umysłach i jednym dotknięciem przejmować ich historie oraz wspomnienia.

Asmodeusz, poznawszy świat i jego wszystkie skomplikowane zależności, był jak angielski arystokrata: wyniosły i honorowy. Przedkładał ponad wszystko interesy. Był kochankiem doskonałym, zabójcą nieuchwytnym, złem niezmiernym. Był demonem nad demonami.

Rozdział 26

Sonia czekała na nich na ganku. Na kremową sukienkę w kwiatki zarzuciła wełniany sweter. Dłonią poprawiała długie włosy, które podmuchy wiatru rozrzucały wokół głowy. Na ramieniu trzymała dwulufową strzelbę myśliwską. Lenny bał się, że gdy wysiądą z samochodu, wymierzy do nich i zacznie strzelać. Nie zrobiła tego. Trzymała broń lufą do dołu, ze złamanym zamkiem.

– Nie zastrzelisz nas? – upewnił się Lenny.

– Nie. Ale tych, co przyjdą po was, na pewno. Już dawno to powinnam zrobić.

– Kim oni są? – dopytywał dziennikarz.

– Ludzie samo zło – odparła, jakby cytowała jakąś przygodową książkę dla dzieci. – Wchodźcie.

Usiedli w salonie. Sonia postawiła strzelbę w zasięgu ręki, zdjęła ze stolika fotografię męża i rzuciła nią w kierunku śmietnika. Ramka pękła z hukiem. Szkło rozsypało się wokół. Fotografia męża wciąż patrzyła na nią z miłością.

– To oszustwo? – zapytał starzec. – Nie masz męża?

– Hektor był moim bezpośrednim przełożonym. Nawet się trochę do mnie ślinił, choć miał żonę mormonkę i pięcioro bachorów. Brzydziłam się nim.

Może dlatego wybrałam jego zdjęcie. Żebym zawsze pamiętała, jaki to syf. Jak bardzo CIA cuchnie szambem.

– Nie zacytuję cię – zażartował Lenny. – Gazeta nigdy już nie dostałaby reklam od Agencji, a one stanowią całkiem znaczny składnik budżetu.

– Napisz, że Agencja uwielbia dymać czytelników waszej gazety. Podsyła masę trefnych informacji, żeby czuli się bezpieczni lub zagrożeni. W zależności od potrzeb.

– Dlaczego nasłałaś na nas braci Stavros?

– Wiedziałam, że sobie poradzicie – rzuciła krótko.

– Jestem zwykłym dziennikarzem. Skąd przyszło ci do głowy, że dam radę czterem zawodowym zabójcom?

– Byłeś z nim – wskazała na starca. – On dałby sobie radę z czterdziestoma takimi. A może i całym legionem.

Starzec uśmiechnął się pod nosem.

– Po co zatem ich nasyłałaś?

– To nie miało znaczenia, ale chciałam spełnić pewną obietnicę sprzed lat, daną Atylli Stavros, ich siostrze.

– Atylli? – Lenny próbował sobie skojarzyć to imię.

– Nie oglądasz MTV?

– Rzadko – przyznał.

– Atylla jest na trzecim miejscu aktualnej listy przebojów. Gdy się poznałyśmy, była daleko, poza pierwszą pięćdziesiątką. Za to jej bracia robili oszałamiającą karierę, mordując na lewo i prawo. Byli draniami i cały czas przeszkadzali jej w karierze. Kiedyś zapytała mnie, czy

CIA nie mogłaby się ich pozbyć. Byłam zaskoczona. Zapytałam, czy jest pewna, a ona odparła: „Moi bracia są czarniejsi niż noc, są samym złem. Ludźmi samo zło”.

– I postanowiłaś jej pomóc?

– CIA nie chciała. Mieli z nimi wspólne interesy. Po latach, kiedy przyszlście, nadarzyła się okazja. Wiedziałam, że dacie radę.

Staruszek zapadł w swój sen i Lenny postanowił przejść do rzeczy. Sonia miała przy tym wrażenie, że patrzy na nią jakoś dziwnie.

– Opowiesz nam o Korze? Powiesz prawdę? Sonia uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Opowiem. Zasłużyłeś na tę historię. Ale musisz mi obiecać, że nie opiszesz tego.

– Jestem dziennikarzem – zaprotestował Lenny. – Słucham opowieści, by je przelać na papier. Inne mnie nie interesują.

– Wiedza za obietnicę – powtórzyła żądanie.

Mógł ją okłamać, lecz poczuł ucisk w sercu. Wiedział, że jeśli złamie obietnicę, to sumienie będzie go ścigało do końca życia. Nawet jeśli to on miał rację w lekceważeniu procedur.

– Mogę cię okłamać – rzucił, by zyskać na czasie.

– Nie. Wiem, że mnie nie okłamiesz. Jeśli obiecasz, dotrzymasz słowa.

Lenny zawahał się. Pomyślał o oszustwie, ale jednocześnie wiedział, że nie byłby do niego zdolny.

Kobieta poprawiła się na fotelu i zaczęła mówić: – Macie rację, okłamałam was. Tam, w willi naszego znajomego poszukiwacza wampirów, w Meksyku, Kora wróciła do zdrowia i rozkochała mnie w sobie bez reszty. Byłyśmy tylko we dwie. Wokół pustynia, kaktusy, dzikie konie, skorpiony i węże. Nic więcej. Czasem na horyzoncie widzieliśmy Indianina Nahua, który wjeżdżał na szczyt wzgórza na koniu i potrafił godzinami stać na tle zachodu słońca, jakby pozował do zdjęć. Ale nie zbliżał się do naszego domostwa. Kora szybko wyzdrowiała. Niewiele pamiętała albo mówiła, że nie pamięta. Gdy opowiadałam jej, jaką ma moc, uśmiechała się i nie wierzyła. Szybko ucinając każdą rozmowę. Gdy tylko zadałam zbyt intymne pytanie, ona odwracała kota ogonem i pytała: „A ty? Jakie masz tajemnice?”

Rozumiałam ją. Sama nie byłam święta. Mój umysł krył wiele zakamarków, do których nikogo nie chciałam wpuszczać. Jednak nie miałam w sobie siły atomowej eksplozji i mocy naginania rzeczywistości. Opowiadałam jej o sobie, co mogłam. Powiedziałam o wstąpieniu do CIA, o tym, że mój ojciec był pijakiem, a matka dziwką. Mówiłam o tym, jak uwielbiałam bawić się w kogoś, kim nie byłam. Powiedziałam jej też o draniu Gregu i o tym, jakim był świnią.

„Wiedziałam. Wiedziałam, że jest draniem” – odparła.

„Dlaczego więc mu pozwoliłaś? Dlaczego mu się oddałaś?” – zapytałam.

Przez chwilę myślała, po czym rzekła:

„Byłam ciekawa, jak to będzie. Wolalam zrobić to z draniem, żeby nie mieć skrupułów, gdy będę musiała go zabić”.

Zdziwiłam się i zapytałam, skąd wiedziała, że będzie musiała go zabić. Znów nie odpowiedziała od razu, dopiero następnego dnia. Wyciągnęła butelkę wina, napiła się i wyznała:

„Nie zrozumiesz tego, co powiem. Jeśli jednak chcesz, opowiem ci prawdę. Mój umysł potrafi różne rzeczy. Może się

zniszczenie, ale też może czynić dobro i miłość. Kiedy jednak próbuje tak robić, nagle traci moc i sam z siebie się buntuje, jakby wiedział, że to prowadzi do śmierci. Gdy próbowałam pogodzić jakoś mojego ojca i matkę i to się udawało, następowało sprzężenie zwrotne i coś złego się działo. Więc musiałam przestać, bo tego nie rozumiałam. Poza tym umysł potrafił przewidywać przyszłość. Pokazywał mi ją jakby na ekranie kinowym. Widziałam po prostu sceny, które się wydarzą. Widziałam więc Grega i siebie. Widziałam ciebie. I widziałam ten dom. Dlatego postanowiłam pójść tą ścieżką. Dla ciebie”.

„Dla mnie?”

„Tak, widziałam, że zostaniemy kochankami na długo przed tym, jak to się stało”.

Oczywiście, mówię z pamięci, może coś pomijam, może coś zabrzmiało inaczej. Ale mniej więcej tak. W każdym razie zostałyśmy kochankami i wszystko się zmieniło. W ciągu dnia obżerałyśmy się smakołykami z przepastnej spiżarni naszego gospodarza, rozmawiałyśmy o przeszłości, nadziejach i cierpieniu. Wieczorami tańczyłyśmy, piłyśmy wino i oglądałyśmy filmy. A nocą nasze ciała odnajdywały wszystkie inne tajemnice, których nie miały już przed sobą. Kochałam ją i mogłam za nią oddać życie. Wiedziałam też, że jeśli zostaniemy razem na dłużej, CIA się odezwie, znajdzie nas i osaczy.

„Co widzi twój umysł? Co się stanie?” – pytałam Korę, lecz ona nie chciała o tym mówić.

„Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale nie mogę rozmawiać o przyszłości. Prawdopodobnie dlatego, że jeśli złamałabym tę zasadę, przyszłość poczułaby się oszukana i zawsze robiła coś innego, niż widziałam. Przez to tak naprawdę wszystko byłoby kłamstwem”.

„I tak kłamstwa jest dużo”.

„To prawda, jednak są to przemyślane kłamstwa. Nasze kłamstwo byłoby częścią chaosu, wprowadziłoby nieprzewidywalność i dominację niebytu, czarnej dziury nad rzeczami namacalnymi. Dlatego nikt nie może poznać mojej prawdy. Nikt nie może zbliżyć się do Boga bardziej niż ja”.

„Istnieje Bóg?”

„Oczywiście”.

„I piekło? I raj?”

„I demony, i anioły” – przyznała. „Boję się, że trafię do piekła”.

„Piekło, Bóg i to wszystko nie do końca jest takie, jak sobie wyobrażamy. Nie ma ani wiecznego szczęścia, ani wiecznego cierpienia. Natomiast jest dobro i zło. I to one determinują wszystko, decydują o podziale świata. Ta prosta gra jest przejrzysta i jasna. Wszyscy ci, którzy mówią, że jest zło mniejsze i większe, nie mają racji. Zło jest złem”.

„Czy CIA przyjdzie po ciebie? Czy rozdzieli nas?” Skinęła głową.

Przybyli pod osłoną nocy. Trzech agentów specjalnych zaprawionych w bojach w Iraku i Pakistanie. Towarzyszył im polski generał, którego sprowadzono specjalnie dla Kory. Znał świetnie rosyjski i Agencja myślała, że zdoła przekonać przyszłego więźnia do zwierzeń. Generał czekał na zewnątrz, aż Kora pozabija agentów. Sam chyba o tym wiedział, bo całkowicie spokojnie przyjął jej pojawienie się. Kora trzymała w dłoni głowę jednego ze szpiegów, myśląc, że tym przerazi generała. Przeraziła, ale tylko mnie. Siedziałam w kącie, skulona i przerażona, patrząc na wirtuozerię zabijania. Tym razem jej umysł wcale nie był taki niewidzialny, zamienił Korę w wielką, potężną modliszkę, której szczytce rozrywały ciała napastników na strzępy. Ciach, jedno cięcie, i nie było nogi. Drugie wrzeszczące ciało traciło ramię. Trzecie cięcie oznaczało śmierć. Dwie głowy Kora zostawiła na ziemi. Z trzecią – jak już powiedziałam – poszła do Roska.

– Polaka – przerwał opowieść Lenny.

– Co? – Sonia ocknęła się ze wspomnień.

– Polaka. Mówiłaś, że ten generał był Polakiem, nie Rosjaninem.

– A tak, rzeczywiście. To był Polak. Miał śmiesznego wąsa pod nosem, ze dwa metry wzrostu, lekką nadwagę, utykał na jedną nogę. Wzdychał ciężko i mówił krótkimi zdaniami. Gdy Kora podeszła, by i jego pozbawić głowy, nagle straciła ciało

modliszki i osłabła.

„Usiądź, proszę, nie zrobię ci krzywdy” – rzekł Polak, wyjmując z kieszeni dziwny przedmiot, który wyglądał jak magnetofon cyfrowy, ale był czymś zupełnie innym, co generał zaraz wyjaśnił: – „To techtomag. Sprawia, że wszystkie siły parapsychologiczne w promieniu trzech metrów tracą moc. Nie jest doskonale i prawdopodobnie gdybyś chciała, to i tak mogłabyś mnie zabić. Jednak skoro nie mam złych zamiarów, to byłoby bez sensu. Wysłuchaj mnie więc, a jeśli nie zmienisz zdania, zamordujesz mnie później”.

Słyszałam ich przez ścianę. Każde słowo z godzinnej dyskusji. Oficer opowiadał Korze o jej rodzinie, o tym, co dla niej i jej rodziców zrobił polski wywiad, o ciągłej grze między agencjami rosyjskimi i amerykańskimi.

„Chcemy, żebyś zniknęła raz na zawsze. Żebyś przyjęła nową tożsamość, której nigdy nikt nie odkryje. Rosjanie będą myśleli, że zginęłaś tutaj. Amerykanie, że porwali cię Ruscy. To będzie koniec twoich cierpień”.

„Dlaczego? Dlaczego pan to robi?” – zapytała Kora.

„Amerykanie i Rosjanie chcą z ciebie zrobić broń masowego rażenia, wykorzystać w wyścigu zbrojeń, osiągnąć przewagę nad wrogiem. Mojemu małemu krajowi zależy na tym, by żadne z mocarstw nie osiągnęło przewagi. Zależy nam na dotychczasowym status quo”.

„Jak mam zniknąć?”

„To proste. Zostaniesz kimś zupełnie innym. Inną osobą”.

„Kobietą” – poprawiła Kora. Generał roześmiał się.

„Niekoniecznie – odparł. – Przyjmiesz tożsamość, której nikt nie pozna”.

Wyszedł z ukrycia. Generał skrzywił się z niechęcią i powiedział:

„Proszę łaskawie nie podchodzić. Nie ufam obcym, choć wierzę, że pani chce także dobra dla swej kochanki”.

„Tak” – przyznałam.

Generał wręczył Korze teczkę.

„Tu są wszystkie szczegóły i dokumenty. Nawet ja ich nie znam. Nie wiem, kim pani będzie, co się dalej stanie. Nikt tego

nie wie. Wygenerowane i przetworzone przez specjalny komputer, wszystkie szczegóły całej operacji zostały podzielone na zadania i przesłane do agencji bez ujawniania całości operacji. To jak puzzle. Każdy element układanki zna tylko swój klocek. Nikt nie widział całości”.

Generał wstał i ruszył do pozostawionego na pustyni dżipa.

„A jeśli nie przyjmę oferty?” – zawołała za nim Kora.

„Amerykanie przyjadą panią zabić. A jak im się nie uda, przylecą Ruscy. Jedni albo drudzy cię porwą, dziewczyno. Myśl szybko, masz niewiele czasu”.

Tej samej nocy Kora wręczyła mi teczkę, prosząc, bym ją otworzyła i przejrzała.

„Chcę, byś wiedziała wszystko to, co ja wiem”.

Pokręciłam przecząco głową.

„Nie mogę tego zrobić. Tu skończył się nasz czas. Musisz uciekać, a ja muszę tu zostać. Pozostaną nam wspomnienia”.

Mimo to zostawiła mi teczkę i wyszła przygotować się do wyjścia. Następnego ranka już jej nie było.

Starzec ocknął się i rozprostował kości.

– Niesamowita historia, prawda, Lenny? Sonia świetnie opowiada. No i w końcu powiedziała ci prawdę. Możemy już iść?

– Dokąd? – zapytał zdziwiony Lenny.

– Jak to dokąd? Do domu. Czas pisać bestseller, Lenny. Musisz zdobyć Pulitzera.

– Pamiętaj tylko, żeby nie ujawnić tego, co ci powiedziałam – dodała Sonia.

Lenny zawahał się.

– Zajrzałaś do tej teczki – powiedział. – Teraz wiesz, kim jest Kora, prawda?

Sonia uśmiechnęła się smutno.

– Nawet gdybym wiedziała, nie powiedziałabym ci.

– Stała się mężczyzną, prawda? Zrobiliście z niej faceta. Sonia uśmiechnęła się znacząco i kiwnęła głową.

– Dotrzymałam obietnicy. Po tej operacji Kory nikt nie odnajdzie. Nikt nigdy nie dowie się, kim jest.

Lenny zrozumiał, że nie ma potrzeby dalej się dopytywać.

Nie dowie się.

Starzec klepnął go w ramię:

– Chodźmy już. Czas na nas. Nadchodzi burza piaskowa i twister.

Wyszli.

– Szybciej, bo spóźnimy się na pociąg!

Lenny biegł za staruszką w kierunku dudniącej na horyzoncie burzy.

– Takie przygody tylko ze mną – rzucił przez ramię staruszek, wchodząc w piaskową mgłę, po czym zapadł się pod ziemię.

Lenny nawet się nie przestraszył, że znowu został sam. Po tym, co przeżył, nic już nie mogło go przestraszyć.

Obudził się w przedziale pociągu i uszczypnął, zastanawiając się, co było prawdą, a co kłamstwem i gdzie mógłby kupić substancję, która wywołała wszystkie te wizje.

Rozdział 27

Anna wyglądała tak, jakby nie spała od wielu dni. Przepuściła Bastiana i zaryglowała drzwi. Chłopak z przerażeniem patrzył, jak zmienilo się to mieszkanie. Okna były pozaklejane, wentylacja szczelnie zakryta kartonami. Było duszno, a zapach farb sprawiał, że ledwie można było wytrzymać. Telewizor i radio stały odłączone od prądu na środku pokoju.

– Myślałam, że to wszystko pomoże, ale nie. On znalazł sposób. Podszyl się pod ciebie i przyszedł.

– Kto?

– Jak to kto? – artystka wskazała najpierw na obraz dziewczyny o dużej głowie, a potem nieco wyżej.

Przedstawiał rubasznego mężczyznę w koszulce w poprzeczne paski, który palił fajkę, z jej dymu wypływał demon o stu twarzach, przemieniając się w coś strasznego, wręcz potwornego. Mistrzostwo obrazu polegało na tym, że potwór nie był jakąś wyrazistą postacią. Krył się w ciemnościach i trzeba było dobrze wyteńczyć wzrok, by go dostrzec. I dla każdego mógł wyglądać inaczej. Bastian zadrżał.

– Ma różne imiona. Ja znam go pod imieniem Siergiej, lecz świat mówi na niego inaczej.

Zawiesiła głos i spojrzała na okno. Jedna z ciężkich krwistych zasłon poruszyła się niespokojnie, jakby poruszona oddechem kogoś ukrytego za nią.

– Nazywa go Asmodeusz – zakończyła.

– Wampir – szepnął chłopiec. – Wiem wszystko, przeczytałem w księdze.

– Nic nie wiesz.

Bastian wpatrywał się uważnie w jej bladą twarz.

– A ty? Czy ty jesteś Hellią? Czy to dla was jakaś zabawa? Bawicie się mną i Iną?

Anna roześmiała się.

– Dzieciak z ciebie. To nie jest takie proste.
– Powiedz mi więc. Jak mam odzyskać Inę?
– Pokochaj ją!
– Tak po prostu?
– To wystarczy. Ale niełatwo kochać bez duszy. To dusza wyzwala miłość.

Bastian nabrał głębiej powietrza, szykując się do ostrzejszego starcia z artystką, i nagle poczuł się straszliwie pusty. Powietrze wlatywało do niego jak do wielkiej dziury i wypływało niczym z otwartej na oścież śluzy. Nawet nie świszczało. Odetchnął jeszcze raz i omal nie upadł przerażony. Pustka jego wnętrza pochłaniała wszystkie myśli. Cały był przekłętą czarną dziurą.

– Lepiej usiądź – doradziła Anna, podchodząc do ścianki i wspinając się na antresolę. Zdjęła ubranie oraz bieliznę i położyła się do łóżka. – No już, siadaj, bo rozbijesz sobie głowę.

Wtedy poczuł pierwsze uderzenie. Coś trafiło go w brzuch i pierś, rzucając na ścianę.

– A nie mówiłam – Anna naląła sobie wina do szklanki, położyła się na brzuchu i popijała, wpatrując się w chłopca. Palce jej dłoni jakby się wydłużyły i zaostrzyły. Paznokcie błysnęły, odbijając światło świec.

– Co się dzieje? – zawołał, gdy próbował wstać, i otrzymał drugie uderzenie.

– Dusze krążą wokół ciebie i zastanawiają się, czy dać ci szansę, czy pozwolić się złapać. Nie dziwię im się, bo nie ma odwrotu. Gdy już któraś cię wybierze, nie będzie mogła nagle zrezygnować. Stanie się twoim więźniem aż do śmierci. Jeśli dokona złego wyboru, będzie bardzo cierpiała. Choć dusze żyją wiecznie, to nasze dni niewyobrażalnie im się dłużą. Słyszałam kiedyś, że jeden dzień odczuwają tak jak człowiek połowę życia, a w rok mogłyby dolecieć do Marsa i z powrotem. Dusze inaczej postrzegają świat.

– Mam duszę – zaproponował Bastian. Był uczuciowy, pełen współczucia dla cierpiących i nienawiści dla krzywdzących. Wzruszał się na widok głodnych dzieci i potrafił obsikać mercedesa bogacza. Miał duszę.

– Dusza to nie jest zdolność do płaczu i zemsty. Dusza to

jakby płynna miłość. Nie zna innego uczucia i dlatego wybiera tylko tych zdolnych do miłości.

- Jestem do niej zdolny.
- A potrafisz gwizdać?
- Co takiego?
- Zagwizdź – rozkazała Anna.

Spróbował, ale nie potrafił. Wydawało mu się, że gwizdanie jest takie proste. Nie mógł teraz zrozumieć, dlaczego mu się nie udaje.

– A widzisz – roześmiała się Anna. – Gdy nauczysz się gwizdać, dusze może cię wybiorą.

- Siergiej omamił Inę – powiedział, zmieniając temat.
- Zabrał mi ją. Musisz pomóc mi ją odzyskać.
- To nie Siergiej, to Asmodeusz.
- Ty go sprowadziłaś. Anna roześmiała się głośno.
- Chciałabym mieć taką moc.
- Twoja opowieść to sprawiła.

– Asmodeusz nie słucha opowieści – szepnęła tak cicho, że ledwie ją słyszał, a potem kontynuowała: – Asmodeusz jest jak wiatr, czasem cichnie, ale nigdy nie ginie. Wystarczy użyć większego żagla, by go złapać. Nawet gdy śpi, to jego część żyje, krąży i szuka ofiar. Nazywają go czasem ojcem demonów albo królem. Jest ich władcą. A wiesz, co jest jego celem? Za co Bóg mu płaci? Jest demonem pokus i tajemnic, sługą ścieżki zła i sprowadzania na złą drogę. Jego celem jest zniszczenie i cierpienie, dlatego pożera miłość i radość.

Przerwała. Bastian chciał coś powiedzieć, zaproponować, przeciwstawić się jej teoriiom, nie dać się porwać strachowi, ale nie potrafił.

– Nieprawdą jest to, co mówią – kontynuowała Anna. – że jest samym złem. Demony, jak ludzie, raz są źli, raz dobrzy. Wpadają z jednego nastroju w drugi, potrafią być i czuli, i porywczy. Niewiele się od nas różnią, a może nawet wcale. Jednego dnia potrafią robić na złość, drugiego dnia czynią dobro. Tak jest. Widziałam Siergieja, jak palił marzenia i śmiał się z tego złośliwie kuglarskim rechetem, ale widziałam go też, gdy płakał prawdziwymi łzami, brał je w palce i z ciekawością

oglądał, a one od tego spojrzenia stawały się perłami. Przybierał wtedy prawdziwą postać Asmodeusza, którego widok był bardziej przerażający niż spojrzenie bazyliuszka. Ukazując swoją postać, nagle wydawał mi się jednak niesamowicie niezdamny i bezbronny, nierozumiejący tego nowoczesnego świata, gdzie w sekundę można zabić milion osób za pomocą nauki i techniki. Jego skażony umysł chłonie to wszystko i cieszy się możliwościami, lecz jednocześnie przerażają go one i wtedy popada w melancholię. Tak. Zapomnij, chłopcze, o Asmodeuszu z twojej książki. To tylko jedno z jego wcieleń, nieślubny bękart, marny odprysk wielkiego, prastarego demona, który ma może milion, a może nawet setki milionów lat i który potrafi zatrzymać słońce i zna wszystkie żarty wymyślone przez ludzkość. Wyobrażasz sobie kogoś takiego? Nie zdołasz go rozbawić czymś nowym, bo on zna wszystko.

Asmodeusz, mój drogi, jest twoim przekleństwem i nie będziesz miał łatwej drogi w starciu z nim. O nie.

– Pomóż mi!

– Ja?

– Tak, ty. Ty go sprowadziłaś. Śmiech Anny płynął już spod kołdry.

– Musisz już iść – powiedziała.

– Gdzie mam pójść. Chcę odzyskać Inę.

– Więc idź tam, gdzie ją poznałeś.

– To było dawno temu, na meczu hokejowym.

– Więc idź na ten mecz.

Bastian spojrział w bok i zdziwiony zobaczył, że stoi tam torba sportowa z jego sprzętem hokejowym. Zerknął na kalendarz. Była dokładnie taka data jak wtedy, rok temu.

– Idź, chłopcze. Uciekaj. Bo jak się tu zjawi, to cię pożre, zanim dobierze się do mnie. Dobrze ci radzę. On nadchodzi.

Bastian przeklął, chwycił torbę ze sprzętem i wyszedł.

Nie wiedział, co chciał uzyskać od malarki, ale wiedział, że czymkolwiek to było, nie zdobył tego.

Na korytarzu minął śmiesznego człowieczka w stroju listonosza z baśni. Wydawało mu się nawet, że ma twarz

baśniowego chłopca. Przerażony przyspieszył kroku, zbiegł na dół i zniknął w ciemnościach nocy.

Listonosz o dziecięcej twarzy tymczasem zadzwonił do malarki.

Otworzyła w szlafroku włożonym na nagie ciało. Przybysz spojrzał na odsłoniętą nogę. Dostrzegł kawałek piersi i miał ochotę się oblizać.

– Poczta dla pani – powiedział.

– To pomyłka – odparła. – Nie ma do mnie kto pisać.

– A jednak.

Poszperał w torbie i wyciągnął bajecznie kolorową kartkę.

– Oto jest. Proszę podpisać. Miłej zabawy.

Anna zamknęła drzwi i wróciła po ściance do łóżka na antresoli, trzymając kartkę w zębach. Dopiero przykrywszy się kołdrą, zerknęła na nią. Przedstawiała jakąś wyspę z palmami skąpanymi w soczystej zieleni. Błękit nieba i morza oblewał złocisty piasek.

Odwróciła kartkę. Nie było na niej żadnych pozdrowień, ani słowa. Tylko reklamówka biura podróży o dźwięcznej nazwie „Powiew rozkoszy”, które miało rzekomo wyłączne prawo do oferowania pobytu na widniejącej na pocztówce bezludnej wyspie. Tylko wy dwoje, nikt więcej. Morze, słońce i miłość. Hmm.

Odwróciła kartkę ponownie, by przyjrzeć się wyspie, i przez chwilę miała wrażenie, że coś się na niej poruszyło. Doznała złudzenia, że słońce rozgrzało ją promieniem, fala obmyła dłoń, a piasek oparzył. Wtedy zobaczyła, że po plaży idzie jakiś mężczyzna – bosko umięśniony Murzyn z reklamy Old Spice’a uśmiechał się do niej pełnym garniturem równych białych zębów.

Z każdym krokiem robił się większy i większy, aż w końcu wyszedł z widokówki, przyklęknął przy jej łożu i szepnął pachnącym oddechem:

– Myślałaś, że tak łatwo się mnie pozbędziesz. Ja, ucieleśnienie twoich marzeń, nie mogę na to pozwolić. Wolisz mnie takiego, jakim jestem, wolisz mnie samego, czy nas czterdziestu?

Anna zadrżała z podniecenia i strachu. Nagle wszystko zawirowało i na antresoli nie byli już sami. Nachylało się nad nią czterdziestu piekielnie przystojnych i bosko umięśnionych Murzynów.

– Oto jest rozkosz razy czterdzieści!

Rozdział 28

Asmodeusz, który rzadko korzystał z możliwości powielania się, tym razem błogosławił Stwórcę, że dał mu taką moc. Znudzony Anną, zostawił swoje czterdzieści wcieleń w jej towarzystwie, przybrał postać Angeliki, poprawił spódniczkę i udał się do pracowni Jana.

Jan był biznesmenem. Przedstawiał się jako doradca inwestycyjny. Jednocześnie jego pasją było malarstwo. Ponieważ jako biznesmen okradał wielu niczego nie podejrzewających klientów, było go stać na drogie pasje.

Asmodeusz długo przyglądał się jego zdjęciu, śledząc całe życie, od narodzin aż do dnia dzisiejszego. Chłonał wszystkie emocje związane z odrzuceniem w dzieciństwie, pierwszymi małymi oszustwami, młodzieńczym zepsuciem i koniunkturalnym małżeństwem, które zanurzyło młodego karierowicza w nihilistycznym nurcie wyścigu szczurów.

Zarabiasz tyle pieniędzy na swoich przeklętych akcjach i kontraktach terminowych kupowanych dla klientów... Po co jeszcze ich okradasz?

Demon przejrzał prace Jana i doszedł do wniosku, że jest wyjątkowo podłym sukinsynem. Żaden obraz nie był jego autorskim dziełem. Jan lubował się w wyszukiwaniu co ciekawszych projektów mniej znanych artystów z krańców świata i po prostu je beczelnie kopiował, a następnie przedstawiał jako swoje.

Gdy ktoś chwalił jego dzieła, wzruszał ramionami, skromnie spuszczał głowę i rumienił się. Lucy też się na to nabrała.

– Masz talent, twoje obrazy są wspaniałe. Powinieneś wystawić je w jakiejś galerii – mówiła, dając się uwodzić tej pierwszej nocy.

– Nie mogę. To dzieła mojej duszy – odpowiadał. No pewnie, zarechotał Asmodeusz. Dzieła duszy, w których pierwszy lepszy

marszand odnalazłby fałszywą kreskę plagiatora.

Ale nie Lucy i kilka jej podobnych.

Asmodeusz zadrzał z rozkoszy, gdy głupia dziewczyna uśpiła winem rozsądek i dała się prowadzić jak po sznurku do alkowy biznesmena-malarza. Wykrętne umizgi i pełne ukrytego jadu kłamstwa szybko sprawiły, że Lucy zamknęła mocno oczy i rozłożyła nogi.

Potem płakała, a on chodził zadowolony z siebie po pokoju, mimo że tak naprawdę wcale nie powinien być zadowolony. Płacz go irytował, więc próbował tłumaczyć dziewczynie, że to naturalne i że pewnie jej chłopak też ją zdradza.

– Nie. On woli książki.

– Tylko tak udaje. Możesz być pewien, że mężczyzna czyta książki tylko wtedy, gdy jest zakochany w innej kobiecie.

Przychodziła potem kilka razy i zawsze odbywało się to podobnie. Niewiele mówili, ona opierała się o biurko i pozwalała mu na wszystko, co tylko zechciał.

Asmodeusz uśmiechnął się, myśląc, jak bardzo przewrotne bywa przeznaczenie, bo po kilku razach to on zaczął jej pragnąć znacznie mocniej niż ona jego i to właściwie Lucy zdobyła nad nim władzę.

Kiedy więc zapowiedziała, że kochają się po raz ostatni, nie mógł zrozumieć, nie potrafił się z tym pogodzić.

– Ale dlaczego? – pytał.

– Kocham męża – powiedziała. – Dzięki tobie to zrozumiałam. To koniec.

Przekłęta, mała, nieciekawa gnida uświadomiła Lucy, jaką podłością było to, co zrobiła. Ech, Lucy, ciebie też muszę jeszcze raz odwiedzić – orzekł Asmodeusz i nacisnął dzwonek do drzwi.

Jan otworzył mu z uśmiechem na ustach, który zgasł, gdy mężczyzna zobaczył, że to nie Lucy czeka za drzwiami, tylko jakaś nieznaną kobietą.

– Czemu tak długo – rzekł Asmodeusz, przesunął stanowczo jego ramię i wszedł do środka. Podszedł do barku, pozwalając Janowi obejrzeć doskonały tyłek Angeliki.

Mężczyzna zamknął drzwi i oparty o framugę patrzył, jak

dziewczyna nalewa sobie drinka. Asmodeusz lubił najbardziej czystą wódkę z lodem. Nalał jej do szklanki i zamieszał kostkami lodu.

– Pijesz czystą? W szklance? – Jan uznał, że skoro nie wie, o co chodzi, i nie wie, co powiedzieć, to najlepiej mówić rzeczy, które nie mają żadnego znaczenia. Choć to nie była Lucy, to wieczór zapowiadał się ciekawie.

– Myślałem, że wódkę szklankami piją tylko rosyjscy żołdacy.

– Pisarze – poprawiła.

– Co takiego?

– Szklankami piją rosyjscy pisarze. żołnierze pociągają wprost z butelek.

– Nie wyglądasz mi ani na jednego, ani drugiego.

– Tak? A na kogo ci wyglądam?

Jan uśmiechnął się pod nosem. Może właśnie w jego gabinecie pojawiło się lekarstwo.

Asmodeusz aż się roześmiał. Sam poddał Janowi myśl o lekarstwie. Zabawnie było siedzieć w czyimś umyśle, podpowiadać mu myśli, a potem odpowiadać na nie w innej postaci. Nie mówiąc już o tym, że demon uwielbiał być lekarstwem niemal tak bardzo jak katem. Nic nie równało się smakiem z wdzięcznością i świeżą krwią.

Na myśl o krwi oblizwał wargi. Nadszedł czas.

Odwrócił się, stanął w rozkroku, podciągnął do góry skórzaną spódnicę. Palce wolno płynęły po łagodnych łukach ud. Asmodeusz patrzył na nie z podziwem, czując jak gdzieś w dole, pomiędzy tymi wspaniałymi nogami rodzi się podniecenie. Głośno przelknął ślinę, a potem oblizwał nabrzmiące od emocji wargi.

– Będziesz się tak przyglądał, czy w końcu coś zrobisz? Jan przemierzał powoli dzielącą ich przestrzeń.

A potem powiedział coś, czego – mógłby dać głowę – wcale nie zamierzał powiedzieć.

– To będzie dymanko twojego życia, maleńka!

Godzinę później leżeli w łóżku, a Asmodeusz palił papierosa.

Janowi to przeszkadzało, nie zamierzał jednak wyjść na mięczaka. Nie po tym, co przeżyli. Wyleczył się. Do diabła, całkowicie się wyleczył.

– Chcesz? – Asmodeusz podał mężczyźnie papierosa, ukradkiem przyglądając się krytycznie jego ciału.

Było całkiem niezłe. Nie atletyczne, lecz bardzo męskie. Z szeroką klatką piersiową, zgrabnymi nogami, szerokimi ramionami. Członek, krótki i gruby, przypominał nieco serdelek. Spalony na grillu. Serdelki przypieczone na grillu puchną, a potem się marszczą. Do niczego się już nie nadają.

Asmodeusz przez chwilę pomyślał, że mógłby użyć tego ciała następnym razem, by uwieść jakąś kobietę. Zaraz jednak odrzucił tę myśl. Ciało Siergieja było wystarczająco doskonale i uwodzicielskie, choć nie tak piękne. Było połączeniem fizjonomii Henry’ego Millera i Seana Penna w cieniu Marlona Brando. Żadna kobieta nie mogła oprzeć się czemuś takiemu. Nie potrzebował innego. Po co psuć coś, co działa doskonale? Jan wziął papierosa, zaciągnął się i zakaszłał, mimo że robił wszystko, by tak się nie stało.

– Przepraszam, nie palę – starał się złapać oddech.

– Nic nie szkodzi – Asmodeusz zabrał mu papierosa i sam zaciągnął się z lubością potężną dawką dymu.

Jan przetarł oczy, zastanawiając się, czy to jednak nie sen. Nieznajoma kobieta, marzenie o ciele bogini delikatnym jak jedwab, spędza z nim noc, pije wódkę szklankami i pali papierosy tak śmierdzące, że wygoniłyby z pokoju nawet Chińczyków.

– To ruskie – powiedziała nagle.

– Ruskie? Co takiego?

– Papierosy. A dokładnie białoruskie. Nazywają się bielomory. Ruscy reklamują je jako najmocniejsze papierosy świata. Pali je sam Łukaszenko. Ja dodaję trochę haszyszu, bo inaczej byłyby rzeczywiście marne.

– Aha.

– Nie interesujesz się polityką, prawda, Janie?

– No, niespecjalnie – przyznał.

– Kiedy ostatni raz oglądałeś wiadomości? Wzruszył

ramionami. Coś tu przestało mu się podobać. Kobieta stawała się zbyt natarczywa.

– Ja uwielbiam wiadomości, oglądam je pasjami. Są wspaniałe. Pokazują tyle cierpienia. Ludzkie życie jest nic niewarte bez cierpienia. Największym cierpieniem jest zaś miłość. Wierysz w miłość?

Wzruszył ramionami. Czy powinien odpowiadać, czy uciąć to?

– Chyba, chyba tak.

– Mało kto nie wierzy. Wszyscy się oszukujecie, że kiedyś się trafi, a kiedy ją w końcu napotykanie, spieprzacie, jakbyście spotkali wytarzanego w gównie tygrysa. Śmierzącego i zabójczego. Nie lubicie, gdy śmierć może być tak okropnie śmierząca i zabójcza. Czy mógłbyś się we mnie zakochać, Janie?

– Dziwnie mówisz.

– Mógłbyś? – powtórzył Asmodeusz pytanie.

– Słabo się znamy – powiedział ostrożnie.

– Wcale nie. Ty mnie znasz słabo. Ja ciebie znacznie lepiej. Ale w twoim przypadku wiedza i zgłębienie natury rzeczy wcale nie pomaga. Im bardziej kogoś poznajesz, tym bardziej jesteś niezdolny do miłości. Twoim postępowaniem kieruje pożądanie i słoneczniki.

– Słoneczniki?

– Tak, nie wiedziałeś, że słoneczniki mają strasznie długie korzenie, którymi niszczą cały świat wokół siebie. Pięknie wyglądają przez chwilę, gdy rozkwitają. Ich piękno jest niczym wobec zniszczenia, jakie ze sobą niosą. Jesteś takim słonecznikiem. A ja kocham słoneczniki. Mogłabym się w tobie zakochać.

Zadrżał, czując, jak zimno wnika do pokoju. Wydawało mu się, że ta naga piękna kobieta zaczęła nagle parować. Oddech wydobywający się z jego ust także był niczym mgiełka. Co u licha?

Demon popatrzył na swoje ciało i roześmiał się.

– Piękne jest, nie sądzisz? Piękne cycki, dupa jak marzenie, nogi jak od lalki i prawdziwie brzoskwiniowa cipa. Po prostu

cudo. W czasie ruchania piszczące jak suka w rui. Gryzie wargi do krwi, a potem krzyczy jak zarzynane prosię. Ale tylko pod nim, pod tym jednym. Czemuż się krzywisz? Razi cię moja wulgarność? Tak popularna w męskim gronie, w świszczących od oszukańczego śmiechu tancbudach? Wulgarne słowo wypowiedane w takich miejscach rozpala i bawi, a gdy wymawiają je usta kochanki, nagle wydaje się nie na miejscu, chorobliwie szaleńcze. Nawet nie wiesz, ile przeszła ta kobieta, nawet nie wiesz, jak jest nieszczęśliwa i przerażona całym światem. Wydawałoby się, że on należy do niej, leży u jej stóp, a jest dokładnie odwrotnie. To ona stała się jego niewolnicą, a wiesz, co do tego doprowadziło? Miłość! Tak, miłość do jednego mężczyzny. Nazywa się Gerard i jest reżyserem. Robi filmy na granicy obłędu i perwersji. Bawi się pornografią i poezją. Prawdziwa ona, właśnie teraz, gdy rozmawiamy, idzie do niego do domu, by błagać go o jeszcze jeden dzień jego miłości. Dziś nawet nie otworzy jej drzwi. Powie tylko, żeby spieprzała, bo już powiedział jej wszystko, co było do powiedzenia. Jeszcze wczoraj zerznął ją brutalnie w przedsionku, gwałtownie i do bólu, jak nigdy, jak tego nie lubiła, a i tak dając rozkosz. Jeszcze przedwczoraj drwił z niej, zabawiał się jej miłością, rozkazując udawać różne zwierzęta, poniżając na setkę sposobów, a ona była szczęśliwa. Dziś w końcu powie jej, by poszła do diabła i że już nigdy to się nie stanie. A ona będzie płakać, drapać drzwi i błagać, aż w końcu zrozumie, że śmieszność jej nie pomoże. Pójdzie na Most Północny, na sam środek, przekroczy barierkę i skoczy. Zginie, a jej ciało wyłowi jutro rano wędkarz. I zanim zadzwoni na policję, jeszcze je obejrzy i będzie napawał się jego nagim pięknem. Tak samo jak mój przyjaciel koroner, który kocha śmierć bardziej niż ja.

Zimno było już wszędzie. Ciało Jana marzło, ale zamiast drżeć, czuł, że nie może poruszać ani rękami, ani nogami i bał się, że jeśli poruszy dłonią czy palcem zbyt gwałtownie, to odpadną, odłamią się jak na jakiejś pieprzonej grze wideo.

– Czemu nic nie mówisz? Czemu nie biegniesz jej ratować? – Asmodeusz spojrział na zegarek. – Jeszcze byś zdążył, gdybyś

tylko się pospieszył zamiast wpatrywać się we mnie tą idiotyczną miną. Ona jeszcze długo będzie jęczeć pod drzwiami tego okrutnego reżysera. Nie pobiegiesz? No tak, nie jesteś supermenem. Zastanawiałeś się kiedyś, kim jesteś?

Nie chciał już tego słuchać. Nie chciał patrzeć.

Zamknął oczy i modlił się, by był to tylko sen. Mroczny, koszmary. Tylko sen. Jednak gdy otworzył oczy, ona wciąż tam siedziała i patrzyła na niego z pełnym politowania uśmiechem. To nie był sen.

– Czemu nie zadasz tego pytania? – zapytała w końcu.

– Jakiego?

– Tego i tych wszystkich, które cię nurtują.

Jan zastanawiał się przez chwilę, co odpowiedzieć, a jeśli cokolwiek, to o co zapytać najpierw.

– No dobrze – powiedział w końcu słabym głosem. – Kim jesteś?

– Jak to, nie pamiętasz mnie? – roześmiała się i zaraz spoważniała. – Przecież takich kobiet jak ja się nie zapomina. Nawet ty, taki samiec i ogier, nawet ty nie zapominasz.

– Kim jesteś? – powtórzył.

Asmodeusz wstał z łóżka, włożył ubranie i bez żalu spojrzał na Jana.

– Nazywają mnie Asmodeusz – powiedział. – Nie jestem kobietą, nie jestem nawet człowiekiem.

Zimno oszroniło już ściany i zbliżało się białymi pęknięciami po podłodze do stóp Jana. Demon mówił dalej:

– Przez ten milion lat, od kiedy żyję, nadano mi tyle imion i znaczeń, że sam już nie pamiętam wszystkich, choć pamięć mam doskonałą. Dlatego jestem wyczulony na kłamstwa, a ty mnie dziś okłamałeś co najmniej raz.

– Nie okłamałem cię – zaoponował słabo.

– Ależ tak, kłamałeś, Janie – demon rozprostował kości, przeciągnął się, przypominając w tej krótkiej chwili leniwą górską kocicę. Zaczął rosnać w oczach, jak cień wyłowiony przez światło przejeżdżającego samochodu. W końcu ledwie mieścił się w pokoju. -Skłamałeś. To nie było dymanko mojego życia.

Jan powiódł wzrokiem tam, gdzie patrzył demon. Asmodeusz uniósł do góry ramiona i objawił człowiekowi prawdziwe oblicze.

A potem wyrwał mu serce z piersi.

Rozdział 29

– Mówię panu przecież, że tu nie było żadnego takiego miasta, żadnego CIA, żadnych eksperymentów. Tylko pustynia.

Indianka bez zębów przyjęła banknot i schowała za pazuchę.

Lenny zrobił zdjęcie pustyni i podpisał: „To tutaj przed laty CIA wybudowała tajne miasteczko by przeprowadzać eksperymenty na więźniach”. Westchnął i zaczął mówić do dyktafonu:

– Zadziwiające, że żaden z tubylców nie przyznaje się do wiedzy na temat tajnego ośrodka. Wszyscy o nim wiedzą, ale boją się powiedzieć. W sumie to jednak nic dziwnego. Wy też byście się bali.

Zebrał już całość dokumentacji. Wszystkie źródła zgodnie zaprzeczały jego rewelacjom. Jako dziennikarz dobrze wiedział, że duża liczba źródeł wzbudza zaufanie czytelników, szczególnie gdy wszyscy czemuś zaprzeczają. To tak jakby potwierdzali. Dwa minusy w końcu dają plus.

W konsulacie próbował namierzyć jeszcze Sonię, ale bezskutecznie. W Nowym Jorku postanowił wynająć detektywa lub poprosić o pomoc swoje źródło w Białym Domu. Może się uda.

Długo zastanawiał się, kim mógł być staruszek, który prowadził go za rękę w trakcie całej sprawy. Uznał, że w artykule może go przedstawić jako coś w rodzaju Boga. Albo demona. Tak. Podszepty diabelskiego przewodnika. To nawet dobry materiał na śródtytuł.

Pierwszą wersję artykułu wyrzucił na śmietnik. Druga była nieco lepsza, lecz zawierała zbyt dużo szczegółów, o których ukrycie prosiła Sonia. Trzecia, w której już prawie wszystko zmyślił, spodobała mu się najbardziej. Zatytułował ją tak:

**Eksperyment Tihuahua
CIA stworzyła w Meksyku tajny ośrodek
do badań nad parapsychologią**

Trzy dni później zadzwonił do niego naczelny „The Global News”.

– Chłopie, co ty paliłeś – warknął. Lenny pomyślał, że to jego koniec, gdy naczelny dodał: – Artykuł jest wspaniały. Tak przejmujący, kipiący szczegółami i życiem, że aż wydaje się nieprawdziwy.

– To szczerza prawda – skłamał Lenny.

– O tak, przecież wiem, chłopcze, że byś nie zmyślał. Nasze źródło w CIA już potwierdziło, że wszystko to prawda. W Langley mają sraczkę jak cholera, że to wypłynie. Agencja zagroziła odcięciem funduszu na reklamy.

– Więc artykuł nie pójdzie?

– Nie pójdzie? Chłopaku, gdzie ty schowałeś jaja. Miałbym zrezygnować z Pulitzera za parę marnych milionów od CIA. Niedoczekanie. Damy im po garach.

Tekst ukazał się w piątek przed świętami i wywołał masę spekulacji oraz spowodował parę dymisji. Nowe władze CIA podziękowały za ujawnianie nieprawidłowości w szeregach Agencji i przywróciły wcześniejsze wydatki na budżet reklamowy, a nawet dorzuciły dziesięć baniek górką.

Lenny nie miał czasu, by podrapać się po tyłku.

Gdy wręczano mu Pulitzera, zdobył się na jakiś mało oryginalny żart o swoim seksualnym temperamencie, a potem podziękował mamie, siostrom, całej redakcji „The Global News” i naczelnemu. Na koniec zamierzał podziękować Soni, lecz przypomniał sobie przysięgę milczenia i rzekł:

– Dziękuję też mojemu ojcu, który będąc znanym mafioso, pewnie musiał zastraszyć szacowne jury, żeby to mój artykuł wybrało jako najlepszy.

Gwiazdorzył na potęgę na różnych rautach, dymał Latynoski i chodził po programach telewizyjnych, gdzie albo opowiadał o pracy nad tekstem, albo udzielał się jako ekspert od CIA. Był na topie.

Nie mógł jednak odnaleźć spokoju. Pewnego wieczora spakował się, poleciał do San Diego, gdzie przesiadł się w pociąg. Przez całą podróż trzymał w dłoni kartkę od

prywatnego lapsa, który odnalazł dla niego obecny adres Soni.

Dotarł do niej brudny i śmierdzący, jednak gdy otworzyła drzwi, uśmiechnął się ciepło. Ona odwzajemniła jego uśmiech.

– Dostałeś Pulitzera?

– Tak.

– A dotrzymałeś obietnicy?

– Tak jak powiedziałem.

– Więc dlaczego przyznali ci tę nagrodę? Wzruszył ramionami.

– Może właśnie trzeba kłamać, by dostawać nagrody. Sonia poprawiła włosy i powiedziała:

– Jak chcesz, możesz się wykąpać.

Poszła za nim do łazienki i czekała, aż się rozbierze. Zawahał się przed zdjęciem bielizny.

– Wstydzisz się? – zareagowała śmieszkiem. – Widziałam już nagich mężczyzn. Jeśli chcesz, wyjdę, choć zamierzałam umyć ci plecy.

– Zostań.

Myła mu plecy, aż podniecenie narosło tak, że nie mógł się powstrzymać. Chciał rzucić się na nią i pościć, lecz kobieta powstrzymała jego zapędy i szepnęła uspokajająco:

– Powoli.

Całowała każdy skrawek jego ciała, a on przymknął oczy i czuł, jakby wiła się nad nim jakaś pachnąca, cudowna roślina. Działała tak kojąco, że zanim doznał spełnienia, zasnął.

Dużo później leżeli w łóżku, a Sonia gładziła jego pierś wskazującym palcem.

– Chcę zostać z tobą. Na zawsze.

– A co z Latynoskami?

– Koniec z Latynoskami.

– I Polkami?

– I Polkami – przyznał.

– Naprawdę chcesz tu zostać? Na tym zadupiu? Skinął głową.

– Odnalazłem wszystko, czego potrzebuję. Świat oszukiwał mnie przez całe życie, być może właśnie po to, bym cię odnalazł.

I opowiedział jej ostatnią tajemnicę ze starego życia o

rosyjskich bandytach, którzy zabrali go do dyskoteki „Katusza”, by poderwał dla nich jakąś dziewczynę.

– Opowiadałem potem w redakcji, że się wykipłem, poszedłem niby wypełnić zleczone zadanie i uciekłem przed tą sforą zwierząt. Ale to nie była prawda. Oni nie daliby mi uciec, a poza tym zbyt się bałem, by uciekać. Tak więc poszedłem do tej dziewczyny, której imienia na szczęście nie zapamiętałem, i zanim zdążyłem zagadać, już z nią tańczyłem, a ona głaskała mnie po torsie, bawiła się moimi włoskami na piersi i przyciskała się do bioder, masując pośladki. Była ochocza i napalona, ciągle powtarzała: like Italiano. Wyprowadziłem ją, tak jak mi kazano, bocznymi drzwiami i tam dorwała ją ta banda zwierząt. Dobrali się do niej i postąpili okrutnie, jak jakieś hitlerowskie komando, a ja patrzyłem i nic nie zrobiłem. Poszedłem potem przez miasto i pamiętam, że stąpałem z zamkniętymi oczami. A mimo to dotarłem do domu bez szwanku. Nie mogłem jednak spać. Zamiast snów przylatywały tylko cienie. W ustach czułem smak popiołu i miałem wrażenie, że jakieś tajemne, przeklęte bóstwa mają ze mnie niezły ubaw. I wtedy właśnie zakrzyknąłem, że chcę być kimś innym, że chciałbym zostać bohaterem komiksowym, porzucając prawdziwe człowieczeństwo. Może to wołanie właśnie usłyszał staruszek. Może to sprawiło, że przybył i dał mi misję.

Sonia pogłaskała go tylko po plecach, nic nie mówiąc.

Spędzali dni na miłości i oglądaniu telewizji. Od czasu do czasu przyjeżdżał do nich ktoś w odwiedziny. Zanim się pojawiał, widzieli dym, unoszący się nad pustynią, który wzniecało jadące po bezdrożu auto, ostrzegając ich.

Tak poznał wszystkich jej przyjaciół: Dany’ego, pięćdziesięcioletniego mężczyznę, kulejącego na jedną nogę, szeryfa Sape’a w podobnym wieku i rajfurkę Eleonorę. Dany był małomówny. Lubił siedzieć u nich na ganku i popijać piwo. Czasem opowiadał o swojej pracy bramkarza w przydrożnym barze i pokazywał blizny po bójkach z kowbojami i Meksykanami. Gdy Lenny odprowadzał go do samochodu, kończył jakąś ciekawą puentą typu:

– Jutro zapowiada się krwawy dzień. Szeryf zwykle nie

wchodził nawet na kawę.

– Jest u was ten drań Dany? – pytał zawsze. – Nie dajcie mi się czasem naciągać.

Eleonora była byłą mistrzynią świata w brydżu sportowym. Gdy przyjeżdżała, grali we trójkę w brydża, zastępując czwartego partnera „dziadkiem”.

– Dlaczego nie pozwolisz, byśmy zaprosili Dany’ego lub Sape’a do pary? Kto wie, może by coś z tego wyszło?

– Miałabym dać się przelecieć jakiemuś wiejskiemu zabijace?

– Kto mówi od razu o przelatywaniu – śmiał się Lenny.

– O nie, kochana – mówiła Eleonora do Soni – Ty przygruchałaś sobie takie fantastyczne ciasteczko, to ja nie mogę?

Lenny był szczęśliwy. Czasem tylko wspominał minione zdarzenia i wtedy chwilę o nich rozmawiali, ale nie za długo. Sonia zwieszała głowę i odwracała wzrok, gdy wspominał o Korze. Mimo że kochała Lenny’ego, nie mogła zapomnieć o dziewczynie.

– Jak myślisz, kim był ten starzec? – zapytał kiedyś.

– Jaki starzec? – udawała zdziwienie.

– Ten, z którym przyjeżdżałem.

– Przyjeżdżałeś sam – mówiła.

Nie ciągnął tego wątku. Wtedy ona nachylała się nad nim i wyjaśniała:

– Pewnych rzeczy lepiej nie nazywać. Lepiej zostawić je w chaosie i nie starać się zrozumieć. Co nam da wiedza, czy mamy do czynienia z demonami, czy aniołami, jeśli ich potęga jest tak wielka, że nie możemy się im oprzeć. Możemy je przywołać i zawsze jest ryzyko, że zamiast dobra pojawi się zło.

Minął prawie rok, odkąd Lenny przyjechał do Soni, kiedy na pustyni dostrzegli smugę piaskowego dymu wyższego niż zwykle. Godzinę później przed domem zaparkował wóz pocztowy. Młody mężczyzna wyszedł z szoferki, splunął na ziemię, skinął im głową, otworzył drzwi ładunkowe i wyciągnął długi pakunek. Upewnił się, że dobrze trafił, patrząc na list przewozowy, po czym wręczył Soni paczkę.

Podziękowała i pomachała mu ręką, gdy odjeżdżał.

Następnie zaniósła pakunek do szafy i zamknęła ją.

Wieczorem Lenny rozsiadł się z piwem na ganku, a ona przysłała do niego i uwiesiła się mu na szyi.

– Nie chcesz wiedzieć, co przyszło?

– Gdy będziesz chciała mi powiedzieć, powiesz. Sonia uśmiechnęła się pod nosem. Lenny bardzo zmienił się w ciągu tego roku, a wcześniej za sprawą tamtej historii. Podobała jej się ta zmiana.

– Myślę, że jestem gotowa. Chodź.

Otworzyła szafę, wyjęła paczkę, położyła ją na stole i rozcięła nożem. W środku była półtorametrowa tuba. Otworzyła jej denko i wyciągnęła na stół obraz zwinięty w rulon. Lenny pomógł przytrzymać płótno, gdy szła po ramę.

– Myślę, że teraz nie muszę już ich chować – powiedziała, wskazując drugą część szafy, w której leżało kilkanaście podobnych rulonów.

– Kto przysłała ci te obrazy?

– Dostaję je co roku. Zawsze tego samego dnia. Umocowała obraz w ramie i postawiła go przy ścianie.

Przedstawiał coś nieokreślonego, skąpanego w czerwieni i czerni. Im dłużej się w niego wpatrywał, tym więcej nowych znaczeń w nim odnajdywał. Raz wydawało mu się, że przedstawia uśmiechniętą kobietę, innym razem smutną staruszkę, albo też jakiegoś mężczyznę, palącego papierosa, potem demona o twarzy diabła. Wzdrygnął się.

– Podoba ci się?

– Jest piękny. Kto go namalował?

– Autorka ma na imię Anna. Anna Blume.

Lenny zmarszczył czoło. Coś mówiło mu to nazwisko.

– Blume to po niemiecku kwiat. Anna Kwiat. Słyszałem już o Annie Kwiat.

– Tak, przyznała Sonia. – Powinieneś ją znać. W Europie to bardzo znana artystka. Również w Stanach. Jej obrazy osiągają niebotyczne ceny.

– Wszystkie te obrazy namalowała? – wskazał na szafę.

– Tak, wszystkie.

Lenny zbliżył się do płótna. W rogu obrazu przeczytał podpis z dedykacją i nagle wszystko zrozumiał.

Rozdział 30

Bastian przymknął oczy i dał się porwać sennym koszmarom, w których Asmodeusz powracał do niego w towarzystwie wszelkich możliwych piekielnych plugastw. Mimo że wagon pociągu był prawie pusty, nie usiadł, tylko chwiał się na poręczy, trzymając prawą dłoń uchwyt zwisający z sufitu. W końcu wagonu siedziała para młodych kochanków. Dziewczyna zabawnie krzyżowała nogi, wykrzywiając pięty do tyłu i ściskając uda tak mocno, jakby obawiała się, że dłoń chłopca zaraz powędruje pod jej spódnice.

Bastian pomyślał przez chwilę o sobie i Inie. Czy wyglądali podobnie zabawnie jak ta para nieporadnych kochanków?

Na kolejnej stacji do pociągu wszedł jakiś starszy mężczyzna i usiadł naprzeciwko młodych. Zerkali na niego ukradkiem i szeptali coś do siebie, gdy staruszek przysnął i kiwał się zabawnie w przód i w tył.

Bastian przymknął oczy i otworzył je dopiero wtedy, gdy poczuł światła lamp, co oznaczało, że pociąg wyjechał z tunelu. Spojrzał przez okno. Przejeżdżali koło Mostu Północnego. Mężczyzna omiół spojrzeniem zwałistą budowlę przerzuconą przez rzekę i na jej szczycie dostrzegł jakąś zamgloną postać. Skupił na niej wzrok i po chwili dostrzegł, że to kobieta. Przekroczyła barierkę, stanęła na murku i nie zastanawiając się długo, runęła w dół.

Bastian omal nie krzyknął. Gdy kobieta miała już uderzyć o tafelę wody, nagle powietrze przeciął jakiś niewyraźny kształt, przypominający wielkiego czarnego ptaka, i porwał samobójczynię.

Bastian czuł, jak serce wali mu w piersi. Przypomnił sobie jeden ze zwrotów „Księgi kłamców” i ponownie zamknął oczy, żeby się uspokoić.

Pamiętaj, jeśli kiedyś zobaczysz coś tak przerażającego, że serce stanie i odmówi dalszej drogi, musisz spojrzeć w głąb siebie, do wnętrza swej duszy (zakładając, że ją posiadasz) i policzyć do dziesięciu. A potem wykrzyknąć: hokus-pokus i marokus, wszystko to nieprawda, bęc!

Policzył do dziesięciu. Gdy otworzył oczy, zamiast normalności zobaczył coś znacznie gorszego. Siedząca parka młodych kochanków wciąż pozostawała na miejscu. Jednak wyglądali inaczej niż wcześniej. Dziewczyna jakby zamarła, pozostawała z otwartymi szeroko oczami i lekko uchylonymi ustami, a jej chłopiec – teraz zupełnie blady, pozbawiony kolorów – całował jej szyję, wypijając życiową energię.

Bastian niemal widział, jak wszystkie siły, marzenia i nadzieje, wszystko co dobre, odpływa z dziewczyny do ciała chłopca i tam ginie w dziurze antymaterii.

Współczesne nam wampiry to istoty nieszczęśliwe. Nie są w stanie nasycić swojego łaknienia i nie mogą pojąć, że spijana z ich ofiar energia na złość im przepada w chaosie, nie powodując ukojenia. Niszczą swe ofiary, nic na tym nie zyskując.

To nie wszystko. Dwie kanapy dalej, za kiwającym się w półśnie staruszką, siedział Siergiej, trzymając w objęciach pogrążoną we śnie kobietę. Była niezwykle piękna i wydawała się na pół martwa. Jakby Asmodeusz wyrwał ją Helli w drodze do krainy cieni, bo tak też było w istocie.

– Zamierzała popełnić samobójstwo – usłyszał szept Asmodeusza. – Biedaczka myślała, że śmierć da jej ukojenie i będzie oznaczała koniec drogi. Nie mogłem pozwolić jej odejść, gdy nie poznała jeszcze wszystkich doczesnych cierpień.

– Odejdź, demonie. Nie słyszę cię, bo nie istniejesz – Bastian ponownie przymknął oczy i policzył do dziesięciu.

Jednak demony są nie tylko przekorne i złośliwe, ale też całkowicie niepodatne na ludzką wolę ich niewidzenia. Gdy jakiś upatrzy sobie ofiarę, nawet śmierć nie jest w stanie jej od niego uwolnić.

Asmodeusz nie tylko nie zniknął, lecz siedział teraz obok Bastiana, pomiędzy nimi usadowiwszy dziewczynę. Była bardzo piękna urodą modelki lub aktorki. Jej ciało wydawało się niemal doskonałe, szczególnie teraz, gdy tkwiło w bezwładzie pomiędzy życiem i śmiercią, zroszone lodowatą wodą z rzeki, w poszarpanym ubraniu. Usta dziewczyny rozwarły się w lekkim, szczęśliwym uśmiechu.

– Ma na imię Angelika. Chciała umrzeć, ale teraz śpi ze szczęścia – powiedział demon. – Jeszcze pięć minut temu myślała, że może kochać tylko jednego mężczyznę, a teraz wie już, że to nieprawda. Biedaczka, odnalazła jedno życiowe cierpienie i tak się go uczepliła, przekonując, że jest jedyne z możliwych, że zatraciła kompletnie zdolność obiektywnej oceny rzeczywistości.

– Ją też zgwałciłeś, demonie? – zasyczał Bastian sam zdziwiony swoją odwagą.

– Wspaniałe ciało, sam zobacz – Asmodeusz puścił ten wyrzut mimo uszu. – Jędrne piersi, nogi jak marzenie, pupa sama słodycz, cipka o smaku dojrzałej w słońcu brzoskwini. Grzech nie skorzystać.

– Brzydę się tobą.

– Brzydzisz się sobą i swoim ojcem – zarzął Asmodeusz. – A twoja Ina właśnie wkracza do siódmego kręgu piekła i wciąż ma długą drogę przed sobą. Ona też pachnie jak brzoskwinia. Cała jest dojrzałym, gorącym owocem.

– Zostaw ją w spokoju, draniu!

– To ona mnie wzywa. Potrzebuje mnie.

– Jak Anna? Zamyka się przed tobą w twierdzy.

– A potem i tak znajduje sposób, by mnie wezwać, gdy potrzebuje. Zapomnij o nich, głupcze, i uciekaj, zanim będzie za późno.

Pociąg wjechał na ostatnią stację i Bastian ocknął się ze złego snu. Drżał, było mu zimno. Szczelnie opatulił się kurtką i szalem. Zimno nie ustępowało. W wagonie nie było już Asmodeusza i Angeliki. Parka też miała normalne kolory. Całowali się namiętnie.

Może więc oszalałem – pomyślał. – Może to wszystko to gra jakiegoś demona, który wlał do mojego umysłu i się tam panoszy. Świat jest normalny i całkiem zwyczajny. Nie ma diabła, a Jezus Chrystus jest zbawicielem.

Wysiadł, gdy usłyszał za sobą ciche kroki. Staruszek, który wcześniej przysypiał w wagonie, szedł w jego kierunku.

– Czy mógłbyś mi wynieść bagaż, chłopcze? Jestem za stary, by znosić ciężary po schodach.

Bastian wzruszył ramionami.

– Zostaw swoją torbę, popilnuję jej – doradził staruszek. – Przynieś moją.

Bastian zostawił torbę pod opieką staruszka i wrócił do wagonu. Walizka staruszka była niezwykle ciężka. Z trudem uniósł ją i przeniósł przez próg. Kiedy znalazł się na peronie, staruszka nie było. Zniknął. Torba Bastiana także.

– Halo, proszę pana – wrzasnął chłopak. – Mam pana walizkę!

Odpowiedziało mu echo i stukot butów policjanta, który przyspieszył kroku, zmierzając w kierunku Bastiana. Ten zaklął kilkakrotnie, z wściekłością rzucając ciężką walizkę starca na peron.

– Co się stało? – zapytał policjant. Stał dwa kroki przed młodzieńcem.

– Cholera, kurwa, fuck!

– Nie przeklinaj. Powiedz, co się stało.

– Ukradł mi torbę. Miałem w niej wszystko, dokumenty i strój sportowy.

Policjant omiół chłopca obojętnym wzrokiem.

– Co trenujesz?

– Gram w hokeja – powiedział Bastian. – Właśnie wybierałem się na mecz. To dla mnie bardzo ważne, bo tam poznałem moją dziewczynę, Inę.

– Rozumiem. A to? – policjant wskazał na walizkę.

– To zostawił ten staruszek, który mi ukradł torbę – Bastian w kilku zdaniach wyjaśnił, co dokładnie się stało, ale zrobił to tak chaotycznie, że chyba policjant nie zrozumiał.

– Zobaczmy – powiedział i kazał chłopakowi otworzyć walizkę.

Bastian oniemiał. W środku był strój hokeisty, ale nie jego. Szeroka koszulka w barwach jego klubu, kask, łyżwy o szerokich płozach i dziwaczny, składany kij z lekko wygiętą łopatką. W bocznej kieszeni tkwiły trzy krążki, nieco większe niż te prawdziwe, używane na lodowisku. Na każdym widniał wymalowany żółtą farbą wizerunek uśmiechniętego słoneczka.

– Zbijasz się ze mnie dzieciaku? Zebrało ci się na żarty?

– To nie moje.

– Dobra, dobra. Idź już, bo cię zamknę.

Bastian zamknął walizkę i ruszył w kierunku wyjścia z dworca. Ciągłe rozglądał się w poszukiwaniu starca i swojej torby. Na próżno. Ciemność zalegała na ulicach. Większość przydrożnych lamp była zepsuta i park, przez który musiał przejść do hali sportowej, nie wyglądał zachęcająco.

Wzdrygnął się.

Nigdy nie odczuwał strachu przed nocą i lasem. No, może kiedyś. Dawno temu. Ale od pewnego czasu był odważny. Teraz jego umysł był zatruty. Zatruty przez dziwne zdarzenia, Annę, „Księżę kłamców” i Asmodeusza.

– Boję się, do diabła, boję.

Poszukał bardziej przyjaznej ścieżki. Wszystkie były ciemne i puste. Nikt nie wchodził do parku ani z niego nie wychodził. Jakaś stara gazeta rzucona przez nikły powiew wiatru przeleciała z jednej strony ścieżki na drugą.

– Idę, trudno.

Wszedł do parku. Strach dodawał mu sił. Nie czując ciężaru walizki, podbiegał co chwila. Wmówił sobie, by nie rozglądać się na boki i nie oglądać za siebie, lecz nie było to takie łatwe. Gdy znalazł się w środku, usłyszał pierwsze kraknięcia, za chwilę drugie i trzecie. Wrony zlatywały się powoli, siadając na pobliskich drzewach. Przyspieszył kroku. Rozlegał się trzepot

skrzydeł. Wrony nadlatywały ze wszystkich stron. Bastian biegł już z całych sił i osłaniał głowę ramieniem, chroniąc ją przed nadlatującymi ptakami, aż zobaczył w końcu halę. Udało się, czuł, że tym razem wygrał bieg z demonami. Ptaki nie leciały za nim. Osiadły na drzewach i milcząco patrzyły, jak wchodzi do hali. Miał wrażenie, że chcą mu powiedzieć: i tak jesteś nasz.

Tłum ludzi rozstępował się przed nim, jakby był Waynem Gretzkym albo Jaromirem Jagrem. Zaraz, to tylko ja, Bastian – chciał im powiedzieć. Trener czekał na niego przy wejściu do szatni.

– No, nareszcie, już myślałem, że nie przyjdiesz. Szybko, przebieraj się!

Cała drużyna już na niego czekała. Poklepywali go po plecach i uśmiechali się zawadiacko. Nie znał żadnego z nich.

– Z kim gramy?

– Jak to z kim?

Załóżył strój i już po chwili znalazł się na lodowej tafli. Na wielkiej tablicy widniał wynik 0:0 i wyświetlano reklamy. Po bokach wisały dwie flagi: amerykańska i niemiecka. Bastian zadrżał, gdy usłyszał hymn i nawoływania spikera. Tłum wiwatował, gwizdał i machał chorągiewkami, a on spojrzał na miejsce na trybunach, gdzie rok temu siedziała Ina. Tylko wtedy grali mecz międzyuczelniany, a ona była jedną z piętnastki dziewczyn, które przyszły dopingować szkolną drużynę. Wokół nie było wiwatujących tłumów, a z głośników nie grano hymnów państwowych. Stojąc w rzędzie z niemiecką drużyną, Bastian odpłynął na chwilę myślami o rok wstecz. Spocony i zmęczony usiadł koło Iny. Właśnie skończyli mecz i wzięli prysznic. Mimo chłodu miał na sobie tylko koszulkę z krótkim rękawkiem. Ina patrzyła na jego umięśnione prawe ramię, a on je naprężał. Jednak to nie mięśnie ją fascynowały. Na bicepsie Bastiana wykwitł wielki, krwawy siniak.

– Jak to się stało?

Bastian poszukał wzrokiem chłopaka z przeciwnej drużyny i wskazał go.

– To ten. Z nim się zderzyłem.

– Mogę dotknąć?

– Lubisz siniaki?

– Lubię martwe tkanki. Fascynuje mnie śmierć. Tego dnia poszli całą grupą do baru i Bastian się upił, bo Ina piła bardzo dużo. Jednak ona nie była pijana. Odprowadziła go do domu, potem rozebrała i patrzyła na niego, gdy leżał nago. A kiedy zasnął, wyjęła z torebki aparat i zrobiła mu parę zdjęć.

Mecz się zaczął i Amerykanie od początku zaatakowali z animuszem, bombardując ich bramkę. Bastian nie bardzo wiedział, dlaczego tu jest i co robi, starał się unikać starć, jednak coś sprawiało, że grał całkiem niezłe. Mało tego, miał wrażenie, że jego ciało grało za niego, zupełnie nie przejmując się umysłem. Czuł się jak obserwator, a nie uczestnik i szybko zrozumiał, gdzie jest tego przyczyna. Strój. Strój hokeisty pozostawiony przez staruszka był niezwykle. Kiedy strzelał szóstą bramkę, zamknął oczy ze szczęścia, a kiedy je otworzył, leżał w mieszkaniu Iny. Był rozebrany, a ona robiła mu zdjęcia.

– Co się stało? – zapytał.

– Ciii. Jesteś zmęczony. Potrzebujesz snu. Nachyliła się nad nim i pstryknęła kolejną fotkę.

– Czemu mnie fotografujesz?

– To mój zawód – powiedziała. – Zapomniałeś? Wtedy zorientował się, że to nie jest Ina. Kobieta była do niej podobna, jednak dużo starsza. Miała jakieś trzydzieści lat. Właściwie mogłaby być starszą wersją Iny, gdyby nie usta. Usta Iny były znacznie węższe i bardziej męskie, zadziorne. Czarne oczy i włosy, podobna sylwetka i piersi nie mogły go oszukać. To nie była Ina.

– Kim jesteś? Jak ci na imię?

Roześmiała się, zrobiła zdjęcie, a potem spoważniała.

– Pytasz poważnie? Rzniesz mnie od roku i teraz pytasz, jak mi na imię?

Chwycił się za głowę i skulił. Płakał bezgłośnie i bez łez.

Nachyliła się nad nim, zrobiła zdjęcie i zorientowała się, że nie żartuje.

– Co ci jest? Coś nie tak? Przepraszam, nie zauważyłam? Wezwać kogoś? Zadzwoń po pogotowie?

Zadawała pytania, potem ruszyła do telefonu, jednak z

jakiegoś powodu nie wybrała numeru. Spojrzała w jego kierunku.

– Dzwonię – szepnęła, dając mu ostatnią szansę, by ją powstrzymał.

Podniósł do góry dłoń. Głowa przestała pulsować. Nie bolało.

– Już OK – powiedział.

Odłożyła telefon i czekała. Podniósł się, przeszedł wolno do łazienki i spojrział w lustro. Był tym samym Bastianem co kiedyś, tylko miał dziesięć lat więcej. Trzydzieści, może trzydzieści pięć. Zmężniał, mięśnie miał twardsze i bardziej wyraziste niż kiedyś. Pogładził bliznę na policzku i próbował przypomnieć sobie, skąd ją ma. Tę i kolejną na barku i dziwne zagłębienie na piersi. Jego męskie, twarde ciało było obce, był sobie całkiem obcy.

– Na pewno w porządku?

Przymknął oczy, rozważając, co może jej powiedzieć. Czy to tylko sen, czy też coś więcej? Czy powinien udawać, że nic się nie stało, czy jednak powiedzieć jej wszystko, co pamięta?

– Powiesz, jak ci na imię?

– Więc naprawdę nie pamiętasz? Carla. Mam na imię Carla.

– Przepraszam, Carla. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Może powinniśmy pójść do lekarza. Może to efekt tego, co się stało na lodowisku.

– A co się stało?

– Zderzyłeś się z jednym Amerykaninem. Wyglądało to tak, jakby tamten chciał cię wyeliminować z gry. Dostał karę. Schodził dumny z siebie. Uśmiechał się, jakby dobrze wykonał powierzone zadanie. Potem w komentarzach pomeczowych sprawozdawcy wielokrotnie to omawiali. Mówili, że tamten już nie pierwszy raz wyciął taki numer. Wcześniej to samo robił podczas meczów z Kanadyjczykami i Szwedami. Międzynarodowa federacja chciała go nawet zawiesić, ale zrezygnowała, bo publiczność telewizyjna ostro zaprotestowała. Hokej to nie jest gra dla małych dzieci. Tu leje się krew i wypadają zęby. Toczy się walka. Czasem na śmierć i życie. Więc go nie zawiesili i to on cię poturbował. Zjeżdżał z lodowiska, a ludzie klaskali. Nawet Niemcy. Podobało im się to wszystko. A

wtedy ty nagle wstałeś, otrzepałeś się jakby nigdy nic i strzeliłeś Amerykanom jeszcze dwie bramki. To największy sukces w historii niemieckiego hokeja. Doszliśmy do finału.

– Finału?

– Nieważne. Było, minęło, lecz skoro nic nie pamiętasz, to musi być coś nie tak, trzeba to skonsultować.

Usiadł i zastanawiał się nad tym przez dłuższy czas. Był pewien, że zaraz wszystko się odwróci i czas zrobi kolejną wolte, by rzucić go w ramiona Asmodeusza i walki o Inę. Czy zatem to, co powie, ma jakiegokolwiek znaczenie?

– Carlo, czy ty mnie kochasz? Dziewczyna spojrzała uważnie.

– Co to za pytanie?

– Proste. Kochasz mnie?

– Pewnie.

– Więc dlaczego musiałaś się zastanowić?

– To nie takie proste. Miłość nie jest prosta.

– Czy mówi ci coś imię Ina? Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, być może.

– A Anna?

– Anna? Znam wiele kobiet o tym imieniu.

– Wiesz, o co pytam. Czy znasz Annę ważną dla mnie, dla nas?

– Mówisz o Annie Blume? Skinął głową.

– Wiem, że coś cię z nią kiedyś łączyło. Często o niej śnisz i mówisz przez sen. Ale gdy pytam, to rano udajesz, że nie słyszysz pytań. Mam wrażenie, że czujesz się winien temu, co się z nią stało.

– A co się z nią stało?

– Poszukaj w internecie – warknęła. – Jak nie chcesz ze mną gadać, to ja z tobą też nie chcę.

– A gdybym ci powiedział, że wydaje mi się, że moje ciało przeskoczyło nagle w czasie i znalazło się tutaj, podczas gdy umysł pamięta tylko ostatni dzień sprzed dziesięciu, piętnastu lat, to co byś powiedziała?

Carla zamyśliła się, zanim odpowiedziała.

– Lubię cię, Bastianie. Ale nie potrafię odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania. Mało tego, nie potrafię odpowiedzieć

na najprostsze. Choć może... sama się oszukuję. Tak, chyba jednak się oszukuję. Możesz zadać jeszcze raz pierwsze pytanie?

– Czy mnie kochasz?

– No.

– No więc, kochasz?

– Nie, Bastianie. Nie kocham cię, bo cię właściwie nie znam. Pieprzymy się dwa razy w tygodniu i jest nam dobrze, ale nic poza tym. Chodzisz na moje wystawy i mówisz w gazetach, że robię najlepsze zdjęcia, jakie kiedykolwiek widziałeś, ale poza tym nic nas nie łączy. Kiedy idziemy do muzeum, ty ruszasz do Immendorfa, a ja zostaję przy Caillebocie albo Klimcie. W teatrze ty wolisz dramaty, a ja oczekuję rozrywki. Kino czasem też nas łączy, nie licząc łóżka, ale tylko czasem. Jednak najbardziej, oprócz tego, że lubisz sok pomarańczowy, którego ja nie znoszę, wkurza mnie ten twój przyjaciel Rosjanin, który odstrasza wszystkich moich przyjaciół i odstraszałby też twoich, gdybyś ich miał.

– Rosjanin?

– Tak, miliardier Roman... niech sobie przypomnę, Marynin.

Bastian odetchnął z ulgą, że Carla nie miała na myśli Siergieja.

– Rozumiem, że sponsoruje twój klub, ale to wcale nie oznacza, że powinienes się spoufalać z takim chamem i prostakiem. I jeszcze czerpać z tego przyjemność. Prawda jest więc taka, że mogłabym cię kochać, ale nie kocham. Nie pasujemy do siebie.

Wstała i wyszła.

Rozdział 31

Bastian siedział, wpatrując się tępym wzrokiem w drzwi. Dzwonek na zewnątrz sprawił, że się wzdrygnął. Staruszek z wąsem czekał na niego z uśmiechem. Trzymał na ramieniu sportową torbę sprzed lat.

– To tylko jedna z możliwych dróg – powiedział staruszek. – Jeśli tylko pokonasz Asmodeusza, co można praktycznie wykluczyć, choć, jak mawiał jeden trener, dopóki piłka w grze, należy zachować nadzieję. W końcu nie na darmo się mówi: wszyscy grają w piłkę, a i tak zawsze wygrywają Niemcy. Lubisz piłkę nożną?

– Kim jesteś?

– Mam wiele imion, tak jak Asmodeusz – powiedział staruszek. Rozsiadł się wygodnie na kanapie, a Bastian zauważył, że jest to ta stara kanapa sprzed lat i że znajduje się w swoim maleńkim mieszkaniu. Wszystko tam rozpoznawał. Poczul ulgę, że znów jest tym starym, młodszym o piętnaście lat Bastianem. Cieszył się, że nie jest znanym hokeistą i nie zna żadnej zimnej Carli, która może go opuścić ot tak, z powodu Klimta czy soku pomarańczowego. Cieszył się, że życie ma wciąż przed nim więcej zagadek niż odpowiedzi. – Uśmiechasz się? Ja bym nie cieszył się przedwcześnie.

– Chcesz mi pomóc?

– Ja? Skąd. Jestem tylko obserwatorem.

– Nie mogę pokonać demona.

– A Herakles? Albo Achilles? Odyseusz? Batman i Robin? Dlaczego oni mogli pokonywać potwory, a ty nie możesz?

– Jestem człowiekiem.

– Jak oni. Lecz masz wybór. Nie musisz walczyć. Pokazałem ci, co się stanie, jeśli po prostu uciekniesz. Możesz wrócić do drużyny i zostać gwiazdą. Możesz udzielać wywiadów, zostać sportowcem roku, bzykać Latynoski.

– Co takiego?

– Eee, tak mi się powiedziało, bo znałem kiedyś kogoś, kto miał tylko ten jeden cel w życiu. Wybzykać jak najwięcej Latynosek. Cóż, los się obszedł z nim dość okrutnie, jednak dziś jest mu za to bardzo wdzięczny. Czasem nawet myśli sobie, jak wielu innych, że oto przeznaczenie poddało go próbie, by mógł niedługo później doznać spełnienia w ramionach tej jedynej. Zanim to się stało, muszę ci powiedzieć, człowiek ów przeżył największe upokorzenie, jakie tylko może przeżyć mężczyzna jego pokroju. Był Włochem, a jak wiadomo "Włosi to ludzie honoru i makaronu. Kochają kobiety, owoce morza, miłość i wolność. Mają wielkie serca i twarde kutasy. Na wojnę się nie nadają, choć przecież to ich pradziadowie tworzyli rzymskie imperia. Za to wszędzie tam, gdzie dociera słońce, poszukują uniesień i wrażeń, na których można zawiesić wykałaczkę z wisienką. Doprawdy, jest to naród wielki i przez bogów ukochany niemal tak jak Grecy i Polacy. Polacy? -powiesz pewnie. Dlaczego nie wymieniłem Niemców albo Rosjan? Co zrobili Polacy, by czynić ich wybrańcami bogów, a ja ci odpowiem: dopiero zrobią, wierz mi, zrobią. Niemcy i Rosjanie mieli już swoje szanse i co uczynili? Zasiali tylko aż nadto barbarzyństwa i porozrzucali ciernie, wywołujące łzy. Inni imperialiści? Anglicy, Francuzi, Hiszpanie? Zobacz jak ich blask mija, jak stają się cieniami własnych imperialnych ambicji. Za milion lat nikt o nich nie będzie pamiętał. Historia ukryje ich w mrocznych kartach gdzieś pomiędzy tomem tysiąc pierwszym a tysiąc dziewiątym. A Polacy? Czekają na swoją szansę i w międzyczasie sami się wykańczają, dzięki czemu są w stanie uodpornić się na wszystkie współczesne bolączki. Mówię Ci, przyjacielu, to do Polaków należy przyszłość, żałuj więc, że urodziłeś się Niemcem.

Pal licha to wszystko. Wracając do naszego Lenny'ego, bo o nim mówiłem, to jego przygoda ze mną zaczęła się od pewnego niewinnego kłamstwa, poczynionego rankiem w redakcji „The Global News”. Lenny opowiedział swoim redakcyjnym kolegom pewną szczęśliwie zakończoną przygodę z rosyjskimi gangsterami, z której cudem udało mu się wypłatać. Prawdę

mówiąc jednak, drań kłamał jak najęty, na dodatek napędzając się w tym kłamstwie i podbudowując kolejnymi kłamstwami.

Skracając cały problem, rosyjscy gangsterzy kazali mu wyprowadzić z klubu dance „Katusza” pewną piękność, on zaś opowiedział, że się wyłgał i uciekł. Prawda była inna: gdy Rosjanie wskazali mu ofiarę, podszedł do niej i zrobił, co mu kazano.

Był uwodzicielski i szybko zapomniał o przymusie. Być może u Włochów w takich chwilach odzywa się ten samczy dar, który każe im obsikiwać drzewa bez względu na to, czy wokół wybuchają bomby atomowe i grasują krwiożercze nietoperze. Tak więc podszedł do tej biednej dziewczyny i używając swego nieprzyzwoitego daru uwodzicielstwa, omotał ją sobie wokół palca. Och, wierz mi, potrafił zawrócić w głowie dziewczynie. Miał ten dar po ojcu, który zanim stał się obleśnym, wiecznie śliniącym się grubasem, był prawdziwym *babaso donnaiolo*, żigolakiem i playboyem, któremu talentu do podbojów mógłby pozazdrościć sam Casanova.

Mimo że pachniał strachem i czuł na plecach wzrok rosyjskich oprawców, samcza natura wzmocniła jego serce i słowa, natchnęła umysł romantyzmem, rozwiązała język, który komplementami i poetyckim wdziękiem uwiódł wskazaną piękność.

Mało tego, Lenny pomyślał nawet, że dziewczyna jest istotnie piękna i miła, i że w innych okolicznościach mógłby się w niej zakochać. Miała na imię Wiera i była Ukrainką. W nikłym świetle oszukańczych stroboskopów widział tylko jej wspaniałą sylwetkę, skąpo odziane kształtne biodra i piersi, których wielkość i skłonność do namiętności podkreślała szczupła talia. Gdy zobaczył ją w lepszym świetle przy barze, zamarł z wrażenia. Była najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widział. Tak cudną, że aż nierealną. Blondynką o rumianych policzkach i obliczu przypominającym lalkę dla dzieci.

Jej rodzice hodowali owce i uprawiali pola z marchewkami. Prowadzili też niewielki sklepik z warzywami, w którym w wakacje Wiera pomagała w obsłudze. Marzyli jednak o lepszym świecie dla niej, kiedy więc nadarzyła się okazja wyjazdu do

Stanów, skorzystali z niej bez wahania. W USA Wiera czyściła toalety, pracowała w pralni i zmywała naczynia w pubie. Czasem, jak tego dnia, pozwalała sobie na krótką wizytę w rosyjskiej dyskotecie w poszukiwaniu księcia z bajki. I w końcu go znalazła w postaci włoskiego królewicza.

Gdy opowiadała o sobie, Lenny'emu przemknęło przez myśl, że może ten dzień właśnie tak miał się potoczyć, że los wpędził go w te wszystkie rosyjskie kłopoty, by się spotkali. By mógł zakochać się w ukraińskiej piękności i uratować ją z opresji, w którą sam dziewczynę wpędził. Tak też postanowił. Cokolwiek się stanie, on okaże się mężczyzną i nie pozwoli skrzywdzić nowej ukochanej.

Korzystając z chwili nieuwagi Wiery, zamknął oczy i wypowiedział zakłęcie z książki dla młodzieży, którą niedawno przeczytał. Gdy otworzył oczy, zobaczył, że Wiera patrzy na niego z jeszcze większym podziwem, wręcz uwielbieniem.

„Też uwielbiam tę książkę. Na niej uczyłam się angielskiego” – powiedziała.

Lenny uśmiechnął się niepewnie i rozejrzał wokół. Rosyjskich oprawców nigdzie nie było. Nie chciało mu się wierzyć, ale rzeczywiście zniknęli. Może więc zakłęcie zadziałało, a może nigdy ich nie było.

Wypili przy barze dwa drinki, po czym wrócili na parkiet i tańczyli godzinami, a noc wydawała się rozciągać w czasie, jakby jakiś demon chciał nacieszyć się widokiem tej pięknej miłości o tragicznym finale.

W końcu, wciąż rozglądając się niepewnie i nie widząc Rosjan, Lenny zaproponował wyjście na spacer i zmianę lokalu. Szepnął jej do ucha parę cudownych kłamstw o włoskiej dzielnicy, a ona skinęła głową i powiedziała coś w rodzaju:

„Zawsze marzyłam, by zobaczyć włoską dzielnicę”.

Wiera miała ochotę pocałować przystojnego Włocha namiętnie przed wyjściem. Nie zrobiła tego jednak, myśląc, że pocałunek może poczekać. Ze pewnie już wkrótce, w ciemnym zaułku on rzuci się na nią ze zwierzęcym wigorem, a ona udowodni mu, że nie ma bardziej namiętnych kochanek niż ukraińskie piękności wychowane na kozim mleku i

marchewkach.

Wyszli na zewnątrz i skręcili w najbliższą uliczkę. Lenny rozglądał się wciąż niepewnie, a z każdym krokiem serce biło coraz wolniej, pozbywając się strachu i coraz mocniej z miłości. Tak, serce Włocha biło w dwóch rytmach. Gdy tylko znaleźli się w ustronnym miejscu, Lenny był już pewien, że nic złego stać się nie może. Mylił się.

Czwórka rosyjskich bydlaków wychynęła z ciemności. Za jakiś czas mieli źle skończyć, wszystkie cierpienia ich ofiar miały wrócić ze zdwojoną siłą zemsty, ale tamtego dnia o tym jeszcze nie wiedzieli i niczego nie przeczuwali. Powiedzieli Lenny'emu, żeby spadał, a on – mimo że obiecywał sobie męskość i walkę – nagle poczuł, jak ciało mrozi mu strach.

Wiera spojrzała na biedaka z wyrzutem i przerażeniem. Gdy zrozumiała, że wywabił ją dla tych obleśnych bydlaków, jej oczy zaszkliły się z wściekłości, a potem wytoczyły największe łzy, jakie Włoch w życiu widział. Żadna z jego byłych kochanek nie płakała takimi perłowymi łzami.

Lenny zdobył się na ostatni wysiłek i zasłonił dziewczynę własną pierś. „Zostawcie ją!”

Rosjanie roześmieli się rubasznie. Najniższy z nich, ów łysy i zadziorny zapaśnik, który wówczas miał jeszcze swoje długie ręce i poruszał się szybciej niż postaci z kreskówek, zajrzał mu głęboko w oczy, pokazując wnętrze własnej duszy. A była to najbardziej mroczna przepaść, jaką Lenny widział. W odbiciu piekielnych czeluści, w ogniu cierpień i krzyków kąpała się gromada pozbawionych zębów i oczu ofiar.

„Spadaj Włochu do swoich Latynosek, bo inaczej obetnę ci to i owo i zabawimy się i z nią, i z tobą. Już!”

Na nic był honor, obietnice i męskość.

Lenny zwiesił głowę i ruszył w swoją stronę.

Wiera płakała i krzyczała, a Lenny szedł w kierunku wolności i spokoju. Poszedł na przystanek autobusu nocnego, słysząc cały czas nawoływania i krzyki ukraińskiej piękności. Myślał o rzymskich legionach i Interze Mediolan. Starał się nie myśleć o niczym innym niż o piłce nożnej i historii.

Jednak krzyk Wiery powracał. Mimo że chłopak zaciskał

zęby tak mocno, jak tylko mógł i przykrywał uszy dłońmi, krzyk dzwonił gdzieś w środku, jakby rozlegał się nie na zewnątrz, tylko w głowie.

W końcu Włoch nie wytrzymał i ruszył biegiem na ratunek dziewczynie, ale w zacienionym miejscu za dyskoteką nikogo już nie było.

Uspokoił się i wmawiając sobie, że jednak jest mężczyzną, ruszył z powrotem. Powtarzał w myślach: nie jestem tchórzem, przecież próbowałem! Nie zdążyłem, ale wróciłem. Cóż bym poradził, gdybym od razu się postawił? Co mogłem zrobić przeciwko maczetom i kijom? Zadziwiająco, jak szybko zapomniał, że dopiero co się zakochał, stracił miłość, stracił honor i sam sobie wbił w serce lodowy kołek.

W autobusie przymknął oczy i ciągle czuł zapach ciasta do pizzy. Niespokojny sen dopadł go tuż przed docelowym przystankiem i w owym śnie ojciec Lenny'ego, śmierzący pizzą grubas, podszedł do niego i powiedział, że rodzina Marciano nigdy jeszcze nie dała dupy.

Może jesteście tylko prostymi restauratorami, choć przecież mogliśmy być wielkimi mafiosami – mówił mu we śnie – to powiem ci coś ważnego, synu: flagę mamy wciąż wysoko zawieszoną na drzewcu. Honor ponad wszystko – tak pozostanie na zawsze.

Lenny przebudził się spocony i w drgawkach. Pomyślał nawet, że wolalby zginąć, niż przeżyć to, co przeżył. Zaraz potem pomyślał, że łatwiej oszukać śmierć kłamstwem.

I tak zaczął kłamać, aż z człowieka stał się fikcją. Wciąż nią pozostaje, choć ma szansę na powrót do życia. Jeśli zapytasz mnie jednak, czy z niej skorzysta, odpowiem: nie wiem, bo nikt nie zna odpowiedzi.

Staruszek westchnął ciężko i podjął:

– Tak, mój drogi Bastianie, można w życiu znajdować cele małe i duże. Można żyć zupełnie bez celu. Można być niewolnikiem, geniuszem i kretynem. Można też walczyć z demonami.

Rozdział 32

Bastian otworzył usta, jakby chciał znów zaprzeczyć.

– Co się stało z Wierą?

– Nie wiem. Pewnie coś straszego, ale powiem ci, że na pewno nie tak bardzo jak to, co spotkało jej oprawców. Los to dziwna istota. Myśli, że wszystko przewidział, a tu nagle dzieje się coś niespodziewanego. Powiem ci chłopcze, że ci rosyjscy gangsterzy byliby szczęśliwi, gdyby Lenny tej nocy rozwalił im łby. O tak, byliby szczęśliwi jak cholera.

Starzec zamilkł i Bastian przez chwilę pomyślał, że nie zamierza dokończyć mu opowieści i nigdy się nie dowie, dlaczego dla Rosjan byłoby lepiej, gdyby zajął się nimi Lenny.

– Nie dokończysz? – zapytał niecierpliwie. Jego gość majstrował coś przy swojej torbie.

– Zastanawiam się, bo chyba lepiej, żebyś nie słyszał dalszego ciągu. Z drugiej jednak strony, lepiej umierać świadomie niż nie wiedząc, prawda? Raczej powitać śmierć w pełnej krasie, popatrzeć jej w oczy i docenić piękno, a nie zostać nagle sprzątnięty z szachownicy pstryknięciem wszechmocnego. Szast-prast i po strachu.

Chyba tak nie byłoby dobrze?

Bastian nerwowo skinął głową.

– Tak więc opowiem ci, opowiem ci wszystko. A tę opowieść powinienem zacząć od chwili, gdy w dyskotecę „Katusza”, tej samej, której nazwy tak bardzo nie chce pamiętać Lenny i której ściany pamiętają jeszcze piękno niezwykłej Wiery, otóż w tejże samej dyskotecy doszło do spotkania dwóch ludzi. Jeden przypominał Marlona Brando z roli w „Ostatnim tangu w Paryżu” i – tak, tak – jak się zapewne już domyślasz, był naszym dobrym znajomym Siergiejem-demonem. Drugi był niepodobny zupełnie do nikogo. Wyglądał jak partyjny aparatczyk lub poeta nieudacznik. Chudy, wisielczy, brzydki, z

prostymi włosami zwykle przylizanymi, a tego dnia opadającymi na czoło. W rzeczywistości był poetą, ale ukrywał to. Tworzył poezję nocami lub wówczas, gdy nie pracował i kiedy nikt go nie widział. Miał na imię Borys.

Siergiej, mój ukochany Siergiej, opowiedział mu historię innego Borysa biznesmena, którego nie zdążyłem poznać. W zamian za tę opowieść Borys miał wyznać mu swoją historię. I – choć niechętnie – w końcu ją opowiedział:

„Pochodzę z Ukrainy, z miasta, które – gdy byłem dzieckiem – nazywało się Płoskirów, a potem na cześć hetmana buntownika zostało przemianowane na Chmielnicki. Ja wolałem tę starą nazwę, bo wcale mi się nie podobobała nowa i tak też mówię. Jestem Borys z Płoskirowa, z miasta na Ukrainie, które nie jest znane z niczego. Tak jak i ja nie jestem znany z niczego, poza tym, że onegdaj hodowałem najwspanialsze owce w okolicy i największe na świecie marchewki. Moje marchewki miały barwę soczystych pomarańczy zmieszanych z Campari lanego na kostki lodu i pachniały wiosną. Świeżą, zroszoną o poranku wiosną. Miały najwięcej witamin i najlepszy smak. Jednak to inne właściwości sprawiały, że wieść o nich szybko się rozniosła, dzięki czemu przyjeżdżano do mnie z samej Moskwy. Właśnie po marchewki. Jakież to właściwości, zapytasz pewnie mój drogi Sieriożka, a ja ci odpowiem, ale szeptem. Otóż moje marchewki miały niezwykłą właściwość uwalniania seksualnych mocy. W mężczyznach budziły demony, w kobietach rozpałył namiętność do białości. Były niedoścignionym afrodyzjakiem i lekiem na całe zło. Wielu próbowało je podrobić. Nie potrafili, gdyż tajemnica nie tkwiła ani w nasionach, ani w ziemi, ani w innych czynnikach zwykle wpływających na jakość produktów, tylko w wodzie z jeziora. Nasze gospodarstwo było bowiem położone tuż przy ujściu podziemnego jeziora, którego wodę wykorzystywano do chłodzenia reaktorów w pobliskiej elektrowni atomowej, a potem z powrotem wpuszczano do zbiornika. Marchewki, jak wiadomo, mają moc oczyszczającą. Czerpały więc wodę z jeziora, oczyszczały ją, czerpiąc jednocześnie siłę ze wszystkich

śmiertelnych pierwiastków. W ten sposób stawały się niezwykle, jedyne w swoim rodzaju.

Ech, zanudzam cię Sierioża, za co przepraszam. Gdybym dziś hodował te przekłete marchewki, pewnie mógłbym być milionerem. Ale w tamtych czasach, gdy kapitalizm jeszcze nie kopnął w dupę komunistów, być kułakiem w Rosji to nie było nic dobrego.

Tak więc – ulegając w końcu naciskom czerwonych notabli – sprzedałem pole szefowi lokalnego komitetu partyjnego, który nosił strasznie duże okulary przeciwsłoneczne w sepii i dzięki partyjnym szlifom potrafił godzinami stać bez ruchu z dumnie uniesionym czołem i wystawionym w pozdrowieniu ramieniem. Pozbawiony źródła utrzymania, wyruszyłem z rodziną do Nowego Jorku. Ja, moja śliczna żona Magda i jeszcze piękniejsza córka, Wiera.

Pracowaliśmy ciężko na budowach, w restauracjach, a nawet toaletach, odkładając każdy zarobiony grosz, żyjąc na minimalnym poziomie i gnieźdząc się w piwnicznej komórce starej kamienicy, aż w końcu dorobiłem się własnego małego sklepiku niedaleko słynnej rosyjskiej herbaciarni i jeszcze słynniejszego „wódzanego pokoju” przy ulicy ósmej, w dzielnicy teatrów.

Zabawne, ja – zwykły sprzedawca marchewek i leniwych owiec – miałem swój kąt pomiędzy scenami Gershwinia i Neila Simona, w piętnaście minut mogłem dotrzeć do nabrzeża rzeki Hudson, Central Parku i wyspy Roosevelta.

Inwestycja szybko się opłaciła, bo znałem się na handlu.

Byłem kimś, cholernym kimś. W okolicy szanowano mnie, kłaniano się w pas i pozdrawiano. Ambasada rosyjska robiła u mnie zakupy na weekend, a za nią kilka rosyjskich restauracji i większych sklepów. Nawet wybredni Polacy z okolic Greenpoint co sobota u mnie kupowali warzywa na rosół.

Byłem szczęśliwy. Codziennie rano myłem zęby myśląc o tym, jak wielkie szczęście mnie spotkało. Jak bardzo los i dobry Pan Bóg okazali się łaskawi dla małego, drobnego sprzedawcy marchewek z Ukrainy.

Aż pewnego dnia moja córka Wiera zniknęła.

Poszła na dyskotekę do „Katuszy” i nie wróciła. Szukałem jej ze wszystkich sił, zaangażowałem media i prywatnego detektywa, wszystko jednak na nic. Pomyślałem, że całe moje wcześniejsze szczęście ma się nijak do obecnego cierpienia, bo Wiera była warta stokroć więcej niż wszystkie marchewki świata i moje nowojorskie sklepowe szczęście.

Dobry Bóg i los okrutnie ze mnie zakpili.

Policja wzywała mnie piętnaście razy do różnych zwłok, bym potwierdził tożsamość córki, ale za każdym razem to była pomyłka. Wiery nigdy nie udało się odnaleźć. I choć nie rezygnowałem, rozlepiełem plakaty, zamieszczałem błagalne ogłoszenia w gazetach, ustanawiałem nagrody, w głębi duszy wiedziałem, że Wiery już nie ma, że nie żyje. Tego samego zdania był wynajęty detektyw, który w końcu zrezygnował z poszukiwań.

„Wybacz, Borka, mój przyjacielu, ale nie mogę dłużej cię okłamywać i zwodzić, żyjąc za twoje pieniądze, poszukując Wierki bez wiary, że ją znajdę. To nie ma sensu” – rzekł.

Gdy go przycisnąłem, powiedział mi o pewnym gangu porwaczy, gwałcicieli i zabójców, którzy grasują w okolicach „Katuszy” i mają na swoim koncie już wiele tego typu zbrodni”.

Borys zakończył zasadniczą część historii, pogmerał w kieszeni i z zakłopotaną miną rzucił na bar zdjęcie. Przedstawiało czterech osiłków w lśniących, kiczowatych dresach. Obejmowali się prawymi ramionami, a w lewych dłoniach trzymali broń – noże, tasaki, kije i tulipany z butelek. Wyglądali wyjątkowo tandetnie i potwornie.

„To zdjęcie można znaleźć w internecie. Wystarczy wpisać: ruska mafia”.

„To oni? – zapytał Siergiej. – Czy to oni zamordowali ci córkę?”

Borys tylko wzruszył ramionami.

„Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć” – rzekł.

Pożegnał się. Wychodząc rzucił na odchodne:

„Właśnie wyszli z „Katuszy”, więc dziś się dowiem”.

Skinął głową i zniknął.

Siergiej popatrzył za nim, a potem na pozostawione na blacie zdjęcie. Barman zapytał, czy podać mu kolejną butelkę. Zaprzeczył, po czym wskazał na zdjęcie.

„Znasz ich?”

„ Jak każdy – odparł barman. – Są tu co drugi dzień i co drugi dzień dzieje się coś złego. Tacy jak oni muszą tu być, bo kto by dostarczał świeżą krew do piekła. Ale powiem panu, że oni też trafią kiedyś na swego pogromcę. Każdy trafia”.

Święte słowa – mruknął Asmodeusz w myślach, spojrzawszy pożegnalnie na salę wciąż pełną płasujących w stroboskopowych promieniach ciał, zaczerpnął po raz ostatni ulubionego zapachu zepsucia, zamówił butelkę Jacka Danielsa na wynos i wyszedł na dwór.

Wiał mroźny wiatr od Staten Island, przynosząc cień dogasających zapachów z włoskich kominków i irlandzkich pieców na węgiel. Od morza czuł zapach ryb i polarnego prądu, który zahaczył o skrawek wschodniego wybrzeża w drodze z Arktyki. Siergiej poprawił długi płaszcz, podnosząc kołnierz i zasłaniając usta szalem. Skręcił w najbliższą uliczkę, przeszedł około pięćdziesięciu metrów, trafiając akurat na scenę finałową. Czterech ubranych w dresy oprawców pastwiło się nad ofiarą.

Jeden wyróżniał się z grupy, wyglądał na zapaśnika, był niższy od pozostałych, za to znacznie szerszy. Wyglądał jak dziwacznie wyciosany klocek, nieforemny i zepsuty przez projektanta. Miał za długie ramiona, przypominające kończyny szympansa, za krótką szyję i nogi.

Pozostali byli nalani, wielcy, napakowani sterydami i wódką. Wydawali się narysowani uproszczoną komiksową kreską. Mimo to budzili grozę.

Borys leżał już na ziemi, poobijany kopniakami i razami kastetów. Czekał na śmierć.

Asmodeusz podszedł do ściany najbliższego budynku, oparł się o nią plecami, wysupłał z kieszonki cygaro, włożył do ust, a następnie zza pazuchy wyciągnął litrową butelkę whiskey. Odkręcił korek, wyrwał zębami dozownik i wypluł go na ziemię. Pociągnął soczyście wprost z butelki, przepłukał usta,

westchnął z zadowoleniem, po czym włożył koniec cygara do szyjki i zanurzył w żółtobrazowym alkoholu. Gdy cygaro znalazło się w jego ustach, ponownie westchnął z rozkoszy, następnie wyciągnął Zippo i jednym ruchem kciuka otworzył pokrywę zapalniczki jednocześnie trącąc krzesiwo, które obróciło się pocierając o kamień i wywołując iskrę.

Rozdział 33

Zippo zapłonęło, roztaczając wokół zapach benzyny i rozświetlając mrok szerokim, migoczącym płomieniem. Wdarł się w mrok, jakby wyrywając w nim dziurę niczym pocisk wystrzelony w sutannę księdza. Ciemność rozstąpiła się gwałtownie, ustępując miejsca światłu.

Czas stanął na sekundę.

Zapaśnik zawisł nad Borysem z uniesionym do ostatecznego ciosu nożem. Zwabieni skrzeczącym krzykiem krzesiwa oprawcy spojrzeli w kierunku najbliższej ściany, na której tle wisiał w powietrzu płomień. Płomień był jak płomień: jasny, żółtoczerwony, dymiący na czarno. Migotał i skwierczał. Nie byłoby w nim nic niezwykłego, gdyby nie płynął w przestrzeni bez żadnego źródła, punktu podparcia.

Gangsterzy rozdziawili gęby w osłupieniu. Rosyjski, prosty człowiek jest jak drapieżna mrówka-rewolucjonistka. Potrzebuje prostoty i wodza, który będzie go trzymał za mordę. Natchnie ideą, zapewni wódkę i gorącą kobietę po kolacji, ale przede wszystkim wskaże drogę i nie pozwoli za dużo myśleć. Z nudów wybuchła niejedna rewolucja. Wystarczy więc na chwilę pozbawić go wodza, idei, a ze strachu zaczyna kasać i gryźć, jak ta mrówka, która wykonuje wszystkie rozkazy, idzie w szeregu miliona innych, taszcząc na grzbiecie ciężary, ale jeśli tylko pomyli drogę, straci orientację, to zacznie wariować i wręcz prosić o śmierć.

Świat jest równie skomplikowany dla prostego człowieka i mrówki. Oboje też nie rozumieją, boją się geniuszu Boga i niepojętej mocy magii. Oboje będą walczyć do upadłego, stojąc twarzą w twarz ze znanym wrogiem. Gdy jednak mają walczyć z czymś niepojętym i mistycznym, wówczas idą jak na skazanie, licząc tylko słabo, że wódz w swej mocy ich ochroni.

Tak też patrzyli teraz trzech wielcy Rosjanie na płonąca w

mroku przestrzeń i to, co się z niej wyłoniło.

Albowiem, gdy już się napatrzyli na płynący ogień, płomień nagle rozbłysnął mocniej ukazując dziwaczne rozżarzenie, które po chwili stało się rozpalonym i dymiącym cygarem. Potem zobaczyli dłoń trzymającą cygaro, następnie ramię ozdobione dziwacznym ciężkim płaszczem. Płaszcz ukazał im swe wielkie kołnierze, które otulały szarą twarz blondyna w wieku powyżej średnim, przystojną, lecz zaniedbaną i nieogoloną, podobną do Marlona Brando z roli w „Ostatnim tangu w Paryżu”; i tak stał oto przed nimi zadziwiająco niepokojący człowiek wcale nieprzypominający człowieka, przynajmniej takiego zwykłego. I choć nie wyglądał jakoś specjalnie groźnie, nie robił wrażenia herosa czy superbohatera, to jednak sam sposób jego pojawienia się sprawił, że chłopakom całkiem odjęło mowę. Z wyjątkiem szefa, niskiego zapaśnika o oczach jak plastikowe klejnoty.

„Błać, ki czort?” – syknął, porzucił Borysa i stanął wyprostowany, odważnie patrząc w oczy przybysza, starając się zrobić z oczami numer z ukazaniem zepsutego wnętrza.

Asmodeusz roześmiał się na ten zabieg i zwalczył pokusę ukazania mu prawdziwego piekła. Śmiech ten jakby poruszył wskazówkę zatrzymanego zegara i czas ponownie zaczął płynąć. Wyrwani z otumaniającej wizji gangsterzy zadrżeli, lecz strach szybko ustępował żądzy krwi.

Zapaśnik warknął groźnie, zdzielił w pysk najbliższego wielkoluda, klepnął drugiego, kopnął trzeciego, starając się poruszyć, natchnąć ich do walki. Syknął:

„Loszka, Wania, Pietia, bierzmy go! Na trzy, wszyscy razem!”

Wytrenowali to, bo poruszali się jak zaprogramowane maszyny. Trzej wielcy ruszyli, szybko okrążając i jednocześnie rzucając się na intruza. Mieli prosty zamiar zwalić go z nóg, przygnieść do ziemi i tam dopiero pokaleczyć. Zapaśnik przezornie trzymał się na dystans i czekał na właściwy moment, prężąc się do skoku jak czarna pantera.

Asmodeusz uskoczył w bok w ostatniej chwili, przez co trzej napastnicy zderzyli się ze sobą i ścianą. Nie opadli jednak z sił i nie stracili animuszu. Wręcz wydawało się, że przewidzieli taką

sytuację i w odpowiedzi zmienili taktykę. Mechanicznie przeorganizowali szyk, stanęli w linii i ruszyli niczym tyraliera. Stara, dobra, radziecka szkoła. Jeśli nie możesz pokonać wroga bronią i sprytem, zawsze możesz zasypać go trupami własnych żołnierzy. Asmodeusz tym razem nie miał gdzie uskoczyć. Wybrał jednego z napastników, wyczekał aż ten go pochwyci i w chwili gdy mięśniak zamierzał zadać cios, przystawił mu do głowy cygaro trzymane teraz jak długi gwóźdź montażowy, uchwycił butlę Jacka Danielsa za szyjkę niczym młotek i zakończył sprawę jednym szybkim uderzeniem. Cygaro wbiło się rozżarzoną końcówką w oko mężczyzny.

Pozostali poczuli swąd palonego ciała i nagle nie byli już tak odważni. Nawet Rosjan można wystraszyć. Trzeba tylko odpowiednio dobrać metody, a te z palonym ciałem są najlepsze.

Drugi mięśniak odwrócił się i zamierzał uciekać, ale Asmodeusz jednym skokiem dopadł doń i wgryzł się w kark jak tygrys. Wrzask, jaki wydała z siebie ofiara, był tak przerażający, że nawet Borysowi, który na sekundę ocknął się z pełnego bólu omdlenia, zrobiło się szkoda gangstera.

Asmodeusz porzucił ciało i stanął naprzeciw trzeciego Rosjanina. Gangster stał z otwartymi ustami i nie ruszał się, jakby przed chwilą zobaczył coś, co nie miało prawa się zdarzyć. Ha, bo i zobaczył – pomyślał

Asmodeusz i pomachał mu dłonią przed oczami. Nic, nawet nie mrugnął. Za to się zsikał.

„A może myślisz, że jesteś we śnie, chłopcze? Czegóż to się najbardziej bałeś, gdy byłeś małym brzdącem? Powiedz tatusiowi... Co zraszało twoje skronie potem strachu, a kołdrę nocnymi siuśkami? Popatrzmy...” – szeptał demon.

Wysokość? Gangstera w dzieciństwie ciągle budził jeden sen. Stał na dachu swojego bloku w rodzinnym Riazaniu i patrzył w przepaść. Ziemia wydawała się strasznie daleko, ale pociągała go. Pociągała tak, że nie mógł się oprzeć. Robił krok i spadał głośno krzycząc.

Asmodeusz pochwycił mężczyznę mocnym uściskiem i ruszyli w ostatnią (dla Rosjanina) podróż. Lecieli pionowo w

górze jak rakieta i z podobną prędkością. Mijane chmury i kształty mieniły się w oczach biednego Pietki, który zaczął rozumieć, dlaczego to ten sen o lęku wysokości był dla niego najstraszniejszy. Przebili stratosferę wkraczając w wieczną ciemność. Pietka drżał ze strachu i zimna, czując jak pokrywa się warstwą lodu.

„Podmarzłeś, chłopcze – syknął Asmodeusz odrywając mu kawałek zlodowaciałego ucha. – Mógłbym cię teraz pokruszyć na części i zostawić tu, w kosmosie. Nie bój się, nie zrobię tego. Za dużo bym stracił, nie widząc miny twojego przyjaciela w chwili, gdy spadniesz”.

Zapaśnik w tym czasie był już kompletnie przerażony. Jeszcze podczas wojny w Czeczenii wmawiał sobie, że odczulił się i nic nie może go przestraszyć i wzruszyć. Nic nie wywoła łez ani dreszczy. Wiedział, że kiedyś może zginąć, był na to przygotowany. Czasem nawet przekonywał się: kiedy nadejdzie czas, spojrzysz śmierci prosto w oczy, zaśmiejesz się i zapytasz, czy ktoś jeszcze śmiał się jej tak prosto w twarz?

Teraz był przerażony. Wbicie cygara w oko Loszy za pomocą Jacka Danielsa było do przejścia. Tygrysi skok na Wańkę także. Ale porwanie Pietki w kosmos... Jak mam walczyć z czymś takim?

W chwili gdy o tym pomyślał, usłyszał świst, zaraz po nim do jego uszu dobiegł cień przeraźliwego wrzasku, ale zanim to się stało, w ziemię coś uderzyło. Coś lecącego szybciej niż dźwięk.

Zapaśnik potrzebował dłuższej chwili, by dokładnie zrozumieć, że było to ciało Pietki i że owo ciało było zamrożone, i że w chwili uderzenia o ziemię rozpadło się na drobinki lodu, mięsa i krwi. Cała ta paskudna masa wirowała teraz tuż przed oczami mężczyzny, opadając wolno jak kurz wszędzie dookoła, spadła na niego i na leżącego bez przytomności Borysa.

Asmodeusz wyładował chwilę później, zbliżył się do zapaśnika i powiedział:

„Mówiłeś coś o tym, że zamierzasz roześmiać się śmierci prosto w twarz? No to proszę bardzo”.

Staruszek zakończył opowieść. Bastian myślał przez chwilę,

że coś jeszcze doda, opowie mu, co stało się z Borysem i zapaśnikiem, ale najwyraźniej uznał, że to nieistotne. Sam zaczął się zastanawiać, czy chce to usłyszeć. Czy powinien chcieć wiedzieć więcej.

– Co zrobił z zapaśnikiem? – zapytał. Staruszek spojrzał zaskoczony.

– Na pewno chcesz wiedzieć? Czy to, co usłyszałeś nie dość cię zmroziło? Uprzedzam, że z ostatnim gangsterem Asmodeusz obszedł się wyjątkowo okrutnie. Chciałem ci tego oszczędzić...

– Powiedz! – uciął krótko Bastian.

– Jak chcesz... – westchnął staruszek, lecz chłopak miał wrażenie, że zrobił to tylko dla zachowania pozorów.

Rozdział 34

– No więc – podjął opowieść staruszek. – Nasz zapaśnik na imię miał Władimir, ale nie znosił tego imienia, dlatego od zawsze posługiwał się pseudonimem Knaga. Wychował się na starym blokowisku w Jekaterynburgu. Od dziecka musiał walczyć o pozycję i pożywienie, a że miał talent do bitki, stał się w krótkim czasie postrachem okolicy. Z kobietami mu jednak nie wychodziło, bo lubił tylko na siłę, a większość za tym nie przepada, przynajmniej nie w takiej formie i dawce, jaką preferował Knaga. Nawet więc jeśli któreś zaimponował, to fascynacja szybko ulatywała wraz z podbitymi oczami i poobijanym ciałem oblubienicy. Knaga nie bał się niczego. Pojechał na wojnę do Czeczenii, zabijał bez skrupułów na zlecenie rządu i wojska, ale w końcu przesadził mordując oficera, dalekiego krewnego prezydenta i musiał uciekać. Przedostał się do Polski, potem do Niemiec, w końcu na fałszywych papierach udało mu się dotrzeć do Stanów. Zamieszkał w małej kawalerce przy Brighton Beach i tam nagle poznał, co to strach. A stało się to tak: Obok niego mieszkała starsza kobieta, która czasem prosiła o pomoc w otwarciu drzwi. I pewnego dnia w rewanżu zaprosiła go na ciastko do siebie. Knaga poszedł, myśląc, że może coś ukradnie. Kobieta nie wyglądała co prawda na zbyt bogatą, kto wie jednak, co może trzymać w kredensie. Pozory wszak mylą. Tak więc poszedł za nią, ciekawie rozglądając się po mieszkaniu. Wyglądało zwyczajnie, jak pokój samotnej starszej kobiety. Ściany były białe, wisiały na nich obrazki religijne i tandetne arrasy, na parapecie okna stały pachnące kwiaty, a stolik z telewizorem przypominał ołtarz. W rogu pokoju znajdowała się rozkładana kanapa, a w drugim stały dwa fotele i ława. Kobieta wskazała mu fotel i powiedziała: „Mów do mnie Masza”.

Masza, powtórzył w myślach Knaga, ładne imię, zupełnie

jednak niepasujące do takiej starej, opasłej wiedźmy. Dobrze się jej przyjrzał. Wcześniej, gdy pomagał jej z zamkiem, starał się na nią nie patrzeć, żeby nie psuć sobie humoru. Wystarczył mu jeden rzut oka, by stwierdzić, że jest strasznie brzydka. Teraz pomyślał, że zrobienie krzywdy komuś takiemu byłoby doprawdy wyczynem. Może gwałt nie wchodził w rachubę, byłby już szczytem perwersji. Ale małe okaleczenie połączone z maltretowaniem, podduszeniem, przypalaniem i innymi torturami mogłyby się okazać dla kobiety zbawienne.

Tak, była wyjątkowo paskudna.

Poprosił o herbatę cytrynową i gdy ją szykowała, wstał i poszperał w szufladach komody, barku i szafki telewizyjnej. Nie znalazł żadnych kosztowności, biżuterii, żadnych wartościowych przedmiotów. Tfu, blać – westchnął i zamierzał już wrócić na fotel, gdy zatrzymał się przy regale z książkami.

Zajmował całą boczną ścianę. Książki gnieździły się w nim ciasno stłoczone od podłogi po sufit. Knaga przyglądał się im, wyrывkowo czytając tytuły. Coś go uderzyło, nie potrafił jednak z początku powiedzieć, co.

„Cytrynówka podana” – głos gospodyni wyrwał go z zamyślenia.

Mruknął coś w podziękowaniu, wrócił na fotel i napił się herbaty. Była gorąca i dobra.

Postanowił, że nie zrobi kobiecie krzywdy.

Była brzydka, wielka, niegroźna i robiła dobrą herbatę. Nie było po co robić jej krzywdy. No i te książki. Kiedyś Knaga przeczytał u jednego blogera w internecie radę dla dziewczyn: nie sypiajcie z chłopakami, którzy nie mają w domu żadnej książki. Dla chłopaków miał inną radę: nie róbcie krzywdy dziewczynom, które mają zbyt dużo książek, bo w nich znajdują sposób, jak się na was zemścić.

W tej chwili zrozumiał dwie rzeczy: że to, co go uderzyło przy półce z książkami to był fakt, że wszystkie były rosyjskich pisarzy i po rosyjsku. To było niezwykle – przynajmniej tak mu się zdawało. Druga rzecz, którą zrozumiał, to że nie może ruszyć ani ręką, ani nogą. Nawet ustami. Był całkowicie sparaliżowany.

„Już? Działa? – szepnęła kobieta i szturchnęła go w ramię. – Ech, jakież to doskonały środek, chemia czyni cuda. Wszystko słyszysz i rozumiesz, a nic nie możesz zrobić, nawet ruszyć palcem. Czyż to nie wspaniałe? Chemia, tylko chemia, wspaniała rzecz. Jeszcze lepsza niż fizyka, którą też kocham, bo bez niej nie byłoby bomby wodorowej i gilotyny. Ale chemia jest najlepsza. Wystarczy taka herbatka z cytryną i już mamy efekt. Uwielbiam ją. Zabija smak wszystkich złych dodatków, które mogą dosypać moim gościom”.

Kobieta wyciągnęła z szafy składany wózek inwalidzki i bez większego trudu (ależ miała siłę) umieściła w nim może niewysokie, ale potężne i ciężkie ciało Knagi. Wyjechali z mieszkania i zjechali na dół. Masza traktowała go ostrożnie, jakby wiozła kryształowy pomnik. Na ulicy zapakowała wózek do furgonetki, zasiadła za kierownicą i wywiozła za miasto. Knaga nie był pewien, ile trwała podróż. Może dwie godziny, a może pięć, a może cały dzień. Mimo że bronił się przed snem, to w końcu zasnął. Gdy się przebudził, ciągle był sparaliżowany, a Masza robiła mu zastrzyk.

„To już trzeci, śpiący królewiczu. Masz silne ciało, broni się, nie chce poddać. Ale przed chemią nie ma ratunku. Chemia zwycięża fizykę. Zwycięża ciało, a kiedyś zwycięży bombę atomową. Ale nie martw się. Maszeńka zna się na tym. W końcu nie na darmo była pielęgniarką”.

Prowadziła wózek dwieście-trzysta metrów leśną ścieżką, aż w końcu dotarli do budowli, która wyglądała jak kolonialna posiadłość jakiegoś obszarnika. Miała ganek z kolumnami i wiele okien. Masza wprowadziła go do holu, przeszła dalej i zostawiła na środku wielkiej sali, której podłogi i ściany świeciły niezwykłym blaskiem. Nachyliła się nad nim, zmierzyła puls, zrobiła kolejny zastrzyk i powiedziała:

„No i kolejne tysiąc dolców zarobione”.

Wychodziła już, gdy zatrzymała się, jakby nagle coś sobie przypomniała. Wróciła, nachyliła się nad jego uchem i szepnęła:

„Mam nadzieję, że to, co ci zrobią, będzie bolało. Za wszystkie cierpienia niewinnych, których skrzywdziłeś”.

I wyszła już na dobre.

Czas dłużył się Knadze niemiłosiernie. Dla niektórych ludzi najgorsze jest przebywać samemu ze sobą. Nie ma większej tortury. W końcu zapadł zmrok, lecz ciemność nie zdążyła zapanować nad okolicą. Rozświeiliły ją pierwsze światła nadjeżdżającego auta, potem kolejne, następne. W ciągu godziny Knaga naliczył około pięćdziesięciu samochodów.

Wciąż nie mógł się poruszyć. Drzwi domu otworzyły się i usłyszał ciche kroki. Do sali wchodziły kolejno dziwaczne postaci ubrane w długie czarne płaszcze i maski. Stały półkolem i czekali. Knaga też czekał. Nagle główne drzwi sali otworzyły się i stanęła w nich kobieta-potwór. Miała co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i tyleż szerokości. Jej ogromne, tłuste cielsko musiało ważyć ze trzysta albo i pięćset kilo. Knaga przeraził się, że zmuszą go do miłości z tym cielskiem albo do jeszcze czegoś gorszego.

Kobieta jakby sunęła w jego kierunku. Nie poruszała nogami. Po chwili odkręciła się nieco bokiem i Rosjanin zrozumiał dlaczego. Poruszała się na dziwnym, małym w stosunku do ciała wózku, jakby specjalnie skonstruowanym do jej ogromnego ciała. Kobieta usadowiła się pod oknami tarasu.

„Oto jest królowa pszczół” – posłyszał głos, który jakby dochodził z głośników lub megafonu.

Królowa pszczół klasnęła i przedstawienie się zaczęło.

Ludzie w czarnych strojach rozpoczęli przedziwny taniec, w którym poruszali się drobnymi, szybkimi kroczkami, machając jednocześnie intensywnie ramionami ozdobionymi szerokimi rękawami, przypominającymi wachlarze. Knaga miał wrażenie, że mienia się w oczach i już po chwili zaczęły przybierać postaci wielkich, czarnych pszczół. Krążyły wokół niego, coraz bliżej, aż w końcu zaatakowały, podchodząc tak blisko, że bliżej już nie można i ukazując mu swoje oblicza. A były to oblicza puste, straszące czymś niepojętym i nienazwanym. Najgorszymi snami i wizjami, jakie tylko Knaga mógł sobie wyobrazić. Rosyjski bandyta zobaczył wszystkie swoje fobie, których nie był w stanie nigdy nazwać i zrozumiał, czego się boi bardziej niż samego siebie. Pszczoły obsiadły go i byczyły do ucha

tajemne zaklęcia, które wybuchaly w mózgu tego niezaslugujacego na wspolczucie przestepcy, pustoszac go jak wybuch atomowy pustynie Nevada. Czlowiek musial miec mocne nerwy, by to ogladac. Ja sam wytrzymalem tylko dlatego, ze powiedzialem sobie, ze to sen. Knaga nie mial takiej szansy. Nie moglem zaslonic oczu, uszu, nie moglem skulic sie, blagac o przebaczenie czy chocby zemdlec. Nic nie moglem. Tylko cierpiec. A cierpienie trwało całą wieczność, aż w końcu strąciło go w paszczę szaleństwa, w przepaść, na której końcu nastąpił świt i Knaga nie widział już żadnych czarnych postaci, Królowej Pszczół i innych rzeczy. Sala była pusta, on żył, choć wciąż był związany. Za to odzyskał panowanie nad swoim ciałem, mógł poruszać kończynami, szybko więc uwolnił się ze słabych więzów, wybiegł z dziwnego domu i uciekł. Nie myślał o zemście. Nie wiedział, co go spotkało i nie chciał wiedzieć. Chciał znaleźć się jak najdalej stąd. Początkowo wydawało się nawet, że ta lekcja miała na niego zbawienny wpływ. Chłopak uspokoił się, nie napadał przechodniów, nie gwałcił dziewcząt w przykrytych nocą zakamarkach za dyskoteką „Katusza”. Po miesiącu jednak zapomniał o strachu, zapomniał o ostrzeżeniu demonów. Wrócił na ścieżkę okrucieństwa i siał jeszcze większy strach. Przed wydarzeniem z królową pszczół był złym człowiekiem, był okrutnikiem, potem stał się jeszcze gorszy, jeszcze bardziej zapalczawy i nieprzewidywalny. Porywał młode kobiety, gwałcił, pozbawiał życia, mężczyzn okrutnie torturował i maltretował. Pastwił się nad ciałami ofiar, a sumienie upijał od rana do wieczora.

Starał się nie spać, bo ilekroć zamykał oczy, pszczoły wracały.

Kiedy więc spojrział w błękitne źrenice Asmodeusza i zobaczył w nich przyszłość, przerażenie omal odebrało mu oddech. Asmodeusz objął nieszczęśnika, a potem zamienił się w wielkiego robaka i przez otwarte w zdumieniu usta wniknął w środek tego zgniłego ciała, nadającego się tylko do utylizacji. Błąkał się po śmierdzących zakamarkach, aż w końcu nie wytrzymał, wyskoczył z powrotem, przywołał swoje normalne ciało i rzekł:

„Ależ ty jesteś od środka paskudny. Najpaskudniejszy,

jakiego spotkałem. Zeby się nie ubrudzić, trzeba cię zamordować tradycyjnie”.

Zabrał go do swojej piwnicy i mordował przez tydzień, powoli obdzierając ze skóry, łamiąc kości, wycinając mroczne wzory na poszarpanym ciele. Jęki i krzyki dawnego oprawcy błąkały się po ciemnych nowojorskich zakamarkach jeszcze miesiącami, lecz nie wzruszały nikogo, nawet bezpańskie psy były obojętne. Unosiły tylko głowy, węszyły i wracały do przeszukiwania śmietników ustawionych na tyłach restauracji i sklepów.

Taki był koniec tego padalca.

I wiesz co? Za to nawet szanuję Asmodeusza. Jak też za to, że nie zaprowadził drania do piekła. Wyrzucił jego duszę na śmietnik, jak skażoną detergentami puszkę.

Po prostu. Leży teraz w wieczności i płacze z bólu. Nie ma dla duszy większej kary, gorszego cierpienia niż wylądować na śmietniku.

Staruszek westchnął i rozprostował kości, jakby chciał powiedzieć: no to nagadałem się, a nasze sprawy stoją w miejscu. Rzekł zatem:

– Tak więc możesz pójść własną drogą i nie wybiorę jej za ciebie. Jeśli wybierzesz proste rozwiązania, nawet nie będziesz wiedział, co stało się z Iną i Anną. Przynajmniej będziesz udawał. Tylko sny będą ci przypominać, że jesteś ostatnim draniem. Twój wybór.

– A co się z nimi stanie? Staruszek wzruszył ramionami.

– Asmodeusz wyssie z nich wszystkie siły i marzenia, a potem porzuci jak wszystkie inne. Lecz one nie będą chciały odejść. Będą snuły się za nim jak duchy, same poszukując ofiar i bezskutecznie błagając o ochłapy wdzięków demona.

– Jak wampiry.

– Staną się wampirami.

– Co mogę zrobić?

– Kochać – powiedział staruszek, a Bastian przypomniał sobie, jak to samo powiedziała mu Anna. Przybysz uśmiechnął

się i dodał: – I walczyć.

Wstał, podszedł do torby i wyrzucił z niej strój hokejowy Bastiana. Chłopak szybko dostrzegł różnicę. Nie był już czarno-żółty, z czerwonymi wstawkami. Starzec przefarbował go na zielono, na piersi zamiast wielkiego czarnego orła widniał wizerunek skorpiona. Koszulkę łączyły dziwne nici ze spodenkami i kaskiem, które także przybrały kolor zielony.

– Pozwoliłem sobie zmodyfikować twój hokejowy sprzęt.

– Myślałem, że już tamten był niezwykle – powiedział Bastian, wskazując na walizkę staruszka.

– Bo był. Pozwalał na przenoszenie się w czasie. Jednak do walki z Asmodeuszem by się nie nadał. Ażeby pokonać demona, będziesz potrzebował tego. Przymierz.

– Więc można go pokonać?

– Wszystko jest możliwe. Dopóki piłka w grze i te sprawy...

Bastian wszedł w kostium z zadziwiającą nawet dla samego siebie sprawnością. Jakby strój sam się dopasowywał do jego ciała.

– To jeszcze nic – uśmiechnął się staruszek. – Wkrótce nauczysz się go wkładać za pomocą pstryknięcia. O tak. Pstryknął palcami i strój zniknął z ciała Bastiana. Pstryknął ponownie i chłopak znów był zielonym skorpionem.

– To kwestia wprawy. Spróbuj! Bastian spróbował, lecz nic się nie stało.

– Z wiarą. Bez wiary się nie uda.

Bastian uwierzył i się udało. Po chwili pstrykał, wkładając i zdejmując zielonego skorpiona w ułamku sekundy. Uśmiechnął się jak dziecko.

– Super!

– Ja tam bym się nie cieszył – powiedział staruszek. – Od tej chwili Asmodeusz wie już, że stałeś się jego poważnym wrogiem. Na twoim miejscu nie rozstawałbym się ze strojem nawet w czasie snu. Pewnie nosiłbym go stale, gdyby nie sąsiedzi i telewizja. – Roześmiał się rubasznie. – Mieliby ubaw, gdyby zobaczyli cię w tym na ulicy. Dziwne, że współcześni wymyślają ciągle jakiś superbohaterów, walą głunnie na filmy fantastyczne, marzą o siłach mutantów, a gdy zobaczą kogoś

niezwykłego na własne oczy, od razu biorą go za wariata. A tak w ogóle, Bastianie, pomyślałeś kiedyś, że jesteś bohaterem jakiejś powieści lub filmu? Ze ktoś cię wymyślił i teraz maltretuje? A może ogląda sobie, co się z tobą dzieje? Ze jesteś zabawką czyjejs choroby, zwanej wyobraźnią? Nie? Ja wielokrotnie o tym myślę. Jednak wiem, że nie poznam odpowiedzi. I tu ci zazdroszczę, bo ty kiedyś, wcześniej niż myślisz, poznasz ją. Będziesz wiedział. Śmiertelnicy zawsze się dowiadują. A my, nieśmiertelni, niby tacy wspaniali i wszechmocni, zawsze jesteśmy skazani na niepewność. No, na mnie już czas. Bastian wstał i nie bardzo wiedział, jak się zachować.

– Co mam robić dalej?

– Nic. Przeznaczenie samo przyjdzie. Musisz tylko pamiętać, by dobrze oddychać. Oddech jest ważny w każdym sporcie. Jeśli nauczysz się go kontrolować, zostaniesz mistrzem. Długie solidne wdechy, szybkie wydechy. Oddech to życie. Oddech to magia. Aha, bym zapomniał – wyciągnął z walizki składany kij hokejowy i krążki z uśmiechniętymi słoneczkami. – Kij ze stroju czasoprzestrzennego powinien ci się jeszcze przydać. Uważaj, potrafi zaskoczyć.

Bastian chciał zapytać, jak ma go użyć. Zanim otworzył usta, starzec uśmiechnął się tylko, kiwając głową.

– Rozumiem – powiedział chłopak. – Będę wiedział. Przeznaczenie i te sprawy...

– Właśnie. Przeznaczenie. Dziwna konstrukcja filozoficzna. Niby jest, a jej nie ma. Niby będzie, a była. Prawda i gówno prawda. Powodzenia, synu.

Pożegnali się i starszek wyszedł. Bastian wyjrzał przez okno i patrzył, jak odchodzi. Gdy już zniknął za rogiem, obejrzał się i krzyknął:

– I nie wierz za bardzo „Księdze kłamców”. Jak sama nazwa wskazuje, jest w niej masa łgarstw.

Rozdział 35

Anna czuła, że zbliża się koniec. Stała nago przed nowym płótnem rozwieszonym na sztalugach i wspominała wszystkie uśmiechy największego kłamcy i drania, jakiego spotkała.

Przypomniła sobie te dni przed i po, rozbłysk słońca tej pierwszej wspólnej nocy, nisko wiszące na nieboskłonie bałwany chmur, wspomnienia sennych koszmarów z dni jej poprzedniego życia, gdy zegary odmierzały czas inaczej, z dołu w górę, z prawej w lewo.

Jak pewnej starej kobiecie, która kiedyś poprosiła ją o namalowanie portretu.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo dobrze zapłacę – odparła kobieta.

– Dlaczego jednak ja? Dlaczego nie poprosi pani jakiegoś polskiego artysty?

Kobieta była Polką z Gdańska. Miała przy tym dziwne, niepolskie nazwisko i imię. Przedstawiła się jako Karin Andersson.

– To skandynawskie nazwisko – powiedziała zdziwiona Anna.

– Szwedzkie – przyznała Andersson. – W moim zawodzie dobrze nosić szwedzkie nazwiska. Mów mi Karin.

– A jaki to zawód, Karin?

Kobieta zawahała się, zanim odpowiedziała. Anna przyjrzała się jej uważniej. Była szczupłą, chuda, może nawet anorektyczna. Wysoka i koścista. Lekkie ubrania wisiały na suchym ciele, świecącą satyną kontrastując ze zniszczoną od słońca i solarnych lamp brązową skórą. Mocna, nienaturalna opalenizna podkreślała biel zębów i włosów. Duże, ciemne oczy uśmiechały się trywialnie, jakby chciały powiedzieć: oszukiwałam przez całe życie, czemu ciebie miałabym nie oszukać.

– Jestem oszustką – powiedziała jednak prawdę. – Żyję z kłamstwa i pozorów. Dlatego potrzebuję twojego obrazu, Anno.

Karin Andersson uchodziła za znaną specjalistkę od finansów i inwestorkę giełdową. Zarobiła tyle pieniędzy, że nazywano ją miliarderką lub królową parkietu. Dzięki pieniądзом stała się ikoną warszawskiej giełdy. Zapraszano ją na największe debiuty, wygłaszała wykłady podczas rautów i road-showów, bywała na ekskluzywnych bankietach.

W rzeczywistości nie znała się ani na giełdzie, ani na finansach. Znała się za to na ludzkich charakterach. Wiedziała, że jeśli przekona innych, by się nią interesowali, by śledzili jej poczynania, a potem je kopiowali, naśladowali, to może na tym zbić kapitał.

– Większość ludzi nie umie samodzielnie myśleć i podejmować decyzji. Oni potrzebują impulsu, wzoru, potrzebują idola. Na giełdzie zaś jedno jest pewne. Nieliczni zawsze zarabiają, a za nimi stara się podążać cała gromada naśladowców i idiotów.

Była pasożytem. Drapieżnym, zepsutym pasożytem, który wabił swe ofiary, a potem wysysał z nich krew. Mimo to Anna dalej słuchała.

– Giełda jest najbardziej przerażającym wymysłem kapitalizmu. Pozornie wydaje się czymś doskonałym, wspaniałym. Umożliwia czerpanie zysków z niczego, a jednocześnie pozwala wszystkim potrzebującym na pozyskiwanie tego, czego najbardziej potrzebują – pieniędzy. Niby taki doskonały krwiobieg. W rzeczywistości zaś to utopia. Ludzie zaczynają żyć dla pieniędzy, uzależniają się od nich, oszukują. Żyją w świecie iluzji.

– A ty pomagasz im z tej iluzji wyjść?

– Nie. Ja wykorzystuję ją, by ich okraść. Mój sposób jest prosty. Kupuję jakąś nic niewartą spółkę, a potem pozwalam moim doradcom po cichu rozgłosić, że Karin Andersson wierzy w nią i zamierza na niej strasznie dużo zarobić. Głupi dziennikarze, którzy jeszcze niedawno pisali, że ta spółka jest kiepska i nic niewarta, nagle zaczynają traktować ją jak feniksa powstającego z popiołów. Co bardziej wyrachowani nie wiążą

tych analiz z moim pojawieniem się. Dopiero potem udają zaskoczenie. O, Karin Andersson także dostrzegła odkryty przeze mnie diament. To środowisko fałszywych pochlebców i zniewieściałych impotentów łasych na komplementy. Tak więc medialna machina zaczyna kręcić się sama i wzrasta zainteresowanie akcjami spółki. Coś, co tydzień wcześniej kupiłam za sto tysięcy, staje się nagle warte sto milionów. W ciągu dwóch, trzech dni zarabiam krocie.

– Dlaczego nikt się jeszcze nie zorientował? Dlaczego wciąż ci wierzą, wciąż za tobą idą, skoro nieraz się sparzyli?

Karin zamyśliła się nad odpowiedzią. Anna pomyślała, że powie coś w rodzaju: bo są głupi, albo: sama nie wiem, wciąż zadaję sobie to pytanie. Jednak ona westchnęła i powiedziała:

– Być może dlatego, że czasem trafiam na prawdziwą perelkę.

Znów zamilkła i wpatrywała się w ścianę i rozstawione przy niej obrazy. Potem wyjęła papierosa i zapaliła go zwykłymi zapalkami.

– W zasadzie od pewnego czasu, ciągle trafiam – rzekła. – Inwestuję w coś, co jest kompletnie bezwartościowe, a tu nagle okazuje się, że miałam nosa, że ta bezwartościowa firma podnosi się niczym przywołany feniks. Ostatnio kupiłam akcje kompletnie wyniszczonej firmy, którą opuścił nawet zarząd. Wydawała się bezwartościowa, stała na granicy bankructwa, wegetowała pozostawiona sama sobie. Gdy pracownicy dowiedzieli się, że zainwestowałam w nią, wpadli w euforię. Oni też przeczuwali rychły koniec, a tu taka niespodzianka. Sama Karin Andersson zainwestowała w nas. Chciałabym Anno, żebyś zobaczyła ich miny. Żebyś zobaczyła jak rozpala się nadzieja niczym przygasłe palenisko, do którego nagle dopuszczamy pęd powietrza. Oni byli tak pełni wiary, że pomyślałam: to jest moja kolejna misja. Pomyślisz pewnie, że chciałam im pomóc, lecz muszę cię zawieść. Jestem nic niewartą złą kobietą, złą osobą. Postanowiłam więc dopełnić dzieła zniszczenia i nawet się przy tym postarać. Poprosiłam więc szefa produkcji o przygotowanie dokumentacji i przejrzałam ją. Porażka firmy wynikała z zainwestowania

niemal wszystkich środków w produkcję dziwnej szczepionki na niespotykaną odmianę grypy. Firma wyprodukowała szczepionkę ponosząc ogromne koszty, jednak nie mając zbytu, bowiem odmiana grypy praktycznie nigdzie nie występowała i nikt nie chciał kupować szczepionki. To było doprawdy trudne do zrozumienia, niepojęte. Zapytałam, dlaczego tak się stało, kto podjął decyzję o tej inwestycji i czemu tak zaryzykował. Szef produkcji zwiesił głowę i powiedział, że poprzedni prezes i jednocześnie założyciel firmy, prawdopodobnie oszalał.

„Widzieliśmy, że dzieje się coś nie tak, ale nie potrafiliśmy mu się przeciwstawić. Był ojcem naszego sukcesu. Miał prawo do decyzji, nawet błędnej”.

Poprzedni prezes był wizjonerem i cudotwórcą. Jak każdy geniusz chodził własnymi ścieżkami i owe ścieżki okazały się zgubne. Dopytywany kierownik produkcji wyznał w końcu, że prezes w ostatnich dniach przed decyzją o skupieniu na linii produktów związanych z grypą zachowywał się bardzo dziwnie. Zamiast samochodem, zaczął jeździć do pracy pociągiem i upierał się, że poznał kogoś, kto jest kimś więcej niż człowiekiem. Widywano go, jak przechadzał się samotnie ulicami i rozmawiał z jakimś staruszką, wyglądającym na dziwaka. To ten osobnik wpłynął na porzucenie racjonalizmu i skłonił do podjęcia odważnych decyzji. No i zaprowadził go na manowce.

„Prezes zniknął kilka tygodni temu. Utrzymujemy to w tajemnicy, żeby nie wywołać paniki, ale tak naprawdę wszyscy pracownicy już wiedzą i od pewnego czasu czekają na koniec. Pani jest naszą ostatnią nadzieją” - powiedział mi kierownik.

„Pozwoliliście, żeby założyciel firmy jedną nierozważną decyzją zaprowadził was nad przepaść? Tylko dlatego, że miał autorytet? A teraz oczekujecie, że ja to naprawię” – powiedziałam myśląc o samej sobie.

Szef produkcji tylko pokiwał głową. Mnie zaś zrodził się pewien chytry plan. Kilka dni później wezwałam do siebie kierownika i powiedziałam:

„Wasz były prezes wcale się nie mylił. To była świetna decyzja, tylko zabrakło wam determinacji. Należy podwoić

nakłady na produkcję szczepionki i przygotować się do dużych zamówień, które z pewnością przyjdą”.

„Ależ... mamy już duże zapasy, a ta odmiana grypy prawdopodobnie sama się wykończyła. Nie mamy co marzyć o epidemii. Niedługo będziemy musieli zniszczyć przeterminowane produkty”.

„Uwierz mi, wkrótce ta decyzja się opłaci”.

„Ale idzie lato. Grypa nigdy nie atakuje latem”.

„Wykonaj polecenie, człowieku małej wiary”.

Z radością patrzyłam, jak gaśnie nadzieja. Jak załoga przestaje wierzyć w magię nazwiska Andersson, tak jak wcześniej przestała wierzyć w swojego dobrodzieja i twórcę firmy. Rozpuściłam wieści wśród dziennikarzy, że moja nowa spółka odkryła super lek, czekałam aż cena akcji wzrośnie, zaczęłam sprzedawać akcje, po czym postanowiłam dokonać samoukarania. Wezwałam jednego z dziennikarzy i opowiedziałam mu o wszystkim. Początkowo nie uwierzył, biedak. Myślał, że sobie z niego żartuje, tak był zapatrzony w magię mojego nazwiska. Wtedy opowiedziałam mu o szczepionce na grypę i o tym, jaka jestem zła, okrutna i głupia. Tym razem musiałam być przekonująca, bo wstał wzburzony i zagroził: nie ujdzie to pani na sucho. Dziennikarz wyszedł, a ja rozkoszowałam się chwilą. Rozkoszowałam się tym, że następnego dnia mój mit padnie. Rankiem okazało się jednak, że gazeta nie opublikowała tekstu, za to w całej Europie wybuchła przedziwna epidemia letniej odmiany grypy, na którą pomaga jedynie nasza szczepionka. Wkrótce zamówienia spływały ze wszystkich krajów, tak że ledwie nadążaliśmy z realizacją. Spółka, którą najpierw „odkryłam”, a potem – jak mi się wydawało – doprowadziłam do ostatecznego upadku, rozkwitła. Dziś jest wielkim przedsiębiorstwem, produkuje kilkanaście dominujących na rynku preparatów, a moja gwiazda błyszczy jak nigdy. Ja zaś potrzebuję twojego portretu.

Anna w zasadzie nie oceniała jej. Nigdy nie starała się nikogo oceniać. Było jednak coś w tej kobiecie, coś przyciągającego i odpychającego zarazem. Coś, co kazało jej słuchać i nienawidzić. Coś przerażającego. Jakby śmierć ścisnęła w

ramionach pochwyconego, bezbronniego anioła. Jakby demon uwięził lżę niepokoju zdolną zamienić się w perłę i bawił się nią przetaczając po otwartej dłoni.

– Wciąż nie rozumiem, po co ci portret? I dlaczego to ja mam go namalować?

– Początkowo chciałam powiesić go w swoim domu i rozgłosić, że słynna Anna Blume namalowała mi portret. Taki news znów przyciągnąłby uwagę widowni do mojego nazwiska. Nie co dzień ktoś taki jak Anna Blume maluje portret polskiej kobiety biznesu. Ale gdy cię zobaczyłam i przyjrzałam się twoim pracom, pomyślałam o czymś innym. Chcę podarować ten obraz dziennikarzowi. Temu samemu, któremu opowiedziałam prawdę i który tej prawdy nie opublikował.

– To ma być wyraz wdzięczności?

– Raczej kpiny. I pogardy. Ten dziennikarz w końcu mi przecież uwierzył. Napisał krytyczny tekst, ale redakcja nie zdecydowała się na jego publikację. Początkowo ze strachu. Współczesne gazety takie są, boją się prawdy, wołają kłamstwa. Nie chcą zadzierać z potencjalnymi reklamodawcami i osobami wpływowymi, które mogą odebrać im reklamy. Tak więc zablokowano tekst uzasadniając, że tak poważne oskarżenia wymagają potwierdzenia. Dziennikarz miał nagranie naszej rozmowy, powiedział więc, że nie może być lepszego potwierdzenia. Redakcja była doprawdy w kropce. Zadzwonili do moich doradców, a ci – nie wiedząc o moim planie – oczywiście wszystkiemu zaprzeczyli i przekonywali, że dziennikarz kłamie. Biedak uniósł się honorem i odszedł. Gdy dodatkowo okazało się, że miałam nosa ze szczepionką, uznano, że zwariował, że z jakiegoś powodu chciał mnie zniszczyć. Poprosiłam jednego z doradców, by zadzwonił do konkurencyjnej redakcji i opowiedział, że ten dziennikarz był moim kochankiem, a gdy odrzuciłam jego dalsze zaloty chciał się zemścić. Po kilku dniach w internecie grzmiało o złym dziennikarzu. Kłamiwe gazety podsycaly ogień pod własnymi tyłkami, dając wszystkim krytykom argumenty. Dziennikarz stracił zaś nie tylko pracę, ale i rodzinę. Jego żona zabrała dzieci i odeszła bez pożegnania, zostawiając jedynie list, w

którym napisała tylko jedno zdanie: „Nigdy cię nie kochałam” . Biedak nie miał pojęcia czym jest miłość, lecz mimo to przejął się tym jednym zdaniem, a może nagle zrozumiał, że przez całe życie czegoś mu brakowało. Rozpił się i nie może się odnaleźć. Jemu chcę podarować twój obraz. Chcę by przypominał mu codziennie o tym, jak zniszczyłam mu życie.

– Aż tak bardzo go nienawidzisz?

Annie wydawało się, że Karin ma łzę w oku.

– Nie powiedziałaś ci jednego. Kiedyś miałam siostrę. Była poetką, żyła sobie spokojnie, nie wadząc nikomu, aż pewnego dnia pewien dziennikarz poprosił ją o wywiad. Strasznie się ucieszyła, że ktoś dostrzegł jej talent i będzie chciał ją wypromować. Jednak dziennikarz nie nagabywał mojej siostry, by ją uczynić sławną. Potrzebował wywiadu do tekstu o nieudacznikach, grafomanach i innych beznadziejnych twórcach, zaśmiecających internet. Chciał z nich zakpić i zakpił z mojej siostry, niszcząc jej mały świeatek, który należał dotąd tylko do niej.

Milczały dłuższą chwilę. Anna zapragnęła opowiedzieć jej swoją historię, ale uznała, że nie powinna tego robić. Karin przyszła, by mówić, a nie słuchać. Nawet jak nie chciała powiedzieć wszystkiego.

– Czy to był ten sam człowiek? Dziennikarz, którego zniszczyłaś i ten, który zaatakował twoją siostrę?

Karin milczała. Zapatrzyła się gdzieś w sufit, jakby chciała zmienić temat, pomyśleć o czymś innym, oszukać łzy.

– Czy to ważne? – powiedziała w końcu.

– W takim razie potrzebujesz aktu – doradziła Anna. – Akt bardziej zaspokoi twoje pragnienie zemsty.

Karin Andersson wstała i zaczęła się rozbierać.

Rozdział 36

Anna otrząsnęła się ze wspomnień.

Zmieszała krwistą czerwień z czernią tak głęboką jak kosmos, po czym delikatnie zanurzyła pędzel w lekko rozwodnionej bieli i położyła na płótnie kilka maźnięć. Trójbarwny cień przeszył pochmurne niebo. Obraz był już prawie gotów. Anna odchodziła co chwila pod ścianę i patrzyła na niego z dystansu. Niezły, całkiem niezły. Usatysfakcjonowana, pełna adrenaliny, podbiegała i tworzyła kolejne wariacje.

W kosmosie płynęły sanie demona o ciele herosa. Unosiły się na brudnych bałwanach burzowych chmur w kierunku boskiej światłości zostawiając za sobą rozpacz i cierpienie. Poniżej pożoga, choroby i wojny zbierały krwawe żniwo. Anna nie była pewna, czy to demon sieje zniszczenie, czy też jest wybawcą, ratującym ukochaną przed Armagedonem. Była otulona w jedwabny szal, na głowie miała futrzany kaptur, obsztyty białym puszystym materiałem. Jej twarz wydała się Annie znajoma, ale nie była jej twarzą.

Stworzyła setki postaci, nie zawsze były do niej podobne, a jednak były nią.

Tym razem to była inna kobieta.

Przez chwilę pomyślała, że to Ina, lecz wtedy zobaczyła, że Inę już namalowała. Biedna kobieta uczepiła się płozy, starając się dostać do sań.

Demon spojrział na nią z okrutnym uśmiechem i pełen pogardy zmarszczył czoło.

– Twój czas się skończył, Ino! – zdawał się mówić. – Teraz oddaję cię pomniejszonym demonom. Będziesz ich dziwką, aż dopadnie cię przepowiednia i umrzesz jak inni. Możesz mi służyć, wiedz jednak, że nigdy nie dostąpisz już mej łaski.

Ina błagalnie podniosła jeszcze dłoń, ukazując swe wdzięki, pełną pierś i młodzieńcze ciało, lecz gdyby tylko spojrzała w

dół, zobaczyłaby setki, tysiące sobie podobnych i zrozumiała, że to na nic. Demon dał jej jedną tysięczną część rozkoszy i wyrzucił jak zużytą prezerwatywę.

Anna znów uciekła pod ścianę i spojrzała na obraz. Nie jadła od dwunastu godzin. Malowała i bała się odejść od obrazu. Bała się, że straci pasję, a to oznaczało śmierć dzieła.

Obraz był udany, może najlepszy, jaki kiedykolwiek stworzyła. Może to było jej arcydzieło. Jej nieśmiertelność.

Upiła wina z butelki, zatoczyła się, omal padając, gdy usłyszała kasznięcie. W drzwiach stał chudy biały mężczyzna o kruczoczarnych włosach, sięgających do ramion. Znała go.

Przymknęła oczy, próbując sobie przypomnieć, kim jest, jak mu na imię.

– Witaj, Anno. Martwimy się o ciebie.

Vlado. Vlado albo Blado. Jakoś tak. Serb, wesoly Jugol, wyznawca wolnej miłości i kokainy. Rozkoszny wesołek, namiętny kochanek i mierny artysta.

Poznała go może rok temu, oddała mu się raz w alkoholowym widzie i odprawiła, gdy następnego dnia nie potrafił już dać nic więcej poza uśmiechem.

Anna nie zasłoniła nagości. Od dawna się nie wstydziła.

– Martwimy się. Ja i przyjaciele – powtórzył Vlado Blado.

Nie mam przyjaciół – chciała powiedzieć Anna. Milczała. Nagle przyszedł jej do głowy kolejny motyw i rzuciła się na obraz jak kocica.

– Anno – zawołał Vlado Blado.

– Nie przeszkadzaj, maluję.

– Nie wyglądasz dobrze – powiedział Serb. – Powinnaś czasem wyjść, spotkać się z przyjaciółmi, zjeść z nami kolację. Kiedy ostatni raz jadłaś?

– Odejdź!

– Powinnaś...

– Spieprzaj. Spierdalaj, słyszysz! Serb wyszedł.

Anna wiedziała już, czego brakuje w jej wizji. Była zbyt czarna i czerwona. Zbyt mroczna i ponura. Białe pasemka w siwych chmurach dawały zbyt mało światła. Potrzeba było

trochę zieleni!

Zanim jednak zdążyła wypełnić zielony kontur czymś jeszcze jaśniejszym, Asmodeusz spojrzął na nią, uśmiechnął się szyderczo i chwyciwszy za włosy, wciągnął do powozu.

Poczuła na nagim ciele zimno i pęd wiatru. Dziewczyna w kożuszkę, która siedziała teraz obok, miała zamknięte oczy i była nieprzytomna. Pędzili z ogromną szybkością. Asmodeusz popędzał ogniste rumaki, jakby wciąż nie miał dosyć.

– Chciałaś mnie odesłać do piekła, Anno? Samego?

– Masz ją.

– Ona? Ona jest tylko snem.

Asmodeusz usiadł obok i zaczął wodzić zakrwawionymi pazurami po jej nagim ciele, piersiach i udach.

– Podniecasz mnie, jak zawsze. Jesteś jedyna, jesteś moją miłością, moją boginią.

Odwróciła twarz, patrząc na nieprzytomną dziewczynę.

– Ma na imię Angelika – powiedział demon. – Chciała popełnić samobójstwo z powodu swego mężczyzny. Uratowałem ją. Uznałem, że powinienem ją uratować. Jak sądzisz, dobrze zrobiłem?

Anna spojrzała w dół i zaraz zamknęła oczy. Pod pędzącymi saniami piekło rozwierało wrota, tak jak chciała w obrazie. Strach i cierpienie płonęły na horyzoncie. Śwąd spalenizny przyprawiał o omdlenie. Ciężkie piekielne piece rozgrzewały się do białości, wydzielając masy czarnego siarkowego dymu.

Anna spojrzała w tył i zobaczyła uwieszoną do tylnej płozy Inę.

– Wciągnij ją! – rozkazała.

– To dziwka. Nic niewarta.

– Więc oddaj ją Bastianowi.

– On też jest nic niewart. To mięczak. Nie walczył o swoją kobietę.

Asmodeusz wskazał w dół i rozrzucił śnieżne iskry.

– Zrobię dla ciebie wszystko, Anno, uczynię cię królową śniegu, zaśnieżę całą ziemię i nie tylko. Czy uwierzysz, że w piekle nigdy nie padał śnieg? Spójrz, co robię dla ciebie.

Anna wzdrygnęła się.

- Pozwól im odejść.
- Przecież sama tego nie chcesz. To ciebie napędza cierpienie. Ja wykonuję tylko twoją wolę.
- Więc daj im odejść.
- Za późno. Skazałaś ich wcześniej, nie ma odwrotu.
- Gównu.
- To nic nie pomoże.

Anna rzuciła się na Asmodeusza i rozdrapała mu demoniczny policzek. Krew trysnęła na chmury jak dezodorant w sprayu.

- Krew – ucieszył się demon. – Lubię krew. Nawet własną.
- Zostaw dzieciaków, weź mnie.
- Ciebie już mam, teraz mam dzieciaków.

Angelika przebudziła się i patrzyła, nic nie rozumiejąc. Nie histeryzowała. Tylko patrzyła.

- Lepiej śpij, dziecko – powiedziała Anna.
- Już południe. Nie mogę spać.

Anna rzuciła się do płozy, chwyciła Inę za ramię i wciągnęła ją do środka. Pomniejsze diabły zrezygnowały i opadły w dół.

– Trzy na jednego – rzekł z uśmiechem Asmodeusz. -Bawmy się więc.

Skręcił gwałtownie i wjechał w śnieżną chmurę. Sanie podskakiwały i tańczyły na kosmicznych zaspach. Wokół pojawiły się bajeczne łanie i renifery, a rumaki sań zmieniły się w śnieżne pумы. Ina zapomniała już o cierpieniu i poczęła łapać maleńkie elfy krążące ponad nimi. Piekło zniknęło i ukazał im się widok najpiękniejszy z możliwych. Strzeliste góry, dzikie, ośnieżone, gdzieniegdzie zalesione wysokimi sosnami, świerkami i jodłami, skąpane w dziewiczych śnieżnych zaspach, oświetlone słonecznymi promieniami z bezchmurnego nieba. Ich ogniste sanie mknęły po nim w towarzystwie całej gromady bajecznych zwierząt: skrzydlatych jeleni, ostronosów, pegazów, jednoroźców i białych tygrysów. Ina westchnęła i nabierała rumieńców. Znów była tylko zakochaną kobietą.

- Boże, ależ to piękne.

Anna roześmiała się, a potem dołączyła do nich Angelika. Wszystkie trzy zapomniały o cierpieniu.

- Cóż, drogie panie – demon znów był Siergiejem. Piękno-

brzydkim kochankiem ze snów. Zasiadł pomiędzy nimi i zaczął gorąco całować Angelikę po szyi, jednocześnie prowokując dłonią Inę i wpychając członek w Annę. – Czas na miłość. Miłość co do przyjemności ustępuje miejsca tylko zabijaniu.

Anna już zamierzała poddać się zabiegom kochanka, gdy nagle zerknęła do tyłu i zobaczyła coś zielonego. Punkcik zbliżał się do nich.

– A to co takiego?

Angelika także patrzyła w tył. Zielony kształt rozmazywał się w przestrzeni. Tylko Ina nie była ciekawa. Siergiej za to uśmiechnął się od ucha do ucha i z udanym zdziwieniem wykrzyknął:

– Co, u licha?

Zielony kształt migotał w równomiernym rytmie, odbijając się od bandy do bandy czasoprzestrzeni, zbliżał do nich. Jego ruchy były płynne i mocne. Po chwili Anna widziała go już na tyle dokładnie, by wiedzieć, kim jest.

Angelika nie знаła Bastiana i to ona powiedziała:

Cholera, to jakiś hokeista!

Rozdział 37

Bastian pędził, czując moc. Rozpierała go i napędzała. Piękno wykreowanego wokół świata nie porażało go i nie osłabiało. Gdyby wcześniej ktoś powiedział mu, że będzie gnał na łyżwach po chmurach, goniąc jakiś dziwaczny rydwan królowej śniegu i mając pod sobą zaśnieżone piekło w całej okazałości, odpowiedziałby mu:

– Człowieku, powinieneś urodzić dziecko. Wiedziałbyś, co oznacza cierpienie.

I miłość. Miłość i cierpienie były siostrami. Złączonymi niewidzialną nicią bliźniaczkami. O nich myślał, doganiając sanie Asmodeusza i jego branek. Staruszek patrzący na niego gdzieś w umyśle uśmiechał się pod nosem i pytał:

– Strach cię tak napędza czy odwaga? Żądza czynu potrafi być zabójcza dla bohaterów i zbawienna dla tchórzy. Jeśli nie wiesz, kim jesteś, lepiej nie zbliżaj się za bardzo do słońca.

Nie zbliżał się. Bastian zagryzł wargę do krwi, przypominając sobie, co wyczytał o Asmodeuszu w „Księdze kłamców”.

***Asmodeusz:** Demon nad demonami, kłamliwie lekceważony przez ludzkości współczesnego Boga. Wbrew temu, co napisano, nie jest kazirodczym synem Tubal-Kaima i jego siostry Naami ani Adama i Lilith, nigdy nie należał do chóru serafinów, ani nie był nawet upadłym aniołem. Zrodził się z piasku, ognia i mgły. Jego ojcem były pioruny, matką zbezczeszczona po krwawej bitwie między demonami ziemia. Ma miliony lat i pojawił się przed dinozaurami. Obserwował narodziny świata i już pierwszego dnia zaproponował Stwórcy swoje usługi. Gdy Bóg zapytał, jak demon może mu się przysłużyć, Asmodeusz miał uśmiechnąć się i rzec:*

– Twoje dzieła są piękne i czyste, ale przy tym jakby sztuczne, nasączone pestycydami. Nie ma w nich życia,

nie ma miłości i pożądania. Nie potrafią się też mnożyć i zabijać.

– Po cóż miałyby się mnożyć?

– Aby było ich więcej. Po co ci dwa nagie ciała? Dziś uważasz je za piękne, jutro ci się znudzą i będziesz potrzebował czegoś innego. Jeśli zaś posłuchasz mojej rady i skorzystasz z mych usług, stworzysz świat, który będzie cię bawił i wzruszał do końca twych dni i jeden dzień dłużej.

– A po co mieliby się zabijać?

– Dla rozrywki mojej i twojej, a także po to, by zbyt szybko nie zniszczyli naszej ziemi, bo musisz wiedzieć, że twoje twory to egoistyczne sukinsyny, których nic nie obchodzi poza tym, co widzą i czują. Będą zatruwać twoją ziemię, niszczyć ją i zaśmiecać, grabić i bezcześcić. I zdarzy się wśród nich zaledwie jeden na milion wart coś więcej, którego trzeba będzie przez chwilę posłuchać. Resztę można tylko oglądać. A ogląda się najprzyjemniej seks i śmierć. Oto dlaczego powinny się zabijać. Dla seksu i dla samej śmierci.

– Po cóż więc mam skorzystać z twoich usług, demonie? Moi ludzie niczego nie niszczą. Jest ich dwoje i nie mają żadnych złych zamiarów. Nie zabijają i nie kochają. Po prostu są.

– I jakby ich nie było.

– Odejdź. Poszukaj sobie innego świata dla swoich niecných planów.

Bóg odesłał demona na skaliste pustkowia, gdzie tamten znów mógł się śmiertelnie nudzić. Jednak nikt nie nudził się tak jak Stwórca.

Minął milion lat. Adam i Ewa siedzieli w raju, gapiąc się bez sensu na siebie, i nic nie robili. Bóg znudził się nimi dawno i próbował coś zmienić w ich życiu, lecz wszystko to kończyło się klapą. Adam był leniwy i szczęśliwy z możliwości zajadania się lizakami z muszli i chrupkami z prażonych w słońcu krewetek. Ewa, wierna i oddana Bogu, oddawała się kąpielom w rajskim

strumieniu, namydlając mydełkiem upadłego przed laty pogańskiego bożka Fa. Bóg udał się więc do Asmodeusza, który powitał go na tronie z gwiazd i półksiężyca, i powiedział:

– Wiedziałem, że przyjdiesz. Nie myślałem jednak, że stanie się to tak szybko.

– Minęło milion lat.

– Wieczność jest niezmierna.

– Nie pouczaj mnie, demonie. Czyń swoją powinność i zrób to szybko.

– Szybko nie znaczy dobrze. Przyjemność potrzebuje czasu, a śmierć raduje się tylko wtedy, gdy towarzyszy jej cierpienie.

– Dobrze, już dobrze. Zrób, co obiecałeś.

– Porozmawiajmy najpierw o zapłacie – rzekł Asmodeusz i przedstawił żądania.

– Nigdy! – odparł Bóg i odszedł.

Asmodeusz zasiadł nad szachownicą z kości pretozaura i rozgrywał najdłuższą partię w swoim życiu. W przerwach pomiędzy ruchami wymyślał zaś filozofię i śmiał się do własnych myśli jak szaleniec, bo też w istocie był demonem najbardziej szalonym.

Bóg tymczasem wrócił dziesięć milionów lat później i powiedział:

– Zgoda, zgadzam się na wszystko, zrób tylko, co obiecałeś.

Asmodeusz jedząc jabłko, odparł:

– Zobacz, zawsze wybieram robaczywe spady. Tylko takie dobrze smakują. Jeśli są za czyste i zbyt wypieszczone, nie mają smaku.

W przypowieści tej, spisanej przez pewnego wyklętego księdza o imieniu Samuel, nie podano, czego Asmodeusz zażądał za swe usługi, ani w jaki sposób sprowadził na Adama i Ewę dar miłości i zbrodni. Wśród żydowskich mędrców krąży jednak legenda, że zapłatą miało być piekło, gra o dusze i waga, na której szalach zło musiało równoważyć się z dobrem.

Asmodeusz chciał władzy nad piekłem i części boskich służebnych aniołów oddanych do pomocy w jego urzędaniu. Chciał też, by ludzie mieli dusze i by ich dobre i złe uczynki się równoważyły.

– Nie możesz być też jedynym bogiem – miał rzec Asmodeusz. – Bo inaczej moja władza byłaby iluzoryczna. Bóg zgodził się na wszystko, oddał zastęp aniołów z Belzebubem na czele we władanie Asmodeusza, nie do końca zgodził się tylko na dusze.

– Owszem, niech mają dusze, ale nie wszyscy. Niech dusze wybierają ciała, a potem niech staną się one dla nich ostatecznym więzieniem, aż do Sądu Ostatecznego.

– Zgoda.

Asmodeusz wziął się do roboty, budząc pożądanie między Adamem i Ewą, a następnie kradnąc im obojgu serca jako dwupłciowe ucieleśnienie marzeń. Dla Ewy był wyśnionym nazaretańskim kochankiem, dla Adama sodomo-gomoriańską czarą zepsucia.

Miłość i rozpasanie, jakie stworzył, opisywano potem w zakazanych księgach rozkoszy. Podobnie jak śmierć i zniszczenie, które zrodziły się w tym samym łóżu, pełnym beztroskiej radości. Asmodeusz cieszył się zaś tak samo każdą miłością, jak i każdą śmiercią oraz pozyskaną do piekła duszą.

Współcześni wykpiwają wiarę w Asmodeusza, jako pierwszego proroka. Żaden z nich jednak nie odważy się tego napisać.

Piszą za to, że demon nad demony podlega tylko zasadzie zła i twierdzą, że to z niej się zrodził, z jej prastarej, prawiecznej części odpowiedzialnej za pokusy. Rzekomo nie ma siostr i braci, ale zdania co do tego są podzielone. Nie przyjaźni się z żadnym demonem, ale też nie ma nieśmiertelnych wrogów (i tu zdania są podzielone). Jego głównym celem jest zabawa, a

ponieważ najlepszymi zabawami są miłość i zabijanie, można go spotkać wszędzie tam, gdzie ludzie są okrutni, rozpustni i waleczni. Zabija zwykle szybko i nieodwracalnie. Torturuje tylko ateistów i zwykle skupia się na duszy, nie tyka ciała. Cierpienia duszy są jednak znacznie gorsze niż ciała, dlatego często, gdy Asmodeusz śpi, można usłyszeć w okolicy krzyki i jęki cierpiących.

W czasach najnowszych bywa utożsamiany z ojcem--założycielem rodu wampirów. Według podań madziarskich był synem Mirka i pojął za żonę boginię śmierci Hellię, z którą spłodził ród nieśmiertelnych, żywiących się marzeniami i ludzkimi emocjami. Przejmuje kontrolę nad ludźmi i czyni z nich żywe trupy.

Ludzie i bohaterowie rzucający wyzwanie Asmodeuszowi od dawna zastanawiali się, czy można go pokonać. Wszyscy, którzy szukali sposobu, nie zdążyli zdradzić go potomnym, kończąc na ostatnim kręgu piekła.

W podaniach można natrafić na różne przepisy, ale ich skuteczność jest wątpliwa. Mówi się zatem, że wystarczy demonowi zarzucić na szyję obrożę z wypisanym prawdziwym imieniem Boga, jeśli tylko je znamy. Wówczas Asmodeusz się podda i stanie się sługą Stwórcy. Mówi się też, że można go zabić za pomocą żartu, na przykład trafiając w serce krążkiem hokejowym ozdobionym słonecznym uśmiechem.

Krążek hokejowy! To go napędzało. Ścisnął mocno w kostiumie superbohatera otrzymane od staruszka krążki hokejowe, wierząc, że to one dadzą mu zwycięstwo nad demonem.

Kiedy więc zbliżył się na odległość strzału, wyjął kij z umieszczonej na plecach pochwy, wysunął z podajnika pierwszy z trzech pocisków, rzucił go na zlodowaciały ślad po saniach, wziął potężny zamach składanym magicznym kijem, przymierzył i uderzył z całą mocą. Krążek ozdobiony uśmiechniętym słońcem pomknął ku przeznaczeniu.

Rozdział 38

Lenny przebudził się spocony. Sonia już nie spała. Obmywała jego czoło zimnym oddechem.

– Już dobrze, kochany. To tylko sen.

Miał wrażenie, że Sonia nie mówi szczerze. Sama była inna, rozedrgana, dziwna. Wstał, napił się wody i podszedł do okna. O mało co nie upadł z wrażenia.

– Śnieg? W Meksyku?

– To anomalia – przyznała Sonia.

– Do diabła. To wygląda jak koniec świata – Lenny podrapał się po głowie i rzucił okiem na termometr. Wskazywał ponad trzydzieści stopni ciepła. Słońce pięknie świeciło nad czymś, co... nawet trudno mu było opisać. – Widziałeś termometr? Jest upał, słońce świeci. Nie ma prawa być tu śniegu!!!

– Nie mamy władzy nad śniegiem. Jak też nad tym, co się dzieje – odparła Sonia i pociągnęła go na ganek.

Wyszli z trudem przez przysypane śniegiem drzwi. Potężne zasy wznosiły się pod domem jak wzgórza, przykrywały cały horyzont. Ponad nim wisiała wielka, ciemna chmura burzowa, kojarząca się z pozostałościami po wybuchach jądrowych.

Chmurą co chwila wstrząsały jakieś eksplozje i pojawiało się jaskrawe światło.

– Co to?

– Wojna. Wygląda jak bitwa.

– Kto z kim walczy?

– Boję się, że to nie są ludzie.

– Czy nasze sny się z tym wiążą? Skinęła głową.

– Też nocy ktoś zginie. Być może, że my razem z nim.

– Może zadzwonimy do CIA? – zapytała, spoglądając na dyplom zawieszony na ścianie, na którym zgrabnie ukryto numer alarmowy do agencji.

– Nie oszukuj się, to nic nie da.

– Agencja to wiele zła, ale też wiele dobra. Dużo potrafią. Może będą mogli nam pomóc.

– Nie można pomóc wymysłom chorego umysłu.

– Co takiego?

Lenny spojrzał na swoje ramię. Wydawało mu się, że pod skórą coś się poruszyło. Zaciśnął pięść, rozprostował palce. Potem powtórzył. Zamiast pięciu palców zobaczył rękawicę z ludzkiej skóry. Bez palców. Nie miała nawet wypustki na kciuk. Była po prostu brązową plamą. Zamknął oczy i spojrzał ponownie na niezwykle zjawisko na niebie, potem na Sonię. Ona też się zmieniała.

– Coś się dzieje ze Stwórcą. Coś mu grozi.

– Kim jest Stwórca?

– Naprawdę nie wiesz, czy tylko udajesz?

Nic nie odpowiedziała, weszła w śnieg i zaczęła iść przed siebie. Chciał zawołać za nią. Krzyknąć, że jeśli to koniec, to powinni inaczej go przeżyć. Powinni objąć się i czekać, patrząc sobie w oczy. Albo całować się. Lub kochać. O tak, przecież w kochaniu nie mieli sobie równych. Nikt nie kochał mocniej niż istoty pozbawione ludzkich przywar. Potem pomyślał, że każde z nich ma prawo przeżywać to oddzielnie. Sonia знаła go mniej niż on ją, a on myślał tylko o swoich wymyślonych wspomnieniach. Myślał o swoim kretyńskim ojcu i pomyślał też, że Stwórca musi także być kretynem. Dlaczego wymyśliłeś mi ojca mafioso? I o co chodzi z tymi Latynoskami? Wcale nie lubiłem kobiet o szerokich biodrach i wydatnych ustach. Mogą mieć piękne oczy i wspaniałe wzdychać, ich skóra lśnić w słońcu, a on i tak wolał kobiety Północy. Pozornie zimne na zewnątrz i gorące w środku.

Myślał tak o swoim pustym życiu i sam nie wiedział, kiedy zaczął biec za Sonią. Dogonił ją po chwili. Szli obok siebie przez zasy, aż dotarli do najbliższego wzniesienia, z którego widzieli całą okolicę. Demoniczna gra w niebiosach była już na wyciągnięcie ręki. Wtedy Lenny zobaczył coś dziwnego. Daleko, na północy coś błysnęło, jakby od lornetki odbiło się światło. Potem drugi raz. I trzeci.

Kiedy wpatrywał się w to coś błyskającego równomiernie,

dojrzał zbliżającego się do nich w pędzie człowieka, jadącego na kosmatym stworze, przypominającym wielbłąda. Człowiek miał na sobie ciężki skórzany płaszcz koloru zgniłej zieleni i czarną pilotkę, na oczach gogle lotnicze, i to one odbijały światło.

To była dziwna odmiana wielbłąda. Zamiast łysiejącej, wypłowiałej w słońcu skóry miał gęste futro, a jego garby świeciły się czerwono.

– To jest Jenisei, wielbłąd śnieżny, oddany sługa bogini Grylli, która kiedyś polowała na dzieci i je zjadała, a dziś na Islandii jest wielbiona jako matka skrzatów-świętych mikołajów – powiedział staruszek z wąsem, gdy już dotarł na swoim przedziwnym wierzchowcu do Lenny’ego i Soni. Uśmiechnął się szeroko spod gogli. – Wybaczcie strój, ale gdy otrzymałem wezwanie, grałem właśnie pilota niemieckiego lotnictwa w Hollywood. Ze też filmy o wojnie nigdy się nie znudzą. Ale lubię grać pilotów. To ciekawe role. Lubię też ten strój. Nawet sobie nie wyobrażacie, jaką furorę zrobił, gdy pojechałem w nim na narty do Saint Moritz. Ale wsiadajcie, wsiadajcie, czas nagli.

Sonia wdrapała się na wierzchowca i pociągnęła za sobą Lenny’ego. Włoch chwycił jeden z czerwonych garbów i natychmiast oderwał ręce jak oparzony.

– Nie bój się. To tylko ogrzewanie. Wielbłądy pustynne magazynują wodę w garbach. Wielbłądy śnieżne – energię i ciepło. Im szybciej biegną, tym więcej energii mogą zgromadzić. Dlatego bardzo je lubię. Są znacznie lepsze od wielbłądów pustynnych.

– Są wielbłądy śnieżne?

– Nie uczyliście się przyrody? – udał zdziwienie staruszek i uśmiechnął się zawadiacko.

– Pani od przyrody mnie nie lubiła – wyznał Lenny.

– A panie od przyrody kogoś lubią?

Wielbłąd pomknął w kierunku domu. Wydawało się, że płynie ponad śniegiem. Poruszał się szybciej niż śnieżny gepard.

– Uratujesz nas? – zapytała Sonia.

– Może hokeista was uratuje.

– Hokeista?
– Dużo od niego zależy.
– Nigdy nie ufałem hokeistom – wyznał Lenny. – Wolę piłkę nożną.

– On też, niestety, ale miał szansę zmienić losy tego sportu. Wybrał sprawiedliwość, odwagę i walkę o miłość. Chwali się, jeśli można pochwalić głupotę. No ale dzięki temu może przeżyjecie.

– Może? – Sonia westchnęła.

– Kto wie. Trzeba wierzyć w cuda. Gdybym nie wierzył, nigdy nie stworzyłbym mojego latającego chomika. Nawet nie wiecie, ile zależy dziś od chomików.

Z kieszeni płaszcza wyjrzało małe, zabawne stworzenie, przypominające chomika, tyle że ze skrzydłami.

Dojechali do domu, starzec zeskoczył na werandę i ponaglając ich, ruszył do drzwi. – Szybko. Musimy się zabarykadować i zamknąć w schronie.

– Nie mamy schronu.

– Mamy – oznajmił staruszek. Nacisnął coś w ścianie, co spowodowało otwarcie się włazu w podłodze. Wcześniej był całkowicie niewidoczny. – To schron przeciwoatomowy. Powinien wytrzymać. Szybko.

Zamykali włącz, gdy nad pustynią wybuchł pierwszy pocisk atomowy. Światło stopiło śnieg i rozświetliło przestrzeń porażającą bielą. Chwila ciszy przemieniła się w potężny huk i fala uderzeniowa zmiotła domek z zawartością. Włazu jednak nie tknęła. Patrzyli, jak rozgrzewa się od ciepła szalejącego na zewnątrz.

– Lepiej zejdźmy niżej – zaproponował staruszek. Zeszli do piwnicy urządzonej w stylu secesyjnym.

Składała się z trzech niewielkich pomieszczeń. W każdym było łóżko, a w największym telewizor, kamera wideo, konsola do gier i całkiem niezłe wyglądająca biblioteczka. Lenny podszedł do niej i próbował przeczytać nazwiska kilku autorów. O mało nie połamał sobie języka.

– CIA stwierdziło, że warto kilku z nich wstawić do schronu przeciwoatomowego.

- CIA? Ten schron przygotowała CIA?
- A co myśleliście? że zostawią was tak w spokoju? Ech, gołąbeczki. CIA nie zostawia nikogo, do kogo się już dobrali. Cały czas byliście pod obserwacją.
- Wiedzą, że do nas przybyłeś?
- Sami mnie przysłali.

Rozdział 39

Pocisk był już prawie w głowie Siergieja, gdy sanie podskoczyły na wyboju i krążek zamiast w demona uderzył w Angelikę, urywając jej głowę, i zniknął w chmurze. Potężny atomowy wybuch rozerwał przestrzeń, uderzając gorącym w twarz Bastiana.

Chłopak widział już, że spudłował i się przeraził.

Siergiej roześmiał się, przeskoczył na pierwszą pumę w zaprzęgu i zamienił się w herosa Asmodeusza. Demoniczna postać urosła dwukrotnie i Bastian, czując już co prawda lekki strach, pomyślał: większego będzie łatwiej trafić!

Zapis „Księgi kłamców” nie mógł być przecież przypadkowy.

Sięgnął do podajnika, chwycił drugi krążek i rzucił przed siebie, jednocześnie biorąc zamach magicznym kijem. W tej samej chwili Asmodeusz wykonał nagły zwrot, obrócił się, otworzył usta, jakby ziewał, a z nich wypłynął ognisty jęzor rzucający płomień.

Bastian uchylił się w ostatniej chwili, czując żar żółto-czerwonych języków i o mały włos nie stracił drugiego pocisku. Na szczęście kij zareagował odpowiednio, podbijając słoneczne przeznaczenie. Bastian wziął kolejny zamach i wymierzył krążkiem wprost w potwora. Sanie skoczyły gwałtownie do góry wskutek szarpnięcia ciągnących je dzikich kotów.

Pocisk przeleciał tuż pod nimi, w ostatniej fazie lotu trafiając w płożę. Atomowy wybuch rozerwał sanie na drobne kawałki, a Asmodeusz wraz z Anną, bezgłową Angeliką i Iną wylądowali w zaspie.

Demon płonął i syczał, wydzielając masy trującego dymu.

Stał w rozkroku, wydawał się zaskoczony obrotem spraw i ogłuszony wybuchem. Czekał na ostateczny cios. Bastian miał już w dłoni ostatni krążek. Ucałował go i szepnął:

– Czas kończyć!

Rzucił krążek, wziął zamach i uderzył.

Pocisk leciał wprost w serce demona. Asmodeusz chwycił go w ostatniej chwili i kiedy przerażony Bastian myślał już, że go odrzuci, potwór wziął krążek do ust i połknął.

Zdławiony wybuch zabrzmiał jak pacnięcie nauczycielską linijką o dłoń ucznia. Asmodeusz uśmiechnął się promiennie lśnącymi od atomowej reakcji zębami, a z jego uszu wyleciały promieniotwórcze opary.

Bastian stanął oniemiały. Nie tak miało być. Nie tak podawała „Księga kłamców”!

Asmodeusz otrząsnął się i ruszył na chłopca, rzucając przez ściśnięte zęby:

– Moja kolej!

– Pracujesz dla CIA? – zapytał Lenny.

– A któż dla nich nie pracuje? Każdy szaleniec mordujący komunistów powołuje się na pracę dla Agencji, a każdy fanatyk udaje, że chce ją zniszczyć, po czym na przesłuchaniach, wspomaganych metodą wodną, zapiera się, że kazali mu to zrobić agencji CIA. Agencja jest potęgą i basta. Ma więzienia, ropę naftową, największy zapas prezerwatyw i kocha Baracka Obamę. Przeczuję, że jeśli kiedyś jeszcze stanę twarzą w twarz z Bogiem, to on na koniec wyjmie legitymację i powie: jestem z CIA.

– To chore – syknęła Sonia. – Gdy się ostatnio widzieliśmy, nie pracowałeś dla nich.

– Istotnie. Wtedy właśnie wpadłem na pomysł, by zostać podwójnym agentem. Zainstalowałem w waszym domu minikamery i podesłałem do was kilku innych agentów. Byliście pod ścisłą kontrolą. Agencja nigdy jeszcze nie obserwowała wymyślonych postaci literackich, więc będzie to dla niej nieocenione doświadczenie.

Przez chwilę zapadło krępujące milczenie.

– Powiedziałaś to – rzekł w końcu z rezygnacją Lenny.

– Co takiego?

– Ze jesteśmy postaciami literackimi.

Czując ziemię drżącą pod stopami, starzec się skulił. Wybuch na zewnątrz rozgrzał ponownie właz do schronu.

– Drugi pocisk zniszczył sanie. Demon wydaje się bliski pokonania. Klęczy na rozpalonej ziemi i czeka na ostateczny cios „słoneczka”.

– Kim jest demon? – zapytała Sonia.

– Kimś, kogo nie chcesz poznać, już lepiej poznać „słoneczko”. To ktoś znacznie gorszy od waszych najczarniejszych snów. To mroczna mara świata. Daleki historyczny cień przeszłości. Koniec końców. Demon nad demonami. Ma wiele imion, a najbardziej znane brzmi Asmodeusz. Walczy z nim chłopak o czystym sercu, odważny i uparty, lecz skazany na porażkę. Pozornie. Tak jak pozornie wydaje się, że już wygrywa. Właśnie dokonuje dzieła, wykonując wyrok. Zapomina, że demony potrafią zjadać wybuchy atomowe. Uwaga!

Ostrzegł ich w porę, by przygotowali się na ostatni już tej nocy wstrząs.

– Teraz kolej na demona.

Asmodeusz chwycił Bastiana za głowę i próbował ją urwać, ale nie miał dość sił. Nie mógł rozerwać kostiumu hokejowego skorpiona.

– Co u licha? – wrzasnął z wściekłością i spróbował jeszcze raz.

W przeszłości burzył mury kościołów i wieże zamkowe. Potrafił spalić całe miasto oddechem i sikaniem spowodować powódź stulecia. Był wszechmogący. A jednak nie potrafił rozerwać pieprzonego kostiumu hokeisty ze skorpionem na piersi.

Podrzucił bez trudu ciało Bastiana do góry, uderzając z całą demoniczną siłą w pierś ofiary. Heros-hokeista uderzył w ziemię, żłobiąc w niej ogromny krater. Asmodeusz pochwyił go ponownie i próbował rozerwać, po czym wściekły na swą niemoc, uchwycił głowę przeciwnika zębami, starając się ją odgryźć.

Próżne były jego wysiłki.

– Kto ci zrobił ten kostium? – zapytał w końcu, przybierając ludzkie ciało Sergieja. – Mów, chłopaku, zanim cię wykończę radzieckim sposobem!

Bastian roześmiał się. Ciosy Asmodeusza nie czyniły mu szkody, ale były też całkowicie bezbolesne. Kostium chronił go jak boski całun.

– Nigdy się nie dowiesz – rzekł, rzucając się na Rosjanina.

Sergiej bez trudu zablokował słaby cios i zręcznym chwytem powalił Niemca na ziemię. Dotknął skroni Bastiana i wydawało się, że czyta w jego myślach. Uśmiechnął się słabo.

– A więc to znówu ten tchórz Cimeies. Cholerny bękart! Pomiot, drań, oszust!

Bastian zadrżał.

– Tchórz! Przeklęty tchórz! Nigdy sam nie przychodzi, tylko zawsze wysyła mi jakieś pokraki, które mordują bez większego trudu. Dlaczego nigdy nie przyjdzie osobiście? Dlaczego?

– Wierzę w ludzi. CIA też wierzy w ludzi. Dlatego nigdy sama nie staje do otwartej walki, tylko wysyła jednych na drugich. Stara się skłócić sąsiadów i poróżnić przyjaciół. Wkracza tam, gdzie jest niewiara i niepewność. Pozwólcie, że opowiem wam pewną historię. Otóż dawno temu, kiedy słońce nie dostało jeszcze motorka w tyłku i siedziało na swoim miejscu na niebie, czyniąc wieczny dzień, na pustyni Negew żył lud Moabitów. Lud ten żył w szczęściu i dostatku, wielbiąc boga Hassima i boginię Rasiję.

Moabici, oddaleni od innych wojowniczych nacji, niezagrożeni przez dzikie zwierzęta i kataklizmy, byli ludem wyjątkowo pokojowym i niezdolnym do walki.

Żyli miłością, mnożyli się i uprawiali sztukę.

Ich mężczyźni zajmowali się głównie rzeźbieniem i tkactwem, kobiety zaś malowały na ścianach i układały piękne pieśni na cześć Hassima i Rasiji.

Pewnego dnia do wioski Moabitów zawitał mężczyzna o skórze białej jak krokodyl z rzeki Saar. Był wycieńczony i

ledwie żywy. Padł na głównym placu i pozwolił się zanieść do namiotu wielkiego maga, gdzie go opatrzono i poddano wielu uzdrawiającym zabiegom.

Po tygodniu zbudził się ze śpiączki, a po dwóch już normalnie rozmawiał z dziewczętami i chłopcami Moabitów. Przynosili mu owoce i słodkości, narzucając się ze swoimi wdziękami, gdyż ciało białego mężczyzny wydawało im się piękne i wspaniałe. Gdy mijał trzeci tydzień (odmierzany przez mrugnięcia okiem wiszącego ciągle na niebie słońca), mag generał wezwał chłopca na posiedzenie rady starszych i zapytał:

„Jak ci na imię, biały przybyszu?”

„Jestem Hassim” – odparł.

Przez radę przeszedł niespokojny szmer.

„Czy wiesz, że tak nazywa się nasz bóg?”

„Tak. Jestem waszym bogiem”.

Rada ponownie zaszemrała. Nie wierzyli mu, ale też nie mieli dowodów na to, że kłamie. Przybysz był inny i biały. Może więc był bogiem. Wszyscy oprócz maga padli na ziemię i składali bogu pokłony. Czarownik, zaniepokojony tym, że nie przewidział jego nadejścia, zapytał ostrym tonem:

„Dlaczego do nas przybyłeś?”

„Obiecałem ci wcześniej we śnie, że przybędę, choć zakazałem mówić o tym twemu ludowi” – powiedział przybysz i mrugnął okiem.

Czarownik padł na kolana i wykrzyknął:

„Oto jest nasz bóg, ludu Moabitów. Pokłońmy się mu i słuchajmy go!”

Hassim ustanowił maga swoją prawą ręką i zaczął bez przeszkód korzystać z boskości, uwodząc wszystkie kobiety, a następnie mężczyzn. W końcu zebrał lud na placu i powiedział:

„Wiecie dlaczego się u was zjawiłem? Zostałem strącony z tronu przez Rasiję, która mnie zdradziła i pokonała podstępem. Jeśli nie chcecie podzielić mojego losu, powinniście wymordować wszystkie kobiety. Inaczej one was wymordują”.

I sam własnoręcznie zabił ostatnią kochankę. Czarownik poszedł za jego przykładem, a w ślad za nim inni mężczyźni. W

ten sposób plemię Moabitów pozbawiło się kobiet i przyszłości. Szybko ginęli z tęsknoty za pięknem i miłością. Hassim zaś wcale nie był ich bogiem, tylko sprytnym szpiegiem ludu Kraqqów, którzy zaatakowali osłabionych sąsiadów i wybili w pień. Tak właśnie historia nauczyła mnie, by wykorzystywać innych do własnych celów. Ale powiem wam, że jest w tym pewna pułapka. Lud Moabitów odrodził się potem nie wiadomo skąd nad brzegami Morza Martwego, Kraqqowie zaś wyginęli i nikt o nich nie pamięta. Oczywiście poza CIA, od której nauczyłem się wielu podstępnych metod. Ale wciąż wierzę w ludzi. Wierzę, że mogą pokonywać demony. Wy też powinniście wierzyć! Nie ma nic lepszego od wiary. Potrafi pokonać największe i najsilniejsze demony.

Rozdział 40

– A teraz giń, głupcze – rzekł Siergiej, wyciągając niewielki nożyk. To specjalne ostrze na magiczne kostiumy. Wystarczy wyszukać łączenia i wbić go w nie.

Wyszukał, przymierzył, zamachnął się, unosząc trzymane oburącz ostrze nad głową.

I wtedy jego pierś pękła, zalewając twarz Bastiana czarną krwią. Chłopak patrzył, jak oblicze Siergieja przyjmuje raz radziecki, lekko rumiany wyraz, to znów mieni się brązami Asmodeusza.

Demon zawył okrutnie i opadł obok Niemca, całkowicie bezbronny, oczekując na dobiecie.

Bastian nie wiedział, co się stało, podejrzewał, że to sprawka staruszka, tajemnicza pomoc z zaświatów, innego wymiaru. Ale tak nie było, co zrozumiał, gdy spojrzął na sanie.

Obok rozbitego pojazdu leżała bezgłowa Angelika, a na niej Anna, którą podtrzymywała za rękę Ina. Malarce coś wystawało z piersi i po chwili rozpoznał rękojeść noża.

Zostawił umierającego demona i podszedł do kobiet.

– Wbiła sobie nóż serce – powiedziała Ina. – Żeby cię uratować. Stworzyła demona i tylko ona mogła go zabić.

Jednak nie potrafiła tego zrobić w myślach. Za bardzo nią zawładnął. Za bardzo ją opanował. Anno, nie umieraj! Anna z trudem otworzyła oczy.

– Jeśli nie umrę, on też wróci.

– Znajdziemy sposób.

– Nie. Jedynym sposobem jest śmierć.

– Śmierć nie jest ostateczna.

– Tak jak słowo i cierpienie. Trafiają do umysłu i tam giną, ale nie znikają. Nasz umysł powiela je ciągle i na nowo.

Bastian uklęknął przy Annie i chwycił jej dłoń. Mimo całej nienawiści i wściekłości, ogarnął go bezmiar współczucia. Łzy

popłynęły z oczu.

– Nie płacz, przystojniaku – uśmiechnęła się Anna. -Masz przed sobą coś pięknego, piękne życie u boku niezwyklej osoby. Ty, Ino, także nie odrzucaj względów tego, który potrafił porzucić wszystko, by cię ratować. Ino, Bastianie, kochajcie się.

Ina sięgnęła po dłoń Bastiana i uchwyciła ją mocno. Uśmiechnęła się przez zaciśnięte zęby. Skinęła głową, jakby przyzwalając Bastianowi na pocałunek.

– Wystarczy już, bo za chwilę umrę – napomniała ich Anna.
– A przecież chcecie poznać zakończenie tej historii. Chcecie wiedzieć, co było łgarstwem, a co prawdą? Chcecie zanurzyć języki w słodko-gorzkim słoju z wiedzą tajemną? Chcecie?

– O tak – wykrzyknęli oboje.

– No to słuchajcie!

Rozdział 41

Ostatni wybuch dawno już przebrzmiał. Właz schronu pulsował jeszcze oddechem demonicznej wojny rozgrywanej na zewnątrz. Lenny i Sonia trwali w mocnym uścisku. Przez chwilę wydawało się, że znikną. Że rozplyną się w powietrzu, ich ciała i dusze spali podmuch atomowej katastrofy. Jednak tak się nie stało. Teraz, gdy wszystko ucichło i zdawało się, że jest po walce, Lenny dokładnie przyjrzał się Soni i sobie. Miał wrażenie, że dziewczyna jest nieco łżejsza, bardziej przejrzysta. Przez swoją skórę widział kontury mebli w pomieszczeniu i wiecznie uśmiechniętą twarz staruszka.

- Poczekajcie – rzekł przybysz i chwycił telefon komórkowy.
- Mam coś do załatwienia.

Czekał przez chwilę na połączenie, a potem mówił przez dłuższy czas w nieznanym języku. Roześmiał się kilkakrotnie, zmieniał ton, a w końcu powiedział po angielsku:

– Tak, dobrze mnie zrozumiałeś. Wszystkie obrazy Anny Blume będą za chwilę warte 40 procent więcej. Dlaczego? Jak to dlaczego? Jeśli jakiś artysta umiera, jego dzieła natychmiast zyskują na wartości. Tak więc nie zastanawiaj się dłużej i nie podawaj w wątpliwość moich słów. Dobrze ci radzę, wszystkie wolne środki zaangażuj w obrazy Anny Blume. Nieważne, ile będą kosztowały. Szybko zyskają na wartości.

Spojrzał na Lenny'ego i Sonię, którzy byli już ledwie widoczni, i wyjaśnił:

– Dzwoniłem do pewnego bankiera inwestycyjnego. Obiecałem mu kiedyś cynk, gdy będę miał pewność co do jakiejś transakcji. Bankier, widząc moją moc, poprosił o tę jedną jedyną przysługę.

– Powiedziałeś mu, że Anna umrze – stwierdził Lenny. Staruszek skinął głową.

- Więc to koniec?

– Prawie.
– Przeżyliśmy – stwierdziła Sonia.
– Nie cieszyłbym się przedwcześnie. Anna jeszcze żyje.
– Ma umrzeć?
– Tego nie wie nikt.
– Ale jeśli przeżyje, demon też może się odrodzić.
– Asmodeusz wpełza teraz jak wąż pod głaz, gdzie będzie lizał rany i skomlał o litość. Długo to potrwa, może całe wieki.

– Jeśli Anna nie umrze teraz, to i tak kiedyś umrze. A my wraz z nią. Lepiej żeby zabiła Asmodeusza.

– Nie do końca. Wystarczy, że ktoś spisze waszą historię, a będziecie żyć wiecznie. Śmierć jest tak samo umowna jak cierpienie. Już wam przecież mówiłem. Liczy się tylko wiara. A Asmodeusz? Co bym począł, gdybym nie miał takiego przeciwnika, gdybym nie mógł się z nim jeszcze kiedyś zmierzyć? Och, gdy patrzy się w przyszłość, można uznać, że nasza rywalizacja rysuje się doprawdy intrygująco. Dawniej ludzie naparzali się na miecze, dziś podobną radość przynosi im Call of Duty. Technologia daje tyle możliwości, tyle wspaniałych perspektyw. Oczywiście, demon kiedyś i tak by się odrodził, bo zawsze się odradza. Zawsze znajdzie się umysł podatny na jego słowa. Demony nigdy do końca nie giną.

Lenny pogłaskał Sonię po głowie i przytulił się do niej. Powoli odzyskiwała dawne kształty. On też odzyskał swoją pierwotną postać.

– Udało się.

Staruszek uśmiechnął się promiennie i klepnął w kolana.

– A nie mówiłem? Wiara czyni cuda. No nic, na mnie już czas.

– Gdzie się wybierasz?

– Przed siebie. Myślę o Islandii. Lubię bywać tam, gdzie rodzą się kryzysy i wybuchają wulkany. Lubię kraje, w których banki częściej bankrutują niż ludzie. A niedawno okazało się, że lubię też śnieg i mróz. Islandia ma wiele do zaoferowania.

Lenny odprowadził go do wyjścia. Pchnęli wspólnymi siłami włącz i wydostali się na pustynię. Dom był doszczętnie zniszczony. Na pustyni nie było niczego.

Zniknął też śnieg. Piasek, skały i resztki traw miały czarny kolor spalenizny, a po ciemnych chmurach i błyskawicach zostały tylko smugi.

Nie wiadomo skąd pojawił się śnieżny wielbłąd, który zrzucił skórę, zamieniając się w czarnego wierzchowca pełnej krwi.

– O tak – powiedział staruszek, dosiadając go. – Uwielbiam czarne ogiery i jazdę konną po pustyni. Czuję się wtedy jak wiatr. Żegnajcie.

Lenny podrapał się po głowie, najwyraźniej zażenowany.

– Co cię trapi, synu?

– Cóż, powiedziałeś temu bankierowi, że Anna umiera. Żeby zainwestował wszystkie pieniądze, bo ona umrze i jej dzieła będą teraz warte znacznie więcej.

– To prawda. Tak powiedziałem.

– Powiedziałeś prawdę?

Staruszek nieoczekiwanie zsiadł z konia i zapytał:

– Macie ochotę na jeszcze jedną, ostatnią już opowieść?

Rozdział 42

– Kiedyś, dawno temu, miałam na imię Kora – zaczęła swą opowieść Anna. – Byłam córką rosyjskiego dysydenta i jego pięknej żony Weroniki, tancerki baletowej. Wszystko, co opowiedziałam wam wcześniej o Siergieju, narciarzu Jorgu i innych zdarzeniach, było poniekąd prawdą. To części mojego życia, które odnajduję, jak śmieci na każdym kroku. Bez względu na to, czy przechadzam się ulicą, kulę pod kocem na plaży w jesienny dzień, zaciskam mocno oczy w pustej sali kina, wyświetlającego stare filmy, oni zawsze nadchodzą. Siergiej, ojciec biednej Kory, jego rozpustna żona i jej niecny szwedzki kochanek-narciarz. Często łapię się na tym, że obserwuję kogoś obcego i po chwili w tej postaci zamiast zwykłego przechodnia widzę jedną z tych postaci. Jednego z moich osobistych demonów. Zdarza mi się chodzić za kimś bez specjalnego celu i zawsze ten ktoś prowadzi mnie do domu ukrytego w cieniu amerykańskich jodeł, gdzie rozegrał się pierwszy akt dramatu.

Zaprzyjaźniłam się kiedyś z dziewczyną z magistratu, z którą chodziłyśmy razem na lekcje zumbi. Była to bardzo miła dziewczyna. Gdy dowiedziała się, kim jestem i wyszukała mnie w internecie, nagle przestała się odzywać i generalnie nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Zaczęłam się niepokoić, co ze mną mogło być nie tak, bo przecież coś musiało. I kiedyś zapytałam ją o to. Bardzo się zmieszała i odparła, że nic się nie zmieniło. Ona po prostu nie może ze mną rozmawiać, bo zawsze bardzo denerwowała się wystąpieniami publicznymi, a rozmowa z osobą publiczną to prawie to samo co występ publiczny. Była piekielnie stremowana, a ja nie mogłam nic na to poradzić. Pewnego dnia dla żartu poszłam do jej biura i poprosiłam o sprawdzenie mojego domu. Powiedziałam mojej fitnessowej przyjaciółce, że zaszłam w ciążę z właścicielem i

czekałam na jej decyzję. Mimo że nie chciała już mieć ze mną nic wspólnego, złamała dla mnie prawo i sprawdziła wskazany adres. Powiedziałam jej, że jestem w ciąży, a ona udą, że w to wierzy. Nigdy więcej jej nie widziałam. Musiała zmienić miejsce treningów, a może po prostu umarła ze strachu.

Przepraszam, że uciekłam od tematu i opowiedziałam wam o tym, ale ta historyjka pokazuje, jakim byłam dziwadłem. Jakim nie przestałam być.

Kora – bo to od niej się wszystko zaczęło – była niezwykłą dziewczyną, która potrafiła przesuwac rzeczy siłą woli, lecz jednocześnie upośledzoną i niezdolną do komunikacji ze światem.

W mojej opowieści było jednak parę przekłamań.

Siergiej nie był moim ojcem.

Tak naprawdę był nim radziecki lekarz i naukowiec, który poznał mamę w trakcie eksperymentalnego programu szczepień przeciw grypie, przeprowadzanego na dalekiej Turkmenii.

Uczestnicy programu mieli absolutny zakaz uprawiania seksu i rozmnażania się. Miłość jednak jest zbyt wolna, by szanować zakazy. Ojciec lekarz i moja mama kochali się zatem płomiennie, nie zważając na konsekwencje. Zostałam więc poczęta – upośledzona i niezwykła zarazem.

Mama nie zdołała odnaleźć potem ojca. Adres i wszystkie dane, które jej dał, okazały się fałszywe. Biedna, łatwowierna, zapatrzona w miraż na horyzoncie tancerka. Pomyślała, że podał nieprawdziwe informacje, gdyż uczestniczył w tajnym projekcie rządowym. Wspominała jego czule dłonie, tak cudnie prowadzące ją do spełnienia, jego dotyk i szept płynący w nocnej ciszy. Nie mogąc zapomnieć i cierpiąc z miłości, szukała więc go za pośrednictwem prasy i telewizji, dzwoniła po szpitalach i wpływowych przyjaciółach, udą się nawet do sekretarza partii, który był przyjacielem jej ojca. Ten zaś polecił, by skierowała się do pewnego młodego oficera KGB, który zgodził się odszukać kochanka.

Oficer nie pojawiał się przez miesiąc, a potem przybył w towarzystwie dwóch innych wywiadowców. Pojmali mamę,

związali, zakneblowali, a potem po kolei zgwałcili. Po wszystkim kazali jej pić wódkę i palić papierosy. W końcu polecony przez przyjaciela ojca oficer zapytał:

„Kto więc jest ojcem dziecka?”

„Już wam przecież mówiłam. Ojcem jest doktor Pietia Paszukow, człowiek o dłoniach czyniących cuda, jedynych takich w całym świecie, członek partii, lekarz zakładowy Fabryki Maszyn Bojowych i dobry człowiek. Przynajmniej tak się przedstawiał. Ale nawet jeśli podał fałszywe nazwisko z powodu tajności projektu szczepień, to wy, kochani towarzysze, z kochanego KGB, powinniście o tym wiedzieć”.

Wywiadowcy ponownie ją zgwałcili i kazali jej pić wódkę i palić papierosy.

„Zlitujcie się, to szkodzi dziecku”.

„Radzieckim dzieciom nie szkodzą nasze fujary, nasza wódka i nasze papierosy. Chyba że to nie radzieckie dziecko, tylko imperialistyczne. Gadaj, z kim się puściłaś!”

Znów opowiedziała im to samo, lecz i teraz jej nie uwierzyli.

Trzeciego dnia w końcu wywiadowcy się wynieśli i został z nią tylko znajomy przyjaciela ojca. Pijany i wykończony gwałtami, zaczął śpiewać tak pięknie, że mojej mamie zrobiło się źlej na duszy. Nagle rzucił się na kolana, przeproszał ją za wszystkie krzywdy, całował i obiecywał, że złoży jej u stóp cały świat, jeśli tylko za niego wyjdzie. Prawdziwa radziecka dusza. Pijak, rozpustnik, okrutny gwałciiciel i poeta z zapalem cytujący Puszkina. Znienawidzony i kochany. Wzbudzający grozę i podziw. Zachód kocha Rosję, za jej kontrasty i za miłość, która przyjmuje tak różne oblicza. Która z kieliszka przelewa się na wieszczy, śpiewane pełną piersią pieśni, by sięgnąć kosmosu. Jej niedawny oprawca, teraz na kolanach, był gotów sobie palnąć w łeb albo rozebrać się do naga i popłynąć po nieboskłonie do pierwszej z gwiazd, by jej ją przywieść. Taki był.

Mama, przerażona, zatroskana i onieśmielona, zgodziła się.

Przez parę następnych lat ona i Siergiej, który był owym agentem, nie rozmawiali o moim prawdziwym ojcu.

Siergiej został wysłany z misją do Wiednia. Miał udawać

dysydenta i społecznika, w rzeczywistości zaś pracował dla radzieckiego wywiadu. Niektórzy mówili dużo później, że po pierestrojce i zmianach w KGB tak bardzo wczuł się w rolę, że stał się prawdziwym dysydem, grającym tylko rolę podwójnego agenta. Nocami upijał się i mamrotał do butelki:

„Kiedyś zostanę prezydentem matuszki Rasiji. Ze niby agent nie może być prezydentem? Nie w Rasiji! A co to, jesteście gorsi niż Amerykańce?”. Kiedy byłam mała, niczego nie rozumiałam. Kochałam go jak ojca i nie wiedziałam o podłościach i zdradach. On zaś udawał miłość do mnie, miłość bezwarunkową, ojcowską, najsilniejszą z silnych. I podczas gdy matka czasem dawała upust złości na moje kalectwo, Siergiej wydawał się je akceptować w całości i bez najmniejszego grymasu. Byłam jego perełką. Chcąc pokazać, jak bardzo go kocham i rozumiem, zaczęłam robić różne cuda i przesuwać przedmioty siłą umysłu, co początkowo go nawet cieszyło, ale w pewnym momencie zaczął przebąkiwać coś o oddaniu mnie do kliniki na badania, żeby te moce wykorzystać, i wtedy zaprzestałam to robić.

Tak czy inaczej, kochałam go ponad życie.

Dlatego z taką wściekłością zaczęłam reagować, gdy w naszym domu pojawił się szwedzki narciarz Jorg. Znalazł świetny sposób, by wkraść się w łaski mamy. Na jednym z przyjęć w pewnej ambasadzie niby mimochodem, zdawkowo napomknął, że będąc w Rosji, wjechał na minę i jego zdolności narciarskie z pewnością by przepadły, gdyby nie pewien genialny lekarz o cudownych dłoniach.

„Jak się nazywał ów lekarz?” – zapytała moja matka, jakby przeczuwając, że oto nadszedł dzień, w którym płomień sprawiedliwości spala wszystkie kłamstwa.

„Pietia Paszukow” – powiedział z doskonale udawaną obojętnością.

Moja matka Weronika rzuciła się do Jorga i zamknęła mu usta dłonią, choć go ze szczęścia miała ochotę pocałować. Piękny Szwed nagle przywołał wszystkie wspomnienia, wszystkie wzloty serca, porywy rozpalonego do białości ciała, uciekającej spod stóp w chwilach uniesień ziemi. Pochwyciła go

za ramię i wyprowadziła w ustronne miejsce.

„Musisz mi wszystko opowiedzieć, tu, natychmiast”
-zażądała.

Jorg wiedział jak dawkować napięcie i uwodzić kobiety. Sam był w tym nie mniejszym mistrzem niż Pietia Paszukow, jakkolwiek się naprawdę nazywał. Powiedział więc Weronice co nieco, by ją utwierdzić w przekonaniu, że rozmawiają o tej samej osobie:

„Niemłody był, z wąsem, wyglądał na staruszka, ale gdy się ujmowało jego dłoń, czuło się siłę bohatera Związku Radzieckiego. Był jak zablocony rumak, który śpi zmęczony na polanie po długim biegu, ale wystarczy odrobina ożywczego deszczu, by ruszył znów na prerię, dziki, wolny, odmłodzony. Taki był właśnie Pietia Paszukow i jego dłonie czyniące cuda”.

„To on, to on. Bez wątplenia” – wykrzyknęła Weronika i już była jego, już jej ciało i dusza należały do Jorga, choć o tym nie wiedziała.

Umówili się na jedno spotkanie, potem na drugie i trzecie. Jorg mówił Weronice o Pietii, z którym się rzekomo zaprzyjaźnił, jednocześnie zbliżając się do pięknej Rosjanki i uwodząc ją przypadkowymi spojrzeniami i dotknięciami.

„Musisz wiedzieć, Weroniko – powiedział jej pewnego dnia – że zaprzyjaźniłem się z Pietią, wręcz się w nim zakochałem jak brat, jak przyjaciel krwi, dlatego tak bardzo mnie zabolalo to, co się z nim stało”.

„Mów, nie daj mi dłużej czekać!”

„Wiem, że to cię zabolilo, a może nawet zabije. Dlatego nie mogę powiedzieć”.

„Lepsza śmierć, niż niewiedza”.

„Przynajmniej nie tak po prostu”.

Objął więc Weronikę, utulił w silnych ramionach i wyznał, że Pietia zginął kilka lat temu w jego domu w Sztokholmie.

Kiedy Weronika wypłakała już wszystkie łzy, zapytała:

„Jak to się stało?”

„Był u mnie w gościnie. Chodziliśmy razem do teatru – Pietia uwielbiał teatr – siedzieliśmy nocami w knajpach, pijąc wódkę i rozmawiając o sztuce, kobietach, miłości. Tak, wtedy

opowiedział mi również o tobie, o dziewczynie z uśmiechem, którego się nie zapomina (dzięki czemu cię poznałem) i włosach tak grubych, że można by na jednym powiesić skazańca. Opowiedział mi, jak czuł, że to miłość życia, i jak musiał ją porzucić, by ochronić ukochaną”.

„Ochronić, tak mówisz?”

„Tak, był lekarzem zaangażowanym w najbardziej tajny z tajnych projektów, a jednocześnie nie był wiernym synem Rosji, przeczuwał upadek komunizmu i dlatego zaczął kolaborować z zachodnim wywiadem. Przekazywał mu tajne informacje, a kiedy zdał sobie sprawę, że KGB wpadła na jego trop, uciekł do mnie, do Szwecji”.

„Boże, co ja narobiłam. To przeze mnie musiał uciekać”.

„Nie – zaprzeczył Szwed. – Już wcześniej go podejrzewano, twoja osoba nie miała na to wpływu. W każdym razie musiał uciec, a ja – tak, Anno, muszę ci się przyznać, że działałem na zlecenie szwedzkiej służby kontrwywiadu SAPO – zapewniłem mu ochronę, ale ochronę wspartą przyjaźnią. Pewnego dnia jednak twoi rodacy go dopadli. Zjawili się we trzech, gdy mnie przy nim nie było, gdy zwiedziony spokojem, sam udał się na spacer, bez żadnej ochrony, i bestialsko zamordowali, strzelając w tył głowy. Tak zginął Pietia Paszukow, bohaterski człowiek o cudownych dłoniach”.

Weronika poczuła, że jeśli jej ktoś teraz nie pocałuje, to umrze. Jorg spełnił niewypowiedziane życzenie, a potem kochał ją zimną, szwedzką miłością, która, o dziwo, wywoływała w kobiecym ciele płomień zupełnie podobny do tego, jaki wyzwała zarówno romantyczna, pijana miłość radziecka, jak i ognista gorączka latynoskich czy włoskich kochanków. Kiedy więc osiągnęła spełnienie, drżała i krzyczała niemal tak głośno jak w chwilach, gdy oddawała się na podłodze w laboratorium nieboszczykowi Pietii Paszukowowi i jego cudnym dłoniom.

Może nawet tak pomyślała, że oto jest w ramionach pięknego lecz zimnego Szweda, ale w tym oszronionym sercu, w tych wielkich topornych dłoniach drzemie dusza jej dawnego ukochanego.

Po wszystkim chciała jak najszybciej umknąć, zanurzyć się samotnie w wannie i wspominać, ale Jorg nie pozwolił na to.

„Musisz wiedzieć coś jeszcze – powiedział. – To Siergiej był mordercą Pietii, to on i jego dwaj siepacze, którzy wraz z nim potem cię gwałcili, zamordowali Pietię”.

Weronika najpierw zapragnęła zabić Jorga. Potem zemdłała, a kiedy odzyskała przytomność, pomyślała, że gdy tylko zobaczy Siergieja, zamorduje go.

„Nie rób tego – poprosił Jorg. – Świat potrzebuje, by jeszcze żył. Możesz przecież zemścić się w inny sposób”.

Weronika nagle nabrała wątpliwości i zadała mu oczywiste pytania, z których najtrudniejsze brzmiało:

„Skąd wiedziałeś, że Siergiej i jego siepacze mnie zgwałcili? Przecież tego nie wiedział nikt”.

„Tak, Weroniko, słusznie się domyślasz. Jestem agentem wywiadu, który na prośbę CIA prowadził Pietię. Byłem jego przyjacielem i towarzyszem w szpiegowskiej misji. O twoich nieszczęściach wiedzieliśmy z innych źródeł, z kopii sprawozdań Siergieja, w których informował o postępach poszukiwań Pietii, a także o torturach, jakim zostałaś poddana. Nieprzypadkowo też pojawiłem się dzisiaj tutaj. Wciąż jestem agentem i nadal wykonuję misję”.

„Nawet teraz?” – zapytała Weronika, nieco już uspokojona. Czowała się wykorzystana, jednocześnie nie wiedziała, komu ufać i wierzyć. Jorg jednak wydawał jej się teraz bliższy niż Siergiej.

„Nawet teraz. Musisz udawać nadal dobrą żonę Siergieja i pracować dla nas, bo inaczej światu grozi zagłada. Jeśli to zrobisz, możesz uratować wiele istnień i zrobić coś wielkiego dla ludzkości”.

Wywiad szwedzki nie różnił się zbyt od CIA, KGB i Kościoła katolickiego w podnoszeniu rangi misji, jakie najwyższy powierza prostym ludziom.

Nie wiem, jak ważna była to misja, widziałam to następująco:

Do naszego domu zaczął przychodzić jurny szwedzki młodzik, który posuwał mamę, aż wióry leciały. Nie wiedziałam, że przy okazji ratują świat przed wyimaginowanym czy też prawdziwym potworem. Wiedziałam natomiast, że

przyprawiają rogi mojemu ukochanemu, dobremu ojcu, który z tego kompletnie nie zdaje sobie sprawy. Zaczęłam więc intensywnie myśleć o tym, żeby się zainteresował wiarogłomną małżonką, którą zdążyłam już zniechęcić. Gdy tak się nie stało, mój umysł wyrwał się spod kontroli i tworzył dziwaczne światy, będące pomieszaniem rzeczywistości z magią. W światach mojego umysłu wiele prawdziwych zdarzeń było kłamstwami, a światy przenikały się tak bardzo, że nie wiedziałam, który jest prawdziwy. Do dziś nie wiem. Ale światy te zaczęły się przenikać, zanim doszło do tej osławionej konfrontacji w naszym domu w Wiedniu. Gdy Siergiej nakrył Jorga z Weroniką, już nie wiedziałam, co jest prawdą i fałszem. Wzajemnie zaczęli się oskarżać, wyrzucając sobie działania dla nieczystych sił. W pewnej chwili Jorg powiedział, że nie jestem córką Siergieja i że to właśnie agent KGB jest zabójcą mego ojca, czego Siergiej nie zanegował. Mój ukochany ojciec był mordercą nieznanego prawdziwego ojca.

To chyba sprawiło, że umysł eksplodował.

Resztę właściwie znacie. Nikogo nie oszczędziłam.

Gdy przewieziono mnie do Ameryki i poddano kolejnym eksperymentom, nie wierzyłam, że to może się zakończyć. A jednak udało mi się stworzyć świat, który przeniknął do świata prawdziwego i dał mi szansę, odsyłając z powrotem do Europy.

Sonia dobrze to zaplanowała. Poczekwała na dogodną chwilę, czyli na jakiś kataklizm, i podczas gdy Stany nawiedził huragan Irene, doniosła jakiemuś internetowemu serwisowi, że Kora Jaszyn została zamordowana przez Rosjan. CIA nie pozwoliła, by ta wiadomość się rozniosła, jednak Sonia dopięła swego. Mogłam wyjechać, mogłam pozwolić umrzeć Korze Jaszyn.

Stałam się Anną Blume, skromną dziewczynką z przedmieść, która wynajęła strych kamienicy i rozpoczęła malarską karierę. Malowałam, nie oczekując sukcesu i nie starając się o niego. Miałam dość pieniędzy, by nie pracować.

Pewnego dnia, gdy niosłam płótna do oprawy, jakiś przechodzący Rumun zaatakował mnie i ukradł tubę z obrazami. Nie przejęłam się tym zbyt, aż do chwili kiedy włączyłam telewizję. Rumun był na wszystkich kanałach. Płakał

i błagał o przebaczenie kobiecie, której ukradł najpiękniejsze obrazy, jakie widział w życiu.

„Sam w Rumunii byłem kiedyś malarzem. Nigdy jednak nie zdołałem stworzyć takich... arcydzieł” – płakał.

Miliony widzów emocjonują się niezwykłą historią obrazów, które – skradzione przez rumuńskiego biedaka nieznaną artystkę – osiągają niebotyczne ceny w galerii Montparnasse, dokąd zaniósł je skruszony złodziej. Wszystkie telewizje poszukują malarki, której podpis widnieje na płótnach.

Znaleźli mnie po tygodniu. Rumun podał miejsce, w którym dokonał kradzieży, dziennikarze popytali przechodniów i sklepikarzy, w końcu zapukano do moich drzwi. Dziennikarka nazywała się Amanda i była piękną kobietą ze skrzywioną psychiką. Zaprzyjaźniłyśmy się, a nawet pokochałyśmy, aż w końcu Amanda – ścigana przez własne demony – odeszła. Ja zaś prowadziłam nadal swoje skromne życie sławnej już artystki i myślałam, że tak zostanie.

Demony jednak nie śpią. Czekają na swoją szansę. Wkradają się w nasze myśli i żądają haraczu, odrobiny uwagi i są w tym swoim żądaniu okrutne jak małe dzieci. Dasz im palec, chwytają dłoń. Opanowują was, przejmują wasze życie, z umysłu wypływają na ulicę i kroczą obok, towarzysząc wam wszędzie, znając wasze wszystkie, najbardziej skryte myśli. Sami tworzymy najgorsze strachy. Sami je wzmacniamy i czynimy tak potężnymi, jak prawdziwe potwory z horrorów z dzieciństwa.

Na wyprzedazy, wśród wielu zapomnianych ksiąg, znalazłam nigdy niewydaną powieść autorstwa anonimowej pisarki, opowiadającą moją historię. W rzeczywistości nie była to wcale powieść, tylko spisany w ukryciu pamiętnik mojej matki.

Stąd wiem o Jorgu, o prawdziwym ojcu i innych zmorach przeszłości.

Wtedy też, po przeczytaniu pamiętnika mój wypaczony, zmęczony ciągłymi zawodami umysł zaczął szaleć i przywołał Siergieja jako zniechęconego kochanka. Chciałam go

zamordować.

Gdy jednak się pojawił, szybko zrozumiałam, że nie jest prawdziwym Siergiejem. Był Asmodeuszem. Demon, przywołany w moich obrazach, podszył się pod człowieka, by oprószyć cierpieniem swego stwórcę.

I to właśnie on wyjawiał mi największą tajemnicę.

Otóż mojego rzekomego ojca Pietii Paszukowa nigdy nie było. Nie istniał. Siergiej zaś wcale go nie zabił, a całą tę historyjkę zmyślił Szwed, by pozyskać Weronikę dla siatki szpiegowskiej.

„Kim był więc mój ojciec?” – zapytałam demona.

„Powiem ci, jeśli mi się oddasz” – odparł przekłety zwyrodnialec.

„Jesteś uosobieniem siły i grozy. Sam przecież możesz mnie wziąć. Czemu tego nie zrobisz?”

„To nie to samo. Miłość za tajemnicę. Ludzie od wieków sprzedają miłość za tajemnice, czego nikt z nas, demonów, nie może zrozumieć. Dlaczego coś tak wielkiego jest dla was warte tak mało?”

Oddałam mu się więc, a potem zażądałam spełnienia obietnicy.

„Ma wiele imion, tak jak ja – odparł Asmodeusz paląc skręta. – Od wieków toczymy ze sobą dysputy, rzekłbym nawet, spory, ale nigdy nie pomyślałem, że los będzie tak łaskawy, bym mógł przelecieć jego córkę. Otóż to, Cimeiesie! Co ty na taki cios? Jak odpowiesz?”

Krzyczał jak szaleniec, a Cimeies, mój rzekomy ojciec, mu nie odpowiadał. Nie zjawiał się. Nie brał mnie w obronę. Zostawił na pożarcie demona. A może byłam dla niego tylko przynętą, nic nieznaczącym okruczem na stole?

Anna zamilkła. Cisza wisiała nad nimi przez chwilę, po czym wypełnił ją dźwięk owada, daleki odgłos nadjeżdżającego pociągu i nieustający szum autostrady.

– I to wszystko? To koniec? – zapytał Bastian.

– Umieram. Już nikomu nie zagrozę.

Anna umierała, a z nią umierał świt mglistego poranka. Ale nie umierały inne światy.

Rozdział 43

– Czy uwierzycie, że są ludzie, gotowi poświęcić własne dzieci dla władzy i pieniędzy? Myślę, że wśród demonów to się prawie nie zdarza. Owszem, pożerają własne płody jak szkaradnice i gupiki, ale z pewnością żaden nie jest zdolny do wplatania potomstwa w sieci intryg i wojennych podchodów. Znam osobiście tylko jednego takiego drania, ale ponieważ dość go lubię, nie powiem już złego słowa... W każdym razie, wracając do ludzi, rzecz ma się zupełnie inaczej. Otóż dawno temu poznałem pewnego bankiera o imieniu Hektor i dźwięcznym nazwisku Truhillo. Hektor Truhillo, czy nie pięknie brzmi? Był to mężczyzna bardzo urodziwy i płodny. Słabo mówił po angielsku, ale świetnie w kilku mniej znanych językach. Dorobił się trójki dzieci z własną żoną i sześciorga z innymi. Miał smykałkę do interesów, ale nie do inwestycji. Szybko więc sukces przekuł w porażkę i zadłużył się tak, że musiał ogłosić bankructwo. Jak każdy słaby człowiek nie zniósł tego ciosu i zamierzał sobie palnąć w łeb. Zamknął się w swoim wspaniałym gabinecie na trzydziestym piętrze wieżowca, wyjął z pudełka dopiero co kupiony rewolwer, załadował go, wymierzył i... Zabrakło mu odwagi. Dacie wiarę?

Odwaga to niepojęta właściwość przynależna ludziom. Hektorowi jej brakowało. Pomyślał więc, że skoczy z okna, ale lęk wysokości nie pozwolił mu wychylić się za parapet. Zresztą nie miał możliwości uchylenia okna, a sam Hektor był za słaby, by móc je wybić nawet krzesłem czy innym ciężkim przedmiotem. Nasz przyjaciel wpadł więc na pomysł, by się powiesić, ale tylko wyrwał z sufitu żyrandol, do którego przymocował prowizoryczny sznur z kiepsko zawiązaną pętlą. Wtedy pojawiłem się ja i o mało nie przyprawiłem go o zawał serca.

„Cóż pan tu robi?”

„Przyglądam się, jak nieporadnie próbujesz popełnić samobójstwo, synu, i mam z tego powodu niezły ubaw”.

„No tak – rzekł Hektor – kiepski ze mnie samobójca”.

„Jeśli chcesz, mogę ci bez trudu pomóc – po prostu zamorduję cię”.

Hektor przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

„Chyba jednak sam sobie poradzę”.

„A więc tak naprawdę nie chcesz popełnić samobójstwa. Dlaczego zatem próbujesz?”

„Okoliczności mnie do tego zmuszają”.

„Pieniądze? Czy one są takie ważne?”

„Nie chodzi tylko o pieniądze – wyznał finansista. -Brak pieniędzy spowoduje, że nie będzie mnie stać na alimenty dla moich dzieci. Ich matki wkurzą się i doniosą mojej żonie, a pewnie też sobie nawzajem. Wszystkie dowiedzą się więc o swoim istnieniu i zażądają wyjaśnień. Wszystkie naraz. To dla mnie za dużo. Nie dam rady”.

„Trzeba było nie płodzić tylu dzieci”.

„O tak, teraz jestem mądry”.

Staruszek zmienił pozycję, wstał, przeszedł się po pokoju, zerknął za okno i rzekł:

„Ładny widok. Bardzo ładny. Ja bym z niego nie zrezygnował, jeśli bym mógł rozwiązać swoje problemy w prosty sposób”.

„Jest taki sposób?” – zapytał Hektor.

„Owszem. Wystarczy, że mnie posłuchasz i zrobisz mnie swoim wspólnikiem”.

„Na jakich warunkach?” – w finansiście odezwał się zmysł przedsiębiorcy.

„Jeszcze nie wiesz, o co chodzi, a już chciałbyś stawiać warunki? Przed chwilą byłeś gotów się zabić, a teraz negocjujesz stawkę?”

„Tak mi się tylko powiedziało”.

„Dasz mi 80 procent udziałów w twojej firmie, a zachowasz dwadzieścia”.

„Aż osiemdziesiąt? To dużo... no tak, przepraszam. W sumie to bez znaczenia”.

„Właśnie. No więc osiemdziesiąt procent. Zgoda?”

„Zgoda. W zamian za co?”

„Za informację”.

„Informację? Cóż, trudno będzie sporządzić taki kontrakt”.

„Nie będzie żadnych kontraktów. Umówimy się bez papierów”.

„Aha. Jaka jest wartość tej informacji?” „Bezcenna”.

Staruszek napisał coś na kartce i podsunął pod nos bankierowi.

„Jest pan pewien?”

„Za tydzień przekonasz się, że moja informacja jest prawdziwa”.

„Jeśli tak, można zarobić każdą kwotę inwestując na rynku ropy. Jej cena wzrośnie do 80, może nawet do 100 dolarów za baryłkę”.

„Przekroczy tę wartość, i to znacznie”.

Hektor posmutniał.

„No tak, ale ja i tak nie mam już funduszy. Wszystko straciłem, a żaden bank nie pożyczyci mi pieniędzy w tej sytuacji”.

„Od czego ma się przyjaciół?”

„Pożyczyci mi pan pieniądze?”

„Nie mam pieniędzy. Ale znam kogoś, kto je ma i z chęcią ci pożyczyci”.

Staruszek znów napisał coś na kartce. Hektor przyjrzał się temu i zbladł.

„Czy to aby nie ten Gatusso?” – zapytał.

„Ten, ten sam”.

„Cóż, wolałbym nie pożyczyci pieniędzy od kogoś takiego”.

„Toteż nie pożyczysz. Pan Gatusso z przyjemnością powierzy ci zarządzanie swoimi oszczędnościami”. „Ale to gangster”.

„Owszem. Zabija ludzi. Zabił wielu ludzi”. „No właśnie”.

„A czy zabijanie przeszkadza w interesach? Czy powinno mieć dla nich znaczenie?” Hektor milczał.

„No właśnie. Zadzwon więc do pana Gatusso, powołaj się na mnie i powiedz, że chciałbyś zarządzać jego wszystkimi wolnymi środkami, które szybko pomnożysz”.

„Jak dużo tego będzie?”

„Jakieś dwieście, trzysta milionów”.

„Milionów?”

„Pan Gatusso operuje takimi kwotami”. Hektor przetarł chusteczką spoconą głowę. „No dobrze, na jakie nazwisko mam się powołać?” „Cimeies. Santiago Cimeies”. „Dziwne nazwisko”.

„To pseudonim. Ale właśnie pod nim zna mnie pan Gatusso”.

Wkrótce na koncie Hektora Truhillo znalazło się ponad dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów. Trafnie zainwestowane na rynku ropy naftowej przed spekulacyjnym boorem rozmnożyły się, a okazałe zyski zasiliły kasy spółek pana Truhillo oraz konta jego żonek, konkubin, kochanek i dzieci. Z rozpędu spłodził dwójkę kolejnych i przymierzał się do dalszych podbojów. Prawdziwy latynoski kogut!

Santiago Cimeies aż rozkwitał z radości. Miesiąc później pojawił się więc u swojego wspólnika i rzekł:

„Czy pamiętasz naszą umowę, przyjacielu?”

„Oczywiście” – odparł Hektor.

„Czy mimo braku formalnej umowy oddasz mi teraz osiemdziesiąt procent swoich zysków?”

Hektor przełknął głośno ślinę i powiedział:

„Gdybyś wstrzymał się trochę, mógłbym je jeszcze bardziej powiększyć”.

„Więc nie chcesz ich oddać?”

„Ależ skąd, umowa to umowa. To twoje pieniądze” -rzekłszy to, Hektor podszedł do sejfu, aby wyjąć pieniądze, gotów przelać resztę kwoty na wskazane przez przybysza konto.

„Uczciwy z ciebie człowiek, Hektorze – powiedział Santiago. – Cieszę się, że cię poznałem. Nie musisz mi teraz oddawać całej kwoty. Mam zamiast tego prośbę. Przelej należną mi część pieniędzy na konto organizacji dobroczynnych”.

Hektor zdziwił się, lecz nic nie powiedział.

„Jakie to mają być organizacje?”

„Obojętnie... albo nie, niech będą to organizacje działające na rzecz sierot, nieszczęśliwych dzieci. Płodzisz tyle dzieci i przejmujesz się ich przyszłością, dbasz, by miały co jeść, a nawet troszczysz się o ich wykształcenie niemal tak bardzo jak

o przyjemności ich matek. Jest tylu mężczyzn, którzy o to nie dbają. Pomóż im”.

„Dobrze – powiedział Truhillo. – Czy mam przekazać ci potwierdzenia przelewów?”

„Nie trzeba. Wierzę, że zrobisz co trzeba”.

„Oczywiście”.

Gdy Cimeies chciał już wychodzić, Hektor chrząknął.

„Czy... – zaczął nieśmiało. – Gdybyś miał podobny cynk jak z tą ropą, mógłbyś mi go przekazać?”

„Przecież tyle zarobiłeś? Po co ci więcej? Możesz żyć dostatnio całe życie”.

„Moje dzieci...”

„Twoje dzieci też. Jak też ich dzieci. Masz miliony do wydania”.

„Ich wnuki...”

Cimeies westchnął. Ludzie...

„Oczywiście, Hektorze, zadzwonię do ciebie...”

Następnego dnia Hektor Truhillo przygotowywał się do dokonania największych darowizn w historii świata. W nocy nie mógł spać, nie zwykł bowiem wyrzucać pieniędzy w błoto, tym było – w jego prostym mniemaniu – przelanie takich kwot na konta organizacji dobroczynnych.

Ze złości Hektor aż przeleciał żonę, która jak zwykle prosiła go, by uważał, a on – także jak zwykle – nie uważał. Był religijnym człowiekiem. Nie uznawał antykoncepcji w żadnej postaci. Pomyślał: -To zadziwiające. Zawsze krzyczy, bym uważał. Kiedy zaś kończę, przytrzymuje jeszcze moje biodra, żebym jej nie uciekł w ostatniej chwili. A potem wysysa ze mnie ostatnią kroplę nektarów męskości i rozpalona błaga, bym jeszcze został, nie wychodził”.

Rankiem zasiadł do apetycznej jajecznicy przygotowanej przez gosposię, klepnął ją przyjacielsko w tyłek, po czym o mało co nie udławił się skwarką, czytając wielki tytuł w „New York Timesie”:

**TAJEMNICZY DARCZYŃCA
WSPOMAGA DOMY DZIECKA**

W tekście notatki informowano, że tajemniczy inwestor dokonał największych w historii świata darowizn i wspomógł milionami dolarów domy dziecka oraz organizacje dobroczynne.

Hektor niczego nie rozumiał. Przecież nie dokonał żadnych przelewów. A jednak ktoś zrobił to za niego. Niespokojny sprawdził stan kont. Wszystkie pieniądze były na miejscu. Pracowały na przyszłość jego, jego dzieci i jego klientów.

Wahał się, jednak tego dnia nie zrobił przelewów. Co za dużo to niezdrowo. Potem znów przeleciał żonę i powiedział sobie:

„Jeśli zajdzie w ciążę, to przeleję te cholerne pieniądze. Jeśli nie, to zainwestuję je, a z zysków je przeleję”.

Miesiąc później żona dopadła go w bibliotece i wrzasnęła:

„No i zrobiłeś mi kolejnego dzieciaka, cholerny draniu!”

Nie była jednak wcale zła, co udowodniła jeszcze tej samej nocy, doprowadzając go do szaleństwa powolnym flamenco. W chwili spełnienia krzyczała:

„Zostań we mnie, dziś już nie musisz wychodzić!”

Hektor zaś zauważył, że znacznie przyjemniej uprawia się miłość, gdy wiąże się ona z ryzykiem. Zostawił kochającą żonę w łóżku i włączył komputer. „Cóż, trzeba spełnić obietnicę! Osiemdziesiąt procent to dużo, ale pozostałe dwadzieścia w zupełności mi wystarczą, by pozostać milionerem do śmierci. A moje wnuki? Pewnie dzieci i tak wszystko stracą, ile by tego nie było”, tak sobie myślał.

Komputer nie mógł połączyć się z serwerem banku i Hektor pomyślał, że los, przeznaczenie, a może sam Bóg nie chcą, by dokonał tych darowizn. Tej nocy miał sen. Przyszedł do niego dziwny mężczyzna o obliczu pozbawionym oczu i wyrazu. Położył mu dłoń na głowie i powiedział:

„Męczy cię sumienie. Powinieneś jednak myśleć inaczej. Jeśli przelejesz te pieniądze, świat nic nie zyska. Roztrwoni je. Biedni wciąż pozostaną biedni, a ty nie będziesz mógł pomnażać bogactwa, przez co cały świat stanie się biedniejszy. Znacznie więcej dobra twoje pieniądze zrobią, pracując u ciebie”.

Hektor przebudził się i doznał olśnienia. Oto przemówił do niego sam Bóg. Tak sobie myślał. Już po kilku dniach zapomniał o obietnicy, a sumienie przestało go nawiedzać.

Pewnego dnia, tuż po narodzinach dziesiątego potomka Hektora Truhillo, w salonie rozległ się dźwięk telefonu. Odebrała gosposia. Gdy podchodziła do aparatu, bankiera nagle poraziło przecucie. Tak, wiedział już, kto dzwoni. Wyrzuty sumienia, tłumione dotychczas, załwały go niczym gwałtowna powódź.

– Chwileczkę. Panie Hektorze, dzwoni pan Cimeies.

Już przygotowywał się do litanii kłamstw, gdy Cimeies powiedział:

„Hektorze, to wspaniały gest z twojej strony, żeby darowizny przekazywać anonimowo. Wspaniały pomysł i jeszcze lepsza realizacja. Znakomicie się spisales”.

Hektor nic nie mówił. W końcu wydukał słabe dziękuję i się rozłączył. Sumienie dręczyło go nadal, ale w jego umyśle pojawiła się iskierka nadziei. Tliła się na horyzoncie jak promyk wschodzącego słońca. Tak oto Hektor pomyślał, że los okazał się dla niego łaskawy. Tak myśli do dziś.

Staruszek przerwał opowieść i spojrział na zegarek.

Ale dość tej opowieści! No nic. Na mnie już czas. Tym razem odchodzę na dobre. Już mnie nie zobaczycie. Wszystkiego dobrego.

– To do tego bankowca dzwoniłeś? – upewnił się Lenny, jaśniejąc na twarzy. Wszystko rozumiał. Przewrotny staruszek zakpił z nich wszystkich.

Przybysz skinął głową, wsiadł na czarnego ogiera i ruszył galopem przez pustynię. Lenny pomachał mu ręką, a kiedy staruszek zniknął, rozejrzał się po pobojowisku. Dom przemienił się w zwały wiórów i pyłu. Jedyłą rzeczą, która pozostała niezniszczona, była czerwona skrzynka pocztowa.

– Z czego oni je robią, że mogą przetrwać wybuch jądrowy – mruknął Lenny.

Sonia wzruszyła ramionami i zabrała się do sprzątanía.

Lenny zajrzał do skrzynki i ze zdziwieniem dostrzegł w niej kopertę.

– Dostałem list, do mnie – powiedział. Zawahał się, a potem włożył kopertę do kieszeni.

– Nie otworzysz?

– Może kiedyś. Nikt ciekawy na pewno do mnie nie napisał.

Ujęli się za dłonie. Słońce zachodziło za horyzontem, oblewając wypaloną pustynię czerwienią i żółcią.

– Dlaczego powiedziałaś mi, że zamieniłaś Korę w mężczyznę?

– Nie powiedziałam tak. To ty powiedziałeś.

– Ale ty nie zaprzeczyłaś. Wzruszyła tylko ramionami.

Usiedli przy zgliszczach i wtedy Lenny wyjął z kieszeni kopertę, rozerwał ją, przeczytał i powiedział:

– Jakaś nowa gazeta „Interview” proponuje mi pracę. Jeden artykuł tygodniowo za tysiąc dolców. Potrzebują tylko mojego nazwiska, żeby chwalić się w anonsach, że mają wśród autorów zdobywcę Pulitzera, jeśli więc nie chcę pisać, wcale nie muszę. Zrobią to za mnie najęci przez gazetę studenci. Jeśli wolę pisać, też OK. Mogę zmyślać, mieszać fakty i konfabulować, bylebym oszczędzał Coca-Colę, bo to ich główny sponsor.

Rozdział 44

Ina wisiała na ramieniu Bastiana. Szli przez noc jak dawniej, gdy kochali się całym sercem. Chłopak kopał na boki kamienie i kapsle od butelek. Ona obejmowała go mocno w pasie, lizała po szyi, głaskała po karku i policzku. Dotarli do domu i kochali się jak dawniej, aż do chwili gdy miało nadejść spełnienie, lecz zamiast niego przez zamrożony sufit przebiegł chichot diabła.

Bastian czuł, że nie sprawdził się jako mężczyzna. Odwrócił się plecami do dziewczyny i zagryzł poranione wargi.

– Nic nie będzie jak dawniej – szepnął.

– To nic. Musimy przetrwać. Wystarczy wiara – pamiętasz?

– Wiara ma tu niewiele do powiedzenia.

– Owszem, bardzo wiele, mój hokeisto. Wydawała się szczęśliwa. W nocy jednak Bastian przebudził się i zobaczył, jak z zarumienionymi policzkami oddaje się całkowicie swoim snom, jak wzdycha przez senną kotarę, przeżywając uniesienia, których nie będzie im dane już nigdy przeżyć. Czy zatem mogą być szczęśliwi?

Rankiem nic jej nie powiedział o swoich spostrzeżeniach. Na śniadanie zjedli jajka i poszli na spacer do parku. Na jednej z polanek rozłożył się na trawie jakiś starzec z gromadką swoich psów. Miał kowbojski strój, kapelusz z szerokim rondem, gęstą siwą brodę. Bastian policzył psy. Było ich dziewięć lub dziesięć. Same owczarki haskie. Starzec wydawał się pogrążony w medytacji. Obok niego usiadł przystojny czterdziestoletni mężczyzna w garniturze. Mężczyzna opowiadał, starzec słuchał, psy pilnowały, by nikt im nie przeszkadzał.

– Zobacz, co za widok! – rzucił Bastian do Iny, a dziewczyna ścisnęła mocniej jego dłoń.

– Fajnie jest mieć niezwykajne życie. Nawet jeśli trzeba cierpieć.

Po południu poszli do „Iluzjonu”. Jak zwykle w kinie nie było

nikogo poza nimi. Bastian, kupując bilety, zagaił:

– Dlaczego wciąż emitujecie stare filmy, skoro nikt na nie nie przychodzi?

– Przecież wy przyszliście – odparła kasjerka.

– Ale nie zawsze przychodzimy.

– Czasami trafiają do nas inne zbląkane dusze. To misja. Poza tym... filmy żyją tak jak wszystko wokół. Nie mamy sumienia, by je mordować.

Obejrzeni „Nosferatu”, a Ina przez cały czas ścisnęła dłoń Bastiana. Potem – w drodze powrotnej – objęła go w pasie. Padał deszcz. Lekki wiosenny deszczyk. Pachniało trawą i świeżością. Bastian oddychał pełną piersią.

– Bałam się – powiedziała Ina. – Na filmie. Naprawdę mnie przestraszył.

– Tyle razy go widzieliśmy.

– Zawsze się boję.

Tej nocy znów się kochali i ponownie Bastian dotarł do brzegu rozkładając się na dzikiej plaży, podczas gdy Ina pozostała na środku morza. Ponownie ona go pocieszała, a on udawał, że przyjmuje te gesty.

Kiedy zasnęła, włączył kanał informacyjny. Reporterzy informowali o dziwnym zjawisku, jakie dało się zaobserwować na dalekiej Północy, w krainie wiecznego zimna.

Mieszkańcy najbardziej niedostępnych terenów Grenlandii mieli wczorajszej nocy okazję zaobserwować niecodzienne zjawisko. Zwykłym o tej porze roku śnieżycom towarzyszyła zadziwiająca burza, przebijająca się przez chmury magicznymi kolorami. Obserwatorzy donoszą, że widoki przypominały przedziwną bitwę kosmicznych lub niebiańskich istot. Jakby ktoś walczył na fajerwerki. Rosjanie zaprzeczyli, że przeprowadzili eksperymenty w przestrzeni kosmicznej. Amerykanie jak zwykle odmówili komentarza. Saif al-Aramei z ochotą za to wziął odpowiedzialność za wszelkie szkody, zapowiadając, że to pierwszy z serii spektakularnych ataków terrorystycznych.

Komentarzowi towarzyszyły zdjęcia z telefonów komórkowych i słabej jakości fragmenty amatorskich filmików.

Co ciekawe, podobne zjawisko można było dostrzec w mało zaludnionych rejonach Meksyku, na pustyni Chihuahua, na której pojawiła się burzowa chmura, przypominająca wyładowania obserwowane podczas lądowania statków kosmicznych. Według relacji naocznych świadków doszło tam również do opadów śniegu, ponadto mówili o wybuchach jądrowych. Departament Stanu USA zaprzeczył, iżby odnotowano podwyższoną radiację w regionie. Także Rosjanie nie potwierdzają, że zjawiska w okolicach Grenlandii miały charakter promieniotwórczy. Saif al-Aramei wstrzymuje się z komentarzem do czasu potwierdzenia wieści o braku ofiar.

Bastian wyłączył telewizor, gdy pojawiła się Ina z dwoma szklankami wypełnionymi tequilą i sprite'em. Wypił duszkiem i położył się spać. Następnego dnia zamierzał powiedzieć jej, że odchodzi.

Nad ranem dźwięk telefonu wyrwał go z półsnu. Ina nie słyszała dzwonka albo udawała, że nie słyszy. Na ekranie wyświetlał się nieznany numer i Bastian w pierwszej chwili nie chciał odbierać.

W końcu nacisnął zielony guzik.

– Chłopcze, czy to ty? – zagrzemiał w słuchawce męski głos. – Urządzam dziś przyjęcie na cześć mojej koronacji na księcia Wszechrusi, chciałbym, żebyś przyszedł i poznał parę osób.

Bastian bez trudu rozpoznał Romana Marynina, rosyjskiego miliardera, którego losy tak często ostatnio przeplatały się z jego życiem.

– Nic nie mówisz? Trudno. Wpadnij, jeśli możesz, będziesz mile widziany.

Wieczorem, gdy Ina wyruszyła na nocne zajęcia w prosektorium, Bastian włożył marynarkę i udał się do willi Marynina, położonej za miastem, nad brzegiem złocistego jeziora. Wąska droga była niemal zatarasowana luksusowymi

limuzynami i busami, dowożącymi gości, i chłopak ucieszył się, że wybrał górski rower. Choć niezręcznie było mu parkować go pod główną bramą, obok lądowiska, na którym właśnie przysiadły dwa nowoczesne helikoptery z szefami największych europejskich instytucji finansowych.

Marynin witał wszystkich w towarzystwie słonecznej Carmen, której oczy świeciły z miłości do świeżo upieczonego księcia.

– Ach, witam, witam – mówił wylewnie Rosjanin. – Pierwsza prawdziwie bratnia dusza. Jesteś, Bastianie, pierwszym gościem na tym przyjęciu, którego wcześniej nie skorumpowałem. Zwykły, prosty, niemiecki student. Przyszłość nowoczesnej Europy. Jako Rosjanin mogę ci tylko powiedzieć: Rosja nie boi się silnych Niemiec. Z tym większą przyjemnością je pokona, ha. – Powiedz mi chłopcze, kiedy będziesz na tyle silny, by kopnąć w dupę te wszystkie zasiedziałe, obrosłe w tłuszcz tyłki biurokratów, a przyjdę ci z największą chęcią z pomocą, dostarczając gotówki i rewolucjonistów w dowolnych ilościach.

– Finansuje pan przewroty polityczne? – zapytał Bastian, nie wiedząc, czy Rosjanin żartuje

– Co tylko chcesz. Trzeba umieć się ustawić. Radziecki przedsiębiorca gazowy dobrze wie, że trzeba finansować wszystkie wschodzące słońca. Kto wie, które zaświeci najjaśniej.

– Nie zasypia pan gruszek w popiele.

– Nie mam gruszek, ale rzeczywiście popiołu tu pod dostatkiem. Śmierdzi spalenizną, dmuchniesz mocniej, a rozsypie się i zasmrodzi cały świat. Carmen, zaprowadź Bastiana do haremu. Niech się chłopak zabawi.

Carmen chwyciła go pod ramię i szepnęła:

– To ja chciałam, żebyś przyszedł. Chcę ci podziękować.

– Za co?

– Za przeznaczenie, za to, że nie oparłeś się wyrokom losu. Za to, że dałeś mi Romana.

– Jesteś szczęśliwa?

– Nie dość, że zrobił ze mnie księżniczkę, to jeszcze jest

bajecznie bogaty i jest wspaniałym kochankiem. Czegóż więcej trzeba?

– Miłości – nieśmiało szepnęła Bastian.

Carmen wepchnęła go do jakichś ukrytych w pałacowym murze drzwi i nagle znaleźli się w niewielkim ciemnym pomieszczeniu. Bastian otwierał i zamykał oczy, starając się przyzwyczaić wzrok do mroku. Nagle poczuł na swojej szyi oddech Carmen, a na piersi dłonie błędzące po ciele w jednoznacznym tańcu godowym. Carmen szeptała w jakimś nieznanym języku i syczała tak, że chłopiec poczuł się jak ofiara i wyobraźnia podsunęła mu wizję śmiertelnie jadowitej żmii, która smakuje jego ciało przed ostatecznym ukąszeniem.

Wzrok przyzwyczaił się do ciemności i zobaczył przed sobą twarz kobiety-wampa. Miała zamglone, pogrążone w namiętności spojrzenie, dyszała z podniecenia. Język jednak miała normalny i nie była żmiją.

– A teraz nauczę cię miłości. Po tej lekcji żadna kochanka ci się nie oprze. Mimo dość wątłego ciała i skromnego przyrodzenia staniesz się w miłości tak biegły, że kobiety będą w twoich ramionach mdlały z rozkoszy.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Dwie godziny później Bastian, zlany potem i zmęczony jak maratończyk, leżał niemal bez życia, przepełniony wdzięcznością, patrzył z uwielbieniem na słoneczną Carmen.

– A więc o to chodzi.

– Proste, prawda?

– Właśnie, wydaje się takie proste, a jednak...

– Dla wielu nieosiągalne. Tak już jest, mój Bastianie, że kochankowie zbyt zapatrzeni w próżnię, dostrzegają tylko techniczne aspekty miłości, nie mając większego pojęcia o magii i innych ulotnych składnikach sztuki kochania. A to one czynią z mężczyzny bohatera baśni i romansów.

– Jesteś mistrzynią.

– Los jest strasznie zawikłany. Zawsze zastanawiałam się, dlaczego to właśnie mnie dał umiejętność nauczania fizycznej miłości, gdy całe moje życie stanowiło zaprzeczenie samej miłości. I dziś już znam odpowiedź. "Właściwie znałam ją od

dawna. Otrzymałam ten dar, bym mogła zapłacić za to, co otrzymałam od ciebie. Bo wiesz, co ci powiem, mój młody przyjacielu i kochanku, za wszystkie dary, które otrzymujemy, powinniśmy odpłacać się równie szczerze. Inaczej zatracimy równowagę, zburzymy porządek świata, oparty na zależnościach poplątanych bardzo cienkimi nićmi. Przepraszam, pieprzę zupełnie od rzeczy, jak na dziwkę.

– A nawet jak na księżniczkę – zażartował Bastian. Długo jeszcze słowa pięknej Carmen dźwięczały mu w uszach i wracały we wspomnieniach.

Spojrzał na zegarek i nagle przeraził się.

– Czy nie za długo nas nie ma? To już prawie trzy godziny. Marynin może cię szuka.

– Niech szuka, opasły ruski wieprz. Zazdrosny i niepewny, jest jeszcze bardziej namiętny i kochający. Jest jak zraniony tygrys. A ponieważ siebie kocha ponad wszystko, to nigdy nie uwierzy, że mogłabym go zdradzić. Mógłbyś Bastianie wziąć mnie na jego oczach, a następnego dnia przyjść do niego i zaprzeczyć, że to się stało, a on uwierzyłby tobie, a nie własnym wspomnieniom.

– Pozwoliliby mi wziąć cię na swoich oczach?

– W tym właśnie problem. Zabiłby cię niechybnie, nie miałbyś okazji się wytłumaczyć. Ale jeśli zdołałbyś ujść z życiem, nic by ci nie groziło. Marynin jest strasznym sukinsynem, przekonany o swojej boskiej wyższości we wszystkich sprawach, również w miłosnych. I ma niestety rację. Jest kochankiem tak znakomitym, że ma prawo patrzeć na wszystko z wyższością.

Wyszli, poprawiając ubrania. Carmen chwyciła go pod ramię i zaprowadziła do głównej sali balowej. Większość gości była już kompletnie pijana. Jakaś dama w wieku zawałowym tańczyła na stole. Marynin siedział w podkoszulku w poprzeczne paski.

– A, tu jesteście – zakrzyknął. – Gdzie się, u licha, podziewaliście?

Spojrzał badawczo w oczy Bastiana, po czym chwycił się za przyrodzenie i potrząsając nim przez spodnie, rzekł:

– Gdybym nie nosił w gaciach prawdziwego potwora pogromcy, jedyne go w swoim rodzaju, to oskarżyłbym was o romans. Ale ponieważ mam coś, na widok czego kobiety dostają skrzydeł, a Carmen staje się prawdziwą królową przestrzeni, to nie mam takich myśli. Siadaj, chłopcze, żałuj, że natura nie była dla ciebie łaskawa i opowiadaj, gdzie się podziewaliście.

– Bastian czytał mi wiersze – powiedziała nagle Carmen.

– Wiersze? Nie wiedziałem, że piszesz wiersze.

– Jest znakomitym poetą.

– W takim razie pozwól, że je wydam. Zawsze chciałem wydać bestseller.

– Wiersze nie sprzedają się dobrze.

– Co ty tam wiesz? Jak się potrafi sprzedawać, to można i z wierszy zrobić bestseller, a ja to potrafię. Spójrz na mnie, chłopcze. Wyglądam jak opój i niekulturalny wieprz, a na moje przyjęcie przychodzi cała europejska śmietanka. Jak myślisz, dlaczego? Tak, tak, Bastianie, nie tylko ze względu na to, co noszę w spodniach, ale i to, co mam w portfelu. Mimo że mną pogardzają, ja mam to w dupie, bo wiesz co, ta marynarska pasiasta koszulka, którą widzisz, przypomina mi o tym, kim byłem i zawsze będę. Daleką drogę przebyłem od marynarza atomowego pancernika do miliardera i księcia, ale jedno nie ulega wątpliwości: cipki tak samo smakują w kazamatach i pałacach, byle były umyte i jędrne. I dlatego śmieję się w twarz każdej fircykowatej kurwie. Prawda, kochanie, że możemy się z nich śmiać do woli?

Marynin rozprostował kości, westchnął głośno, podrapał się po głowie, wkładając w ów gest całe serce, i zapytał Bastiana, czy interesowała go kiedyś historia.

– Ale, chłopcze, tak na poważnie. Nie tylko ta z podręczników, tylko tak jak dobrego księdza, co to rozmawia z Bogiem?

– Wątpię, by księża potrafili rozmawiać z Bogiem – odparł Bastian, wzruszając ramionami. W nocy wiele dowiedział się o boskiej przebiegłości, odzyskując wiarę w Najwyższego i samego siebie. Historia była mu jednak wciąż obca, tak samo

jak wiara w księży.

– Jeśli tak nie jest, to dlaczego przyciągają tyłu wiernych? – zapytał Marynin.

– Liczba wiernych spada.

– Bo coraz mniej księży potrafi rozmawiać z Bogiem. Wołą pić, byczyć się, obrastać w tłuszcz, obmacywać gosposie i robić dzieci cnotliwym parafiankom przed dwudziestką albo po czterdziestce. Mało jest już prawdziwych księży, takich z powołania, potrafiących rozmawiać z Bogiem. Czasem nawet myślę, że ostatnim z nich był mój przyjaciel, którego poznałem dzięki temu, że mieliśmy jedną kochankę. Na imię jej było Natasza i była prawie dziewicą, ciasną w środku i aksamitną jak takie gąbczaste morskie stworzenia. Ja od niej wychodziłem, a ta suka przyzywała księdza, z którym dokazywała tak, jakbym ja jej w ogóle nie dogodził. – JA, rozumiesz co mówię? Jakbym – JA – nie potrafił jej dogodzić. Ech, kurwy. Jakże one potrafią udawać cnotliwe dziewczęta. Nakryłem zdrajców, bo musiałem wrócić po teczkę z milionem dolarów, którą zostawiłem w motelu. Wyobraź sobie: ona mi otwiera w negliżu i mówi, że nie może mnie wpuścić i że bym przyszedł za godzinę. Ja jej na to, że nie mogę za godzinę, bo muszę się upewnić, czy nie zostawiłem u niej wspomnianego miliona. No i wchodzę, i w łóżku widzę gołego grubaska, rumianego jak świnia, a na poręczy sutannę. Zrobiłem im awanturę, obiłem po pysku, o mało nie zamordowałem. W końcu jednak się zaprzyjaźniliśmy, bo strasznie sympatyczny i zabawny był z niego człowiek. I do tego pomysłowy. Wyjaśnił mi, że musiał obłapiać moją Natkę, bo tak mu kazał Bóg, z którym sobie wieczorami ucinał pogawędki. Bajy, bajy – myślę sobie, ale ten diabelec zaczyna mi opowiadać takie rzeczy o mnie i Nataszce, że nikt o nich nie mógł wiedzieć, tylko sam Bóg. Albo diabeł. Ale czy diabeł wykorzystałby poczciwego księdza? Powiesz pewnie, że to właśnie diabeł byłby tak perfidny. A ja sądzę, że było przeciwnie. Ze to boska przebiegłość, bo diabeł załatwiłby sprawę zupełnie inaczej i nie pozwolił na tak zabawny koniec. Tak więc księżulo uwierzył i powiedział, że Bóg nakazał mu się poświęcić, żebym mógł go

zamordować. I teraz on może zginąć. Ja zaś pomyślałem, że Bóg specjalnie go wysłał, żebym dowiedział się o jego istnieniu. Tak więc zamiast go zamordować, zaprzyjaźniliśmy się i ta nasza zażyłość trwałaby pewnie do dziś, gdyby księżulo nie zmarł po połknięciu osy, która utopiła się w szklance z egzotycznym drinkiem. Osa użądliła go w przelyk, przez co się udusił. Ale wracając do tematu, powiem ci, że tego dnia, gdy nakryłem księdza i Natkę, z tego wszystkiego zapomniałem miliona dolców z motelu. Dasz wiarę, że przypomniałem sobie dopiero po tygodniu, a kiedy po nie wróciłem, wciąż były w tym pokoju i leżały w tym samym miejscu. Poszedłem do recepcji, pytam, czy nikt nie wynajmował pokoju, a recepcjonista mówi, że bardzo wielu. Zdziwiłem się tym bardziej i mówię mu, że zostawiłem tam milion dolców i nikt ich nie ukradł. I dziwi się pan? – zapytał recepcjonista. Gdyby zostawił pan parę rubli, na pewno by zniknęły. Ale milion dolarów? Milion dolarów to tylko kłopot. Z Amerykańcami, czarnuchami, Żydami, zielonymi i Marsjanami zawsze są tylko kłopoty. Takie same, jak z milionem dolarów.

Marynin przerwał, by zaczerpnąć tchu i płynu życia z butelki Smirnoffa.

– Mówię ci, synu, Bóg istnieje i są księża, którzy potrafią z nim gadać – zakończył.

– Mieliliśmy rozmawiać o historii – przypomniał Bastian.

– Rozmowa o historii to jak rozmowa o Bogu. Ale rzeczywiście, porozmawiajmy o historii. Najlepiej tylko o historii stworzenia.

Historia stworzenia wedle księcia Romana Marynina

– Historię stworzenia poznałem, przyjacielu, gdy pewnego razu byłem w podróży służbowej w Wietnamie. Dali mi tam super hasz, taki naprawdę ekstra. Powiadam ci chłopcze, nie ma to jak dobry hasz. Jak popytasz, to porządny premier każdego rządu na świecie, palił w młodości dla fanu hasz. Ale tylko nieliczni doznali spełnienia, trafiając na towar pierwsza klasa. I ja, kochanieńki, trafiłem właśnie w tym cholernym

Wietnamie, gdzie ludzie są tak mali jak dzieci, poruszają się szybciej od hobbitów, i w ogóle wyglądają jak małe krokodyle.

No i jak się ujaralem, z gościnności przyprowadzili mi trzy małe dziewczynki – pełnoletnie rzecz jasna, żebyś sobie nie myślał – które wyczyniały prawdziwe cuda. A kiedy już wszystko mnie bolało, nacierały olejkami, pachnidłami, znęcały się nad moim biednym ciałem, aż przez zamknięte oczy zobaczyłem prawdziwy kosmos. No i patrzę, a te trzy laseczki nagle zamieniają się w całkiem męskiego gościa w sile wieku, także nieco przypominającego krokodyla, tyle że białego, z wąsiskiem niemal jak moim, za to zdecydowanie bardziej świńskimi oczkami, który zaczął mi szeptać wprost do ucha, choć siedział po drugiej stronie paleniska.

Wyobraź sobie, przyjacielu: noc ciemna jak żołędź czarnucha, gwiazdy jak światełka na cmentarzu w dzień Wszystkich Świętych, ognisko, super towar, skośnookie cudeńka i nagle w tym Raju – białowłosa Cygan-krokodyl, który pozbawiony sumienia kradnie mi rozkosz i wyrывa z różowych snów.

Gdybym tylko mógł się ruszyć, to bym mu pokazał. Ale nie mogłem. Nie mogłem otworzyć swej plugawej gęby, nie czułem nic, nawet fujary. Biada ci synu, jak po pijaku czy haszu przestanieś czuć fujarę. Dopiero cię mogą strachy dopaść. Całkiem jak w realu. W każdym razie mogłem jedynie patrzeć i słuchać.

Starzec wrzucił zaś gałązkę jakiegoś przeklętego zielska do ogniska, która zaczęła miło pachnieć i nawijał:

– Wiesz synu, jak patrzę na ciebie, to myślę, że robota Stwórcy poszła na marne, wzięła w łeb, jakbyś ty to ujął: poszła się jebać z psami i kurwami. Bo niby wyszedł mu typ zdrowy, rumiany jak ciasteczko w piecu, pełen wigoru i siły, z prawdziwym dzwonem między nogami, smykałką do interesów, poetyckim umysłem, rezolutnym poczuciem humoru. Artysta, geniusz, Midas i Casanova w jednym. Rzekłbyś doskonałość. Lecz jakby się przyjrzeć, to wszystko jest jednym wielkim przypadkiem; zlepek dobrych cech, który zamiast cieszyć, martwi autodestrukcją i pędem ku przepaści.

Prześmiewcze *sacrum profanum*. Nie szanujesz daru życia, za nic masz Stwórcę, nie boisz się nawet samego diabła, bo myślisz, że go przechytysz, przepijesz, ograsz w karty, albo ostatecznie wydymasz swoim wielkim kutasem. Tak myślisz, a ja ci tylko powiem, że jesteś w błędzie. Ażeby ci to udowodnić, opowiem Ci historię początku świata.

To rzekłszy, zajął haszu, aż mi zrobiło się błogo i zaczął opowiadać.

– Otóż, synu – mówił – kiedyś świat wyglądał jak kisiel. Jeden wielki, przeklęty kisiel, w którym nic nie było normalne, nawet dźwięki. Rozciągały się w przestrzeni i przypominały bardziej kocią muzykę niż słowa. Wszystko było dziwaczne i Bóg postanowił, że coś się musi zmienić. Wezwał zatem swoich archaniołów i innych przydupasów i mówi:

„Uczynię zaraz wielki wybuch i zrobię świat, jakiego dotąd nikt nie widział. Będzie tak piękny, że aż przerażający. Będzie pachniał eukaliptusem, kawą, rosą i szeptał wam o poranku szumem drzew. Zamieszkają w nim najpiękniejsze stworzenia, jakie widział kosmos i wszystkim nam dadzą dużo radochy. Hołk”.

„Hołk” – odkrzyknęli aniołowie.

„A na koniec stworzę na wasze podobieństwo ludzi, żebyście też mieli co robić i się nie byczyli. Hołk”.

Nikt nie odpowiedział. Podobno Bogu próbowano wyperswadować pomysł z ludźmi, ale nie dawał się przekonać. Archaniołowie płaszczyli się i biadolili, że przecież wystarczająco dużo kłopotów jest z samymi aniołami, ich kapryśną naturą, miłostkami, problemami seksualnymi, mitomanią, żądzą władzy, poczuciem wyższości, zawiścią i zazdrością, ciemnymi zakamarkami dusz, by jeszcze na ich podobieństwo tworzyć ludzkość.

„To może zamiast tego zrobię ludzi na podobieństwo własne?”

Aniołowie zamilkli przerażeni, bo nie śmieli zwrócić Stwórcy uwagi, że to jeszcze gorzej. Tacy ludzie byłiby bowiem jeszcze

kapryśniej, małostkowi, rozmiłowani we własnym odbiciu, obdarzeni znacznie potężniejszą mitomanią, żądzą władzy, poczuciem wyższości, ciemnymi zakamarkami dusz...

Rzekli więc tylko z nadzieją:

„Jeśli nie masz dla nas litości, o Panie, to chociaż zrób jednego człowieka, Adama, który będzie cieszył Twe oczy i nie sprawi tyłu kłopotów”.

„Żaden jeden Adam. Będzie ich trzech”.

I tak Bóg stworzył Wołodę, Hansa i Janka, trzech braci, na swe podobieństwo. Usadził ich w piaskownicy i podzielił Ziemię na trzy nierówne części.

„Ty, Wołodia, będziesz rządził na Wschodzie, oddam ci ziemię niezbyt bogate przemysłowo, za to mocne w rolnictwie i pełne zasobów naturalnych, przestrzeni i świeżego powietrza, dzięki czemu będziesz silny, zdrowy, obdarzony potencją, poetycką naturą i barbarzyńską skłonnością do przemocy i okrucieństwa.

Ty, Hans, dostaniesz ziemię na Zachodzie, wspaniałe dla przemysłu i bogacenia się, gdzie będzie można wyprodukować prawdziwe cacka, najlepsze na świecie samochody i lokówki, i gdzie będziesz mógł rozkoszować się punktualnością, poczuciem misji, władzą i masową eksterminacją gorszych gatunków.

A ty, Janku... Cóż, dla ciebie mam specjalną misję”.

Wziął Janka na stronę i powiedział:

„Twoje ziemie będą mniejsze niż Wołodii i Hansa, nie będą też ani żyzne, ani bogate w zasoby naturalne. Nie będą prowokowały do budowania przemysłu i bogactwa. Nie będziesz ani bogaty, ani poetycko uzdolniony, ani obdarzony potencją i budzącym zazdrość przyrodzeniem.

Nie będziesz nawet skrupulatny i punktualny. Będziesz chodzącą nicością”.

„Jaka więc będzie moja rola?” – zapytał speszony i szczerze zasmucony Janek.

„Ty Janku, będziesz ich obu wkurwiał, żebym ja miał trochę radochy” – odparł Stwórca i zarechotał.

Widząc minę Janka spoważniał, klepnął go w ramię, objął

ciepło i rzekł: „Żartowałem . Twoja misja będzie całkiem poważna i będzie polegać na tym, by nie pozwolić jednemu i drugiemu na zniszczenie świata. Umieszczam cię w samym centrum Ziemi, pomiędzy potężnymi sąsiadami, z poczuciem misji, którą nazwałem sobie middle-bigle, co możesz przetłumaczyć jak chcesz” .

I stało się, jak rzekł Stwórca. W pięknym świecie, w pięknym Raju rozpoczęły się rządy trzech boskich tworców, zwanych ludźmi. Na Zachodzie rządził Hans, na Wschodzie Wołodia, a pośrodku zamieszkał Janek, który rzeczywiście wkurzał sąsiadów, wykazywał się sprytem i inicjatywą, okradając bogatego Hansa z samochodów i zegarków, a biednego i porywczego Wołodię rozpijając i podbierając ropę i gaz. A gdy pijany władca Wschodu spał, kopał go dla ubawu w dupę ku uciechu Stwórcy. Zagubieni archaniołowie szeptali pod nosem: „nic dobrego z tego nie wyniknie”.

No i mieli rację.

Hans zorientował się, że Janek skubie go z nowych cacek, nie przychodzi na czas do pracy, olewa procedury i generalnie jest luj i krętacz. Wołodia w tym samym czasie nie mógł doliczyć się hektolitrów gazu, ropy i wody, z lodówki zniknęły mu kielbasy, a na dodatek tylek miał posiniaczony, jakby w nocy, przez sen, ktoś go podstępnie, obrzydliwie skopał.

Któregoś dnia Wołodia z Hansem spotkali się i doszli do wniosku, że wszystkie ich problemy są przez Janka.

„Musimy mu pokazać, że jeśli nie przestanie, to czeka go sroga kara” – stwierdzili zgodnie.

„ Jak jednak będziemy się wymieniać towarami, skoro on zawsze będzie stał pomiędzy nami?” – zapytał bardziej racjonalny Hans.

„Na wszystko jest rada” – odparł Wołodia.

Odcięli Janka od surowców, zamknęli granice, zbudowali pomiędzy sobą gazociąg Nord Stream, wysłali do pilnowania granic pancernik Schleswig-Holstein i na dalekiej Syberii utworzyli obozy zagłady dla opornych poddanych Janka.

Archaniołowie chodzili po korytarzach Nieba coraz bardziej zdenerwowani.

„Jak nic, któryś zaraz wymyśli wojnę światową, a potem jądrową zagładę. Zniszczą dzieło Stwórcy i znowu będzie na nas, żeśmy nie zapobiegli. A czemu my winni?” – szepotali.

Poszli do Stwórcy i podzielili się swoimi obawami. Bóg, choć całkiem ubawiony rozwojem akcji, musiał przyznać im rację. Sytuacja wymykała się spod kontroli.

„Co proponujecie?”

Powiedzieli mu i Bóg pojaśniał na chmurnym obliczu. „To jest myśl!”

Następnego ranka do drzwi domu Hansa w malowniczym Szwarzwaldzie zapukała kobieta. Miała piękne, wijące się rude włosy, szczupłe ciało, piersi jak marzenie i w ogóle była niezemską laską. Wyuzdana, pachnąca landrynkami, o skórze, przypominającej w dotyku aksamit. Na imię jej było Sara. Jadła tylko twarożki odtłuszczone i piła wodę mineralną marki Blue. Rozkochała w sobie Hansa, a zaraz po nim Wołodię, pokazując im, co znaczy miłość i prawdziwa kobieta.

Jedną noc spędzała z Hansem, następną z Wołodią, oczywiście nie mówiąc żadnemu z nich, że dzieli się wdziękami z konkurentem.

Janek tymczasem szykował rewanż w odpowiedzi na działania sąsiadów. Wymyślił więc sobie, że zacznie wydobywać gaz z łupków, wydłuży wiek emerytalny, by rozkochać poddanych, uwielbiających pracować jak najdłużej, wypuści z więzień faszystów, ułaskawi wszystkich drani z komunistycznych służb specjalnych, wyśle pomorskie mewki na Schleswiga-Holsteina i postara się zaprzyjaźnić z Wołodią, obściskując się z nim nad grobami wspólnych wrogów i popijając wódkę na molo w Sopocie.

Tak też zrobił. Wszystko się jakoś unormowało i może trwałoby na wieki, gdyby Sara nie piła kawy z cukrem.

Kawa z cukrem? – zapytasz pewnie. – Cóż wspólnego może mieć kawa z cukrem z historią wszechświata?

Ja ci powiem, że bardzo wiele. Bo wiesz, Sara naprawdę nie znosiła gorzkiej kawy, a za to uwielbiała kawę słodzoną. I pewnego dnia, będąc u Hansa nie znalazła cukru w szafce, a Hans zapytany, zbył ją, że pewnie kawa się skończyła. Albo

cukier.

„Wypij bez cukru lub cukier bez kawy” – zawołał żartowniś.

Sara nic nie mówiąc wyszła z domu Hansa i postanowiła udać się do najbliższego sąsiada. Po sam cukier nie opłacało się biec do Wołodii. Poszła więc do Janka i jak tylko spojrzała mu w oczy, zrozumiała, że czegoś w jej życiu brakowało.

Miłość, mój drogi, jest czymś niepojętym, czymś, czego nawet Stwórca nie rozumie. Możesz obdarzyć swoje dzieła pieniędzmi, urodą, pasją, wielkimi członkami, wigorem, talentem i kaloryferem Cristiano Ronaldo, a i tak miłość może mieć swoje plany. I kiedy Sara zobaczyła Janka, właśnie to się stało. Miłość zdecydowała, że nadszedł dzień, by Sara się zakochała i nie pragnęła już w życiu niczego innego.

Wypili kawę z cukrem, a potem Janek chwycił Sarę za rękę i powiódł nad rzekę, nad którą górował wielki, nowoczesny most ustawiony równoległe do nurtu.

„Myślałam, że mosty buduje się przez rzekę – powiedziała zdumiona Sara. – Tak budował Hans i tak samo Wołodia”.

„Dlaczego? – zapytał zdziwiony Janek. – Dlaczego trzeba budować tak, jak to ustalił Hans czy Wołodia?”

„Bo most ma służyć do przechodzenia przez rzekę...” – odparła Sara, co zabrzmiało bardziej jak pytanie niż stwierdzenie.

„Otóż to – ucieszył się Janek. – U Hansa i Wołodii mosty służą do przechodzenia przez rzekę, a u mnie do zupełnie czegoś innego”.

„A do czego?”

„A do wyłudzenia unijnych pieniędzy – powiedział z radością Janek. – Wołodia i Hans składają się na wspólne fundusze, a ja za nie buduję mosty. A że taniej budować mosty wzdłuż niż w poprzek rzeki, to więcej zostaje do podziału”.

„A z kim się dzielisz?” – zapytała.

„Jak to z kim? Z samym sobą. Nie ma to jak dzielić się z samym sobą. Zawsze jest ucziwie”.

Ach, jaki on przebiegły i zaradny – pomyślała Sara. Most jest taki piękny i nowoczesny, to co za różnica, czy przebiega w poprzek, czy wzdłuż rzeki.

Wtedy Janek nachylił się do jej ucha i powiedział:

„Jeśli chcesz, zdradzę ci tajemnicę”.

Szept był jak letni wietrzyk. Omiótł wiotką postać, chłodząc i rozpalając jednocześnie, choć wydaje się to niemożliwe. Był szeptem niezwykłym, jedynym w swoim rodzaju. Wywoływał dreszcze i spazmy, od których Sara poczuła to niezwykle pragnienie, które odczuwała tylko podczas pełni Księżyca, gdy siedząc nago na ziemi, wypatrywała gwiazd. „Chcę” – powiedziała.

Janek uśmiechnął się, wziął ją za rękę i rzekł:

„Owszem, wyłudzam pieniądze Wołodii i Hansa, ale most zbudowałem tak naprawdę dla miłości. Hans i Wołodia nie rozumieją czym jest miłość. Hans uważa, że musi być punktualna i przebiegać przez rzekę, a nie z jej nurtem. Wołodia, by się zakochać, potrzebuje skrzynki spirytusu, a rankiem nic już nie pamięta, więc zakochuje się na nowo. Obaj nie wiedzą, że miłość ma gdzieś zasady i formy, jest czymś niepoznanym i niezwykłym, oni nigdy tego nie pojmą”.

Most był doprawdy niezwykły. Poza tym, że biegł wzdłuż rzeki, miał bardzo fantazyjne, ogromne wiązania w kształcie łuków, które łączyły oba końce. Łuki były szerokie zaledwie na półtora metra i wznosiły się do nieba. Szczytowy punkt na łuku był położony tak wysoko, że siedząc tam można było spoglądać na całe piękno Ziemi, jednocześnie opierając głowę na miękkich bałwanach chmur. Janek uwielbiał przesiadywać tam machając wesoło nogami i patrząc z góry na wszystkich. Powiódł Sarę na ów szczyt, dzięki czemu dziewczyna poczuła drżenie prawdziwego strachu i szczerzej rozkoszy. Zasiadli na szczycie wąskiego łuku, Janek wyjął z kieszeni butelkę i powiedział:

„Teraz napijemy się wódki, a potem będziemy się kochać”.

Ech, cóż to była za miłość. Wszyscy archaniołowie zebrali się, by podziwiać i wzdychać nad pomysłowością Janka, który na ziemi wydawał się kochankiem zwyczajnym, przeciętnym, wręcz miernym, a w niebiosach otulających wiązania mostu dokazywał niczym jakiś demon miłości.

Już po wszystkim, gdy Sara liczyła przeżyte orgazmy,

zadowolony Janek wyjął:

„Hans jest bogaty i daje poczucie bezpieczeństwa, Wołodia poraża niezwykłym połączeniem barbarzyńskiej brutalności, wigoru i siły. Żaden z nich nie ma tego, co ja: lekkości i możliwości szczytowania na samej górze wysokiego mostu”.

Od tego dnia Sara chciała się kochać tylko z Jankiem. Jeszcze wówczas była to czysta, uczciwa i zupełnie niezeepsuta złem świata dziewczyna, więc wyznała wszystko Hansowi. Ten westchnął i zapytał:

„A jeśli wybuduję ci most równoległe do rzeki, wrócisz do mnie?”

„Tu nie chodzi o most”.

„Sama nie wiesz, czego chcesz”.

Właśnie to było problemem. Janek jako jedyny nie chciał, by go podziwiała. Nie oczekiwał, by rozumiała wszystko dokładnie tak, jak on to widział. Nie narzucał swojej woli i spojrzenia. Nie pragnął być jej rozumem, oczami i uszami. Dawał jej wolność, a nad jego łóżkiem wisiał wielki transparent:

„Feminizm jest OK
Na obiad i tak chodzę do Chińczyka”.

Wróciła do Janka i oddała się szczęściu.

Tymczasem przebiegły Hans nie chciał dać za wygraną i postanowił wybudować cholerny most. Wynajął najlepszego architekta, wypłacił z banku pieniądze i ogłosił przetarg na wykonawcę.

Sara, wiedzona przecuciem, przekonała Janka, żeby wziął kontrakt na budowę, bo nic to nie zmieni pomiędzy nimi.

„Możesz przejąć ten kontrakt, dając cenę dwukrotnie wyższą niż się należy, zlecić prace Wołodii, żeby się nie napracował, a zyskami podzielić się z Hansem, żeby się nie zdenerwował, że przepłacił. W ten sposób wszyscy będziecie szczęśliwi, a ja was dodatkowo ubezpieczę, sprzedając opcje walutowe i inne instrumenty pochodne”.

„Ze co?” – zapytał Janek.

„Instrumenty pochodne. Nie interesuj się. Po prostu mi

zaufaj”.

Tak też Janek zrobił. Wybudował Hansowi most, wszystkie cięższe prace zlecając Wołodii, na koniec dzieląc się zyskami ze zleceniodawcą. Najlepiej zaś zarobiła Sara, która zajęła się sprawami finansowymi, procentami i przechowywaniem pieniędzy w bankach szwajcarskich. Szybko wypłaciła sobie należną premię, za którą zaproponowała Jankowi podróż dookoła świata. Od tego dnia wymyślała coraz to nowe instrumenty finansowe, fundusze emerytalne, robiła postęp, bezpieczeństwo i szczęście.

Hans i Wołodia szybko zorientowali się, że coś tu jest nie tak i postanowili zareagować. Spotkali się w miejscowości Rapallo i zdecydowali, że nie mogą dalej folgować przebiegłości Sary.

„Jest jeszcze gorsza niż ten przeklęty Janek. Jest zagładą”.

„I jaka cwana. Wymyśliła sobie, że stworzy enklawę nie wtrącając się do żadnych sporów i zarabiając na wszystkich”.

„Do diabła z nią”.

Tak radzili i radzili, aż Hans nagle zapytał:

„Czy Sara to nie jest przypadkiem żydowskie imię?”

Wołodia podrapał się po głowie i szepnął:

„Hm, rzeczywiście”.

„Trzeba wykończyć wszystkich Żydów” – stwierdził Hans.

Hans założył mundur z trupią czaszką na czapce i rozpoczął u siebie wielką eksterminację. Wszyscy Żydzi, których nie zdążył zamordować, uciekli do Wołodii, a ten część zabił strzałem w tył głowy, część powiesił, a pozostałych powsadzał do obozów na dalekim stepie, po czym wysłał na pustynię, by zbudowali sobie własne państwo na kamieniach i poniszczonej słoneczną spalenizną ziemi. Archaniołowie tymczasem dostali sraczkę.

„Jak Stwórca się dowie, wpadnie we wściekłość”.

Stwórca rzadko wpadał we wściekłość, ale wtedy Niebo pamiętało to na wieki. Wściekłość Stwórcy oznaczała tornada, powodzie, trzęsienia ziemi, a czasem koniec świata.

„Trzeba coś zrobić” – rzekł jeden z archaniołów i wymyślił, że nie mówiąc nic Stwórcy, powoła do życia kolejnego człowieka, którego wysłał z misją naprawienia świata.

Archanioł ów miał na imię Samael i w niebie był opiekunem

much, węży, robił też czasem za anioła pocztowego, dostarczając wyroki śmierci. Zajmował się rzeczami tak brzydkimi i potwornymi, że w sercu nosił wielką potrzebę piękna i czystości. I owa potrzeba sprawiła, że w swoje dzieło chciał wnieść tyle piękna, ile ludzkie ciało jest zdolne pomieścić.

Dzieło wyszło mu w istocie piękne. Miało skórę barwy oliwki, wiecznie błyszczącą i delikatną, proporcje ciała idealne, przyrodzenie wyśmienite, mięśnie prężne i silne, okoloną bajkowymi czarnymi loczkami twarz z dołeczkami i ustami, przypominającymi dojrzałą brzoskwinie. Ale najpiękniejsze były oczy: wielkie, cudownie błyszczące, głębokie jak studnia, podszyte lekkim szaleństwem, poetycko wręcz urocze. Dzieło doskonałe.

„Jesteś arcydziełem” – rzekł Samael „Nazwę cię Ahmed i obdarzę szczęściem i bogactwem w Niebie. Zanim jednak tak się stanie, musisz wykonać zadanie na Ziemi”.

„Słucham pokornie, Efendi”.

Archanioł przekazał mu swój plan, na co biedny Ahmed zbłądł i dopytał szeptem:

„Mam zabijać niewiernych? Za to czeka mnie Raj?”

„Zabijanie nie jest grzechem, jeśli czynimy je w imię religii” – pokiwał głową Samael.

„A co z miłością bliźniego, umiłowaniem dobroci i szczęścia dla wszystkich?”

„Słyszałeś kiedyś o komunistach, Ahmedzie? Pewnie nie, ale powiem ci, że oni też wierzyli w utopię, i dziś nikt już o nich nie pamięta. Tu w Niebie kompletnie zapomniano kim byli aniołowie-komuniści. Ich dzieła zalegają piwnice biblioteki, niszczone przez nikogo nieczytane. Na Ziemi zaś twoi przyrodni bracia, choć spłodzeni przez innego ojca, pokazują, na co ich stać przy tych utopijnych założeniach o wielkiej równości i miłości. Ludzie, podobnie jak aniołowie, nigdy nie pokochają równości. Zawsze będą pełni zawiści. Nie pozwolą, by toczący ich dusze rak skonał z głodu” .

„Dlaczego jednak każesz mi zabijać Żydów, skoro ich już zabija Hans, a Wołodia torturuje, wsadza do obozów lub

wypędza na pustynię?”

Samael powiedział mu i Ahmed w końcu zrozumiał.

„Mam więc zastąpić miejsce Żydów w dziedzinie bankowości?”

„Kiedyś wspomnisz moje słowa: pieniądze są ważniejsze niż miłość”.

Ahmed zstąpił na Ziemię i udał się do państwa Janka, w którym Żydzi znaleźli schronienie. Jednak gdy ujrzał Sarę, zamiast chęci mordy, zapalał do niej miłością. Sara zaś, znudzona już nieco Jankiem, jego bałaganiarstwem, rozrzutnością, skłonnością do alkoholu i używek, beznadziejną odwagą niepopartą argumentami, fantazją kazającą atakować czołgi szablami, niepotrzebną brawurą i potencją uzyskiwaną tylko na szczycie mostu, pozwoliła Ahmedowi ująć się za rękę i szeptać do ucha słodkie słówka. I nawet się nie zorientowała, jak śliski wąż o doskonałej konstrukcji znalazł się w niej i doprowadził do takiej rozkoszy, jakiej nigdy nie doznała z Hansem, Wołodią, a nawet Jankiem na zwieńczeniu mostu. Później o tym wszystkim napisał piosenkę pewien ślepy hipis, a utwór ten stał się hitem w Niebie.

Zdrada zaboląła Janka, bo popadł w alkoholizm i zaczął kolaborować z Wołodią i Hansem w kwestiach eksterminacyjnych. Choć wciąż kochał byłą dziewczynę, znienawidził ją za zdradę, znienawidził też Ahmeda i wszystko, co kojarzyło mu się z odmiennym kolorem skóry, pisaniem na odwrót i obrzezaniem.

Sara musiała więc uciekać na pustynne bezdroża, gdzie w ramionach nowego habibi przeżywała drugą młodość.

Samael w Niebie zaś rwał włosy z głowy i wył w poduszkę z obłoków.

„Miałeś ją zamordować, a nie rznąć!” – syczał w myślach.

Jego plan legł w gruzach. Nie dokonała się ani sprawiedliwość, ani zemsta. Nie powiedziałem ci bowiem, że Samael skrycie kochał się w Sarze, a ponieważ nie mógł jej mieć, postanowił zamordować.

Stało się inaczej. Ale to nie koniec historii. Z nerwów i nienawiści, jak wiadomo, wychodzą czasem rzeczy niezwykle. I

tak Samael zasiadł do tworzenia nowego człowieka. Przyłożył się do pracy, bo pragnął stworzyć dzieło jeszcze piękniejsze i wspanialsze niż poprzednie.

I udało mu się, do licha. Naprawdę mu się udało.

Nowy twór miał dwa metry wzrostu, mięśnie jak Herakles, twardy brzuch i ogromnego kutasa, niezawodnego w działaniu. Jego łysa czaszka była precudna, lśniąca tak w słonecznym blasku, jak w dżdżystej jesiennej szarudze, w idealnych proporcjach, usta i oczy jeszcze wspanialsze niż Ahmeda. Był chodzącym ideałem, tworem doskonałym.

„Nawet Bóg nie może już stworzyć niczego piękniejszego – szepnął mu do ucha Samael. – Od dziś nazywasz się Harry. Idź, synu, zstąp na Ziemię i siej zazdrość i nienawiść”.

Harry spojrział w lustro i popatrzył zdziwiony na ojca-stworzyciela.

„Dlaczego jestem czarny, a nie biały jak ty, ojcze?”

Samael roześmiał się szczerze ubawiony.

„Nawet nie wiesz, ilu białych ojców będzie zadawać sobie to pytanie w przyszłości – zarechotał, a potem upomniał: – Kolor twojej skóry ma być powodem dumy, a nie wstydu. Owszem, inni ludzie, Hans, Wołodia, Janek, a nawet Ahmed będą próbować z ciebie szydzić, zniewolić cię, uczynić podczłowiekiem, będą cię nazywać asfaltem, czarnuchem, porównywać do małąp i zwierząt, ale wiedz, że wszystko to uczynią z zawiści, z zazdrości, że nie mają twojego piękna, twojej urody, siły, potencji, twojego kutasa. Noś więc swoją czarną skórę z dumą, pręż mięśnie na wyzwiska, napełniaj czarne serce adrenaliną, zmuszaj innych do pokory. Bądź taki i bądź szeryfem świata. A przede wszystkim odbierz tę zdziwę Sarę Ahmedowi i pokaż mu, jak się kocha kobietę.”

Harry zjechał z Niebios na Ziemię na lśniącym w słońcu harleyu, przejechał przez pustynię do kraju baśni, wiedziony aromatem słodzonej kawy, podjechał pod książęcy pałac Ahmeda i przegazował motocykl.

Sara wyjrzała z okna wieży bajkowego wschodniego pałacu i zobaczywszy tak pięknego królewicza na tak cudnej maszynie, nie mogła się powstrzymać. Zbiegła na dół, wskoczyła na tylne

siedzenie i dała się ponieść przygodzie.

Wierz mi, nie żałowała tej decyzji. Jej żydowskie serce nigdy tak mocno nie biło, a ciało nie odczuwało podobnej rozkoszy, jak wtedy, w przydrożnym motelu z Harrym, którego przez kolor i wigor nazwała Dirty. Dirty Harry był jak odnaleziona na niebie gwiazda, jak czas, który nam umknął i nagle go odnaleźliśmy, jak słońce błyszczące o poranku nad łąką pokrytą szronem.

Był niezwykle i wspaniały. Wszystkie poprzednie miłości zbladły za sprawą Harry'ego.

Ahmed przez tydzień płakał i kulił się z nienawiści i smutku, a potem poprzysiągł wieczną świętą wojnę i zabijanie Żydów i wszystkich niewiernych odmieńców z Dirty Harrym na czele. Jego krzyki rozpacz i grozy dotarły do Nieba i wywołały niemałe poruszenie.

Tego było jednak za wiele nawet dla samego Boga. Już następnego dnia wezwał do siebie aniołów i zażądał, by przyznali się, który sprzeniewierzył się zasadom i stworzył na swoje podobieństwo kolejnych ludzi, których miał prawo tworzyć tylko Bóg.

Żaden z aniołów nie przyznał się do winy. Wtedy Bóg westchnął i zawołał:

„Ech, tchórzliwe istoty, czyżbyście myśleli, że ja nie wiem, że nie jestem w stanie przejrzeć waszych gier. Samaelu, wystąp...”

Biedny anioł pocztowy wyszedł powłócząc nogami, lecz z każdym krokiem odzyskiwał charyzmę i przekonanie, że zrobił dobrze. Gdy stanął przed Stwórcą, był już tego całkiem pewien. Spojrzał więc hardo na Boga i o mało co nie spłonął. Stwórca w ostatniej chwili powstrzymał słońce i własne pragnienia, gdyż rozumiał, że to zdarzenie czegoś go nauczyło.

„Samaelu, jesteś ostatnią gnidą, podłym wynaturzeniem, straszliwą zakałą aniołów. Ale przez przypadek dzięki tobie zrozumiałem, że nie mogę kierować losem świata. Ze powinienem go stworzyć i zostawić samemu sobie, by zdecydował, gdzie pójść i kiedy”.

„Jeśli to zrobisz, świat czeka zagłada – upomniał Samael. – My chcieliśmy temu zapobiec”.

„Nawet jeśli masz rację, przeklęta istoto, warto się o tym przekonać. Może pozwolić ludziom decydować o tym, co ma być. Ciebie zaś, Samaelu muszę ukarać za twą hardość i nieposłuszeństwo. Początkowo zamierzałem cię strącić w otchłań, w czarną dziurę i niebyt, ale doszedłem do wniosku, że to byłoby zbyt okrutne. Zatem strącę cię do podziemi, gdzie zbudujesz swoje piekło i będziesz mógł do woli intrygować i eksperymentować. Od dziś będziesz nazywał się Szatan i zostaniesz pierwszym upadłym aniołem, wzbudzającym odrazę i strach”.

To rzekłszy, Bóg zepchnął Samaela w przepaść piekielną, a zaraz potem zmiął cały świat w garści jak plastelinę, zdusił jęczące protesty swoich tworców i dzieł Samaela, sformował ziemię na nowo, a z ciał Wołodii, Hansa, Janka, Harry’ego, Sary i Ahmeda ulepił Adama. Tak oto powstał pierwszy człowiek, twór, na którego widok każdy rasista zwymiotowałby nawet krewetki i francuskie trufle. Tak oto narodził się współczesny świat, w którym nienawiść i rasizm są największą zgorzą, bo wypływają z nas samych, z naszego wnętrza. Dlatego też są zwykłą głupotą.

Nie bądź więc głupcem, Romanie Maryninie – powiedział przybysz. – I nie szydź z czarnuchów, nie kop psów i nie ucinaj palców Żydom, bo to jakbyś sobie robił krzywdę. Hołk.

Zniknął, a ja ci powiem synu, że cała ta haszyszowa wizja do mnie przemówiła. Dlatego, choć czasem śmieję się z odmienności, szanuję nawet Rumunów i Turków i nie pozwalam ich krzywdzić. Tobie też to radzę, hołk.

Bastian wypił kilka kieliszków wódki z Romanem, pozwolił mu się wyplakać, wyznać przyjaźń, miłość, ale gdy Marynin chciał go pocałować w usta, ulotnił się czym prędzej. Wiedział bowiem, że po pocałunkach Rosjanie niemal natychmiast przechodzą albo do miłości albo do bitki, chyba że ktoś zacznie śpiewać. Carmen odprowadziła go na parking, do roweru, i pocałowała na pożegnanie.

– Nie zmarnuj daru, który otrzymałeś.

Znów poczuł na nią ochotę i cieszył się, że jeszcze tej nocy będzie mógł skorzystać z pobranych lekcji. Porzucił rower przed wejściem do prosektorium i wbiegł do dyżurki. Poza Iną była w niej jeszcze inna dziewczyna-blondynka o niebieskich oczach – oraz starszy nauczyciel. Na stole stała opróżniona do połowy butelka wódki.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział Bastian i chwycił Inę za ramię ciągnąc do jednego z pomieszczeń sekcyjnych.

– Zwariowałeś? Nie mogło to poczekać?

– Nie mogło!

Zamknął salę na klucz i nie zapalając światła, dokonał tego, po co przyszedł.

Ina długo jeszcze wspominała tę noc, a już po tygodniu zaczęła dodawać do wspomnień nowe szczegóły i znaczenia, tak że nawet nie zauważyła, jak jej umysł stworzył mały mikroświat, w którym zamiast jednego było już dziesięciu Bastianów. Wszyscy oni kochali ją z równą mocą i jednakowym uwielbieniem, a jej rozkosz mnożyła się dziesięciokrotnie.

Asmodeusz, obolały, zniszczony, ukryty pod kamieniem w postaci skorpiona, tylko na to czekał.

Epilog

Przebudziłem się o czwartej nad ranem. Nie byłem pewien, czy doczytałem rękopis do końca, ale chyba tak. Gdy zajrzałem na ostatnią stronę, wydała mi się znajoma. Ostatnie, jakby niedokończone zdania także.

Niezwykła książka – pomyślałem. – Ciekawe, czy by się spodobała mojemu wydawcy? Pewnie nie. Dziś w modzie są linearne opowieści albo takie, w których bohater jest przystojnym wampirem. Cóż to za wampiry, które zamiast krwi piją ludzkie emocje? Czym potrafią przyciągnąć uwagę, skoro nie zębami i krwią? Czy są równie seksowne, demoniczne i przystojne?

Wypiłem drinka i zadzwoniłem do mojej dziewczyny. Czulem podniecenie. Większość książek tak na mnie działa. Czytam i nagle mam ochotę. Wtedy dzwonię do mojej dziewczyny. Jednej lub drugiej.

– Halo – rozległo się po drugiej stronie. Głos był słaby, jakby zmęczony.

– Cześć, to ja. Spałaś?

– Nie.

– Coś się stało?

– Mojego męża wyrzucono z pracy – odparła po krótkiej pauzie.

– Przykro mi.

– Dzwonisz po to, by powiedzieć, że ci przykro?

– Nie.

– Więc po co?

Powiedziałem jej. Może powinienem dobrać słowa bardziej odpowiednie do chwili, bo nie odpowiedziała, tylko się rozłączyła. Spojrzałem na telefon, w którym dźwięczał sygnał przerwane połączenia. Pewnie wyglądałem jak jakiś bohater filmowy.

Potem wzruszyłem ramionami i otworzyłem książkę

adresową. Walerię znalazłem dość szybko i dość szybko zostałem odprawiony z kwitkiem.

– Wal konia, skurwysynu!

Trzecia na liście była Dominika. Zupełnie nie pamiętałem, jak wygląda, więc musiałem dłuższy czas spędzić na układaniu planu, gdzie mogę się z nią spotkać, by się nie pomylić. W końcu zadzwoniłem.

– Nie odzywałeś się przez pół roku – powiedziała z wyrzutem, ale też nutą sympatii w głosie.

Zagadywałem ją przez kwadrans, by przejść do rzeczy.

– Mam chłopaka – odparła.

– Jest równie dobry jak ja?

– Jest znakomitym kochankiem. W przeciwieństwie do ciebie.

– A jest chociaż równie zabawny?

Ostatni telefon sprawił mnie w przygnębienie i postanowiłem pójść na spacer. Zwykle udaję się do parku lub nad morze, jeśli mieszkam w miastach portowych, ale tego dnia postanowiłem poszukać jakiejś nocnej rozrywki. Wezwałem taksówkę i poprosiłem, by kierowca zawiózł mnie do jakiejś dzielnicy rozrywek. W odpowiedzi pokazał mi kartkę, na której było napisane:

*Przepraszam, ale nie mówię dobrze w pana/
/pani języku. Proszę o podanie wyraźnej nazwy
ulicy, gdzie pan/pani chce jechać.*

Cóż, w końcu taksówkarz to nie fryzjer. Zapytałem go więc, w jakim mieście jesteśmy. W jego niepewnym wzroku był też lekki cień strachu.

– To Hamburg – odparł w końcu.

– W takim razie poproszę na Reeperbahn.

– Reeperbahn? – powtórzył, upewniając się, a gdy skinąłem głową, wpisał nazwę ulicy do GPS i ruszył powoli.

Hamburg, jak przystało na miasto portowe, ma klimat. Uwielbiam tu mieszkać, nawet zimą. Ponadto Hamburg pławi się w bogactwie i zapachach cudnej kuchni. Pełno tu

roadsterów, które właściciele zostawiają na parkingach z niezamkniętymi drzwiami. Mnóstwo kwiatów, grzanego wina, rozdawanego na targach, i kuchmistrzów ze wszystkich stron świata, zapraszających do przytulnych knajpek. Pijani marynarze wszczynają tu burdy tylko między sobą i zwykle kłócą się o pieniądze, a nie o kobiety.

Latem przeprowadzam się na południe, gdzie życie wydaje się ciekawsze, ale zimy uwielbiam spędzać w bardziej znajomych klimatach. Od Hamburga ciekawszy jest tylko Petersburg.

Dojechaliśmy do St. Pauli i ruszyłem do mojego ulubionego okienka. Lubilem tę dziewczynę między innymi za to, że miała na imię Cristabelle. Nie wiem, co to za imię i skąd się wzięło. Z dziewczyną, która się nim przedstawiała, nie mogłem dogadać się w żadnym ze znanych języków, poza jednym.

Kiedy skończyłem i zapłaciłem, napiłem się kawy z darmowego dystrybutora i wtedy dziewczyna znacząco zerknęła na zegarek. Wyszedłem, a ona ponownie ułożyła się za szybą na brzuchu, leniwie machając lewą nogą w górę i w dół.

Poszedłem w kierunku rzeki, której nazwy nigdy nie pamiętałem, ale jeśli się nie mylę, miała coś wspólnego z niemieckim pancernikiem, który rozpoczął drugą wojnę światową. Chciałem pójść nad wodę. Lubilem wodę. I wtedy zobaczyłem małą dziewczynkę, klęczącą z torebką na rogu ulicy. Nie miała w niej zapalek, tylko jakieś świecidełko, ale i tak przypominała bohaterkę z bajki Andersena. Zapytałem ją, czy sprzedaje świecidełko i dlaczego płacze, a ona odparła:

– Nie słyszał pan. Dziś zmarł Kim Dzong Il.

Kupiłem od niej kilka świecidełek i poprosiłem, by poszła do domu i powiedziałem, że mogę odprowadzić.

Spojrzała zadziornie pokazała mi język i warknęła:

– Zboczeniec.

Nie miałem nic złego na myśli. Dopiąłem płaszcz, czując przenikliwe zimno nadciągające znad wody, i wtedy dostrzegłem małego Araba krzątającego się wokół dużej witryny z podświetlonym jaskrawym neonem:

Antykwariat – tylko całkowicie zepsute księgi

Gdy podszedłem, Arab szybko zniknął w sklepie zmuszając mnie do wejścia do środka. Nie wiem, czy często macie uczucie *deja vu*, bo ja dość rzadko. Poza kobietami, pamiętam większość tego, co przeżywam.

Pamiętam filmy, muzykę i książki. Pamiętam przyjaciół i wrogów.

To sprawia, że nieczęsto gubię się w *deja vu*. Tym razem byłem pewien, że nigdy nie odwiedziłem tej księgarni, a jednocześnie miałem nieodparte wrażenie, że już do niej zawitałem. Różniła się istotnie od książkowego opisu, przede wszystkim tym, że jedną jej część zajmował typowy sex-shop. W witrynie wyeksponowano przeróżne sztuczne penisy, lalki i waginy, a także zestawy sado-maso, kremy do ciała i środki na poprawę potencji. Tuż przy kasie leżało dziwne urządzenie, przypominające połączenie pompki z wielką laboratoryjną probówką.

– A to co takiego? – wyrwało mi się.

– Pompka do powiększania penisa – odparł Arab.

– Polski wynalazek, prosty i niezawodny.

– Naprawdę działa? Arab wzruszył ramionami.

– Przecież nie po to pan przyszedł. Cieszę się, że zdążyłem wystawić księgę – powiedział.

Uznałem, że nie będę pytał o stosowność połączenia seks-shopu z księgarnią. Kiedy podał mi „Księgę kłamców”, poszukałem portfel i sięgnąłem do kieszeni, sprawdzając stan gotówki. Miałem tylko kilka euro. Książka z pewnością kosztowała znacznie więcej.

– Mogę zapłacić kartą?

Księgarz wzruszył ramionami przepraszająco i wskazał na napis przy kasie: „Płatne tylko gotówką”. Obok widniał czerwony napis na białym tle:

**STOP ZŁODZIEJOM BANKOWYM, LICHWIARZOM,
ŻYDOM, MAKLEROM i DORADCOM INWESTYCYJNYM
(są jeszcze gorsi od agentów ubezpieczeniowych)**

– Nie musi pan dziś płacić – powiedział. – Jeśli książka się panu spodoba, przyniesie mi pan pieniądze. Jeśli nie, odniesie książkę, ale ja poproszę pana o pewną przysługę.

– Przysługę? Jaką przysługę?

– Powiem w przyszłym tygodniu.

Po przeczytaniu anonimowej książki nie powinienem brać od niego tego tomu. A jednak wziąłem go.

Gdy wychodziłem, księgarz pokazał mi zdjęcia swoich dwóch córek i zapytał, czy któraś mi się podoba. Tak jak się spodziewałem, obie miały zasłonięte twarze. Jednak to przemilczałem. Gdy wychodziłem, wydawało mi się, że Arab uśmiecha się pod nosem. Kolejna ofiara chwyciła haczyk.

W domu przekartkowałem „Księgę kłamców”, a potem zadzwoniłem do mojego wydawcy.

– Mam dla ciebie niesamowitą historię.

– Jeśli o wampirach, to jestem zainteresowany.

– Nie do końca.

– Dziś sprzedają się tylko książki o wampirach i autobiografie celebrytów.

– Ta jest raczej o demonach.

– Demony? Cóż, może. Ale demony sprzedają się gorzej.

Ostatecznie nie posłał mnie do diabła, uznałem więc, że to wstępne porozumienie. Wieczorem zrobiłem sobie drinka i zasiadłem do lektury. Księga na szczęście dała się normalnie kartkować, nie trzeba było dmuchać, by przerzucać strony.

Przeczytałem wyrywkowo kilka haseł i poczułem się zawiedziony. Poza lewackim cynizmem i rewolucyjną skłonnością do nazywania konserwatystów po imieniu nie było w niej specjalnie niczego nowego, nie zmieniała historii świata, jak księga z rękopisu.

Musiałem jednak przyznać, że jej przeglądanie wciągało. Otworzyłem księgę na kilku hasłach pod koniec, a potem cofnąłem się na początek i odnalazłem coś, co mnie naprawdę interesowało. Hasło, którego wyjaśnienia brakowało mi w książce z biblioteki.

Cimeies: zwany markizem piekła, w powszechnej tradycji okultystycznej błędnie określany jako sześćdziesiąty szósty duch goecji, władający legionami duchów Afryki, niedoceniany i lekceważony przez współczesnych goetów. Na pierwszy rzut oka ujmujący, szczerzy i przyjacielski. Miłośnik czekolady, gier logicznych i krewetek smażonych na grillu. W świecie prawdy i kłamstwa, w przeciwieństwie do innych pomniejszych i próżnych demonów, przybiera zwykle postać osobnika starszego, pozornie niegroźnego i wzbudzającego zaufanie.

Ten wielki filozof, logik i poszukiwacz skarbów znany jest z podejmowania wyzwań niemożliwych i toczenia gier z najgroźniejszymi demonami i najpotężniejszymi aniołami. Część badaczy historii piekła uważa nawet, że okpił samego Boga, podszywając się pod jego syna Jezusa i uzyskując boski glejt na czynienie zła i wyławianie ludzkich dusz. W średniowieczu błąkał się po lazaretach i burdelach, nawiedzając istoty upadłe i przekonując je do podjęcia wyzwań ponad siły. Można spotkać się z twierdzeniami, że to za jego sprawą Kopernik dokonał swego odkrycia. Podobno nawiedzał w snach Rousseau, Stendhala i Cervantesa oraz toczył długie dysputy z Mannem i Dostojewskim, którego szczególnie sobie upodobał. Kochał Rosję i uchodzi za autora powiedzenia: „Rosjanie zawsze są pierwsi. Pierwsi w kosmosie, pierwsi przy stole i pierwsi pod stołem. To oni jako pierwsi wykończą ten świat”.

Współcześni odnajdują znaki jego srebrnej pieczęci w biografjach Hitlera, Stalina i Pol Pota. Jest patronem terroru i niechcianych dzieci, które wspiera z determinacją tak wielką, że nietrudno zgadnąć, iż sam jest bękartem. Według tajnych ksiąg Horacego narodził się jako brat bliźniak innego demona, Asmodeusza, z zakazanego związku dwóch anielic. Horacy sądził, że anielice pokochały Asmodeusza, a Cimeiesa poświęciły

diabłu, zrzucając go do piekła. I to ma być rzekomo źródłem ich nienawiści.

Ja sędzę, że to bzdury, choć z pewnością pomiędzy Cimeiesem a Asmodeuszem jest nienawiść bezmierna. Bardziej już bym się skłaniał ku teorii, że Cimeies, jako demon niezwykle i najważniejszy, stworzył sobie sam Asmodeusza, by mieć kogoś do nienawiści i potyczek, bo było mu za nudno i za dobrze na świecie. Może nawet to jedna i ta sama osoba. Jeśli demon oczywiście jest osobą. Tak czy owak, Cimeies błądzi po świecie z zastępem podległych duchów, naucza logiki i sztuk walki, dosiada tylko czarnych ogierów lub śnieżnych wielbłądów i można go przyzwać za pomocą srebrnej pieczęci.

Skończyłem czytać i włączyłem telewizję. Kryzys sprawił, że oglądałem tylko wieczorne wiadomości w SuperTV. Nie lubiłem ciągłego narzekania i straszenia kolejnymi bankructwami, przeplatanego tłumaczeniami bankierów, którzy brali miliony dolców odpraw. SuperTV była stosunkowo nieznaną stacją, której reporterzy nigdy nie narzekali, robili masę błędów językowych i śmiali się na wizji ze swoich rynsztokowych żartów.

Ostatnie, wieczorne wiadomości SuperTV były najchętniej oglądanym programem stacji ze względu na to, że prezenterka, opowiadając o mało istotnych lub (rzadziej) ważnych wydarzeniach na świecie, robiła jednocześnie striptiz. Dobierano lekkie i przyjemne wiadomości, które były prezentowane przy akompaniamencie cichego mazurka.

Prowadziła moja ulubiona złotowłosa prezenterka o nazwisku Cyntia Harding. Była to piękność o dużych piersiach. Mówiła:

„Bankier Szymon Krykowski z uroczego miasta Poznań ogłosił pewnego pięknego ranka plajtę i popełnił samobójstwo strzałem w głowę. I wszystko byłoby sprawiedliwie, gdyby nasz reporter nie odnalazł dzisiejszego, równie pięknego ranka Krykowskiego w kawiarni Holly’ego w Berlinie, zajadającego smaczne jajka na boczku i papryce, za które zapewne płacił

zdefraudowanymi funduszami. Bankier zapewniał naszego reportera, że nigdy nie okradł żadnego Żyda ani Niemca i że byłby skłonny się dogadać, wykupując reklamę w naszej stacji. Wiecie co, drodzy widzowie, odpowiedzieliśmy. Wal się na ryj, Krykowski. Ty gadzie!”

Wstała, pokazała na ekran, rozliczając Krykowskiego z defraudacji, i jednocześnie zdejmując bluzkę. W samym staniku wyglądała olśniewająco. Poszedłem do lodówki po cienką kielbaskę pepperoni i piwo.

„Frank szwajcarski znowu mocny, Bundestag rozważa powrót marki, prezydent Obama ma już dwa miliardy znajomych na Facebooku (w tym miliard Chińczyków) a w Europarlamencie stary pierdziel Szymański (jakże ja nie znoszę polskich konserwatystów) zapowiada walkę z *in vitro* i reakcję na czystki etniczne na granicy albańskiej. Dania zaś żąda kolejnej debaty na temat dofinansowania portugalskich funduszy emerytalnych i włoskich banków. Nieco niżej słońce, że aż miło. W Grecji pracy nikt się nie boi. Trzydzieści pięć stopni w cieniu, a wszyscy żigolacy wylegli na plaże usługiwać rozpalonym turystkom. Na Morzu Śródziemnym maltański kuter rybacki złowił rekina białego, bardzo rzadkiego w tych wodach, choć na Korsyce twierdzą, że rekiny ciągle pożerają członków zwaśnionych klanów”.

Zjadłem pepperoni, a Cytia Harding wstała od stołu, przeszła do szerszego kadru i ściągnęła stanik, uwalniając swoje niesamowite piersi. A potem kontynuowała serwis informacyjny:

„Włoski przedsiębiorca Gatusso, przez niektóre lewicujące dzienniki określany mianem mafioso, zainwestował znaczne środki na rynku sztuki. Marszandzi nie ujawniają, jakie obrazy wpadły w oko gangstera... przepraszam, przedsiębiorcy... ale nasze źródła donoszą, że Włoch kupił wszystkie dostępne na rynku płótna znanej postmodernistki i prowokatorki Anny

Blume, płacąc każdą żadaną kwotę. Tego samego dnia szwedzki dziennik kulturalny „Kulturella Dagens” podał na stronie internetowej niesprawdzoną informację o śmierci Anny Blume w wyniku jakiegoś tajemniczego wypadku. Informacja została szybko zdementowana przez agenta artystki. Sama Blume wystąpiła godzinę później w telewizji i pozdrawiając wszystkich fanów, powiedziała, że przeszła ciężką chorobę, ale nic już jej nie grozi. Według plotkarskiego serwisu „Gossip” Blume próbowała popełnić samobójstwo wbijając sobie nóż w serce. Ech, te gwiazdy, czego one nie zrobią dla popularności. Tak czy inaczej, niewykluczone, że Gatusso został celowo wpuszczony w maliny, bo rynek sztuki przeżywa poważną zapaść kosztem indeksów złota i gazu. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że włoski biznesmen podejrzanego autoramentu chciał wykorzystać pogłoskę o śmierci Blume, by na niej zarobić, lecz nieźle się przejechał, ha. A mówią, że na świecie nie ma sprawiedliwości”.

Cyntia, złotowłosa Cyntia, o pięknych piersiach i słońcu zachodzącym między nogami. Tylko ona potrafi mnie tak rozpalić samym językiem. Prezenterka przespacerowała się przed widzami uwalniając się jednocześnie ze spódniczki i skrawka materiału, służącego za majtki. Jeden z moich przyjaciół filmowców twierdził kiedyś, że Cyntia grała dawniej w pornosach, więc brzydzi go jej ciało. Mnie tam nie brzydzi.

„Włochy to w ogóle dziwny kraj. Znajdują rekiny w morzu, mordują sędziów i prokuratorów, oddają się bunga-bunga, ich nowy prezydent podobno sypia też z mężczyznami, a z seksu robią wręcz martyrologię. Już wolę Rosjan uprawiających po pijaku miłość z niedźwiedziami. To dopiero ekscytujące”.

Realizator SuperTV zastąpił obraz Cyntii trzema pijanymi rosyjskimi miliarderni, którzy próbują dosiąść oszołomioną i obezwładnioną przez ochronę białą niedźwiedzicę. Gdy obraz wrócił do studia, Cyntia pozbywała się pierwszej pończochy.

„Ale wróćmy do Włoch, bo to doprawdy ciekawy kraj. Znacie Hektora Truhillo? Nie. Ja też nie. To podobno słynny nowojorski bankowiec inwestycyjny pochodzenia meksykańskiego, który obłowił się na spekulacjach na rynku ropy. Dacie wiarę, że zaginął kilka dni temu za oceanem, a właśnie dziś odnaleziono go we Włoszech, w prowincji Cagliari na Sardynii. Podróżnik Truhillo wypakował kieszenie swojego płaszcza od Laurena kamieniami, obciął sobie genitalia, pożarł je, a potem wskoczył do morza szukać rekinów. Żeby mało było zbiegów okoliczności, New Yorker podaje, że nieboszczyk, poszukiwacz rekinów Truhillo, zarządzał majątkiem – zgadniecie czym? – Roberto Gatusso, wspomnianego wcześniej przedsiębiorcy. W Polsce za to Karin Andersson, słynna milionerka o szwedzkich korzeniach, ponownie trafiła na żyłę złota, inwestując w producenta oprogramowania 3D. Businesswomen twierdzi, że tym razem jest to wyjątkowo ryzykowna inwestycja, dlatego odradza zakup jej akcji na tym etapie, na co giełda zareagowała z wielkim entuzjazmem. Ale co ja was tu zanudzam. Powiedzcie lepiej, co sądzicie o moim ciecie? W dechę czy do kitu? Jeśli ktoś ma ochotę mnie wybykać, wysyłajcie sms-y na numer... Odpowiadam tylko na poważne oferty. Ciaooooo...”

Po wiadomościach w SuperTV leciał serial, więc przełączyłem na HBO i zasnąłem na jakimś romansie historycznym. Z samego rana po umyciu zębów zapisałem sobie, żeby zadzwonić do psychiatry w celu konsultacji pewnych teorii, które rodziły mi się w głowie. A potem zasiadłem do lektury „Księgi kłamców” i otworzyłem pierwszą stronę. Dziwne, wydawało mi się, że wcześniej była czysta. Tymczasem widniało na niej motto po niemiecku. Brzmiało:

*Porzućcie nadzieję, wszyscy wierzący w prawdę.
Ona zwykle wysiada na innej stacji.*

Przetarłem oczy, lecz napis nie zniknął. Mało tego, na

kolejnej stronie znalazłem drugie motto.

*Jam jest posłaniec otchłani,
pierwszy wezyr prawdy i kłamstwa, całun
wiecznego ognia.
Jam jest przeznaczenie. Jam jest droga do
wieczności.
Jam srebrna pieczęć sześćdziesiątego szóstego
kręgu wiedzy.
A miłość jest największym z kłamstw!*

Wydawało mi się, że w ciemnej szybce barku dostrzegłem migoczącą przez ułamek sekundy uśmiechniętą postać staruszka z wąsem. Oto w moich skromnych progach zagościł uśmiech demona Cimeiesa.

Gra rozpoczynała się na nowo.

KSIĘGA **Łtamców**

Mariusz Zielke



VIRTUALO
Księgarnia Internetowa

empik

db
ap
PRINCIPIUM

Niesamowita, odważna i szokująca powieść.

Murowany bestseller!

The Global News

lesiojot